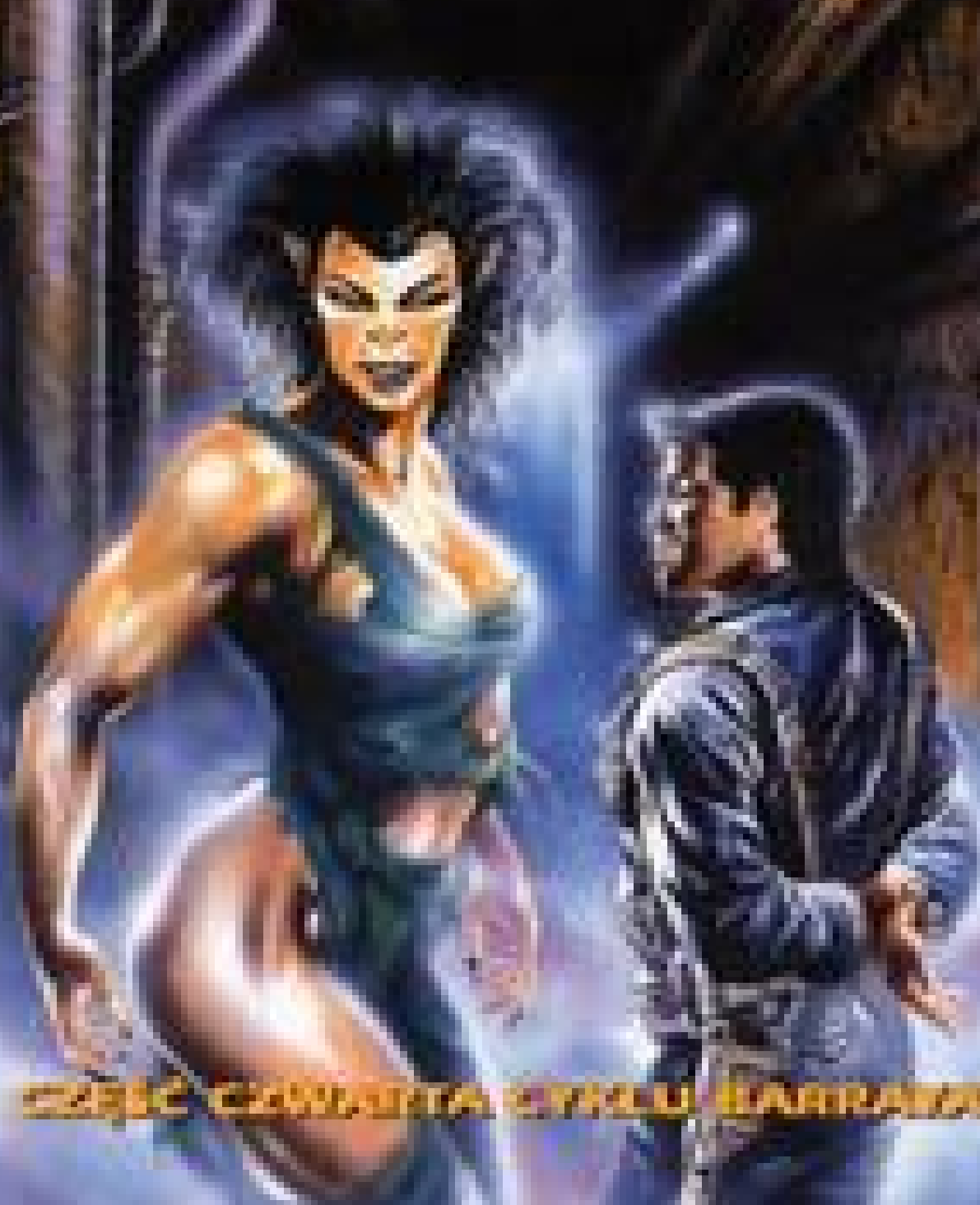


Fantastyka

Lois McMaster Bujold

# GRANICE NIESKOŃCZONOŚCI



Fantastyka 5-tytuł

WYDAWCA: GEMMA POLSKA

**Lois McMaster Bujold**

# **Granice Nieskończoności**

Przekład Magdalena Gawlik  
Dorota Malinowska



# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Jeden](#)

[Lamentowe Góry](#)

[Dwa](#)

[Labirynt](#)

[Trzy](#)

[Granice Nieskończoności](#)

[Cztery](#)

# Jeden

– Ma pan gościa, porucznika Vorkosigan. – Cień lęku przemknął przez spokojną zazwyczaj twarz sanitariusza. Odsunął się na bok, aby przepuścić mężczyznę, który wkroczył do sali, gdzie leżał Miles. Ten kątem oka dostrzegł, jak sanitariusz wycofuje się pośpiesznie, nim drzwi zdążyły domknąć się za wchodzącym.

Zadarty nos, błyszczące oczy i delikatne, łagodne rysy nadawały jego twarzy młodzięczy wygląd, mimo znacznie posiwiałych na skroniach włosów. Mężczyzna drobnej budowy, ubrany po cywilnemu, nie wyglądał na osobnika, którego należało się obawiać, jak można by sądzić po reakcji sanitariusza. Posada tajnego agenta we wczesnych latach kariery wykształciła w Simonie Illyanie, dowódcy Cesarskiej Służby Bezpieczeństwa, nawyk nierzucania się w oczy.

– Witam, szefie – odezwał się Miles.

– Paskudnie wyglądasz – oznajmił niefrasobliwie Illyan. – Daj sobie na spocznij.

Miles spróbował się roześmiać, co sprawiło mu dotkliwy ból. Całe ciało miał obolałe, z wyjątkiem ramion, obandażowanych i unieruchomionych od obojczyków aż po koniuszki palców, te zaś nadal pozostawały bez czucia za sprawą zaaplikowanych mu środków. Skurczył się na pościeli, bezskutecznie usiłując przybrać wygodniejszą pozycję.

– Jak przebiegła operacja wymiany kośćca? – spytał Illyan.

– Mniej więcej tak, jak przewidywałem; miałem już doświadczenie po operowaniu nóg. Najgorsze było otwieranie prawej ręki, żeby wydobyć pokruszone kawałki. Ohyda. Z lewą poszło dużo sprawniej, bo okazały się większe. Teraz pozostaje mi tylko leżeć i czekać, aż wszczepiony szpik przyjmie się na syntetycznym podłożu. Trochę potrwa, nim znów będę w formie.

– Mam nadzieję, że nie wejdzie ci w krew powracanie z każdej akcji na noszach.

– No, już dobrze – dopiero drugi raz. Poza tym wkrótce wyczerpie się mój zasób naturalnych kości. Nim dotrę do trzydziestki, cały będę z plastyku. – Miles bez humoru rozważył ową perspektywę. Jeżeli bowiem połowę jego ciała mają stanowić części zamienne, to chyba lepiej od razu wystawić sobie akt zgonu? Czy kiedykolwiek przyjdzie mu przestąpić próg fabryki wytwarzającej protezy wołając „Mamo!”? A może zażywane leki budziły w nim te ponure myśli?

– Co się zaś tyczy twojej misji... – Illyan szybko przeszedł do rzeczy.

Więc to tak. Zatem wizyty nie można uznać za dowód troski, zakładając, że Illyan w ogóle mógł się kierować tego typu uczuciami. Niekiedy trudno było to poznać.

– Masz przecież mój raport – odparł zmęczony już Miles.

– Twój raport, jak zwykle, zawiera mnóstwo niedomówień i błędnych wskazówek – powiedział pogodnie Illyan.

– W końcu... każdy ma do niego dostęp. Nigdy nic nie wiadomo.

– Nie „każdy” – odrzekł Illyan. – Tylu, ilu powinno.

– A więc o co chodzi?

– O pieniądze. Ściśle mówiąc – komu należy je powierzyć, aby dokładnie rozliczył się ze wszystkiego.

Może tak działały środki, którymi go naszpikowano, ale Miles nie widział w tym żadnego sensu.

– Sprawiam ci zawód? – zapytał z niepokojem.

– Pomijając twoje obrażenia, wynik ostatniej misji jest nader zadowolający... – zaczął Illyan.

– Nie mógł być lepszy – przerwał ze złością Miles.

– Natomiast owe, nazwijmy to, przygody na Ziemi, tuż przed misją, w dalszym ciągu podlegają

dyskusji. Zostawmy je na później.

– Najpierw będę musiał złożyć raport w wyższej instancji – pośpiesznie wtrącił Miles.

Illyan machnął niecierpliwie ręką.

– Oczywiście. Nie w tym rzecz. Zarzuty dotyczą sprawy w Dagooli i sięgają dużo wcześniej.

– Zarzuty? – spytał oszołomiony Miles.

Illyan przez chwilę przyglądał mu się z namysłem.

– Biorę pod uwagę sumy, które cesarz trwoni na utrzymanie twoich powiązań z Wolną Najemną Flotą Dendarii, wyłącznie z punktu widzenia ochrony wewnętrznej. Gdyby cię, załóżmy, na stałe zatrudniono w Imperialnym Punkcie Dowodzenia, cały czas byłbyś cholernym celem knowań. I nie mam na myśli wyłącznie jakichś lizusów czy karierowiczów, ale wszystkich, którzy przez ciebie pragnęliby dopaść twego ojca. Tak, jak w tym wypadku.

Miles zmrużył oczy, jakby zogniskowanie wzroku w jednym punkcie pomagało mu zebrać myśli.

– Ach, tak?

– Krótko mówiąc, pewni osobnicy w Imperialnym Dziale Rozliczeń szczególnie wnikliwie analizują twoje raporty dotyczące współpracy ze służbą najemną. Bardzo zależy im na szczegółach w związku z zaginioną sporą ilością gotówki. Rachunki za niektóre z twoich przetasowań sprzętu są kolosalne, nawet z mojego punktu widzenia. I żeby to zdarzyło się tylko raz. Postawili sobie za zadanie wykazać istnienie całej sieci powiązań w popełnionych malwersacjach. Jawne przedstawienie ci zarzutu napychania sobie kieszeni cesarskimi pieniędzmi wywołałoby szum; szczególnie zaś mogłoby zaszkodzić twojemu ojcu i jego koalicji.

Zdumiony Miles odetchnął głęboko.

– Czy sprawy zaszły aż tak daleko?

– Jeszcze nie. Mam zamiar zdusić wszystko w zarodku, nim zdąży nabrać realnych kształtów. Lecz aby tego dokonać, potrzebuję więcej szczegółów. Najważniejsze, by nie zabrnąć w ślepy zaułek, jak niekiedy mi się zdarzało pod wpływem twoich bardziej powikłanych działań – wciąż pamiętam, choć tobie już pewnie wyleciało z pamięci, jak przez ciebie przesiedziałem miesiąc we własnym więzieniu... – Illyan zadumał się nad minionymi wydarzeniami.

– Tamto należało do spisku przeciwko ojcu – zaprotestował Miles.

– Właśnie, podobnie jak i to, o ile właściwie sobie tłumaczę wczesne symptomy. Jednak ich przywódcą jest hrabia Vorvolk z Rozliczeń, przygnębiająco lojalny i na dodatek cieszący się osobistym, hm... wsparciem cesarza. Nietykalny. Lecz obawiam się, że podatny na wpływy. Urobili go jak glinę. Wyobraża sobie teraz, że musi czuwać nad wszystkim. Im dłużej się go zwodzi, tym bardziej staje się zawzięty. Trzeba ostrożnie obchodzić się z nim, czy ma rację, czy nie.

– Czy nie...? – Miles urwał. Nareszcie w pełni dotarło do niego, jak znacząca musiała być owa kwestia dla Illyana, skoro wybrał właśnie ten moment na wizytę. Przyszedł na pewno nie z powodu troski o stan zdrowia swojego podwładnego. Jednak nachodzić go i nękać pytaniami tuż po przebytych zabiegach, kiedy był tak bardzo wyczerpany, obolały, oszołomiony środkami przeciwbólowymi i zdezorientowany...

– Dlaczego po prostu nie poddasz mnie testom, żebyśmy obaj zaraz mieli to z głowy? – rzucił opryskliwie Miles.

– Ponieważ, niestety, znane mi są twoje idiosynkratyczne reakcje na środki wywołujące prawdomówność – odparł niewzruszenie Illyan.

– Mógłbyś wykręcić mi rękę. – Miles poczuł w ustach gorzki smak.

Wyraz twarzy Illyana pozostał nie zmieniony.

– Zastanawiałem się. Zdecydowałem jednak, że pozostawię sprawę chirurgom.

– Potrafisz być czasem prawdziwym sukinsynem, wiesz o tym, Simon?

– Owszem – powiedział beznamiętnie Illyan, nie zmieniając pozycji. Zdawał się na coś czekać, bacznie wszystko obserwując.

– Twój ojciec obecnie nie może sobie pozwolić na jakikolwiek skandal, zwłaszcza w trakcie tej szarpaniny o władzę. Należy zdławić spisek, bez względu na to, czy zawiniłeś, czy nie. Wszystko, o czym teraz mówimy, pozostanie – musi pozostać – wyłącznie między nami. Jednak ja powinienem znać prawdę.

– Proponujesz mi amnestię? – Miles niebezpiecznie zniżył głos. Czuł, jak serce zaczyna gwałtownie tłuc mu w piersi.

– Jeśli zajdzie taka konieczność. – Głos Illyana pozostał doskonale obojętny.

Miles nadal nie miał czucia w dłoniach, nie mógł zacisnąć ich w pięści, poruszył więc konwulsyjnie palcami u stóp. Ogarnięty gniewem z trudem chwycił powietrze; cały pokój zdawał się wirować.

– Ty... podły... bękarcie! Masz czelność nazywać mnie złodziejem... – Kołysał się na łóżku, szarpiąc krępujące go prześcieradła. Maszyna, do której był podłączony, zaczęła emitować przeraźliwe sygnały. Ręce bezwładnie zwisały mu po bokach, podrzucane drgawkami tułowia. – Tak jakbym mógł okradać Barrayar. Tak jakbym mógł ciągnąć zyski z własnego martwego... – Zaparł się stopami i uniósł do pionu, napinając ze wszystkich sił mięśnie brzucha. Zamroczony, na granicy omdlenia, niebezpiecznie przechylił się do przodu, nie będąc w stanie podeprzeć się dłońmi.

Illyan rzucił się w kierunku Milesa i zdołał go chwycić, bowiem runąłby twarzą w dół i uderzył o podłogę.

– Co ty sobie do cholery wyobrażasz?

Miles sam nie wiedział co odpowiedzieć.

– Co pan wyprawia? – wykrzyknął lekarz wojskowy, blady ze zdenerwowania, który w tej samej chwili wbiegł na salę. – Pacjent jest po bardzo ciężkim zabiegu!

Lekarz był przerażony i wściekły, a sunący za nim sanitariusz także wyglądał na przestraszonego. Usiłując zmiłogować swojego przełożonego, szarpnął go za rękaw:

– Doktorze, ależ to Illyan, szef CesBez – syknął.

– Dobrze wiem, kim on jest. Dla mnie mógłby być nawet duchem cesarza Dorki. Nie zgadzam się, aby załatwiał tu swoje... sprawy. – Lekarz spojrzał wyzywająco na Illyana. – Pańskie przesłuchania, bądź cokolwiek to jest, proszę przeprowadzać we własnym biurze. Nie w moim szpitalu. Co się zaś tyczy pacjenta, na razie wszelki kontakt z nim jest niedozwolony.

Zdumiony początkowo Illyan gniewnie zareagował na ostatnie słowa.

– Ależ ja nie...

Miles chciał podrażnić obolałe sploty nerwowe w swoim ciele i podnieść krzyk, jednak w owej chwili nie czuł się na siłach, aby coś takiego zrobić.

– Sądzenie na podstawie pozorów do niczego dobrego nie prowadzi – mruknął do Illyana, zapadając głębiej w jego uścisk. Zaśmiał się nieprzyjemnie przez zaciśnięte zęby. Jego ciałem wstrząsały dreszcze, a krople zimnego potu na czole były całkowicie autentyczne.

Illyan spojrzał na Milesa ze złością, ostrożnie jednak umieścił go z powrotem na łóżku.

– Nic się nie stało – z trudem wyartykułował Miles, zwracając się do lekarza. – Ja tylko trochę się... trochę... – Słowo „zdenerwowałem” raczej mu tutaj nie pasowało; przez moment miał wrażenie, że jego czaszka lada chwila eksploduje.

– Mniejsza z tym. – Był wytracony z równowagi. Pomyśleć, że Illyan, którego znał całe życie, który, jak mniemał, ufał mu bezgranicznie, gdyż jak inaczej mógłby powierzać mu tak doniosłe,

niezależne misje... Czuł się dumny, że obdarzono go takim zaufaniem; jego, młodego oficera, często pozostawiając mu wolną rękę podczas akcji, które przeprowadzał... Czyż jego błyskotliwa kariera mogła stanowić nie szereg działań podejmowanych wyłącznie dla dobra imperium, lecz znowę, mającą na celu wyeliminowanie Vora – marionetki, człowieka, który kiedyś mógłby okazać się niebezpieczny? Ołowiany żołnierz... nie, wydało mu się to niedorzeczne. Malwersant? Brzydkie słowo. Co za skaza na jego honorze i cios dla jego przekonań; zupełnie jakby nie zdawał sobie sprawy, skąd pochodziły rządowe fundusze, ani jakim kosztem je zdobywano.

Wściekłość przerodziła się w czarną rozpacz. Bolało go serce. Czuł się zbrukany. Jak Illyanowi – Illyanowi! – mogło choćby przejść przez myśl... Tak, Illyanowi mogło. Nie zadałby sobie trudu, aby tu przyjść, gdyby rzeczywiście nie uznał, iż zarzut jest prawdopodobny. Miles był na siebie wściekły – płakał. Cholerne narkotyki.

Illyan, wyraźnie zaniepokojony, bacznie go obserwował.

– W ten czy inny sposób, Milesie, jutro będę zmuszony bronić wiarygodności twoich wydatków, które są zarazem wydatkami mojego departamentu.

– Wolałbym stanąć przed sądem wojennym.

Usta Illyana jeszcze bardziej się zwęziły.

– Wrócę później. Kiedy się trochę prześpisz. Może wówczas łatwiej dojdziemy do porozumienia.

Lekarz pobył przy nim jeszcze przez chwilę, zaaplikował kolejny lek i poszedł sobie. Miles odwrócił się twarzą do ściany. Jednak nie zapadł w sen; wydarzenia z przeszłości jak żywe stanęły mu przed oczami.



# Lamentowe Góry

Miles usłyszał lament kobiety, kiedy wspinał się na wzgórze od strony wąskiego jeziora. Nie wytarł się po pływaniu, ponieważ poranek obiecywał skwamy upał. Woda spływała chłodnymi strumyczkami z włosów mężczyzny na nagą klatkę piersiową i plecy, a także – co już było mniej przyjemne – w dół po nogach z nogawek krótkich spodni. Rzemienie mocujące do nogi szynę aparatu ortopedycznego obcierały wilgotną skórę nóg, gdy wbiegał w górę wąską ścieżką, przedzierając się przez krzaki w tempie wręcz wojskowym. Stopy wyciskały wodę ze starych, mokrych butów. Gdy doszły go z daleka głosy, zaciekawiony zwolnił.

Kobiecy głos nieprzyjemnie zawodził z żalu i zmęczenia:

– Proszę, panie, proszę. Chcę tylko sprawiedliwości...

Stojący przy bramie strażnik był najwyraźniej poirytowany i zakłopotany jednocześnie.

– Nie jestem panem. Daj spokój, wstańże, kobieto. Wracaj do wioski i zgłoś sprawę w magistrackim biurze swego okręgu.

– Mówiłam ci już, panie, właśnie stamtąd wracam!

Miles wyszedł spomiędzy krzaków i zobaczył, że kobieta nie podniosła się z kolan. Przyglądał się tej scenie z drugiej strony traktu.

– Zanim sędzia wróci, miną całe tygodnie. Droga tutaj zabrała mi cztery dni. Mam tak niewiele pieniędzy... – W jej głosie pojawiła się rozpaczliwa nadzieja, zagłębiła dłoń w kieszeń, a chwilę potem ku strażnikowi wyciągnęła się zaciśnięta pięść. – Marka i dwadzieścia pensów, to wszystko, ale...

Wzrok wyprowadzonego z równowagi strażnika padł na Milesa. Żołnierz wyprostował się gwałtownie, jakby przestraszony, że jego pan mógł go podejrzewać o połakomienie się na tak żalną łapówkę.

– Odejdź, kobieto! – warknął.

Miles zmarszczył brwi i powłóczęc nogą przeszedł przez drogę do głównej bramy.

– O co chodzi, kapralu? – zapytał lekkim tonem.

Strażnik, najwyraźniej oddelegowany z wojsk imperialnych, miał na sobie zielony mundur z wysokim kołnierzem służb Barraryaru. W jasnym, porannym słońcu pocił się niemiłosiernie. Znajdowali się przecież na południu. Miles wyobraził sobie, że żołnierz będzie już całkiem ugotowany, zanim wróci do koszar, gdzie pozwoli sobie wreszcie na rozpięcie kołnierzyka. Akcent wskazywał, że nie pochodził z tych stron, był człowiekiem z miasta, może z samej stolicy, a tam bardziej lub mniej sprawna biurokracja załatwiała takie problemy jak ten, z którym przyszła klęcząca teraz przed nim kobieta.

Z kolei ona była miejscowa, wszystko wskazywało, że pochodzi z jakiejś zapadłej wioski w górach. Młodsza niż można by sądzić po jej napiętym głosie, wysoka, zapuchnięta od płaczu, z rzadkimi blond włosami, zwisającymi po obu stronach łasiczkowatej twarzy, w której zwracały uwagę skłopotane, szare oczy. Wykapana, nakarmiona, wolna od trosk i uśmiechnięta, zwracałaby uwagę urodą, lecz na razie było jej do tego bardzo daleko; miała jednak naprawdę wspaniałą figurę. Szczupła, ale o pełnym biuście. Właściwie inaczej należałoby to określić: krągłość piersi była tylko czasowa, Miles zauważył zaschnięte plamy po mleku na staniku sukienki, chociaż dziecka nigdzie nie widział. Ubranie kobiety było bardzo zniszczone, dawno temu uszyte prostymi, niewprawnymi ściegami, choć z materiału fabrycznego. Nie miała butów. Po długiej wędrówce bosa stopy krwawiły.

– Nie ma najmniejszego problemu – zapewnił Milesa strażnik. – Odejdź – syknął w stronę kobiety.

Jakby nie mogąc już dłużej wytrzymać na klęczkach, osunęła się bezwładnie na ziemię.

– Zawołam sierżanta – strażnik z niepokojem patrzył na leżącą – i każę ją usunąć.

– Poczekaj chwilę – powstrzymał go Miles.

Kobieta przypatrywała się mu, najwyraźniej niepewna, czy może potraktować jego zainteresowanie jako nadzieję. To, co miał na sobie, nie dawało jej żadnego klucza w rozpoznaniu, z kim ma do czynienia. Szczególnie że ubranie Milesa było dość skąpe. Wyprostował się, jakby chcąc dodać sobie wzrostu i uśmiechnął się blado. Nienaturalnie duża głowa, za krótka szyja, plecy nadmiernie szerokie, krzywe nogi, których kruche kości łamały się zbyt często, mimo podtrzymującego je, lśniącego chromem aparatu. Gdyby kobieta z gór stała, czubek jego głowy sięgałby zaledwie jej ramienia. Znudzony oczekiwał, kiedy jej dłoń wykona znak chroniący przed złymi mutantami, ale ta tylko zacisnęła się w pięść.

– Muszę się widzieć z moim hrabią – powiedziała adresując tę uwagę do punktu gdzieś pomiędzy Milesem a strażnikiem. – Takie jest moje prawo. Mój ojciec umarł w służbie. Przysługuje mi prawo widzenia mego pana.

– Hrabia Vorkosigan, nasz premier – informował oficjalnie strażnik – przyjechał do swej posiadłości wiejskiej na odpoczynek. Obowiązki służbowe załatwia w Vorbarr Sultana. – Żołnierz wyglądał, jakby sam wiele dał za to, żeby znaleźć się we wspomnianym mieście.

Kobieta wykorzystała chwilę milczenia.

– Jesteś tylko sługą. A on jest moim panem. Mam prawo go widzieć.

– W jakiej sprawie chcesz się spotkać z hrabią Vorkosiganem? – zapytał cierpliwie Miles.

– Morderstwa – wyjęczała ta dziewczyno-kobieta. Strażnik westchnął lekko. – Chcę złożyć doniesienie o morderstwie.

– Czy nie powinnaś najpierw przedłożyć skargi rzecznikowi wioski? – dopytywał się Miles, gestem ręki uspokajając rozdrażnionego strażnika.

– Poszłam do niego. Ale nic nie zrobił. – Gniew i żal łamały jej głos. – Powiedział, że już jest po wszystkim. Że nie zapisze moich skarg, bo to wszystko bzdury. Tylko sprowadzę na wioskę kłopoty, tak właśnie powiedział. Nie obchodzi mnie to. Chcę sprawiedliwości!

Miles zmarszczył się w zamyśleniu, przyglądając z uwagą kobiecie. Szczegóły zgadzały się, potwierdzały jej pochodzenie, uwiarygodniały jej słowa, co mogło umknąć chorobliwie regulaminowemu wartownikowi.

– To prawda, kapralu – powiedział Miles. – Ta kobieta ma prawo zwrócić się najpierw do sędziego okręgowego, a potem na hrabiowski dwór. A sędziego nie będzie przez najbliższe dwa tygodnie.

Ten okręg kraju, z którego zresztą pochodził sam hrabia Vorkosigan, posiadał tylko jednego przepracowanego sędziego. Objeżdżał on wioski, w każdej spędzając jeden dzień na miesiąc. Ponieważ poszukiwacze kłopotów woleli nie przebywać na tym samym terenie, co gwardia premiera, z tymi włościami pod obecność Vorkosigana sędzia miał zazwyczaj spokój, wtedy więc jeździł w głąb kraju.

– Sprawdź ją skanerem i niech wejdzie – powiedział Miles. – Na moje polecenie.

Strażnik wywodził się z najlepszych oddziałów służb specjalnych imperium i tak był wyćwiczony, że widział zabójcę nawet we własnym cieniu. W tej chwili wyglądał na zgorszonego. Odezwał się ściszym głosem do Milesa:

– Panie, gdybym pozwolił każdemu szaleńcowi w tym kraju wchodzić do woli na teren

posiadłości...

– Ja zaprowadzę tę kobietę. I tak idę w tamtą stronę.

Strażnik wzruszył bezradnie ramionami, ale udało mu się ten gest w połowie zamienić na krótki salut, choć Miles zdecydowanie nie był w mundurze, po czym wyciągnął zza pasa skaner i zaczął ostentacyjnie sprawdzać kobietę. Miles zastanawiał się, czy czasem tylko jego obecność nie powstrzymała żołnierza przed takimi szykanami jak kontrola osobista. Kiedy strażnik skończył demonstrować, jak bardzo jest czujny, przytomny i lojalny, otwartą dłonią dotknął bramy, wprowadzając kod wejścia, a następnie zapisał do komputera obraz siatkówki oka kobiety i stanął z boku w pozie, o której z całą pewnością można było powiedzieć, że jest na spocznij. Miles uśmiechnął się na ten przekaz bez słów i pociągnął lekceważąco potraktowaną kobietę za łokieć. Przeprowadził ją przez bramę i wzdłuż rozszerzającego się podjazdu.

Przy pierwszej sposobności umknęła jego ręce, ale nadal powstrzymała się przed wykonaniem zabobonnego gestu. Rzuciła mu tylko pełne ciekawości spojrzenia. Był taki czas, kiedy zaciskał zęby, gdy ludzie całkiem otwarcie wgapiali się w jego nieforemne ciało. Teraz czuł jedynie smutne rozbawienie, nieco może zabarwione goryczą. Nauczą się. Wszyscy. Nauczą się.

– Czy słyszysz hrabiemu Vorkosiganowi, mały człowieku? – zapytała ostrożnie.

Miles przez moment się nad tym zastanawiał.

– Tak – odpowiedział wreszcie. Odpowiedź była, mimo wszystko, prawdziwa pod każdym względem poza tym jednym, który ona miała na myśli. Pohamował pokusę powiedzenia jej, że jest nadwornym błaznem. Jej wygląd wskazywał na kłopoty dużo poważniejsze niż jego własne.

Najwyraźniej sama do końca nie wierzyła w swoje uprawnienia, do bramy zaprowadził ją ślepy upór. Kiedy nieubłaganie zbliżali się ku celowi, na twarzy kobiety pojawiła się wyraźna panika. Była teraz tak blada, że wręcz wyglądała na chorą.

– Jak... jak ja mam się do niego zwracać? – wybąkała wreszcie przestraszona. – Czy powinnam przykleknąć...? – Spojrzała po sobie, jakby po raz pierwszy dostrzegła, że jest brudna, spocona i splugawiona.

Miles z trudem powstrzymał się przed zacytowaniem śmiesznej wyliczanki zaczynającej się od słów: „Klęknij i trzy razy uderz czołem o podłogę, zanim zaczniesz mówić, tak właśnie postępuje pospólstwo”. Zamiast tego poradził jej:

– Po prostu stań wyprostowana i powiedz prawdę. Staraj się mówić jasno. On zrozumie. Ostatecznie – usta Milesa zadrgały – nie brak mu doświadczenia.

Przełknęła nerwowo ślinę.

Sto lat temu letnią rezydencją Vorkosiganów były koszary, część zewnętrznych fortyfikacji potężnego zamku na urwisku ponad wioską Vorkosigan Surleau. Z zamku pozostały dziś już tylko ruiny, natomiast w miejscu baraków stała obszerna, kamienna budowla, wiele razy modernizowana, rozplanowana z artystycznym smakiem i otoczona kwietnikami. Otwory strzelnicze poszerzono tak, że stały się dużymi, oszklonymi oknami, z których roztaczał się piękny widok na jezioro, a nad dachem sterczała antena komertela. Nowe baraki koszar ukryte były pośród drzew w dole zbocza, ale nie miały żadnych otworów strzelniczych.

Kiedy Miles i nie pasująca do tego otoczenia kobieta zbliżyli się do rezydencji, w drzwiach stanął mężczyzna należący do osobistej świty hrabiego. Wskazywała na to brązowo-srebrna liberia. To był ten nowy człowiek. Jakżeż mu na imię? Pym, przypomniał sobie Miles.

– Gdzie jest jego lordowska mość? – zapytał.

– W górnym pawilonie, je śniadanie z jej lordowska mością. – Pym rzucił okiem na kobietę i zamarł w oczekiwaniu, spoglądając na Milesa z grzecznym zainteresowaniem.

– Aha. No cóż, ta kobieta szła tu cztery dni, by złożyć skargę sędziemu okręgowemu. Ponieważ jego nie ma, natomiast hrabia jest, więc ona proponuje przeskoczyć pośrednika i uderzyć prosto w sam wierzchołek. Podoba mi się jej styl. Zabierz ją na górę, dobrze?

– Podczas śniadania? – zapytał z niedowierzaniem Pym.

Miles pochylił ku kobiecie głowę.

– Jadłś już śniadanie?

Zaprzeczyła milcząco.

– Tak właśnie myślałem. – Miles rozłożył ręce gestem, jakby przekazywał ją, symbolicznie, słuzącemu. – Idźcie.

– Mój tata zginął na służbie – powtórzyła słabym głosem kobieta. – To moje prawo. – Zdanie to miało na równi przekonać innych, co i ją samą.

Pym nie był góralem, urodził się jednak w tym okręgu.

– Niech będzie – westchnął i skinął na kobietę, by podążyła za nim bez dalszego już mitrżenia czasu. Okrążając rezydencję, rozglądała się wokół rozszerzonymi oczyma. Ale obejrzała się jeszcze nerwowo na Milesa.

– Mały człowieku...?

– Po prostu stój wyprostowana! – krzyknął do niej. Patrzył jak znika za rogiem, a potem wbiegł po schodach rezydencji przeskakując po dwa stopnie naraz.

Miles ogolił się, wziął zimny prysznic i poszedł do swego pokoju, którego okna wychodziły na długie jezioro. Ubrał się starannie, tak samo jak dwa dni wcześniej na paradę imperialną i ceremonię rozdawania dyplomów Akademii. Czysta bielizna, kremowa koszula z długimi rękawami, ciemnozielone spodnie z zapięciem u boku. Tego samego koloru bluza z wysokim kołnierzem, dopasowana do jego nietypowej figury. Nowa, jasnoniebieska plastikowa odznaka przymocowana do kołnierza i wpijająca się niemiłosiernie w szczękę. Uwolnił nogi z rzemieni i wciągnął lśniące niczym lustro buty, sięgające do kolan. Starł odrobinę kurzu spodniami pidżamy, leżącymi pod ręką na podłodze, gdzie je rzucił, gdy szedł popływać.

Wyprostował się i sprawdził swe odbicie w lustrze. Ciemne włosy jeszcze nie doszły do siebie po ostatnim strzyżeniu przed ceremonią promocyjną. Błada twarz o ostrych rysach, worki pod szarymi oczami, ale nie na tyle duże, by znamionować hulaszczy tryb życia, białka niezbyt przekrwione – z czego wniosek, że ograniczenia, jakim podlegało jego ciało, zmusiły go do powstrzymania się od dalszego świętowania, zanim zdążył sobie zrobić krzywdę.

Echa uroczystości ciągle jeszcze rozbrzmiewające w jego głowie wywołały lekkie skrzywienie ust. Stał przecież na pierwszym szczeblu najwyższej z możliwych drabin – samej służby imperialnej. W służbie nie było ulg nawet dla synów starego Vora. Dostawało się to, na co się zasłużyło. Mógł pod tym względem polegać na słowach swego kuzyna oficera, choć byli i tacy, którzy w to wątpili. On przynajmniej był dowodem dla niedowiarków, jak bardzo się mylili. Musiał tylko przeć w górę i przed siebie, nigdy nie spoglądać w dół, nigdy nie oglądać się za siebie.

Chociaż raz jednak zamierzał to zrobić. Równie starannie jak się ubierał, Miles składał przedmioty konieczne do wykonania zadania, które czekało na niego. Białe, płócienne prostokąty, odznaka kadeta Akademii. Ręcznie wykaligrafowany, wykonany specjalnie na jego zamówienie patent oficerski służby imperialnej na Barrayarze. Papierowa kopia wszystkich wyników uzyskanych w ciągu trzech lat w Akademii łącznie z pochwałami (i naganami). W tym, co planował, chciał zachować całkowitą uczciwość. W szafie na dole znalazł mosiężny kosz, tak zwany koksownik i trójnóg, starannie owinięte w szmaty, oraz torbę plastikową, pełną wysuszonej kory jałowca.

Wyszedł tylnymi drzwiami i wdrapał się na wzgórze. Z miejsca, przez które prowadziła ścieżka,

rozciągał się piękny widok. W pewnym miejscu dróżka rozwidlała się, jej prawa odnoga wiodła na sam szczyt do pawilonu. Miles skręcił jednak w lewo i po chwili doszedł do niskiego muru z polnych kamieni. Przeszedł przez bramę.

– Dzień dobry, szaleni przodkowie – zawołał, ale nagle stracił dobry humor. Może to, co powiedział, było i prawdą, ale mimo wszystko zachował się bez należytego szacunku.

Przechadzał się między grobami, aż wreszcie doszedł do tego, który był jego celem. Ukląkł i położył koksownik z trójnogiem na ziemi.

Napis na kamieniu był prosty: GENERAL HRABIA PIOTR PIERRE VORKOSIGAN, a pod nim daty. Gdyby ktoś chciał wymienić wszystkie tytuły i osiągnięcia zmarłego, musiałby zapisać całą płytę maczkiem.

Umieścił na kawałku kory przyniesione specjalnie w tym celu drogocenne kawałki papieru, białe płócienne kwadraty i pasmo włosów z ostatniego strzyżenia. Wszystko to spalił. Patrzył w płomienie, kołyszając się na piętach. Latami wyobrażał sobie tę chwilę i to na setki sposobów. Niekiedy widział, jak stoi nad grobem i wygłasza publiczną orację przy wtórze poważnej muzyki. Kiedy indziej tańczył na golasa na grobie starego człowieka. Skończyło się na prywatnej i tradycyjnej ceremonii, bez zbędnych gestów. Chodziło o coś tylko między nim a dziadkiem.

– Tak więc – nie wytrzymał wreszcie. – Mimo wszystko dotarliśmy aż tutaj. Zadowolony?

Szaleństwo ceremonii wręczenia dyplomów było już za nim i wydało mu się nagle, że ogromny wysiłek ostatnich trzech lat i cały ból doprowadziły go do tego właśnie punktu. Ale nikt z grobu nie odezwał się, nie powiedział: „Dobra robota, teraz możesz odpocząć”. Popioły nie przekazały żadnej wieści, we wznoszącym się dymie nie ukazała się żadna wizja. Wszystko spłonęło aż nazbyt szybko. Może przyniósł za mało do spalenia.

Podniósł się, otrzepał kolana. Panowała cisza, świeciło słońce. I czego niby się spodziewał? Aplauzu? Dlaczego po ostateczną odpowiedź przyszedł właśnie tutaj? Czy chodziło mu jedynie o spełnienie marzenia nieżyjącego człowieka? Komu tak naprawdę miało służyć jego wejście do służb? Dziadkowi? Jemu samemu? Bezbarwnemu imperatorowi Gregorowi? Kogo to w ogóle obchodziło?

– No cóż, starcze – wyszeptał, a potem krzyknął: – Czy jesteś wreszcie zadowolony? – Echo słów odbiło się od skał.

Miles na odgłos chrząknięcia odwrócił się jak spłoszony koń, serce skoczyło mu do gardła.

– Hmm... panie? – odezwał się niepewnie Pym. – Proszę o wybaczenie, nie chciałem przeszkadzać. Ale hrabia, wasz ojciec, domaga się pańskiej obecności w górnym pawilonie.

Wyraz twarzy Pyma nic nie mówił. Miles przełknął ślinę i przez chwilę odczekał, by rumieniec, który czuł na policzkach, nieco zbladł.

– Dobrze – wzruszył ramionami. – Ogień już prawie wygasł. Uprzątnę to później. Niech... niech nikt tego nie rusza.

Przeszedł obok Pyma, nie odwracając się za siebie.

Pawilon był prostą budowlą ze srebrnego od starości drewna, otwartą na cztery strony świata, tak że panował tu zawsze miły przewiew. Tego poranka wiała lekka bryza od zachodu. Mogło to oznaczać dobre warunki żeglarskie na jeziorze. Z cennych wolnych dni pozostało Milesowi tylko dziesięć, a tak wiele zamierzał w tym czasie zrobić. Planował między innymi wycieczkę do Vorbarr Sultana ze swym kuzynem Ivanem, chcieli wypróbować nowy ślizgacz. A potem czekał go pierwszy przydział. Miles modlił się, żeby była to służba na statku. Z trudem opanował pokusę poproszenia ojca, by upewnił się, że będzie to przydział na statek. Weźmie to, co mu przyniesie los, taka była pierwsza zasada gry. Należało wygrać takimi kartami, jakie się dostało do ręki.

Wnętrze pawilonu było zacienione i chłodne, szczególnie przez kontrast ze skwarem na

zewnątrz. Stało tam kilka wygodnych, starych krzeseł i stołów, na jednym widniały jeszcze resztki pańskiego śniadania – Miles zauważył dwa samotne ciasteczka na zasypanej okruchami tacy. Matka, pochylona nad filiżanką, uśmiechnęła się do niego.

Ojciec, niedbale ubrany w rozpiętą pod szyję koszulę i szorty, rozpierał się w wytartym fotelu. Aral Vorkosigan był przysadzistym, siwowłosym mężczyzną o mocnej szczęce, ciężkich brwiach i pokiereszowanej twarzy, która zdawała się wizerunkiem niewydarzonego dzikusa. Miles widział kiedyś taki rysunek w prasie opozycyjnej, przy artykule o nieprzyjaciołach Barrayararu. Ilustracja kłamała tylko w jednym szczególe. Ostre, przenikliwe spojrzenie zamieniono na tępe i osiągnięto tym samym efekt parodii wojskowego dyktatora.

Jak bardzo on jest nawiedzany przez dziadka? – zastanawiał się Miles. Specjalnie tego po nim nie widać. Ale z drugiej strony jego ojciec nie musiał się nikim podpierać. Admirał Aral Vorkosigan, kosmiczny strateg, zdobywca Komarru, bohater spod Escobaru i przez szesnaście lat faktyczny, choć nie tytularny regent imperium, najwyższa władza na Barrayarze, nagle odrzucił te zaszczyty, zmieszał historię i z własnej woli zstąpił z piedestału przekazując władzę imperatorowi Gregorowi, kiedy ten osiągnął pełnoletność. Choć nie zachował się równie elegancko z urzędem premiera, który piastował po dziś dzień, niczym nie dając do zrozumienia, że miałby z niego kiedyś zrezygnować.

Losy generała Piotra były tylko atutową kartą w dłoni admirała Arala. I gdzie w związku z tym znajdowała się chorągiew Milesa? Trzymał dwie dwójki i dzokera. Pozostawało mu albo poddać się, albo blefować...

Kobieta z gór siedziała na podnóżku, ściskając w dłoni na wpół zjedzone ciastko. Teraz wpatrywała się z otwartymi ustami w Milesa, występującego w całej chwale i blasku. Kiedy odpowiedział spojrzeniem, zacisnęła usta, a jej oczy zabłyśły. Coś dziwnego malowało się na jej twarzy. Gniew? Uniesienie? Zawstydzenie? Radość? Jakaś dziwnaczna mieszanina tych wszystkich uczuć naraz?

Miles wyprężony w mundurze stanął przed ojcem na baczność.

– Sir?

Hrabia Vorkosigan zwrócił się do kobiety:

– Oto mój syn. Czy, jeśli on pojedzie i będzie moim Głosem, zadowolili cię to?

– Och – westchnęła. Jej szerokie usta rozciągnęły się w dziwnym, wymuszonym uśmiechu.

Tak silnej emocji nie widział wcześniej na jej twarzy. Po raz pierwszy Miles potrafił odczytać, co wyraża.

– Tak, panie.

– Bardzo dobrze. W takim razie sprawa jest załatwiona.

Co jest załatwione? – zastanawiał się Miles ze znużeniem. Hrabia rozparł się wygodnie w fotelu. Wyglądał na zadowolonego z siebie, ale wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki sygnalizujące niebezpieczeństwo. Choć najwyraźniej kobiecie nic nie groziło (tych dwoje zawarło chyba coś w rodzaju przymierza) ani – Miles gwałtownie przebiegał myślą wszelkie możliwe zarzuty ojca – jemu. Delikatnie odchrząknął, pochylił na bok głowę i uśmiechnął się wyczekująco.

Hrabia wyciągnął ręce i wreszcie zwrócił się wprost do syna:

– Bardzo interesujący przypadek. Rozumiem, dlaczego przysłałeś ją do mnie.

– Taak – mruknął Miles. W co on się wpakował? Przeprowadził tylko kobietę przez służby bezpieczeństwa przy bramie wiedziony donkiszotowskim impulsem, a także, musiał się do tego przed sobą przyznać, ponieważ chciał zakłócić ojcu śniadanie.

...uważasz? – dokończył dyplomatycznie.

– Nie wiesz? – brwi hrabiego Vorkosigana uniosły się w górę.

– Mówiła o morderstwie, którym nie chciała się zająć miejscowa władza. Myślałem, że przekażesz ją w ręce sędziego okręgowego.

Hrabia usiadł jeszcze wygodniej w fotelu, masując dłonią pokiereszowany podbródek.

– To przypadek dzieciobójstwa.

Miles poczuł na czole zimny pot. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. No cóż, teraz już wiedział, dlaczego kobieta nie miała dziecka przy piersi.

– Niezwykłe... że zostało zgłoszone.

– Walczymy z tym starym zwyczajem już dwadzieścia lat, jeśli nie więcej – powiedział hrabia.

– Piszemy o tym w różnego rodzaju publikacjach, przeciwstawiamy się temu zabobonowi... W miastach osiągnęliśmy całkiem niezłe rezultaty.

– W miastach – szepnęła hrabina – ludzie mają wiele różnych możliwości.

– Ale w głębi kraju niewiele się zmieniło. Wszyscy wiemy, co tam się wyrabia, ale bez raportów i skarg, a kiedy rodziny dla własnej ochrony trwają w zaciętym milczeniu, trudno coś zrobić.

– Jaka – Miles zapytał z trudem, przez ściśnięte gardło – jaka była mutacja dziecka?

– Koci pyszczek. – Kobieta dotknęła ręką ust. – Miała szparę w górnej wardze i źle ssała, dławiła się i płakała, ale jednak coś jadła, była...

– Zajęcza wargą – pozaświatowa żona hrabiego mruknęła na wpół do siebie, przekładając barrayarski zwrot na standardowy język galaktyczny. – I najwyraźniej również rozszczep podniebienia. Zajęcza wargą to nie jest nawet mutacja. Zdarzała się w dawnych czasach na Starej Ziemi. Normalny defekt przy urodzeniu, jeśli takie określenie nie jest samo w sobie sprzecznością. Taka wada nie ma nic wspólnego z karą nałożoną na twych barrayarskich przodków, którzy podjęli się pielgrzymki przez Ogień. Mogła być skorygowana dzięki prostej operacji... – hrabina Vorkosigan urwała w pół zdania. Kobieta wpatrywała się w nią w udęce.

– Słyszałam o tym – powiedziała. – Mój pan kazał zbudować szpital w Hassadarze. Chciałam ją tam zabrać, chociaż nie miałam pieniędzy. Zbierałam tylko siły. Rączki i nóżki dziecka były zdrowe, a główka miała prawidłowy kształt, każdy to widział... na pewno w szpitalu by... – dłonie kobiety zaciskały się i rozluźniały, w głosie pojawił się gniew – ale Lem ją zabił.

Siedem dni marszu, obliczał w myślach Miles, z głębi gór Dendarii do położonego na nizinie miasta Hassadar. Kobieta, która dopiero co podniosła się z połogu, całkiem słusznie chciała odczekać kilka dni przed taką podróżą. Godzina lotu pojazdem powietrznym...

– Ale przynajmniej mamy wreszcie doniesienie o morderstwie – powiedział hrabia Vorkosigan – i właśnie potraktujemy to jako morderstwo. Jest teraz szansa, żeby wiadomość o tym dotarła do najdalszych zakątków mojego okręgu. Ty, Milesie, będziesz moim Głosem, który doleci tam, gdzie wcześniej nie chciano go usłyszeć. Wymierzysz sprawiedliwość – i nie zrobisz tego cichaczem, o nie. Już czas, aby położyć kres praktykom, przez które cała galaktyka ma nas za barbarzyńców.

Miles odezwał się z trudem.

– Czy sędzia okręgowy nie nadawałby się lepiej...?

Hrabia uśmiechnął się lekko.

– W tym przypadku nie potrafię sobie wyobrazić nikogo nadającego się lepiej od ciebie.

Przynoszący wieści i wieść w jednej osobie. Czasy się zmieniły. Rzeczywiście. Miles marzył, żeby znaleźć się gdzie indziej, właściwie gdziekolwiek – wolałby nawet wyciskać ostatnie poty na końcowych egzaminach. Stłumił próżny lament: Jestem na przepustce...!

Pomasował dłonią kark.

– Kto... kto zabił twoją małą dziewczynkę? – A mówiąc wprost, kogo mam wyciągnąć, postawić

pod mur i zastrzelić?

– Mój mąż – odpowiedziała głosem bez wyrazu, patrząc na – choć z pewnością ich nie widząc – srebrzyście lśniące deski podłogi.

Wiedział, że to będzie brudna sprawa...

– Płakała i płakała – mówiła dalej kobieta – nie mogła usnąć, bo była głodna. Krzyczał na mnie, żebym ją uciszyła...

– A potem? – zapytał Miles, czując bolesny kłęb w żołądku.

– Przeklinał i poszedł nocować do swojej matki. Powiedział, że ciężko pracujący człowiek ma przynajmniej prawo się wyspać.

Wyraźnie facet jest prawdziwym zdobywcą. Miles prawie potrafił go sobie wyobrazić, mężczyzna o byczym karku i z manierami byka – a jednak w opowieści kobiety brakowało punktu kulminacyjnego.

Hrabia również to zauważył. Słuchał z wielką uwagą, miał ten sam skupiony wyraz twarzy jak na spotkaniach rady wojskowej. Świdrujące spojrzenie kryło się pod przymkniętymi powiekami, ktoś nie znający go mógł opacznie uznać, że jest senny. To byłby poważny błąd.

– Czy byłaś świadkiem? – zapytał zwodniczo łagodnym tonem, który obudził w Milesie pełną czujność. – Czy widziałaś, jak on ją zabija?

– Znalazłam ją martwą rano, panie.

– Weszłaś do sypialni... – odpowiedział jej hrabia Vorkosigan.

– Mamy tylko jeden pokój. – Rzuciła mu spojrzenie świadczące, że po raz pierwszy wątpi w jego wszechwiedzę. – Nad ranem wreszcie usnęła. Poszłam do wężozu zebrać trochę malin. A kiedy wróciłam... powinnam była ją wziąć ze sobą, ale byłam zadowolona, że wreszcie zasnęła i nie chciałam jej budzić... – Kobieta zacisnęła powieki, ale łzy i tak spływały jej po policzkach. – Kiedy wróciłam, nadal pozwoiliłam jej spać, cieszyłam się z chwili spokoju, ale piersi zaczęły mi ciążyć – ręka opowiadającej bezwiednie powędrowała w stronę biustu – więc podeszłam...

– Nie było żadnych śladów? Nie miała przeciętego gardła? – dopytywał się hrabia. Przy dzieciobójstwach to była najczęstsza metoda, szybka i czysta w porównaniu na przykład z porzuceniem.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Myślę, panie, że została uduszona. To było okrutne, bardzo okrutne. Wioskowy rzecznik powiedział, że to ja sama musiałam ją przydusić podczas snu i że nie wniesie oskarżenia przeciwko Lemowi. Ale ja tego nie zrobiłam, nie! Miała swoją własną kołyskę, Lem ją zrobił, kiedy jeszcze nosiłam dziecko w brzuchu... – Kobieta bliska była załamania.

Hrabia spojrział na żonę, odpowiedziała mu leciutkim skinieniem głowy.

– Chodź, Harro, ze mną do domu. Musisz umyć się i odpocząć, zanim Miles zabierze cię do wioski.

Kobieta spojrziała zaszokowana.

– O, przecież nie w twoim domu, pani!

– Przykro mi, ale to jedyny, który mamy pod ręką. Poza barakami żołnierzy. To dobrzy chłopcy, ale twoja obecność byłaby dla nich krępująca... – hrabina lekko popchnęła przed sobą góralkę.

– Oczywiście – powiedział hrabia Vorkosigan po wyjściu kobiet – będziesz musiał sprawdzić fakty, zanim, hmmm, naciśniesz spust. Zauważyłeś, jak sędzę, że mogą być pewne problemy z identyfikacją oskarżonego. Mamy idealny przypadek do publicznej demonstracji, ale tylko wtedy, jeśli zostaną rozwiane wszelkie wątpliwości. Nie chcemy żadnych krwawych tajemnic.

– Nie jestem koronerem – natychmiast skorzystał z okazji Miles. Gdyby tylko udało mi się



zerwać z tego haka...

– Dość. Weźmiesz ze sobą doktora Deę.

Porucznik Dea był asystentem do spraw medycznych pierwszego ministra. Miles znał go z widzenia – ambitny, młody, wojskowy lekarz, w ciągłym stanie frustracji, ponieważ jego przełożeni nie pozwalali mu się dotknąć najważniejszych pacjentów. Niewątpliwie ten przydział potraktuje jak prawdziwe wyzwanie, prorokował ponuro Miles.

– Może wziąć ze sobą zestaw medyczny – mówił dalej hrabia, uśmiechając się lekko. – Na wszelki wypadek.

– Cóż za ekonomiczne myślenie – stwierdził Miles. – Posłuchaj... założmy, że jej wersja znajduje potwierdzenie i przyszpilamy faceta. Czy ja muszę, osobiście...?

– Dam ci straż przyboczną i przynajmniej jednego człowieka w liberii. Jeśli historia potwierdzi się – to on wykona egzekucję.

Było już odrobinę lepiej.

– Czy nie moglibyśmy poczekać na sędziego okręgowego?

– Sędzia wszystkie decyzje podejmuje w moim imieniu. Każdy wyrok podpisywany jest moim nazwiskiem. Pewnego dnia będzie to twoje nazwisko. Już czas, żebyś dowiedział się, jak takie sprawy prowadzić. Z historycznego punktu widzenia Vor jest zamczyskiem obronnym, ale obowiązki głowy rodu nigdy nie ograniczały się do spraw militarnych.

Nie było ucieczki. A niech to, a niech to, a niech to. Miles westchnął.

– Dobrze. No cóż... myślę, że polecimy tam. W ten sposób będziemy na miejscu za parę godzin. Trochę czasu zabierze znalezienie właściwej doliny. Spadniemy z nieba, oznajmimy wiadomość głośno i wyraźnie... i przed zmrokiem wrócimy. – Chciał, żeby to wszystko było już za nim.

Hrabia miał znowu to na wpół senne spojrzenie.

– Nie – powiedział powoli – myślę, że nie polecicie.

– Ależ tam nie ma dróg, którymi można by dojechać pojazdem naziemnym. Tylko ścieżki. – Po chwili dodał niepewnie (bo przecież ojciec nie mógł planować...). – Myślę, że nie wyglądałbym najlepiej, gdybym się tam zjawił – i to jako przedstawiciel najwyższej władzy imperium – na piechotę.

Ojciec przyjrzał się jego paradnemu mundurowi i uśmiechnął się lekko.

– Wcale nie wyglądasz tak źle.

– Ale wyobraź mnie sobie po trzech czy czterech dniach przedzierania się przez busz – protestował Miles. – Nie widziałeś nas w bazie. Ani nie wahałeś.

– Byłem tam – powiedział zimno admirał. – Ale masz rację. Nie pójdziecie piechotą. Mam lepszy pomysł.

Mój własny oddział kawaleryjski, pomyślał ironicznie Miles, obracając się w siodle, zupełnie jak dziadek. Był całkowicie pewien, że jego przodek miałby jakieś zgryźliwe uwagi na temat jeźdźców ciągnących teraz za Milesem wzdłuż leśnego traktu, oczywiście gdyby już opanował atak śmiechu na widok tego pokazu jazdy konnej. Stajnie Vorkosigana bardzo podupadły od czasu, gdy zabrakło już starego człowieka, który się nimi interesował. Kije do polo zostały sprzedane, a kilka pozostałych, narowistych i wiekowych wierzchowców, permanentnie pozostawało na pastwiskach. Parę koni pod wierzch trzymano nadal przy rezydencji, choć raczej dla ich pewnego chodu i łagodnych manier niż szlacheckiej krwi. Zajmowały się nimi wiejskie dziewczyny.

Miles zebrał wodze, dodał łydkę z jednej strony i przesunął odrobinę swój ciężar na grzbiecie konia. Gruba Beksa odpowiedziała zawrotką i dwoma krokami w tył. Nawet największy ignorant z miasta nie pomyliłby dereszowatej kobyły z rączym rumakiem, ale Miles uwielbiał ją za ciemne,

przejrzyste oczy, szeroki nos jak z welwetu oraz flegmatyczne usposobienie równie obojętne w stosunku do huk wodospadu jak i przelatującego pojazdu powietrznego. Ale najbardziej za bezbłędne reagowanie na komendy. Rozum większy od urody. Już samo przebywanie koło tej klaczy uspokajało Milesa. Stworzenie było emocjonalną bibułą, jak mruczący kot. Miles poklepał Grubą Bekę po szyi.

– Jeśli ktoś będzie pytał – wymruczał – powiem, że nazywasz się Błyskawica.

Beksa postawiła jedno włochate ucho i głęboko westchnęła.

A jednak dziad Milesa miał wiele wspólnego z dziwną paradą, którą wnuk obecnie prowadził w góry. Wielki generał partyzantów strawił swą młodość w tych właśnie okolicach, tutaj powstrzymał najeźdźców z Cetagandany, a potem zmusił ich do odwrotu. Urządzenia do wykrywania i niszczenia statków, szmuglowane tu za cenę życia wielu ludzi, miały bardziej decydujący wpływ na ostateczne zwycięstwo niż kawaleria, która, zgodnie z tym, co opowiadał dziad, uratowała jego oddziały podczas najgorszej z zim tej kampanii głównie dlatego, że konie – w odróżnieniu od myśli technicznej – dało się jeść. Ale legenda właśnie konie utrwaliła jako symbol walki.

Zdaniem Milesa jego ojciec wykazał duży optymizm myśląc, że syn zgarnie resztki chwały starego człowieka. Dawne kryjówki i obozy partyzantów porosły już nie tylko trawa i krzaki, ale także, u licha, drzewa. A ludzie, którzy walczyli w tamtej wojnie, dawno temu znaleźli się w ziemi, podobnie jak jego dziad. A cóż on robił tutaj? Przecież pragnął jedynie służby na statku, który zabierze go wysoko, wysoko ponad to wszystko, co działo się na planecie. To przyszłość, nie przeszłość, miała być jego przeznaczeniem.

Rozważania Milesa przerwał koń doktora Dei, który mając obiekcje w stosunku do leżącej na drodze kłody, stanął dęba i zarżał głośno. Doktor Dea z cichym okrzykiem zsunął się na ziemię.

– Trzymaj wodze! – krzyknął do niego Miles, zmuszając Grubą Bekę do cofnięcia się.

Ponieważ lekarz doszedł do pewnej wprawy w spadaniu, tym razem wylądował mniej więcej na nogach. Chciał potraktować zwisające wodze jako łąkę, ale gniademu wałachowi udało się uskoczyć. Kiedy tylko zdał sobie sprawę, że jest wolny, pomknął z powrotem traktem z zadartym ogonem, co w końskim języku oznacza: „ijjach, ijjach, nie złapiesz mnie!”. Czerwony i wściekły doktor Dea puścił się w pogoń, miotając przekleństwa. Koń pędził cwałem.

– Nie, nie goń go! – krzyknął Miles.

– Jak, u diabła, mam go złapać, jeśli za nim nie pogonię – burknął Dea. Lekarz sił kosmicznych był nieustannym pechowcem. – Mój zestaw medyczny jest przytroczony do tego cholernego konia.

– A myślisz, że biegnąc za nim, dopadniesz go? – zapytał Miles. – Przecież jest szybszy od ciebie.

Zamykający niewielką kolumnę Pym zawrócił swego wierzchowca, odcinając umykającemu wałachowi drogę.

– Tylko stój spokojnie, Harro – powiedział uspokajająco Miles przejeżdżając obok góralki. – Trzymaj mocno wodze. Nic nie pobudza konia bardziej niż drugi biegnący koń.

Można powiedzieć, że dwóch pozostałych jeźdźców radziło sobie całkiem nieźle. Kobieta, Harra Csurik, dosiadała swego wierzchowca niezgrabnie, podrzucana w takt jego ciężkiego kroku, ale przynajmniej zachowywała równowagę i nie używała wodzy jak rączek, co było błędem nieszczęsnego doktora. Pym, zamykający pochód, jeśli nawet nie był mistrzem, jechał poprawnie.

Miles zwolnił krok Grubej Beksy, poluzował wodze i ruszył za uciekinierem, udając całkowitą obojętność. Kto, ja? Ja wcale nie chcę cię złapać. Po prostu podziwiamy krajobraz, prawda? To wszystko. Wart jest chwili kontemplacji. Gniady wałach skubnął jakieś zielsko, ale uważnie zerkał na zbliżającego się Milesa.

Kiedy odległość zmniejszyła się na tyle, że koń gotów był znowu uciekać, Miles zatrzymał Grubą Bekę i zsunął się z niej. Nie wykonał żadnego ruchu w stronę konia, tylko stał i odgrywał przedstawienie, jak to szuka czegoś po kieszeniach. Gruba Beksa wyciągnęła w jego stronę głowę i dostała kostkę cukru. Wałach spojrział z zainteresowaniem. Beksa ruszyła chrapami i przymilała się o więcej. Koń Dei wyciągnął szyję chętny, by dostać swoją porcję. Wziął delikatnie cukier z dłoni Milesa, który drugim ramieniem przerzucił mu wodze przez szyję.

– Oto pański koń, doktorze Dea. Już nie ucieka.

– To nie fair – wysapał lekarz, wdrapując się na siodło. – Miał pan cukier w kieszeni.

– Oczywiście, że miałem. Na tym polega przewidywanie i planowanie. Żeby opanować konia, trzeba być od niego silniejszym i szybszym, w tym cała sztuka. To znaczy, że trzeba być od niego sprytniejszym.

Dea ujął wodze.

– On na mnie parska – powiedział podejrzliwie.

Miles uśmiechnął się. Klepnął Grubą Bekę po lewej przedniej nodze i kobyła posłusznie uklękła na jedno kolano. Miles włożył nogę w wygodnie przygotowane strzemię.

– Czy mój umie coś takiego? – zapytał zafascynowany tym pokazem doktor Dea.

– Przykro mi, ale nie.

Dea spojrział na swego konia.

– To zwierzę jest głupie do imentu. Przez chwilę będę je prowadzić.

Beksa podniosła się, a Miles stłumił ochotę wygłoszenia jednej z maksym swego dziada. „Bądź mądrzejszy od swego konia, Dea”, Chociaż doktor był oficjalnie zaprzysiężony lordowi Vorkosiganowi na czas tego śledztwa, jako lekarz wojskowy sił powietrznych i porucznik niewątpliwie przewyższał rangą chorążego Vorkosigana. Udzielanie porad starszemu wiekiem i stopniem wymaga nieco taktu.

W tym miejscu wyłożona drewnianymi palami droga rozszerzała się. Miles zrównał się z Harrą Csurik. Zdecydowanie, które wykazała poprzedniego rana przy bramie, wydawało się słabnąć tym bardziej, im bliżej byli jej domu. A może po prostu dopadło ją zmęczenie? Rano niewiele co mówiła, a po południu wręcz zapadła w ponure milczenie. Jeśli miało to oznaczać, że po ściągnięciu Milesa taki kawał w głąb kraju, odwróci się do niego plecami...

– W jakim... no... oddziale służył twój ojciec, Harro? – zagaił rozmowę Miles.

Przeczesała włosy palcami jak grzebieniem. Gest bardziej świadczył o zdenerwowaniu niż próżności. Spoglądała na niego poprzez spadającą na oczy grzywkę niczym narowiste stworzenie zza chroniącego go żywopłotu.

– W okręgowej milicji, panie. Właściwie wcale go nie pamiętam, byłam bardzo mała, kiedy zginął.

– W walce?

Skinęła głową.

– Podczas bitwy o Vorbarr Sultana, kiedy Vordarian zdobywał władzę.

Miles darował sobie pytanie, po której służył stronie – większość najemnych żołnierzy miała niewielki wybór, a amnestia objęła potem zarówno martwych, jak i żywych.

– A... masz jakieś rodzeństwo?

– Nie, panie. Zostałyśmy tylko ja i moja matka.

Miles poczuł, jak rozluźniają mu się mięśnie karku. Jeśli jego osąd doprowadzić ma do egzekucji, jeden błędny krok może spowodować przelanie krwi wśród krewniaków. Hrabia nie chciał, by pozostawili za sobą rzeź. Tak więc im mniej rodziny, tym lepiej.

– A jak liczna jest rodzina twego męża?

– Ich jest siedmioro. Czterech braci i trzy siostry.

– Hmm. – Miles oczami wyobraźni ujrzał potężnych, barczystych i groźnych górali. Odwrócił się w stronę Pyma czując, jak marne są jego siły w stosunku do wyznaczonego zadania. Wspomnił o tym wcześniej hrabiemu, kiedy ostatniej nocy omawiali szczegóły ekspedycji.

– Popierać cię będzie rzecznik wioski i jego zastępcy – powiedział hrabia.

– Co się stanie, jeśli nie będą chcieli współpracować? – zapytał nerwowo Miles.

– Oficer, który ma dowodzić oddziałami imperium – w oczach hrabiego pojawił się błysk – powinien umieć zdobyć współpracę starszyny wioski.

Innymi słowy, ojciec uznał, że jest to rodzaj testu i nie miał zamiaru udzielać mu więcej pomocy. Dzięki, ojcze.

– A pan nie ma rodzeństwa? – spytała Harra, przywołując go do terażniejszości.

– Nie. To chyba wiadomo, nawet daleko w górach.

– Tyle się mówi na wasz temat. – Harra wzruszyła ramionami.

Miles ugryzł się w język, by nie zadać pytania, które smakowałoby w ustach jak gorzka cytryna. Nie zapyta jej o to, nie może... nie mógł się powstrzymać.

– Na przykład? – wydusił przez zeszywniałe wargi.

– Przecież każdy wie, że syn hrabiego jest mutantem – rzuciła mu prowokujące spojrzenie. – Niektórzy twierdzą, że to przez kobietę, którą przywiózł sobie na żonę z innego świata. Inni opowiadają, że przyczyną było napromieniowanie podczas wojny lub choroba, na jaką zapadają nieraz oficerowie przez swe nieczne praktyki...

Tego jeszcze nie słyszał. Uniósł brwi.

...ale większość uważa, że został zatruty przez wrogów.

– Cieszę się, że większość skłania się ku prawdziwej wersji. Zamachowcy użyli toksycznego gazu, kiedy moja matka była w ciąży. Ale to nie jest... – Mutacja, ta myśl powróciła jak uporczywa czkawka. Ile już razy się tłumaczył? To teratogeniczne, nie genetyczne. Ja nie jestem mutantem, nie... Cóż u diabła znaczyły te mądre, biochemiczne pojęcia dla nieuczonej kobiety, której odebrano dziecko? Z praktycznego punktu widzenia, z jej punktu widzenia, równie dobrze mógł być mutantem. - ...ważne – dokończył.

Zerkała na niego z ukosa, podskakując w rytm kroków konia.

– Niektórzy mówią, że urodził się pan bez nóg i jeździ na wózku inwalidzkim, nie opuszczając nigdy posiadłości Vorkosiganów. Inni twierdzą, że urodził się pan bez kości...

– I pewnie trzymają mnie w słoju w piwnicy – mruknął Miles.

– Ale Karal widział cię, panie, z twoim dziadem na jarmarku w Hassadarze i opowiadał, że jesteś tylko niskiego wzrostu. Niektórzy słyszeli, że ojciec wysłał cię do służby, ale inni zaprzeczają temu, twierdząc, że wyprawiono cię, panie na rodzinną planetę matki, gdzie twój mózg podłączono do komputera, a ciało odżywiane jest za pomocą rurek i unosi się w jakimś płynie...

– Mówiłem, że w tej historii pojawi się jakiś słoik – skrzywił się Miles. Wiedział, że pożałuje tego pytania, ale nie potrafił się powstrzymać. Ale to ona mnie złapała na przynętę, uświadomił sobie nagle. Jak śmiała... ale nie widział w niej chęci naigrawania się, tylko skupioną uwagę.

Przecież to ona przeszła taki kawał drogi, by zgłosić morderstwo. Na przekór rodzinie i miejscowej władzy, na przekór ustalonym obyczajom. I cóż dał jej hrabia jako broń i wspomnienie, gdy odesłał ją tam, gdzie miała stanąć twarzą w twarz ze swymi najbliższymi i najdroższymi? Milesa. Czy on poradzi sobie z tą sprawą? Musiała się nad tym zastanawiać. A może wszystko spartaczy, ulegnie naciskom i ucieknie, zostawiając ją, by sama stawiała czoło rozwścieczonym i pragnącym

zemsty?

Żałował, że nie zostawił jej płaczącej pod bramą.

Las, owoc wysiłków wielu generacji terraformowania tutejszej puszczy, otworzył się nagle na dolinę porośniętą naturalnymi dla tej planety niskimi zaroślami. Na samym dole i pośrodku, przez jakiś kaprys chemicznego składu ziemi, biegł półkilometrowej szerokości pas zieleni i różowości. Kiedy podjechali bliżej, Miles zobaczył, że to dzikie róże. Ziemskie róże. Droga kończyła się przy pachnących krzewach.

Na zmianę z Pymem wyrąbywali przejście swymi żołnierskimi nożami. Róże były mocne, o grubych, ostrych kolcach, chwyciły za ubrania elastycznie odginającymi się pędami. Gruba Beksa też odwaliała swoją część roboty, szarpiąc głową w przód i w tył, zrywając kwiaty i z zadowoleniem je zajadając. Miles nie był pewien, jak długo powinien na to pozwalać – sam fakt, że roślina nie pochodziła z Barraryu nie oznaczał, iż nie jest trująca dla koni. Miles wysysał ranę od kolca zastanawiając się nad pokręconą historią środowiska naturalnego swej planety.

Pięćdziesiąt tysięcy Najpierwszych z Ziemi miało być tylko forpoczta kolonizacji. Potem, przez jakąś grawitacyjną anomalię, droga, którą koloniści przybyli tutaj, zamknęła się szczelnie, nieodwołalnie i bez ostrzeżenia. Terraformowanie planety, które przeprowadzano na początku z takim staraniem i pod pełną kontrolą, załamało się wraz ze wszystkim innym. Importowane z Ziemi rośliny i zwierzęta wydostały się na wolność i rozpoczęły dziki żywot, podczas gdy ludzie zajęli się najbardziej palącymi problemami przetrwania. Biologowie nadal załamywali ręce nad masową zagładą miejscowych gatunków, która nastąpiła wkrótce potem. A także nad erozją, suszami i powodzią. Ale zdaniem Milesa tak naprawdę przez Czas Izolacji oba światy na tej planecie, walcząc ze sobą, osiągnęły prawdziwą równowagę. Jeśli coś żyło, jakie miało znaczenie, skąd się wzięło?

Jesteśmy tutaj przez przypadek. Podobnie jak róże.

Noc spędzili na wzgórzu, a rankiem wjechali w prawdziwe góry. Teraz już znaleźli się poza rejonem, który był Milesowi znany z czasów dzieciństwa, więc często porównywał dane wynikające ze wskazówek Harry ze swą mapą zrobioną dzięki pomiarom z orbity. Kiedy zatrzymali się drugiego dnia o zachodzie słońca, byli już tylko o kilka godzin jazdy od celu. Harra upierała się, że może poprowadzić ich mimo zmierzchu, ale Miles nie chciał zjawiać się z zapadnięciem nocy niezapowiedziany, w obcym miejscu, gdzie nie wiadomo, jak mógł zostać przywitany.

Następnego dnia rano wykąpał się w strumieniu, wyjął swój nowy, zielony mundur oficera imperium i starannie się ubrał. Pym założył liberię Vorkosiganów w kolorach brązowym i srebrnym. Z przepastnych głębin juków wydobył hrabiowski proporzec, wciągnął go na aluminiowe drzewce i przyczepił do lewej ostrogi. Ubrany do zabijania, pomyślał Miles niewesoło. Doktor Dea miał na sobie zwykły czarny mundur polowy, w którym najwyraźniej nie czuł się swobodnie. Jeśli ich wygląd miał przekazać jakąś wiadomość, to Miles z pewnością nie wiedział jaką.

Nie minął jeszcze poranek, kiedy zatrzymali konie przed dwuizbową chatą stojącą na skraju gęstego zagajnika klonów, zasadzonych tu kto wie ile wieków temu, a teraz w sposób naturalny rozrastających się po całej dolinie. Górskie powietrze było zimne, czyste i rozświetlone. Kilka kurcząt spacerowało, dziobiąc porośniętą chwastami ziemię. Z omszałej drewnianej rury kapiała woda w koryto, które przechodziło w porośniętą zielenią potoczek.

Harra zsunęła się z konia, poprawiła spódnicę i weszła na ganek.

– Karal? – zawołała.

Miles nie chciał ujawniać niskiego wzrostu przy pierwszym kontakcie, więc czekał na koniu. Nigdy nie rezygnuj z przewagi psychologicznej.

– Harro? Czy to ty? – dobiegł z wewnątrz męski głos. Nagle gwałtownie otworzyły się drzwi. – Gdzieś ty była, dziewczyno? Przeszukaliśmy całą dolinę! Myślałem, że skręciłaś gdzieś kark... – zamilkł na widok trzech mężczyzn na koniach.

– Nie chciałeś słuchać moich skarg, Karalu – powiedziała Harra zdławionym głosem. Zaciskała dłonie na spódnicy. – Więc poszłam do sędziego okręgowego w Vorkosigan Surleau sama z nim porozmawiać.

– Och, dziewczyno – Karal westchnął z żalem. – To była najgłupsza rzecz... – Popatrzył niespokojnie na przybyłych, przełknął ślinę i spuścił głowę. Był łysiejącym mężczyzną mniej więcej sześćdziesięcioletnim, sama skóra i kości. Jego lewe ramię kończyło się kikutem. Kolejny weteran.

– Rzecznik Serg Karal? – zapytał pewnym głosem Miles. – Przemawiam w imieniu hrabiego Vorkosigana. Zostałem wyznaczony do przeprowadzenia śledztwa w sprawie morderstwa zgłoszonego przez Harrę Csurik, to znaczy zamordowania jej córki Rainy. Jako rzecznika Silvy Vale prosi się ciebie i żąda, byś dopomagał przy wszystkich sprawach wchodzących w zakres wymierzania sprawiedliwości.

Z tą chwilą Miles zakończył wszystkie formalności. Teraz już musiał działać na własną rękę. Czekał. Gruba Beksa zarżała. Srebrno-brązowa płachta proporca kilka razy zatrzepotała w nagłym podmuchu wiatru.

– Sędziego okręgowego nie było na miejscu – wyjaśniła Harra – ale był sam hrabia.

Twarz Karala poszarżała. Z wyraźnym wysiłkiem zebrał się w sobie, stanął na baczność i lekko skłonił.

– Kim... kim jesteś, panie?

– Miles Vorkosigan.

Usta Karala poruszały się, choć nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Wprawdzie Miles nie potrafił czytać z ruchu warg, ale był całkiem pewien, że chodziło o coś w rodzaju: a niech to. Może tylko sformułowane mniej parlamentarnie.

– Ten człowiek w liberii to sierżant Pym, a obok ekspert w sprawach medycznych, porucznik Dea ze służby imperialnej.

– Jesteś synem mego pana? – głos Karala łamał się.

– Jednym i jedynym. – Miles nagle poczuł, że ma dość pozowania. Z pewnością udało mu się zrobić dobre pierwsze wrażenie. Zsunął się z Grubej Beksy nie omieszkując popisać się zręcznością. Spojrzenie Karala sunęło za nim w dół. Taaak, jestem mały. Ale poczekaj, aż zobaczysz mnie w tańcu, pomyślał zgryźliwie Miles.

– No dobrze – ruszył w stronę wody, prowadząc zwierzę za wodze – czy możemy napoić konie w twoim korycie?

– Och, to dla ludzi, mój panie – krzyknął Karal. – Jeden moment, zaraz naszykuję wiadro. – Podciągnął workowate spodnie i podreptał za chatę. Na chwilę zapadło niezręczne milczenie, potem doszedł ich słaby głos rzecznika: – Gdzie postawiłeś kozi skopek, Zed?

Odpowiedział mu młody głos:

– Za drewutnią, tato. – Głosy przeszły w szepty. Po chwili Karal przyczłapał z powrotem, niosąc poobijane aluminiowe wiadro, które postawił koło koryta. Z boku koryta wyciągnął drewnianą zatyczkę i strumień wody wypełnił naczynie. Gruba Beksa zastrzygła uszami, zarżała i natarła łbem na Milesa. Zostawiła mu na mundurze rude i białe włosy, a przy okazji o mało nie przewróciła. Karal spojrzał na konia i uśmiechnął się, ale gdy przeniósł wzrok na właściciela, mina mu zrzędała. Gruba Beksa łąpczywie piła wodę, a Miles rozglądał się. Kątem oka dostrzegł właściciela drugiego głosu. Mniej więcej dwunastoletni chłopak przemyczał zagajnikiem za chatą.

Karal dopomógł Milesowi i Pymowi przywiązać konie. Potem Miles zostawił sierżanta, by rozsiedlał wierzchowce i nakarmił je, a sam ruszył za Karalem do chaty. Harra trzymała się Milesa jak przyklejona. Doktor Dea zdjął z konia swoją apteczkę i poszedł za nimi. Obcasy Milesa stukwały donośnie po nierównych drewnianych deskach.

– Moja żona wróci w południe – powiedział Karal. Wyraźnie nie mógł sobie znaleźć miejsca. Miles i Dea usiedli na ławce, a Harra przykucnęła na ziemi koło kominka, oplatając rękami kolana.

– Ja... ja przygotuję herbatę, panie. – Rzecznik wybiegł na zewnątrz napełnić czajnik wodą, zanim Miles zdążył go powstrzymać. Ale w tej samej chwili uznał, że będzie lepiej, jeśli pozwoli uspokoić nerwy Karalowi zwykłymi czynnościami. Może wtedy da się ustalić, czy jego zdenerwowanie spowodował przyjazd tak znaczącej osoby, czy też – może – nieczyste sumienie. Kiedy Karal rozpałił ogień pod czajnikiem, wyraźnie był już opanowany, więc Miles powiedział:

– Wolałbym zacząć śledztwo jak najprędzej, rzeczniku. Nie ma potrzeby mitrzyć czasu.

– Nie ma potrzeby... w ogóle się tym zajmować, panie. Śmierć dziecka była całkiem naturalna – na ciele nie znalazłem żadnych śladów gwałtu. Słabowała, miała koci pyszczek, kto wie, co jeszcze było z nią nie tak? Umarła podczas snu, może przypadkiem przygnieciona.

– Ciekawe, że tak wiele wypadków zdarza się w tym właśnie okręgu – odparł Miles chłodno. – Nawet mój ojciec... zwrócił na to uwagę.

– Nie było potrzeby ściągać cię tutaj, panie – Karal spoglądał przygnębiony na Harrę. Siedziała w milczeniu, nie wzruszona dającym się słyszeć w jego głosie naleganiem.

– Nie sprawiło mi to kłopotu – powiedział uspokajająco Miles.

– Posłuchaj, panie – Karal zniżył głos. – Ja naprawdę sądzę, że ktoś mógł przygnieść dziecko podczas snu. Pograżona w żalu matka oczywiście odrzuca takie rozwiązanie. Lem Csurik to dobry chłopak, dba o rodzinę. Ona wcale nie chciała go oskarżyć, tylko chwilowo ze zmartwienia straciła głowę.

Wzrok Harry spoglądającej na niego spod zmierzwionych włosów był morderczo zimny.

– Zaczynam rozumieć – powiedział łagodnie i zachęcająco Miles.

Karal nieco się rozpogodził.

– Ja myślę, że jeszcze wszystko da się załatwić. Gdyby tylko okazała cierpliwość. Opanowała swój smutek. Porozmawiała z biednym Lemem. Jestem pewien, że on nie zabił dziecka. Harra będzie potem żałowała tego, co zrobiła.

– Zaczynam rozumieć – tym razem głos Milesa zabrzmiał wręcz lodowato – dlaczego Harra Csurik uznała, że musi wędrować przez cztery dni, żeby wysłuchał ją ktoś obiektywny. „Ja sądzę”, „Ja myślę”, „Kto wie”. Najwyraźniej nie ty. Usłyszałem tylko spekulacje, oskarżenia, insynuacje i zapewnienia. Przyjechałem tutaj po fakty, rzeczniku Karal. Sąd nie opiera się na domysłach. Nie musi. Czas Izolacji już minął. Nawet w głębi kraju. Teraz zaczniemy śledztwo w sprawie faktów. Żaden wyrok nie będzie orzeczony, dopóki nie zbierzemy wszystkich, i niech nikt nas nie popędza. Potwierdzenie winy lub niewinności Lema Csurika wyjdzie z jego własnych ust, pod wpływem serum prawdy, zaaplikowanego przez doktora Deę w obecności dwóch świadków – ciebie, rzeczniku, i drugiej osoby, którą sam wskażesz. Proste, czyste i szybkie. – A poza tym, może to być jedyna droga wyrwania się z tej barbarzyńskiej dziury przed nocą. Wydaję ci teraz polecenie, rzeczniku, żebyś poszedł i przyprowadził na przesłuchanie Lema Csurika. Będzie ci towarzyszył sierżant Pym.

Karal zmitrzął kolejną chwilę nalewając wrzącą wodę do wielkiego, brązowego dzbanka. Dopiero potem odezwał się:

– Wiele podróżowałem, panie. Przez dwadzieścia lat służyłem w wojsku. Ale większość

mieszkających tu ludzi nigdy nawet nie wytknęła nosa z Silvy Vale. Śledztwo, podczas którego używa się chemicznych metod, może im się wydać magią, a świadectwo otrzymane w ten sposób fałszywe.

– Wtedy ty i ten drugi człowiek powiecie im, że jest inaczej. Że nie ma to nic wspólnego ze starymi, dobrymi czasami, kiedy zeznania wyciągano za pomocą tortur. Poza tym, jeśli on jest rzeczywiście tak niewinny, jak ty Karalu sądzisz, oczyści się z zarzutów, prawda?

Rzecznik niechętnie przeszedł do sąsiedniego pokoju. Wrócił ubrany w wyszarzały mundur służb imperialnych, z insygniami kaprała na kołnierzu, przechowywany, najwyraźniej, na takie właśnie oficjalne okazje. Wedle barrayarskiego zwyczaju salutowało się mundurowi, a nie osobie w nim, więc nie chciany obowiązek obciążał urząd, nie człowieka. Miles potrafił docenić taką subtelność.

Karal stanął w drzwiach. Harra siedziała koło kominka, jakby owinięta w kokon ciszy, kiwając się lekko.

– Mój panie – powiedział Karal. – Jestem rzecznikiem Silvy Vale już od szesnastu lat. Przez cały ten czas nikt nie musiał chodzić ze skargą do sędziego okręgowego, ani w sprawie prawa do wody, ani skradzionych zwierząt, ani cudzołóstwa, ani nawet wtedy, gdy Neva oskarżył Borsa, że podbiera mu sok klonowy z drzew. Nigdy nie było między nami nienawiści ani rozlewu krwi.

– Nie zamierzam doprowadzać do rozlewu krwi, Karalu. Chcę po prostu poznać fakty.

– W tym właśnie rzecz, panie. Nie jestem już takim miłośnikiem faktów jak niegdyś. One czasami kłają. – Oczy rzecznika wpatrywały się w Milesa z napięciem.

Ten człowiek gotów był zrobić wszystko, poza staniem na głowie i wejściem do klatki z dzikimi zwierzętami, a i to tylko z powodu braku jednej ręki, by odwieść Milesa od śledztwa. Jak daleko będzie sięgał jego opór?

– Silvy Vale nie otrzyma pozwolenia na swój własny Czas Izolacji – powiedział Miles ostrzegawczo. – Sprawiedliwość jest taka sama dla wszystkich. Nawet jeśli są mali. I słabi. I coś jest z nimi nie w porządku. I nie mogą mówić sami w swoim imieniu, rzeczniku!

Karal łapał ustami powietrze jak ryba. Najwyraźniej zrozumiał aluzję. Odwrócił się i podreptał drogą. Pym ruszył za nim, czujnie rozglądając się na boki, z jedną ręką na kaburze.

Czekali i pili herbatę. Miles spacerował po chacie, przyglądał się sprzętom, ale niczego nie dotykał. Kominek służył jednocześnie za kuchnię. Obok stała poobijana umywalka, napełniana wodą ręcznie z zakrytego wiadra ustawionego obok, ale opróżniana rurą ściekową, wychodzącą na ganek, a potem łączącą się ze strumieniem spływającym z koryta. Drugi pokój był sypialnią, stało tam podwójne łóżko i skrzynia. A jeszcze trzy posłania rozścielono na poddaszu. Najwyraźniej chłopiec, którego widział wcześniej, miał braci. Było tam niewiele miejsca, ale izba wyglądała na zamiecioną i posprzątaną, rzeczy leżały poskładane lub odwieszane.

W pokoju na dole, na bocznym stoliku stał odbiornik radiowy – własność rządowa – a obok drugi, starszy model wojskowy, rozbebeszony jakby coś w nim wymieniano. W wysuniętej szufladzie Miles zobaczył pełno starych części, ale niestety wszystkie bardzo prymitywne. Najwyraźniej rzecznik Karal był również łącznikiem wioski ze światem, stawał się więc monopolistą, jeśli chodzi o informacje w obie strony. Odbierali zapewne stację z Hassadaru, może także nadawany z wysoką mocą kanał rządowy ze stolicy.

Oczywiście nie mieli tu żadnych innych urządzeń elektrycznych. Te z wmontowanymi zasilaczami energii były kosztowne ze względu na wysoce precyzyjną technologię konieczną przy ich produkcji. Tutaj też dotrą, za jakiś czas. Niektóre małe społeczności, ale ważne z punktu widzenia ekonomii, już je miały. Silvy Vale najwyraźniej była ciągle na takim poziomie egzystencji, że dostawała tylko to, co pozostawało po innych. Gdyby tylko miasto Vorkosiganów Vashnoi nie zostało



starte z powierzchni ziemi przez atak atomowy Cetagandan, cały dystrykt byłby o lata do przodu, jeśli chodzi o poziom techniczny.

Miles wyszedł na ganek i przechylił się przez poręcz. Wrócił syn Karala. Na końcu wysprzątanej podwórka stała spętana Gruba Beksa. Uszy położyła po sobie i rżała z rozkoszy, kiedy uśmiechnięty od ucha do ucha chłopak energicznie drapał ją pod kantarem. W chwili gdy dzieciak poczuł na sobie wzrok Milesa, odskoczył lekliwie i zniknął w krzakach.

– Aha – mruknął do siebie Miles.

W tej chwili podszedł do niego doktor Dea.

– Nie ma ich już dość długo. Naszykować serum, które nakłoni naszego podejrzanego do opowiedzenia nam prawdy?

– Nie, sądzę raczej, że będzie nam potrzebny zestaw do sekcji.

Dea spojrzał na niego ostro.

– Myślałem, że wysłałeś panie Pyma, by dopomógł w aresztowaniu.

– Nie można aresztować kogoś, kogo nie ma. Czy jesteś hazardzistą, doktorze? Założę się o markę, że wrócą bez Csurika.

Nie, poczekaj... może się mylę. Mam nadzieję, że się mylę. Widzę trzy sylwetki...

Drogą nadchodzili Karal, Pym i jeszcze jeden mężczyzna. Ten trzeci był młody, potężnie zbudowany, o dużych dłoniach i byczym karku. Miał marsowy wyraz twarzy.

– Harro – zawołał Miles – czy to jest twój mąż? – Wyglądał właśnie tak, jak go sobie Miles wyobraził. A czterech braci takich samych jak on, tylko większych, to pewne...

Harra spojrzała nad ramieniem Milesa. Wyrwało jej się westchnienie.

– Nie, panie. To jest Alex, zastępca rzecznika.

– Och – usta Milesa skrzywiły się w niemym zawodzie. No cóż, musiał dać im szansę załatwienia tego jak najprościej.

Karal stanął przed nim i rozpoczął pokrętne tłumaczenie, dlaczego wrócił z pustymi rękami. Miles uciszył go zmarszczeniem brwi.

– Pym?

– Zniknął, panie – odparł Pym lakonicznie. – Prawie na pewno ostrzeżony.

– Zgadzam się. – Miles spojrzał krzywo na Karala, który roztropnie nie odzywał się więcej. Najpierw fakty. Potem się zastanowi, jakiej siły użyć, by skłonić zbiegłego do powrotu.

– Harro, jak daleko jest stąd do miejsca pochówku?

– To w dole doliny, tam gdzie wypływa strumień. Jakies dwa kilometry stąd.

– Weź swe przyrządy, doktorze, przejdziemy się. Karalu, naszykuj szpadel.

– Panie, przecież nie musimy niepokoić zmarłych – zaczął Karal.

– Ależ musimy. W protokole, który otrzymałem z biura sędziego, jest miejsce na wynik sekcji. A właśnie sędziemu muszę złożyć swój raport po powrocie do Vorkosigan Surleau. I mam pozwolenie najbliższej rodziny, prawda, Harro?

Kiwnęła głową w milczeniu.

– Mam też dwóch wymaganych świadków, ciebie i twojego goryla pomyślał, lecz powiedział – zastępcę, doktora, oraz światło dnia, jeśli nie będziesz się tu z nami wyklócał aż do zmierzchu. Potrzebujemy tylko łopaty. Chyba że wolisz kopać własnymi rękami, Karalu. – Choć głos Milesa pozornie nic nie wyrażał, czaiła się w nim groźba.

Łysa głowa Karala opadła na pierś, wyraźnie był zafrasowany.

– Ale... ale to ojciec jest według prawa najbliższą rodziną, jeśli żyje, a ty, panie, nie masz jego...

– Karalu – przerwał mu Miles.

– Panie?

– Zajmij się tym grobem albo zacznij kopać drugi dla siebie. Stoisz już w nim jedną nogą.

Karal zrezygnował.

– Ja... przyniosę łopate, panie.

Popołudnie było ciepłe, złote i po letniemu ospałe. Łopata przebijała się przez ziemię z jednostajnym chrzęstem. Tam, gdzie kończył się stok, bulgotał strumień na okrągłych kamieniach. Przykucnięta Harra przyglądała się niema i ponura.

Kiedy potężny Alex wyciągnął trumienkę – jakże niewielką! – sierżant Pym odszedł spenetrować zalesiony teren. Miles nie winił go za to. Miał nadzieję, że ziemia na tej głębokości była zimna i ciało zachowało się w niezłym stanie. Alex odbił wieko skrzyni, po czym doktor Dea odesłał go machnięciem ręki i zajął miejsce przy trumnie. Zastępca rzecznika pośpiesznie skorzystał z okazji i odszedł w najdalszy koniec cmentarza.

Dea obejrzał uważnie owinięte w materiał zawiniątko, potem podniósł je i położył w pełnym słońcu na rozłożonym na ziemi prześcieradle. Obok na plastyku leżały instrumenty w nienagannym porządku. Odwinął materiał w jasny wzorek, a Harra podeszła, żeby naszykować szmatkę do ponownego zawinięcia ciała. Potem odsunęła się.

Miles sięgnął do kieszeni, wymacał chusteczkę i zawinął ją na dłoń, gotowy w każdej chwili przykryć sobie usta i nos. Podeszedł do doktora i spojrzał mu przez ramię. Źle, ale mogło być gorzej. Zdarzało mu się widzieć i wahać nieprzyjemniejsze rzeczy. Dea, w maseczce filtrującej, dyktował kolejne etapy procedury do magnetofonu przyczepionego u ramienia. Najpierw przeprowadzał badanie wzrokowe, następnie ręką w rękawiczce, potem skanerem.

– Tutaj, panie – powiedział Dea, przywołując Milesa bliżej. – Prawie na sto procent jest to powód zgonu, chociaż za chwilę przeprowadzę test na ewentualną obecność toksyn. Ma złamany kręgosłup. Proszę spojrzeć, tu na skanerze widać, gdzie został uszkodzony. Potem przesunięto kości, żeby wszystko wyglądało normalnie.

– Karalu, Aleksie – Miles zawołał świadków. Zbliżyli się niechętnie.

– Czy to mogło stać się przez przypadek? – zapytał Miles.

– Prawie niemożliwe. A wyprostowanie musiało już być celowe.

– Ile czasu by to zajęło?

– Sekundy. Śmierć nastąpiła natychmiast.

– Jak duża siła fizyczna była do tego potrzebna? Potężny mężczyzna, czy...

– O, wcale nie wielka. Każdy dorosły mógłby to zrobić i to bez trudu.

– Każdy dorosły o wystarczająco silnej motywacji – Miles poczuł ból w żołądku, gdyż wyobraźnia podsunęła mu obraz sugerowany słowami Dei. Ta malutka, pokryta meszkiem włosów główka mogła bez problemu zmieścić się w męskiej dłoni. Jeden ruch i cienka chrząstka pęka. Jeśli coś Miles znał doskonale z własnego doświadczenia, to uczucie towarzyszące pękaniu kości. O, to znał doskonale!

– Motywacje – powiedział Dea – to nie moja dziedzina. – Zamilkł. – Ale chciałbym zaznaczyć, że staranne badanie zewnętrzne powinno było doprowadzić do tych właśnie wniosków. Moje doprowadziło. Doświadczony laik – jego spojrzenie padło na Karala – porządnie wykonujący swoją pracę, powinien to zauważyć.

Miles także spoglądał na Karala w oczekiwaniu.

– Przyduszona – wysyczała Harra. W jej głosie brzmiało szyderstwo.

– Mój panie – powiedział starannie wążąc słowa Karal – to prawda, że podejrzewałem

możliwość...

Podejrzewał, niech go diabli. Wiedział.

– Ale czułem... i nadal czuję, jestem przekonany – mówił najostrożniej jak potrafił – że zamieszanie wokół tej sprawy przyniesie tylko więcej udręki. Nie mogłem zrobić już nic, aby dopomóc dziecku. Moim obowiązkiem jest chronić żywych.

– Moim również, rzeczniku Karalu. Na przykład chronić następne dziecko, które znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, zagrożone przez tych, którzy powinni być jego opiekunami, tylko dlatego, że – Miles uśmiechnął się krzywo – urodziło się inne pod względem fizycznym. Zdaniem hrabiego Vorkosigana to nie jest jakaś tam tuzinkowa sprawa. To jest sprawa pokazowa, punkt oparcia dla tysięcy innych spraw. Zamieszanie... – wyszczał. Harra kołysała się w rytm jego słów. – Jeszcze nie wiesz, jakie może wyniknąć z tego zamieszanie.

Karal zdawał się maleć pod wpływem tych słów.

Następna godzina upłynęła na porządkowaniu danych, przeważnie negatywnych; żadna dodatkowa kość nie została złamana, płuca dziecka były czyste, trzewia i krwiobieg wolne od toksyn, poza wynikającymi z naturalnej przemiany materii. W mózgu nie było żadnych ukrytych guzów. Zajęcza warga nie wiązała się z rozszczepem kręgosłupa, podawał do raportu Dea. Bardzo prosty zabieg chirurgii plastycznej doprowadziłby do korekcji defektu, gdyby tylko dziecko otrzymało taką możliwość. Miles zastanawiał się czy takie potwierdzenie było dla Harry jakąś ulgą. W najlepszym przypadku nienawiść z wrzącej mogła przemienić się w lodowato zimną.

Po zakończonej sekcji Harra zawinęła z powrotem maleńkie ciało, które nie przypominało już dziecka, tylko jakiś tobołek. Dea oczyścił narzędzia i umieścił je w specjalnych kasetkach, po czym starannie umył ręce i twarz w strumieniu. Miles zauważył, że zabrało mu to więcej czasu niż poświęca się zwykle temu zabiegowi higienicznemu. Zapewnię nie było przypadkiem, że wrócił dopiero wtedy, gdy goryl Karala zamknął skrzynię.

Harra na usypanym grobie wydrążyła w ziemi wgłębienie i włożyła tam kilka gałązek, kawałków kory i wyrwany kosmyk swoich marnych włosów.

Miles, nie przygotowany na ceremonię, zaczął szperać po kieszeniach.

– Nie mam nic do ofiarowania – powiedział przepaszająco.

Harra podniosła na niego wzrok, zdziwiona, że w ogóle mu to przyszło do głowy.

– To nieważne, panie. – Jej niewielki stosik załśnił przez chwilę i zgasł jak życie małej Rainy.

Ależ to jest ważne, pomyślał Miles. Pokój z tobą, maleńka pani, wybacz, że tak brutalnie go zakłóciliśmy. Ofiaruję ci coś lepszego, przysięgam, jakem Vorkosigan. A dym z tego palenia wzniesie się tak wysoko, że zobaczą go od jednego krańca tych gór do drugiego.

Miles rozkazał Karalowi i Aleksowi sprowadzić Lema Csurika, a sam posadził Harrę za sobą na Grubą Beksę i odwiózł ją do domu. Towarzyszył im Pym.

Po drodze minęli kilka chałup. Przed jedną na podwórku bawiła się para niechlujnych dzieci. Pobiegly w podskokach za koniem. Zaśmiewały się i pokazywały na Milesa, wykonując gesty obrony przed urokami. Podniecały się wzajemnie do coraz gwałtowniejszych wybryków, aż wreszcie zauważyła to ich matka, wybiegła i zagoniła urwisy do domu, rzucając przez ramię przestraszone spojrzenia. W jakiś niesamowity sposób ten incydent uspokoił Milesa. Takiego właśnie powitania się spodziewał od ludzi, którzy w odróżnieniu od Karala i Aleksa nie uważają przy każdym słowie i geście, udając że nie dostrzegli nic nienormalnego. Życie Rainy nie byłoby najłatwiejsze.

Chata Harry stała na skraju wioski, gdzie zaczynał się głęboki wąwóz. Miejsce wyglądało na bardzo spokojne i odosobnione, miło zacienione drzewami, przez które przeświecało jednak plamkami słońce.

– Czy jesteś pewna, że nie wolałabyś raczej przenieść się do swojej matki?

Harra potrząsnęła głową. Zsunęła się z Beksy, a Miles z Pymem zeskoczyli z siodeł i poszli za nią.

Chata była typowa, pojedynczy pokój z paleniskiem z polnych kamieni i szeroka, zadaszona, frontowa weranda. Wodę brano najwyraźniej ze strumyczka w wąwozie. Pym wszedł do domu tuż za Harra, dłoń trzymał na broni. Jeśli Lem Csurik uciekł, może teraz schował się w domu? Pym przez całą drogę skanował całkowicie niewinne kępy krzaków.

Chata była kompletnie opuszczona, chociaż raczej niedawno. Nie panowała tu zasiedziała, zakurzona cisza, której można się było spodziewać po miejscu, w którym nikt nie przebywał przez osiem dni. W zlewie leżały resztki po kilku posiłkach. W łóżku też ktoś musiał spać, bo było skotłowane i nie pościelone. Na podłodze walało się trochę męskiej garderoby. Harra automatycznie zaczęła sprzątać, poprawiając to i owo, zaznaczając swoją obecność, swoje istnienie, swoją wartość. Jeśli nawet nie potrafiła kontrolować wydarzeń własnego życia, przynajmniej mogła kontrolować ten niewielki pokój.

Jedynym przedmiotem, którego nie dotknęła, była kołyska ustawiona koło łóżka, z równo poskładanymi, maleńkimi kocykami. Harra ruszyła do Vorkosigan Surleau niedługo po pogrzebie.

Miles chodził po pokoju sprawdzając, co widać przez okna.

– Możesz mi pokazać, Harro, gdzie poszłaś zbierać maliny? Poprowadziła go do wąwozu. Miles poczuł się jak na wycieczce. Pym zwracał baczną uwagę zarówno na krzaki, jak i na Milesa, gotowy usunąć każdą gałąź, na której jego pan mógł się potknąć i złamać nogę. Miles miał coraz większą ochotę kazać mu wdrapać się na drzewo. Chociaż nadmierną troskę służącego łatwo można było zrozumieć. W razie wypadku to on musiałby nieść rannego.

Przeszli dobry kilometr, zanim dotarli do ścieżki, przy której rosły maliny. Miles zerwał kilka i bezmyślnie zjadł, rozglądając się przy tym wokół. Harra i Pym czekali z szacunkiem. Popołudniowe słońce przebijało się przez zielone i brązowe liście, ale dno wąwozu ginęło w chłodnym, przedwczesnym zmierzchu. Gałęzie maliniaku czepiały się skał i zwieszały w dół, grożąc złapaniem za kołnierze. Miles nie dał im się skusić, zwłaszcza że wcale nie przepadał za leśną odmianą owoców.

– Gdyby ktoś krzychał w twojej chacie, nie usłyszałabyś tutaj, prawda? – zauważył Miles.

– Nie, panie.

– I jak długo byłaś przy malinach?

– Jakiś – Harra wzruszyła ramionami – pełen koszyk.

Kobieta nie posiadała żadnego przyrządu do pomiaru czasu.

– Powiedzmy, godzinę. A w każdą stronę droga zajęła jakieś dwadzieścia minut. Mamy okienko wielkości mniej więcej dwóch godzin. Czy chata była zamknięta?

– Tylko na haczyk, panie.

– Aha.

Sposób, motyw i możliwość, jak podawała instrukcja sędziego okręgowego. Niech to. Sposób, w jaki popełniono morderstwo, został ustalony i właściwie mógł je popełnić każdy. Z okazji, najwyraźniej, było równie źle. Właściwie także każdy mógł wejść do chaty, dokonać morderstwa i odejść, nie widziany i nie słyszany. Było już sporo za późno, aby użyć detektora aury, podążyć za lśniącym duchem osoby, która wchodziła i wychodziła z pomieszczenia. Zresztą i tak Miles nie miał przy sobie tego urządzenia.

Fakty. To prowadziło ich z powrotem do motywu, mrocznych obszarów ludzkiego umysłu.

Zgodnie z instrukcją urzędu sędziego okręgowego Miles w sprawie podejrzanego nie powinien

mieć żadnych uprzedzeń, ale zaprzeczanie twierdzeniom Harry stawało się coraz trudniejsze. Jak dotąd wszystko, co powiedziała, okazało się prawdą.

Zostawili kobietę, żeby od nowa urządziła się w swoim małym domku, wróciła do normalnej rutyny życia, tak jakby za pomocą jakiejś współczującej magii wszystko mogło powrócić do dawnego stanu.

– Czy na pewno sobie poradzisz? – zapytał Miles, ściągając wodze Grubej Beksy i sadowiąc się wygodnie w siodle. – Nie mogę pozbyć się myśli, że twój mąż znajduje się gdzieś niedaleko i w każdej chwili może się tutaj pokazać. Powiedziałaś, że niczego z chaty nie zabrał, więc najprawdopodobniej uciekł dopiero wtedy, kiedy myśmy się zjawili. Czy chcesz, żeby ktoś tutaj z tobą został?

– Nie, panie. – Stała na ganku oparta o szcotkę. – Ja... chciałabym zostać przez jakiś czas sama.

– No... dobrze. Wyślę wiadomość, gdyby zdarzyło się coś ważnego.

– Dziękuję, panie. – W jej głosie zabrzmiała nieprzychylna nuta, naprawdę chciała, żeby ją wreszcie zostawili w spokoju. Miles to zrozumiał.

Droga, którą wracali do rzecznika Karala, była dość szeroka, Pym i Miles jechali strzemię w strzemię. Pym nadal był boleśnie świadomy możliwej obecności złoczyńców w krzakach.

– Mój panie, czy mógłbym zasugerować, że waszym następnym logicznym krokiem powinno być wysłanie wszystkich krzepkich mężczyzn tej społeczności na poszukiwanie tego Csurika? Bez wątpliwości ustaliliście, że śmierć dziecka nastąpiła na skutek morderstwa.

Jak to chłodno powiedziane, przemknęło przez myśl Milesa. Nawet Pym nie uważa tego czynu za nadmiernie naganny. Och, mój biedny Barrayar.

– W pierwszej chwili wydaje się to całkiem sensowne, poruczniku Pym, ale czy nie przyszło ci do głowy, że co najmniej połowa krzepkich mężczyzn mieszkających w tej wsi to kuzyni Lema Csurika?

– Jednak ktoś się może załamać i wydać go, żeby zakończyć całą sprawę. Dla dobra społeczności.

– No, powiedzmy, że istnieje taka ewentualność. Przyjmując, że nie zdążył jeszcze opuścić tego rejonu. Zanim skończyliśmy sekcję, mógł już być w połowie drogi do wybrzeża.

– Tylko gdyby miał jakiś środek transportu. – Pym spojrzał w puste niebo.

– Z tego, co słyszeliśmy, jeden z jego dalszych kuzynów ma rozchwierutany ślizgacz w jakiejś szopie. Ale... Csurik nigdy nie oddalał się poza Silvy Vale. Nie jestem pewien, czy wiedziałby, jak uciekać i gdzie się udać. Gdyby opuścił ten okręg, miałby kłopoty z imperialną służbą bezpieczeństwa cywilnego, a mnie sprawa przestałaby dotyczyć. – Miła perspektywa. – Ale... jedno, co mnie dręczy, i to poważnie, to nielogiczność w obrazie naszego głównego podejrzanego. Czy ją zauważyłeś?

– Skłamałbym mówiąc, że tak, panie.

– No cóż. A przy okazji, gdzie Karal zaprowadził cię, kiedy szliście aresztować tego człowieka?

– W dziki teren, pełen krzaków i wąwozów. Kilku mężczyzn szukało tam Harry. Zresztą kiedy ich spotkaliśmy, właśnie ogłosili zakończenie poszukiwań i wracali do wioski. Jakby wiedzieli już o powrocie dziewczyny. Nasze pojawienie nie bardzo ich zaskoczyło.

– Czy rzeczywiście Csurik tam był i uciekł, czy też raczej Karal zaprowadził cię w nieodpowiednie miejsce?

– Myślę, że on tam był, panie. Mężczyźni twierdzili, że nie, ale, jak sam już powiedziałaś, to byli krewniacy, a poza tym, no cóż, nie kłamali najlepiej. Byli bardzo spięci. Karal może nie mieć

ochoty na współpracę, ale nie sądzę, żeby śmiało otwarcie nie posłuchać rozkazu. Ostatecznie jest człowiekiem, który służył waszemu rodowi przez całe życie.

Podobnie jak sam Pym, pomyślał Miles. Osobista gwardia hrabiego Vorkosigana była prawnie ograniczona do dwudziestu mężczyzn, a ze względu na istnienie zorganizowanej politycznej opozycji obowiązkiem tych mężczyzn było przede wszystkim dbanie o bezpieczeństwo premiera. Pym był typowym przedstawicielem, weteran ze służb imperialnych, odszedł ze służby czynnej do elitarnego oddziału prywatnego. Nie było winą samego Pyma, że wskoczył na miejsce sierżanta Bothariego. Czy komukolwiek w całym wszechświecie poza mną brakuje morderczego i trudnego do wytrzymania Bothariego? – zastanawiał się ze smutkiem Miles.

– To Karala chciałbym przesłuchać przy użyciu serum prawdy – powiedział ponuro Miles. – Zachowuje się, jak człowiek, który wie, w której szafie ukryto trupa.

– W takim razie, czemu tego nie zrobić? – zapytał logicznie Pym.

– Może dojdzie i do tego. Tyle tylko, że osoba w taki sposób zmuszona do mówienia, czuje się zdegradowana. Jeśli ten człowiek lojalnie nam służy, nie leży w naszym interesie jego publiczne upokorzenie.

– To nie odbyłoby się publicznie.

– Nie, ale on sam nie zapomniaby, że zamieniono go w paplającego idiotę. Potrzebuję... więcej informacji.

Pym zerknął przez ramię.

– Myślałem, że jak na razie masz, panie, wszystkie informacje.

– Mam fakty. Fizyczne fakty. Całą masę nieużytecznych faktów. – Miles jeszcze bardziej spochmurniał. – Jeśli będę musiał zaaplikować każdemu w tej wiosce serum, by dobrać do prawdy, zrobię to. Ale nie jest to najelegantsze rozwiązanie.

– Sam problem również nie jest elegancki, panie – powiedział sucho Pym.

Kiedy wrócili, w domu rzecznika zastali już jego żonę. Miotłała się jak oszalała po całym gospodarstwie, przestawiając, wygładzając, przesuważąc. Wbiegała na poddasze, żeby zmienić pościel na rozesłanych tam materacach, popychała przed sobą trzech synów, wydając im niezliczone polecenia. Rozbawiony doktor Dea podążał za nią i usiłował ją nieco uspokoić. Tłumaczył, że przywieźli ze sobą własny namiot i jedzenie i naprawdę dziękują, ale niepotrzebnie tak się trudzi. Jego słowa wywołały jedynie pełną oburzenia odpowiedź Mamy Karal.

– Własny syn mojego pana przybył do tego domu i ja bym miała wyrzucić go na pole jak konia! Umarłabym ze wstydu! – i wróciła do przygotowań.

– Wygląda na dość wytrąconą z równowagi – powiedział Dea, spoglądając przez ramię.

Miles ujął go za łokieć i wyprowadził na werandę.

– Po prostu zejź jej z drogi, doktorze. Ku naszemu przekleństwu jesteśmy widowiskiem. To nakłada obowiązki na każdą ze stron. Grzeczność wymaga udawania, że nas nie ma tak długo, póki ona nie będzie gotowa na nasze przyjęcie.

Dea zniżył głos.

– Może byłoby lepiej w tych okolicznościach, żebyśmy jedli tylko przywiezione ze sobą jedzenie.

Przez otwarte okno dochodził dźwięk siekania nożem na desce, a także apetyczny zapach ziół i cebuli.

– Och, raczej nie należy przypuszczać, żeby coś we wspólnym garnku było nie w porządku, prawda? – zapytał Miles. – Jeśli jednak uznasz, doktorze, jakąś potrawę za podejrzaną, zawsze możesz ją odłożyć i sprawdzić, ale proszę, rób to dyskretnie. Nie chcemy nikogo tutaj obrażać.

Rozsiedli się na drewnianych krzesłach domowej roboty. Chłopiec mniej więcej dziesięcioletni, najmłodszy z synów Karala, przyniósł im herbatę. Najwyraźniej został wcześniej poinstruowany jak ma się zachowywać, ponieważ nawet nie mrugnął okiem na widok zdeformowanego ciała Milesa.

– Czy będziesz spał w moim łóżku, panie? – zapytał. – Mama powiedziała, że my pójdziemy spać na werandę.

– No cóż, wszystko będzie tak, jak mówi mama – powiedział Miles. – A... lubisz spać na werandzie?

– Nie. Ostatnim razem Zed mnie kopnął i stoczyłem się w ciemność.

– W takim razie skoro to ja mam zająć twoje miejsce, ty w ramach wymiany prześpisz się w moim namiocie.

Oczy chłopca zrobiły się okrągłe z podniecenia.

– Naprawdę?

– Jasne, czemu nie?

– Niech tylko Zed się dowie! – Przetęczył w dół po stopniach i jak strzała pomknął za dom. – Zed, posłuchaj, Zed...!

– Przypuszczani – powiedział Dea – że potem da się go wykadzić...

Usta Milesa zadrgały.

– Na pewno nie jest bardziej niechlujnym chłopcem, niż pan był w jego wieku. Albo niż ja. Oczywiście, kiedy mi na to pozwalano.

Ponieważ popołudnie było ciepłe, Miles zdjął zieloną kurtkę i odwiesił ją na oparcie krzesła, a potem odpiął kołnierzyk kremowej koszuli.

Brwi doktora podjechały w górę.

– Czy to znaczy, że stosujemy się do godzin pracy kupców, panie, prowadząc to śledztwo? Kończymy na dzisiaj?

– Niezupełnie. – Miles w zamyśleniu sączył herbatę, patrząc na drugą stronę podwórka. Drzewa schodziły razem z doliną w dół. Drugą stronę zbocza porastały mieszane krzewy. Grzbiet wzgórza załamywał się, a za nim sterczały wysokie i ostre szczyty, na których widać jeszcze było brudne płachty śniegu.

– Gdzieś tam błąka się morderca – podpowiedział Dea.

– Mówi pan jak Pym. – Służący, zauważył Miles, skończył właśnie oporządzać konie, i wybierał się ze skanerem na kolejny spacer. – Czekam.

– Na co?

– Jeszcze nie wiem. Na okrucieństwo informacji, dzięki której wszystko to nabierze sensu. Proszę posłuchać, są tylko dwie możliwości. Csurik albo jest winny, albo niewinny. Jeśli jest winny, nie pokaże się. I z pewnością zaangażuje swoich krewniaków, by go ukryli i mu pomogli. Mogę wezwać komertelem dodatkowe siły z imperialnych służb specjalnych w Hassadarze. Mogę to zrobić w każdej chwili. Dwudziestu mężczyzn dobrze wyposażonych zjawi się tutaj za kilka godzin. I będziemy mieli cyrk. Brutalny, paskudny, niszczący, podniecający – może się nawet podobać. Polowanie na człowieka, a na końcu przelana krew. Ale oczywiście istnieje też możliwość, że ten Csurik jest niewinny, tylko przestraszony. I w tym przypadku...

– Tak?

– W tym przypadku gdzieś tutaj kryje się prawdziwy morderca. – Miles znowu upił łyk herbaty. – Chciałem tylko wskazać, że jeśli chce się kogoś złapać, bieganie za nim nie jest najlepszym sposobem.

Dea odchrząknął i także napił się herbaty.

– A na razie czeka mnie inne zadanie – mówił dalej Miles. – Jestem tutaj po to, by mnie zobaczono. Jeśli twój naukowy duch nie może wytrzymać bez pracy w czasie tych paru godzin, spróbuj policzyć wszystkich tych, którzy przyjdą dzisiejszej nocy obejrzyć Vora.

Parada, którą Miles przewidział, rozpoczęła się prawie natychmiast. Na początku zjawiały się głównie kobiety, przynosiły podarunki, tak jakby odbywała się ceremonia pogrzebowa. Ponieważ wioska nie posiadała sieci komertela, Miles nie wiedział, jaki rodzaj telepatii umożliwiał im wzajemne porozumiewanie się, ale wszystkie znosiły zakryte naczynia z jedzeniem, kwiaty, dodatkową pościel lub przynajmniej zgłaszały się z pomocą. Po ceremonialnym przedstawieniu wykonywały przed Milesem nerwowy dyg, jednak rzadko która odważała się odezwać; najwyraźniej samo obserwowanie zaspokajało ich ciekawość. Matka Karal zachowywała się grzecznie, lecz wyraźnie dawała do zrozumienia, że panuje nad sytuacją, a przynoszone potrawy odstawiała jak najdalej.

Niektóre z kobiet przyprowadziły ze sobą dzieci. Większość drobiazgu wysyłano do zagajnika na tyłach domu, ale mała grupka szepczących między sobą chłopców obeszła zabudowania i zerknęła ponad płotem, co się dzieje na podwórku. Miles pozostał wraz z Deą na ganku, by nie sprawić im zawodu. Zauważył mimochodem, że z tego miejsca jest znakomity widok, nie tłumacząc już, dla kogo. Przez jakiś czas Miles udawał, że nie zauważa swej publiczności, chociaż powstrzymał gestem ręki Pyma od przepędzenia dzieciaków. O tak, przypatrzcie się dobrze i nigdy nie zapomnijcie tego, co dziś zobaczyliście, myślał. To, co widzicie, niech ma swą wagę przez resztę waszego życia, a przynajmniej mojego. Lepiej, żebyście się do tego przyzwyczaili. Nagle usłyszał szept Zeda Karala, samozwańczego szefa kohorty: „Ten najmniejszy przyjechał zabić Lema Csurika!”

– Zed! – zawołał chłopca Miles.

W jednej chwili na podwórku zapadła martwa cisza, wydawało się, że nawet zwierzęta wstrzymały oddech.

– Chodź tutaj – dodał Miles.

Kiedy średni syn Karala wkraczał na ganek, ścigały go stłumione szepty i śmiechy.

– A wy – wskazujący palec Milesa zatrzymał chłopców gotowych do ucieczki – poczekacie tam.

Pym zmarszczył czoło dla podkreślenia wagi polecenia swego pana. Chłopcy stanęli jak zamurowani, wpatrując się w przybyszów rozszerzonymi oczami, z głowami na wysokości podłogi ganku, jakby zatkniętymi po barbarzyńskiej rzezi przeszłej wojny, na postrach wrogom.

– Cóż to powiedziałaś właśnie swoim przyjaciołom, Zed? – zapytał łagodnie Miles. – Powtórz.

Zed oblizwał wargi.

– Powiedziałem, panie, że przyjechałeś zabić Lema Csurika. – Najwyraźniej w tej chwili Zed zastanawiał się, czy mordercze zapędy Milesa nie dotyczą również pewnego nieznośnego i nie okazującego należnego respektu chłopca.

– To nieprawda, Zed. To bardzo niebezpieczne kłamstwo.

Zed spoglądał na niego z niedowierzaniem.

– Ale... to tata... tak powiedział.

– Prawdą jest, że przybyłem tutaj, by złapać mordercę dziecka Csurika. To może być Lem. Ale nie musi. Czy rozumiesz różnicę?

– Ale Harra twierdzi, że winien jest Lem, a ona powinna przecież wiedzieć, bo to jest jej mąż i w ogóle.

– Ktoś przetrącił dziecku kark. Harra myśli, że Lem, ale nie widziała, jak to się stało. Chcę przekonać ciebie i twoich kolegów o jednym: ja nie popełnię błędu. Nie mogę skazać niewłaściwej osoby. Nie pozwoli mi na to moje serum prawdy. Jeśli Lem Csurik nie zrobił tego, o co jest



oskarżony, wystarczy, żeby przyszedł i złożył takie oświadczenie. Ale przypuśćmy, że jest winien. Co powinienem zrobić z człowiekiem, który zamordował dziecko, Zed?

Chłopak zachnął się.

– Przecież to był tylko mutant... – cały czerwony złapał się ręką za usta i odwrócił wzrok.

Być może wymagał zbyt dużo, pytając dwunastolatka o jakiegokolwiek dziecko, a co dopiero mutanta... chociaż nie, do cholery. To wcale nie było za wiele. Ale jak można przedrzeć się przez ten najeżony kolcami podejrzliwości mur? A jeśli Miles nie potrafił nawet przekonać jednego niedorostka, to za pomocą jakiej magii miał przerobić wszystkich zamieszkujących ten okręg dorosłych? Czuł rozpacz pomieszana z wściekłością. Ci ludzie byli po prostu... no, niemożliwi. Powściągnął swój temperament.

– Twój tata służył w siłach imperialnych, Zed. Czy jesteś z niego dumny?

– Tak, panie – Zed nadal nie miał odwagi spojrzeć na tych straszliwych dorosłych.

Miles zamyślił się.

– No cóż, takie praktyki – chodzi mi o zabijanie odmieńców – zawstydzają imperatora, kiedy reprezentuje Barrayar w galaktyce. Byłem z nim tam i wiem. Przez przestępstwa nielicznych – nas wszystkich nazywają dzikusami. Mój ojciec wstydzi się za to przed członkami Izby Lordów, a Silvy Vale przed okręgiem. Ta sprawa rzuca plamę na mój honor jako Vorkosigana, Zed. Poza tym – wargi Milesa wygięły się w bezlitosnym grymasie, wysunął się jak mógł najdalej na swym krześle, a Zed cofnął się na tyle, na ile śmiał – zdziwicie się, kiedy zobaczycie, czego mutant potrafi dokonać. Poprzysiągłem na grobie mojego dziada, że to wykażę.

Chłopiec wyglądał bardziej na zdziwionego niż oświeconego. Już nie stał, tylko prawie kucał. Miles wyprostował się na fotelu i zwolnił go skinieniem dłoni.

– Idź się bawić.

Zed nie potrzebował dalszej zachęty. Ruszył biegiem jak wystrzelony z procy, a za nim jego koledzy.

Miles zabębnił palcami o oparcie krzesła. Pogrążył się w ponurym zamyśleniu, którego nie śmieli przerwać ani Pym, ani Dea.

– Ci górale to ignoranci, panie – podsunął po chwili Pym.

– Ci górale to moi ludzie, Pym. Ich ignorancja jest... moim wstydem... – Miles zmarszczył brwi. I w jaki sposób nagle cała ta sprawa stała się tak bardzo jego własną? Przecież jej nie wywołał. Tyle tylko, że sam się w nią wpakował -...a w każdym razie fakt, że nadal są ignorantami – poprawił się. Ale sprawa nadal ciążyła mu jak góra. – Czy przesłanie jest tak skomplikowane? Tak trudne do pojęcia? Nie wolno już zabijać swoich dzieci. Przecież nie każemy im się nauczyć matematyki nawigacyjnej piątego stopnia. – Która była plagą Milesa podczas ostatniego semestru na akademii.

– Dla nich to nie jest łatwe – wzruszył ramionami Dea. – Centralna władza może sobie ustalać zasady, ale ci ludzie muszą żyć z ich konsekwencjami przez każdą minutę swego życia. Mają tak niewiele, a nowe zasady zmuszają ich, by tę odrobinę, która pozostaje, oddawać ludziom, którzy nie mogą im odpłacić. Ludziom, którzy wydają im się marginalni. Stare zasady były mądre w starych czasach. Nawet dzisiaj trzeba się zastanawiać, na jak wiele przedwczesnych reform można sobie pozwolić w pogoni za galaktykami.

A jaka jest twoja definicja marginalnych ludzi, Dea?

– Ale możliwości powiększają się – powiedział na głos Miles. Mieszkańcy takich miejsc jak to nie muszą już każdej zimy walczyć z głodem. Nie są odizolowani i zdani tylko na siebie, w trudnych chwilach imperator nakazuje przysłanie pomocy z innego okręgu... stajemy się bardziej powiązani, coraz bardziej. Poza tym – Miles zawiesił głos i dodał raczej słabo – może ich nie doceniasz.

Brwi Dei uniosły się w górę w ironicznym grymasie. Pym przeszedł na drugi koniec ganku, żeby sprawdzić swym skanerem kolejną osobę wylaniającą się z zarośli. Miles, który odwracał się właśnie, by sięgnąć po filiżankę z wystygłą już herbatą, uchwycił kątem oka jakiś ruch w oknie szeroko otwartym na letnie powietrze – Mama Karal stała jak słup soli, wsłuchana w ich rozmowę. Jak długo tam była? Miles przypuszczał, że od czasu, kiedy zawołał jej syna. Podniosła głowę i ich spojrzenia spotkały się. Pociągnęła nosem i machnęła ścierką, którą ścisnęła w dłoni. Wymienili lekkie skinienia głowy. Potem wróciła do pracy. Dea, który przyglądał się Pymowi, w ogóle jej nie zauważył.

Karal i Alex wrócili na czas kolacji.

– Wysłałem sześciu mężczyzn na poszukiwania. – Karal złożył zwięzły raport Milesowi, stojącemu nadal na ganku, który najwyraźniej stał się jego oficjalną kwaterą. Twarz Karala lśniła od potu, wywołanego zarówno fizycznym wysiłkiem, jak i emocjonalnym napięciem. – Ale obawiam się, że Lem uciekł do buszu. Wykurzenie go stamtąd zajmie nam dobrych kilka dni. Są setki miejsc, gdzie mógł się przyczaić.

Karal najlepiej to wiedział.

– Nie sądzisz, że pokaże się u krewnych? – zapytał Miles. – Jeśli zamierza się ukrywać przez długi czas, musi mieć skąd zdobywać jedzenie i wiadomości. Czy przyprowadzą go do mnie, kiedy się u nich pokaże?

– Trudno powiedzieć. – Karal rozłożył bezradnie ręce. – To dla nich niełatwa sprawa, panie.

– Hm.

Jak długo wytrzyma Lem Csurik ukrywając się poza wioską? Całe swoje życie spędził tutaj, w Silvy Vale. Miles zastanawiał się nad tą drastyczną zmianą. Jeszcze kilka tygodni temu Csurik był młodym mężczyzną posiadającym wszystko, czego mu było potrzeba do szczęścia: dom, żonę, rodzinę, a zgodnie ze standardami Silvy Vale, wygodę i bezpieczeństwo. W jego chacie, choć prostej – nie uszło to uwagi Milesa – widać było, ile włożono pracy i uczucia, jak starano się uciec od nędzy. W zimie na pewno wyglądało to wszystko znacznie mizerniej. A teraz Csurik stał się zbiegiem. Czy już nic go tu nie trzymało i wobec tego będzie ciągle uciekał? A może nie mając gdzie uciec, uczepi się ruin swego dawnego życia?

Przez cały czas w głowie Milesa kołatała gdzieś myśl o możliwości użycia sił policyjnych z Hassadaru. Czy nie przyszła czasem pora, żeby je wezwać, zanim sprawa jeszcze bardziej się skomplikuje? Ale... jeśli miałby to rozegrać przy użyciu pokazu siły, dlaczegóż hrabia zakazywałby mu przylotu statkiem powietrznym? Miles żałował tej dwuipółdniowej jazdy. Spowolniła jego impet, czas pozwolił obudzić się wątpliwościom. Czy właśnie to przewidział hrabia? Cóż wiedział, o czym Miles nie miał pojęcia? Skąd mógł wiedzieć? A niech to, nie musiał przecież komplikować testu, który sam w sobie był wystarczająco trudny, przez budowanie sztucznych przeszkód. Chciał, żeby okazał się sprytny, pomyślał ponuro Miles. Co gorsze, chciał, żeby ludzie tutaj ujrzeni mnie jako sprytnego. Miles mógł się tylko modlić, aby nie okazał się zamiast tego spektakularnie głupi.

– Bardzo dobrze, rzeczniku Karalu. Zrobiłeś na dzisiaj wszystko. Teraz odpocznij. Odwołaj również swoich ludzi. Potem w ciemnościach trudno ci będzie ich znaleźć.

Pym podniósł w górę skaner, najwyraźniej gotów go użyć, ale Miles odesłał go machnięciem ręki. Brwi sierżanta kolejny raz uniosły się do góry. Miles ledwo zauważalnie potrząsnął głową.

Karal nie potrzebował dalszej zachęty. Wysłał Aleksa, by odszukał i odwołał ze służby chodzący z pochodniami nocny patrol. Ale nadal trwożliwie spoglądał na swego pana. Może Miles zadziwiał go tak samo jak on Milesa? Syn hrabiego uśmiechnął się kwaśno, mając nadzieję, że tak właśnie jest.

Miles nie był pewny, w którym dokładnie momencie rozpoczęła się zabawa. Po kolacji zaczęli nadchodzić mężczyźni, przyjaciele Karala, starszyzna Silvy Vale. Niektórzy najwyraźniej zjawiali się tu codziennie posłuchać wieczornych rządowych wiadomości w radiu rzecznika. Padało tak wiele imion, a Miles wiedział, że nie może zapomnieć ani jednego. Grupa domorosłych muzyków przybyła z instrumentami ręcznej roboty. Oni to najprawdopodobniej uświetniali wszystkie wioskowe ceremonie. Z każdą chwilą Miles czuł się coraz bardziej jak na stypie.

Muzykanci ustawili się w rogu podwórka i grali. Ganek spełniający dotąd rolę kwatery wojskowej Milesa zamienił się teraz w lożę. Jednak trudno było dać się ponieść muzyce, kiedy reszta zebranych uporczywie się w niego wpatrywała. Niektóre utwory były poważne, inne – na początku próbowane nieśmiało – wesołe. Spontaniczny śmiech Milesa zamarł w chwili, gdy usłyszał dochodzące od zebranych w pobliżu westchnienie ulgi. Z kolei on zmroził ich spojrzeniem. Czuł się jak człowiek, który nie chce ustąpić komuś przejścia w korytarzu zablokowanym przez równie nieustępliwą osobę.

Ale jedna pieśń była tak żałośnie piękna – lament za utraconą miłością – że aż Miles poczuł skurcz serca. Elena... W tej chwili stary ból przeszedł w melancholię, słodką i odległą; jakby ktoś lał przynoszące ulgę lekarstwo na ranę, a przynajmniej przypominał, że rana sama się zabliznia. Tak głęboko czuł w sobie tę muzykę, że już miał poprosić muzyków, by przestali grać. Powstrzymała go tylko obawa, że ich urazi. Pieśń uciszyła go i skierowała myśli na własne przeżycia. Ledwie zauważył, że zebrani składają wieczorną ofiarę.

Wreszcie też zjawily się fury jadła szykowanego przez całe popołudnie. Miles obawiał się, iż Mama Karal i jej pomocnice oczekują, że on sam poradzi sobie z tym całym dobrem.

W pewnej chwili Miles wychylił się przez poręcz ganku, żeby spojrzeć na podwórko. Spętana Beksa zawierała kolejne przyjaźnie. Tłoczyła się koło niej grupka podlotków. Pieściły konia, czesały mu tłuste boki, wplatały w grzywę i ogon wstążki oraz kwiaty, podsuwały smakołyki albo po prostu opierały policzki o jedwabistą, ciepłą skórę. Beksa przymykała oczy z ukontentowania.

Boże, pomyślał Miles, gdyby natura obdarzyła mnie połową seksapilu, jaki przypadł tej cholernej kobyle, miałbym więcej dziewczyn niż mój kuzyn Ivan. Miles zastanawiał się przez moment nad pomysłem odegrania przedstawienia dla jakiejś nie związanej z nikim dziewczyny, ze sobą w roli głównej jako wielkiego pana i takie tam... Nie. Był pewien poziom głupoty, którego nie chciał przekroczyć. Służba, jaką poprzysiągł pewnej małej damie z Silvy Vale, była z pewnością wystarczająco ciężkim zadaniem. Czuł związane z tym wokół napięcie, jakby ktoś napierał na jego kruche kości.

Odwrócił się i zobaczył rzecznika Karala, który chciał mu właśnie przedstawić jakąś kobietę. Trudno byłoby o niej powiedzieć, że jest podlotkiem. Miała pewnie z pięćdziesiątkę, była mała i chuda, zniszczona pracą. Ubrana starannie w nie pierwszej nowości najlepszą sukienkę, z siwymi włosami zgarniętymi w tył i związanymi w węzeł na karku. Miała zaciśnięte mocno usta, najwyraźniej była bardzo spięta, jakby podświadomie coś ukrywała.

– To jest Matka Csurik, panie. Lem jest jej synem. – Rzecznik Karal kiwnął głową i wycofał się pozostawiając Milesa bez pomocy.

Wracaj, ty tchórze.

– Pani – powiedział Miles. Jego gardło było całkiem suche. Karal wystawił go na publiczne przedstawienie, chociaż nie, goście – a przynajmniej większość z nich – wycofała się na tyle, by nie słyszeć rozmowy.

– Mój panie – powiedziała Mama Csurik. Wykonała nerwowy dyg.

– Eee... niech pani siądzie. – Bezwzględnym ruchem podbródka wygonił doktora Deę z jego

krzesła i wskazał go góralce. Przesunął własne krzesło tak, żeby siedzieć z nią twarzą w twarz. Pym stał za nimi, milczący niczym statua, napięty jak sprężyna. Czy wyobrażał sobie, że kobieta wyciągnie pistolet igłowy spomiędzy fałd spódnicy? Rolą Pyma było przewidywanie właśnie takich sytuacji, by jego pan mógł skupić się jedynie na problemie, którym się zajmował. Zresztą w razie czego Pym był również zagrożony. Rozsądek podpowiadał mu, żeby się trzymać z boku i niewątpliwie tak właśnie będzie postępował, aż cała ta brudna sprawa już znajdzie się za nimi.

– Mój panie – powtórzyła Mama Csurik i kolejny raz zapadła cisza. Miles mógł tylko czekać. Modlił się jedynie, żeby nie przypadła mu do kolan i nie zaczęła płakać. To byłoby męczące. Pozostań silna, kobieto – nakazał jej milcząco.

– Lem, on... – przełknęła ślinę. – Jestem pewna, że on nie zabił dziecka. W naszej rodzinie nic takiego się nigdy nie zdarzyło. Przysięgam. On mówi, że tego nie zrobił i ja mu wierzę.

– Dobrze – odparł Miles zgodnie. – Niech przyjdzie do mnie i powtórzy to samo po zażyciu serum prawdy. Wtedy ja także mu uwierzę.

– Chodźmy, mamó – odezwał się młody człowiek, który podczas rozmowy podszedł do schodów ganku, choć wyglądał tak, jakby w każdej chwili gotów był zanurkować w ciemność. – Sama widzisz, że to nic nie da. – Mówiąc to patrzył na Milesa.

Rzuciła mu niezadowolone spojrzenie – czy był to jeden z jej pozostałych pięciu synów? – i jeszcze raz zwróciła się do Milesa. Tym razem w jej głosie pojawiło się naleganie.

– Mój Lem... – szukała odpowiednich słów – on ma zaledwie dwadzieścia lat, panie.

– Ja też mam zaledwie dwadzieścia lat, Matko Csurik – Miles poczuł się zmuszony wskazać tę zbieżność. Znowu znaleźli się w impasie. – Posłuchaj kobieto, powiem to jeszcze raz – wybuchnął wreszcie zniecierpliwiony. – I jeszcze raz i jeszcze, dopóki nie dotrze to do kogo trzeba. Ja nie mogę ukarać niewinnej osoby. Serum prawdy mi na to nie pozwoli. Lem może się oczyścić z zarzutów. Musi tylko tutaj przyjść. Powiedz mu to. Proszę.

Nagle stała się bardzo czujna, jakby skamieniała wewnątrz.

– Ja... nie widziałam go, panie.

– Ale może zobaczysz. Potrząsnęła głową.

– Może tak, a może nie. – Jej wzrok na chwilę zatrzymał się na Pymie, potem umknął, jakby widok sierżanta działał niby płonąca pochodnia. Srebrne logo klanu Vorkosiganów lśniło w ciemnościach na kołnierzu Pyma niby oczy znieruchomiałego zwierzęcia. Tylko oddech zakłócał jego kamienny bezruch. Karal przyniósł zapaloną lampę i postawił ją na ganku, sam jednak trzymał się nadal z daleka.

– Pani – powiedział z napięciem Miles. – Hrabia, mój ojciec, rozkazał mi przeprowadzić śledztwo w sprawie zamordowania pani wnuczki. Jeśli syn tak wiele znaczy dla pani, czy jego dziecko nie ma już żadnego znaczenia? Twarz kobiety jakby zwiędła.

– Nie, panie. Starsza siostra Lema ma dwoje. I z nimi jest wszystko w porządku – dodała z mocą.

Miles westchnął.

– Jeśli naprawdę wierzy pani w niewinność syna, musi pani pomóc mi to udowodnić. A może... jednak pani wątpi?

Poruszyła się zaniepokojona. W jej wzroku pojawiła się niepewność – nie wiedziała, czy tego nie zrobił. A niech to. Nie warto jej aplikować serum prawdy. Cudowny środek, na który Miles tak bardzo liczył, jak dotąd wydawał się w tej sprawie całkowicie bezużyteczny.

– Chodźmy, mamó – przynaglił ją jeszcze raz młody człowiek. – To nic nie da. Ten hrabiowski mutant zjawił się tu, żeby zabijać. Musi kogoś dostać. I urządzić pokazówkę.

Cholernie bezpośrednio powiedziane, pomyślał Miles. Cóż za spostrzegawczy młokos.

Pani Csurik dała się odprowadzić swemu rozgniewanemu i zawstydzonemu synowi, ciągnącemu ją za ramię. Zatrzymała się jeszcze na schodach i rzuciła gorzko przez ramię.

– Dla ciebie panie, to wszystko takie proste, co?

Celny strzał, pomyślał Miles.

Zanim ten wieczór miał dobiec końca, czekało go więcej nieprzyjemności.

W tym momencie doszedł go inny kobiecy głos, niski i rozgniewany.

– Nic mi nie mów, Serg Karal. Mam prawo przyjrzeć się temu mutantowi, który jest naszym panem.

Była wysoka, szczupła i silna. Jaka matka, taka córka, pomyślał Miles. Nawet nie oporządziła się przed przyjściem. Suknia, w której pracowała cały dzień, wydzielala teraz lekki odór potu. Czy przysłała z daleka? Siwe kosmyki wysuwały się spod chustki i zwisały wokół twarzy. Jeśli rozgoryczenie Matki Csurik odczuwał jak ćmiący ból, gniew tej kobiety odebrał jak uderzenie w łędźwie.

Odrząciła Karala, który próbował ją powstrzymać i podeszła w stronę Milesa oświetlanego blaskiem lampy.

– Hmm... to jest Matka Mattulich, panie – przedstawił ją Karal. – Matka Harry.

Miles powstał i krótko, formalnie skłonił się jej.

– Jak się pani miewa? – Był całkowicie świadomy, że jest o głowę od niej niższy. Kiedyś musiała być takiego samego wzrostu jak Harra, oceniał Miles, ale starzejące się kości kurczyły się.

Patrzyła na niego, nic więcej. Musiała mieć zwyczaj żucia liścia gumowca, ponieważ wokół jej ust widać było czarne smugi. Nawet teraz przeżuwała kawałek, zagryzając go z całych sił. Przyglądała się Milesowi całkiem otwarcie, nie uciekając się do żadnych wybiegów ani nie okazując zmieszania. Przenosiła powoli wzrok z jego za dużej głowy, przez nieforemny tułów po krótkie, krzywe nogi. Miles miał nieprzyjemne wrażenie, że kobieta potrafi nawet dostrzec wszystkie zaleczone pęknięcia jego kości. Szczęką szarpnął mu dwa razy nie chciany, nerwowy tik. Z trudem go opanował.

– No dobrze, Maro – powiedział Karal szorstko – już zobaczyłaś. A teraz, na litość boską, odejdz. – Rozłożył ręce w geście przeprosin, patrząc na Milesa. – Mara jest bardzo zdenerwowana całą tą sprawą, panie. Wybacz jej.

– To była twoja jedyna wnuczka – odezwał się Miles. Usiłował okazać kobiecie sympatię, chociaż ona w swej udreće odrzucała współczucie z pogardą. – Rozumiem twoją rozpacz, pani. Ale sprawiedliwości stanie się zadość. To obiecałem małej Rainie i to poprzysięgam także i tobie.

– Cóż jej teraz po sprawiedliwości? – zawołała starucha strasznym głosem. – Jest za późno, o całe życie za późno na sprawiedliwość, panie mutancie. Cóż mi teraz da twoja przeklęta sprawiedliwość?

– Wystarczy, Maro! – wtrącił się znowu Karal. Ze zmarszczonymi brwiami i ustami zaciśniętymi w wąską krechę, siłą odciągnął ją sprzed ganku.

Ci z gości, którzy jeszcze pozostawali na podwórku zrobili dla niej przejście. Panowała cisza pełnej szacunku litości. Tylko dwóch chudych wyrostków, stojących z boku, odskoczyło na jej widok, jakby była trucizną. Miles uznał, że powinien zrewidować wymyślony przez siebie obraz braci Csurik. Jeśli tych dwóch stanowiło następną próbkę, to oznaczało, że wcale nie byli bandą groźnych górskich niedźwiedzi. Mogli się jednak okazać bandą groźnych, zwinnych wiewiórek. Niewielka pociecha. Miles sfrustrowany zagryzł usta.

Wieczorna zabawa, dzięki Bogu, dobiegła wreszcie o północy końca. Ostatni przyjaciele Karala

odeszli w kierunku lasu, oświetlając sobie drogę latarniami. Zreperowane i naładowane radio zabrał jego właściciel, składając tysięczne podziękowania Karalowi. Szczęśliwie był to trzeźwy, a nawet przygnębiony tłum, a nie pijacka zgraja czy coś w tym rodzaju. Pym zaprowadził synów Karala do namiotu, obszedł ostatni raz teren wokół chaty, a potem dołączył do Milesa i Dei na strychu. W sienniki dołożono świeżego, mocno pachnącego ziela. Miles miał nadzieję, że nie jest na nie uczulony. Matka Karal chciała oddać własną sypialnię do wyłącznego użytku pana, a sama z mężem wynieść się na ganek, ale na szczęście Pymowi udało się jej wytłumaczyć, że umieszczenie Milesa na strychu z Deą i nim samym po dwóch stronach jest najrozsądniejsze z punktu widzenia bezpieczeństwa.

Dea i Pym już wkrótce chrapali równo, ale Miles nie mógł zasnąć. Kręcił się na swym sienniku, wracając myślami do wydarzeń dnia. Czy postąpił zbyt opieszale, zbyt uważnie, zbyt konserwatywnie? Na pewno nie zastosował najlepszej taktyki ataku, zaskoczenia przewagą sił.

Z drugiej jednak strony rzucanie się na oślep w sprawę, która przypomina grząskie bagno, nie wróżyło nic dobrego, jak naocznie przekonało się kilku młodych kadetów z jego kuzynem Ivanem Vorpatilem na czele podczas letnich manewrów. Trzeba było sprowadzać śmigłowiec z dźwiękiem, żeby wyciągnął sześciu wielkich, silnych, zdrowych i pod pełnym obciążeniem bojowym mężczyzn z patrolu Ivana, po pierś zanurzonych w czarnym błocie. Chociaż trzeba też przyznać, że Ivan w tym samym czasie przeżył swój moment satysfakcji, kiedy kadet „snajper”, cel ich ataku, śmiejąc się histerycznie na widok sześciu chłopca powoli zanurzających się w muł, spadł z drzewa i złamał sobie rękę. A potem przez ten sam muł przedzierał się jak żaba, z laserem zawiniętym we własną bieliznę. Rozjemca gier wojennych uznał, że wynik był remisowy. Miles pomasażował rękę i uśmiechając się do wspomnień wreszcie usnął.

Nagle obudził się całkowicie przytomny. Była ciemna noc. Czuł, że coś jest nie w porządku. Słaba pomarańczowa poświata rozświetlała ciemności panujące na strychu. Cicho, tak, by nie przeszkodzić śpiącym towarzyszom, podniósł się z siennika i zajrzał przez otwór w podłodze do głównego pokoju. Poświata padała przez frontowe okno.

Miles zsunął się po drabinie na dół, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

– Pym! – zawołał cicho.

Sierżant obudził się natychmiast.

– Panie? – zawołał zaalarmowany.

– Zejdź tutaj. Tylko cicho. I weź ze sobą pistolet gazowy.

Pym po sekundzie stał już u jego boku. Spał w spodniach, a broń w kaburze i buty miał koło poduszki.

– Co u diabła? – mruknął, także wyglądając przez okno chaty.

Blask pochodził od ognia. Smolista pochodnia, rzucona na namiot rozstawiony na podwórku, spalała się szybko. Pym skoczył do przodu, ale w tej samej chwili uświadomił sobie, że namiot należy do wyposażenia służb specjalnych i został wykonany ze specjalnego syntetyku, który nie topił się ani nie palił, i zwolnił kroku.

Miles zastanawiał się, czy osoba, która cisnęła pochodnię, również to wiedziała. Czy miało to być tylko ostrzeżenie, czy też atak? Gdyby namiot został wykonany z normalnego materiału, a Miles spał tam w środku, konsekwencje takiej akcji mogły wcale nie okazać się błahe. Co gorsza mogły również dotknąć chłopców Karala. Milesa przebiegł dreszcz.

Pym wyciągnął pistolet gazowy z kabury i stanął na rozstawionych nogach w drzwiach chaty.

– Jak długo to trwa?

– Nie wiem. Mogło się fajczyć tak jak teraz dobre dziesięć minut, zanim obudził mnie ogień.

Pym potrzęsnał głową, westchnął, podniósł skaner i zanurzył się w ciemnościach otaczających krąg światła.

– Kłopoty, panie? – Z sypialni dobiegł niespokojny głos Karala.

– Może. Czekał – Miles zatrzymał rzecznika, który już stał w drzwiach. – Pym poszedł na zwiad ze skanerem i pistoletem gazowym. Zaraz da nam znać, czy wszystko w porządku. Twoim chłopcom w namiocie nic nie grozi.

Karal podszedł do okna, wciągnął głęboko powietrze i zaklął pod nosem.

Pym wrócił po kilku minutach.

– Nikogo w promieniu kilometra – złożył zwięzły raport. Pomógł Karalowi dotaszczyć do namiotu kozi skopek z wodą i ugasić pochodnię. Chłopcy, którzy przespali pożar, obudzili się w czasie gaszenia.

– Może to nie był najlepszy pomysł, żeby pozwalać im spać w moim namiocie – odezwał się z ganku Miles zdławionym głosem. – Jest mi tak strasznie przykro, rzeczniku Karal. Na myśl by mi nie przyszło...

– To nigdy nie... – Karalem miotają jednocześnie gniew i spóźniony lęk. – To nigdy nie powinno się było zdarzyć, panie. Przepraszam za... za Silvy Vale. – Bezradnie odwrócił się i zapatrzył w ciemność. Noc, rozświetlona gwiazdami i taka piękna, stała się nagle groźna.

Kiedy już do chłopców dotarło, co się wydarzyło, uznali to za wspaniałą przygodę. Marzyli tylko o powrocie do namiotu i oczekiwaniu na kolejnego zamachowca. Jednak Matka Karal zdecydowanie zagnała ich do domu, gdzie naszykowała posłania w dziennym pokoju. Minęła dobra godzina, zanim przestali skarżyć się na niesprawiedliwość i znowu posnęli.

Miles nie mógł już zasnąć. Leżał sztywny na swoim sienniku, nasłuchując ciężkiego oddechu Dei. Pym udawał tylko przez grzeczność, że śpi, a tak naprawdę wstrzymywał oddech i nasłuchiwał.

Miles miał właśnie zaproponować sierżantowi, żeby obaj zrezygnowali z tej gry, wyszli na ganek i tam spędzili resztę nocy, kiedy nagle ciszę przeciął ostry skowyt, bardzo głośny, na granicy bólu.

– Konie! – Miles zerwał się na równe nogi, serce biło mu jak szalone. Zdażył się znaleźć na drabinie jeszcze przed Pymem, który jednak wyprzedził swego pana, skacząc od razu na podłogę, i pierwszy stanął przy drzwiach. Tu sierżant, wyćwiczony ochroniarz, starał się zatrzymać zwierznika wewnątrz. Miles o mało go nie uderzył.

– Idź do licha! Mam broń.

Pym, którego dobre intencje zostały tak gwałtownie odrzucone, wybiegł z chaty. Miles deptał mu po piętach. W połowie podwórka odskoczyli od siebie, gdyż z ciemności wyłonił się rżący kształt, pędzący wprost na nich. Gniady wałach znów był na wolności. Z kąta podwórka, gdzie stały spętane konie, dobiegło ich rozpaczliwe rzenie.

– Beksa? – zawołał Miles w panice. To jego ukochana kobyła wydawała dźwięki, jakich Miles nie słyszał od tej nocy, kiedy zbombardowano stajnię w Vorkosigan Surleau, a konie nie mogły się wydostać. – Beksa?

Znowu rzenie, a potem odgłos tępego uderzenia, jakby ktoś rozplątał melon maczetą. Pym zatoczył się do tyłu, z trudem łapiąc powietrze, a potem upadł na ziemię i zwinął się z bólu. Najwyraźniej żył jeszcze, ponieważ między próbami wzięcia głębszego oddechu udawało mu się kwieście przeklinać. Miles przypadł do niego i obmacał czaszkę sierżanta – nie, dzięki Bogu, Beksa uderzyła kopytem w pierś, właśnie to był ten przerażający dźwięk. Sierżant był tylko poturbowany, a w najgorszym razie miał złamane żebro. Miles wiedziony rozsądkiem obszedł konia tak, żeby stanąć do niego przodem.

– Beksa!

Gruba Beksa usiłowała zrzucić z szyi linę i cofnąć się. Znowu zarżała, białka łysnęły w ciemności.

Miles podbiegł do niej.

– Beksa, dziewczynko! O co chodzi? – Lewą ręką przesunął linę do kantaru, a prawą pogłaskał uspokajająco kobyłę po łopatce. Po skórze Grubej Beksy przebiegł dreszcz, ale już się nie wyrывała. Potrząsnęła łbem. Nagle na twarz i pierś Milesa spadło coś gorącego, ciepłego i lepkiego.

– Dea! – krzyknął. – Dea!

Teraz już na pewno nikt nie spał w całym obejściu. Na ganku znalazło się natychmiast sześć osób, z których żadna nie pomyślała o przyniesieniu lampy... chociaż nie, jasny snop zimnego światła rozbłysł między palcami doktora, a Matka Karal też usiłowała zapalić latarnię.

– Dea, chodź tu z tym cholernym światłem! – Miles zamilkł nagle, uświadamiając sobie, że w krzyku podniósł głos co najmniej o oktawę w stosunku do wypracowanego, stonowanego barytonu.

Dea przypędził i wycelował latarką w Milesa. W tej samej chwili jęknął i zbladł jak prześcieradło.

– Panie, czy jesteś ranny? – W świetlnym snopie ciemny płyn, oblepiający Milesa, okazał się czerwony.

– Ja nie – odparł Miles, sam w przerażeniu spoglądając na własną pierś. Nagle poczuł, jak ściska mu się żołądek i przebiega po ciele dreszcz na wspomnienie innego ciała zlanego krwią, ciała sierżanta Bothariego, którego obowiązki przejął Pym, lecz którego nigdy nie mógł zastąpić.

Dea odwrócił się.

– Pym.

– Nic mu nie jest – odpowiedział Miles. Z kępy traw kilka metrów dalej doszło głębokie westchnienie, po którym dało się słyszeć soczystą wiązankę. – Ale kopnął go koń, więc lepiej przynieś swoją apteczkę. – Miles wyłuskał z dłoni Pyma zimne światełko i lekarz pomknął do chaty.

Miles zwrócił światło na Beksę i zaklął. Potężne cięcie, długie na trzydzieści centymetrów i niewiadomej głębokości, znaczyło lśniący grzbiet kobyły. Derka przykrywająca grzbiet nasączona była krwią, która spływała w dół po nodze. Przerażony Miles ściągnął dłońmi krawędzie rany, ale je puścił, bo Gruba Beksa zarżała z bólu. Krew znowu połała się obficie.

Miles pogłaskał chrapy kobyły.

– Spokojnie, malutka. – Ktoś, komu prawie udało się poderżnąć kobyłe gardło, zapłaci za to. Beksa, taka łagodna, rozpieszczona, przyjacielska i ufna Beksa, cofnęła się dopiero wtedy, kiedy nóż mocno zagłębił się w jej ciało.

Gdy znowu zjawił się Dea, Karal pomagał właśnie Pymowi stanąć na nogi. Miles odczekał chwilę, aż lekarz zbada sierżanta, a potem go zawołał:

– Chodź tutaj, Dea!

Zed, równie przerażony jak Miles, pomagał trzymać głowę Beksy, a Dea sprawdzał jej ranę.

– Zdałem wszystkie egzaminy – skarżył się sotto voce Dea podczas pracy. – Pokonałem dwudziestu sześciu innych kandydatów na stanowisko nadwornego lekarza pierwszego ministra. Uczyłem się, co robić w siedemdziesięciu różnych nagłych wypadkach, od zakrzepu krwi po usiłowanie morderstwa. Ale nikt – nikt – nie powiedział mi, że do moich obowiązków będzie należało zszywanie końskiego karku w środku nocy, gdzieś w najdziwniejszych ostępach... – Mimo narzekań robił, co trzeba, więc Miles go nie uciszał, tylko łagodnie głaskał chrapy Beksy i jej szyję, by ułagodzić i uspokoić zwierzę. Wreszcie klacz uspokoiła się i oparła zaśliniony pysk na jego ramieniu.



– Czy koniom aplikuje się znieczulenie? – zapytał Dea ze skargą w głosie, trzymając w dłoni strzykawkę, jakby nie bardzo wiedział, co ma z nią począć.

– Temu tak – oświadczył zdecydowanie Miles. – Będiesz traktował go tak jak człowieka, Dea. To jest ostatnie zwierzę, które układał osobiście hrabia, mój dziad. On też nadał mu imię. A ja widziałem, jak Beksa się rodziła. Uczyliśmy ją wspólnie z dziadkiem. Kazał mi przychodzić do zagrody codziennie, dopóki kobyła nie dorosła. Mój dziadek mawiał, że konie nie zapominają tego, czego się raz nauczyły. Dlatego Beksa zawsze już będzie mnie uważała za wyższego od siebie.

Dea westchnął i zabrał się za przygotowanie zastrzyku, na który składały się: substancja uspokajająca, usmierzająca ból, czyszcząca ranę i antybiotyk. Potem chirurgiczną nicią zeszył brzegi cięcia i założył usztywniającą siatkę. Zed, nadal przestraszony, przez cały czas przytrzymał mu światło.

– Cięcie jest czyste – powiedział Dea – ale uszkodzono mięsień. Nie sądzę, by dało się konia unieruchomić i to w takiej pozycji. Opatrunek musi wystarczyć. Gdyby to był człowiek, zalecałbym odpoczynek.

– Odpocznie – oświadczył zdecydowanym głosem Miles. – Czy nic jej nie będzie?

– Tak przypuszczam. Skąd mam, u diabła, wiedzieć na pewno? – Dea wyglądał na rozgniewanego, ale w dalszym ciągu sprawdzał opatrunek.

– Generał Piotr byłby bardzo zadowolony z twojej pracy – zapewnił go Miles, któremu wydawało się, że słyszy głos przeklinającego dziadka: „Cholerni technokraci. Nie są lepsi niż pierwszy lepszy weterynarz, któremu podarowano masę kosztownych zabawek”. Dziad byłby uszczęśliwiony, że jego słowa stały się ciałem. – Ty... hmm... nigdy nie spotkałeś mego dziada, prawda?

– Odszedł, zanim otrzymałem nominację – powiedział Dea. – Ale oczywiście uczyłem się o jego życiu i kampaniach.

– Oczywiście.

Teraz Pym trzymając światło kuśtykał uwieszony u ramienia Karala, sprawdzając ślady na ziemi. Wałacha złapał najstarszy syn rzecznika, przyprowadził z powrotem i spętał. Konie same rozerwały więzy, nikt ich nie przeciął. Czy tajemniczy napastnik wybrał wierzchowca na chybił trafił, czy też celowo? I w co celował? Czy Beksa miała symbolizować swego pana, a może sprawca wiedział, jak namiętnie Miles kocha to zwierzę? Czy był to akt wandalizmu, oświadczenie polityczne, a może precyzyjnie wymierzone okrucieństwo?

Czy ja ci wyrządziłem jakąś krzywdę? – zapytywał Miles otaczające go ciemności.

– Kimkolwiek byli, już odeszli – złożył raport Pym. – Umknęli z zasięgu skanera, zanim zdołałem złapać oddech. Przepraszam, panie. Niestety, nie zostawili po sobie żadnych śladów.

A musieli mieć przynajmniej nóż. Nóż z ostrzem umazanym we krwi zwierzęcia i znakomitymi odciskami palców. Przydałyby się teraz jak znalazł. Miles westchnął.

Pojawiła się Matka Karal, zajrzała do walizeczki Dei, który pakował swoje narzędzia.

– Wszystko to – mruknęła pod nosem – dla jakiegoś konia...

Miles powstrzymał się w ostatniej chwili przed żarliwą obroną tego szczególnego konia. Jak wielu ludzi z Silvy Vale, cierpiących i umierających z powodu braku tych samych lekarstw i urządzeń, które Dea niósł teraz właśnie w swej walizeczce, widziała Matka Karal?

Miles wrócił na ganek, żeby mieć Bekse na oku. Siedział oparty o ścianę z pistoletem na kolanach i przyglądał się krajobrazowi, który wyłaniał się w świetle poranka. Zdążył już zmienić koszulę i umył się. W chacie Dea bandażował Pyma. Ciemności powoli przeredzały się. Dolinę kryła jeszcze szara mgła, dalekie góry wydawały się być tylko jej gęstszymi kłębowcami. Nad głowami

przejaśniało się, już prześwitywało niebieskie niebo. Kiedy pod wpływem słońca mgła zniknie, nastanie piękny dzień.

Z całą pewnością był już czas wezwać posiłki z Hassadaru. Cała sprawa stała się zbyt parszywa. Jego ochroniarz już nie mógł spełniać swej funkcji, chociaż trzeba przyznać, że urządził go tak własny koń Milesa, a nie tajemniczy przeciwnik. Wprawdzie napaść nie skończyła się tragicznie, ale liczył się zamiar. Być może trzeci zamach wykonany zostanie bardziej fachowo. Ćwiczenie czyni mistrza.

Miles zdawał sobie sprawę, że stan jego nerwów pozostawia wiele do życzenia. Jak mógł pozwolić, żeby atak na konia aż tak bardzo wstrząsnął jego emocjami? Brak umiejętności utrzymania równowagi źle o nim świadczył, a jednak Beksa była z pewnością najbardziej niewinnym stworzeniem, jakie Miles kiedykolwiek znał. W tej chwili przypomniał sobie inną czystą istotę i zadrżał. To było okrutne, panie, okrutne... Pym nie mylił się, w krzakach mogą się w tej chwili czać poplecznicy Csurika.

Do licha, chyba rzeczywiście w krzakach coś się poruszyło – tam... Serce Milesa zamarło. Nastawił pistolet na maksymalną moc i zsunął się bezszelestnie z ganku, czołgał się pod ochroną wysokich traw w miejscach, gdzie nie zostały wieczorem i w nocy stratowane. W chwili gdy z mgły zaczął wylaniać się jakiś kształt, Miles zamarł jak kot na łowach.

Szczupły, młody chłopak, niezbyt wysoki, w workowatych spodniach, jakie nosili tu wszyscy mężczyźni, stał niepewnie przy zagrodzie dla koni, spoglądając przez podwórko na chatę Karala. Tkwił tak bez ruchu prawie dwie minuty. Miles trzymał go na muszce. Jeśli tylko intruz ośmieli się zrobić choć jeden krok w kierunku Beksy...

Chłopak cofnął się, a potem podszedł znowu do przodu, jakby nie był pewny, co powinien teraz zrobić. Wreszcie przykucnął na piętach z oczami nadal wlepionymi w podwórko. Sięgnął po coś do kieszeni kurtki – palce Milesa zacisnęły się na spuście – ale chłopak wyciągnął tylko jabłko i odgryzł kawałek. Chrupnięcie dało się wyraźnie słyszeć, po chwili Milesa doszedł również lekki zapach soku. Chłopak zjadł połówkę jabłka i przerwał, jakby miał kłopoty z przelknięciem. Miles sprawdził dłonią, czy ma przy sobie nóż, ale pochwa była pusta. Musiał go stracić w czasie czołgania. Chrapy Beksy rozszerzyły się, kiedy kobyła zarżała z nadzieją zwrócenia na siebie uwagi chłopaka. Ten podniósł się i podszedł do konia.

Krew zaczęła pulsować w uszach Milesa tak głośno, że zagłuszała wszelkie inne dźwięki. Mocno zaciskał dłoń na pistolecie, aż pobiełały mu kostki palców. Chłopak podał Beksie resztkę jabłka. Koń przełknął, skóra na potężnej szczęce zmarszczyła się, potem Beksa poruszyła zadem, pogrzebała tylnym kopytem i westchnęła głośno. Gdyby Miles nie widział wcześniej, że chłopak sam jadł to jabłko, strzeliłby do niego w jednej chwili. Mogło być zatrute... Przybysz zaczął głaskać grzbiet Beksy, nagle cofnął rękę zaskoczony, kiedy natrafił na opatrunek Dei. Zaniepokojona Beksa potrząsnęła głową. Miles powoli podniósł się na nogi i stanął w wyczekującej pozie. Chłopak podrapał tylko Beksę za uszami, rzucił ostatnie spojrzenie w stronę chaty, wziął głęboki wdech, zrobił krok do przodu i w tym momencie zobaczył Milesa. Obaj zamarli.

– Lem Csurik? – zapytał Miles.

Chwila ciszy, a potem sztywne kiwnięcie głową.

– Lord Vorkosigan? – zapytał chłopak i teraz z kolei skinął Miles.

Csurik przełknął ślinę.

– Panie – głos mu się łamał – czy dotrzymujesz danego słowa?

Brwi Milesa powędrowały w górę. Delikatnie mówiąc był zaskoczony. Ale do diabła, niech będzie.

– Tak. Wchodzisz w to?

– I tak i nie, panie.

– Więc?

– Umowa, panie. Chcę, żeby to była umowa i muszę mieć pańskie słowo.

– Jeśli zabiłeś Rainę...

– Nie, panie. Przysięgam. Nie zrobiłem tego.

– W takim razie nie musisz się mnie lękać.

Lem Csurik skrzywił wargi. Czyżby podawał w wątpliwość słowa hrabiowskiego syna? Jak śmiał kpić z Milesa? Może jednak widział ironię, nie śmieszność?

– Och, panie – westchnął Csurik. – Chciałbym, żeby tak właśnie było. Ale trzeba tego jeszcze dowieść Harze. Ona mi musi uwierzyć – ty ją o tym przekonaj, panie!

– Najpierw ty musisz przekonać mnie. Na szczęście nie będzie to trudne. Chodź ze mną do chaty. Po zażyciu serum prawdy opowiesz wszystko, co wiesz, a wtedy zostanie ogłoszona twoja niewinność.

Csurik potrząsnął głową.

– Dlaczego nie? – zapytał cierpliwie Miles. Wyglądało na to, że ten Csurik okaże się ostatecznie niewinny. A może wyobraża sobie tylko, że jest w stanie pokonać narkotyki. Miles postanowił dać mu jeszcze jakieś trzy, ostatecznie cztery sekundy. Potem, na Boga, oszołomi go gazem, zaciągnie do środka, zwiąże, zanim chłopak dojdzie do siebie i sprawa będzie zakończona jeszcze przed śniadaniem.

– Ten narkotyk... mówią, że nic się przed nim nie ukryje.

– Inaczej nie byłby wcale użyteczny.

Csurik stał przez moment nieporuszony.

– Czy boisz się ujawnienia jakiegoś drobniejszego przestępstwa, które masz na sumieniu? To ma być celem umowy? Uniewinnienie? To... da się zrobić. Chyba że chodzi o inne morderstwo.

– Nie, panie. W życiu nikogo nie zabiłem.

– Więc chyba możemy pójść na taki układ. Jeśli jesteś niewinny, muszę o tym wiedzieć jak najprędzej. Ponieważ to oznacza, że moja praca tutaj nie dobiegła jeszcze końca...

– W tym właśnie problem, panie. – Csurik szurnął nogą, co najwyraźniej pomogło mu powziąć ostateczną decyzję. Spojrzał na Milesa i powiedział: – Pójdę i spróbuję twego narkotyku, panie. I odpowiem na wszystkie pytania na swój temat. Ale musisz mi jedno obiecać, poprzysiąc – że nie zapytasz mnie... o nic innego. O nikogo innego.

– Czy wiesz, kto zabił twoją córkę?

– Nie jestem pewny. – Csurik odrzucił w tył głowę, jakby bronił się przed zarzutem. – Nie widziałem. Mogę jedynie przypuszczać.

– Ja również mam swoje przypuszczenia.

– Tak może być, panie. Tylko nie chcę, by twoje przypuszczenia wyszły z moich ust. To wszystko, o co proszę.

Miles wsadził pistolet do kabury i pomasaował dłonią szczękę.

– Hm. – W kącikach jego ust pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech. – Przyznaję, że byłoby bardziej... elegancko... rozwiązać sprawę tylko za pomocą rozumu i dedukcji, rezygnując z brutalnej siły. Nawet tak delikatnej siły, jaką jest serum prawdy.

Csurik zwiesił głowę.

– Nie wiem, panie, czy to będzie eleganckie. Nie chcę jedynie, żeby wyszło z moich ust.

Miles czuł, że rodzi się w nim decyzja, wyprostował się. Tak. Teraz już wiedział. Pozostawało

mu zrobić te parę kroków i wszystko sprawdzić. Zupełnie jak w matematyce nawigacyjnej piątego stopnia.

– Świetnie. Daję ci słowo Vorkosigana, że ograniczę swe pytania do faktów, których byłeś naczynym świadkiem. Nie będę pytał cię o domniemania na temat innych osób czy wydarzeń, których nie widziałeś. Wystarczy?

Csurik zagryzł wargi.

– Tak, panie. Jeśli dotrzymasz słowa.

– Wypróbuj mnie – zaproponował Miles. Uśmiechnął się chytrze, pozwalając, by do chłopca dotarła świadomość konsekwencji ewentualnej riposty.

Csurik szedł przez podwórko, jakby prowadzony na miejsce egzekucji. Wejściem do domu wzbudzili prawdziwy popłoch wśród rodziny Karala, zebranej przy drewnianym stole, na którym Dea opatrywał Pyma. Tych dwóch patrzyło obojętnie do chwili, kiedy Miles powiedział:

– Doktorze Dea, proszę przygotować serum prawdy. Lem Csurik przyszedł, żeby złożyć zeznanie.

Miles pchnął lekko chłopaka w stronę krzesła. Góral usiadł zaciskając dłonie. Pym, któremu bandaż nie zasłaniał całkiem krwawych zadrapań, wyciągnął pistolet i zeskoczył ze stołu.

Doktor Dea szykując spray, który miał przeniknąć pod skórę, zapytał szeptem:

– Jak tego dokonałeś, panie?

Miles z mimowolnym uśmiechem sięgnął do kieszeni i wyjął kostkę cukru. Dea zachnął się, ale zacisnął usta z niechętnym szacunkiem.

Kiedy lekarz rozpylił spray na przedramieniu, Lem syknął, jakby w oczekiwaniu na ból.

– Policz od dziesięciu wstecz – polecił mu Dea. Zanim Lem doszedł do trzech, był już kompletnie rozluźniony. Przy zerze zachichotał.

– Karal. Matko Karal, Pym, podejdźcie tutaj – polecił Miles. – Wy, chłopcy trzymajcie się z tyłu i bądźcie cicho. I niech nikt mi nie przerywa.

Miles rozpoczął pytania wstępne, mające na celu przygotowanie badanego, wprowadzenie go w rytm odpowiedzi i zapewnienie niezbędnego marginesu czasu, by narkotyk zaczął w pełni działać. Kiwający się na krześle Lem Csurik uśmiechał się idiotycznie i odpowiadał na wszystko z pogodą. Przygotowanie do przesłuchań przy zastosowaniu serum prawdy wchodziło w zakres wojskowego treningu Milesa w Akademii. Co dziwniejsze, narkotyk wydawał się działać całkowicie w zgodzie ze swą renomą.

– Czy wróciłeś do chaty rano, po nocy spędzonej u rodziców?

– Tak, panie. – Lem uśmiechnął się.

– Która to była godzina?

– Środek poranka.

Nikt tutaj nie miał żadnego przyrządu do mierzenia czasu, więc to była prawdopodobnie najbardziej precyzyjna odpowiedź, jaką Miles mógł otrzymać.

– Co zrobiłeś po powrocie?

– Zawołałem Harrę. Ale jej nie było. Przestraszyłem się, że odeszła. Pomyślałem, że może mnie porzuciła. – Lem czknął. – Chcę moją Harrę.

– Później. Czy dziecko spało?

– Tak. Ale obudziło się, kiedy zawołałem Harrę. Znowu zaczęło płakać. Aż dreszcz chodził po krzyżu.

– I co wtedy zrobiłeś?

Lem spojrział szeroko otwartymi, jakby w zdumieniu, oczami.

– Ja nie mam mleka. Ona chciała Harry. Nic nie mogłem dla niej zrobić.

– Czy podniosłeś ją?

– Nie, panie. Pozwoliłem jej leżeć w spokoju. Harra nie pozwalała mi dotykać dziecka, tak się o nie bała. Mówiła, że mogę je upuścić czy coś takiego.

– Nie potrząsałeś dziewczynką, żeby powstrzymać płacz?

– Nie, panie. Pozwoliłem jej leżeć. Wyszedłem na ścieżkę rozejrzeć się za Harrą.

– A potem gdzie poszedłeś?

Lem zamrugał oczami.

– Do mojej siostry. Obiecałem pomóc w ścinaniu drzewa na nową chatę. Bella, moja starsza siostra, wychodzi za męża, więc widzisz panie, ja...

Niezdolność do trzymania się jednego tematu była typową reakcją na narkotyk.

– Dość – powiedział Miles. Lem posłusznie zamilkł, tylko nadal kołysał się na krześle. Miles zastanawiał się nad następnym pytaniem, zbliżał się do obiecanego granicy.

– Czy spotkałeś kogoś na ścieżce? Odpowiedz tak lub nie.

– Tak.

Dea nie skrywał podniecenia.

– Kogo? Zapytaj, panie, kogo spotkał.

Miles podniósł dłoń.

– Teraz możesz już zaaplikować mu neutralizator, doktorze Dea.

– Nie zamierzasz go, panie, zapytać? To może być kluczowa odpowiedź.

– Nie mogę. Dałem mu słowo. Podaj mu lekarstwo, doktorze.

Dea, nie wierząc własnym uszom, przycisnął pojemnik ze sprayem do ramienia Lenia, którego oczy, dotąd na wpół przymknięte, otworzyły się teraz szeroko. Usiadł prosto, pomasował rękę, a potem przesunął dłońmi po twarzy, jakby odpędzając resztki snu.

– Kogo spotkałeś na ścieżce? – zapytał go wprost Dea.

Lem zacisnął wargi i spojrzał na Milesa, jakby oczekując pomocy.

Dea również spojrzał na swego pana.

– Dlaczego nie zapytałeś o to, panie?

– Ponieważ nie muszę o to pytać – odparł Miles. – Świetnie wiem, kogo Lem ujrzał na ścieżce i dlaczego poszedł dalej, i dlaczego już nie wrócił do siebie. Ta osoba zamordowała Rainę. Co wkrótce udowodnię. A ty, Karal i Matko Karal, będziecie świadczyć, że taka informacja nie wyszła z ust Lema. Potwierdźcie.

Karal powoli skinął głową.

– Ja... rozumiem, panie. To było... bardzo wielkodusznie... z twojej strony.

Miles spojrzał rzecznikowi prosto w oczy, a potem uśmiechnął się lekko.

– Kiedy tajemnica wcale nie jest tajemnicą?

Karal poczerwieniał i przez moment nic nie odpowiadał.

– Rób dalej to, co robisz, panie – powiedział wreszcie. Przypuszczam, że nic cię już teraz nie powstrzyma.

– Nie.

Miles wysłał kilkoro obecnych, żeby sprowadzili świadków. Mama Karal udała się w jednym kierunku, Zed w drugim, a rzecznik Karal i jego najstarszy syn w trzecim. W chacie zostali tylko Miles, Lem, Pym i Dea. Mama Karal miała najbliżej, dlatego też najwcześniej wróciła, prowadząc Matkę Csurik i jej dwóch synów.

Matka widząc Lema przyskoczyła do niego, uściskała, a potem spojrzała lękliwie ponad

ramieniem chłopaka na Milesa. Młodszy bracia chcieli się już wycofać, ale drogę zagroził im Pym, który właśnie stanął w drzwiach.

– Wszystko w porządku, mamó. – Lem poklepał staruszkę po plecach. – Albo... przynajmniej ze mną jest wszystko w porządku. Zostałem oczyszczony z zarzutów. Lord Vorkosigan mi uwierzył.

Spojrzała na Milesa rozjaśnionym wzrokiem, nie wypuszczając ręki syna.

– Nie pozwoliłeś podać sobie panu mutantowi tej trucizny, prawda?

– To nie jest trucizna – wtrącił się Miles. – Można powiedzieć, że ten narkotyk uratował twojemu synowi życie, więc właściwie dałoby się go nazwać lekarstwem. Jednakże – odwrócił się w stronę braci Lema i wskazał na nich ręką – chciałbym się dowiedzieć, który z was rzucił wczoraj w nocy na mój namiot pochodnię?

Młodszy zbladł jak ściana, starszy, który już miał zaprzeczyć z oburzeniem takiemu oskarżeniu, zauważył zmianę na twarzy brata i zamknął usta, zanim wykrzyknął słowo obrony.

– Nie zrobiłeś przecież czegoś takiego! – wyszeptał przerażony.

– Nikt – powiedział ten z pobladłą twarzą. – Nikt tego nie zrobił.

Brwi Milesa powędrowały w górę. Zapadła krótka, ciężka cisza.

– No cóż, w takim razie nikt powinien przeprosić rzecznika i Matkę Karal – powiedział Miles – ponieważ to ich synowie spali w namiocie ostatniej nocy. Ja i moi ludzie byliśmy na strychu.

Usta chłopca otworzyły się w przerażeniu. Najmłodszy syn Karala wpatrywał się w kredowobiałą twarz Csurika, swego równolatka. Po chwili powiedział z wyższością w głosie:

– To ty, Dono! Idioto, nie wiedziałeś, że namiot się nie pali? To prawdziwy sprzęt na wyposażeniu służb!

Miles złożył ręce z tyłu i zmierzył młodego Csurika lodowatym wzrokiem.

– Gwoli ścisłości należałoby powiedzieć, że była to próba zamordowania dziedzica waszego pana, a to oznacza zdradę, czyli zbrodnię pierwszego stopnia. A może Dono nie pomyślał o tym?

Chłopiec był w stanie kompletnej paniki. W jego przypadku niepotrzebne było serum prawdy, dzieciak nie umiałby w tej chwili sklecić żadnego porządnego kłamstwa. Teraz Matka Csurik złapała drugą ręką za ramię Doda, nie wypuszczając jednocześnie Lema. Wyglądała jak przerażona kura, która ma zbyt wiele kurcząt i nie potrafi ich zagnać do kurnika przed nadchodzącą burzą.

– Ja nie chciałem cię zabić, panie – wybuchnął Dodo.

– W takim razie, co zamierzałeś zrobić?

– Przyjechałeś, żeby zabić Lema. Ja chciałem... przegnać cię stąd. Przestraszyć cię. Nie pomyślałem, że komuś może się stać jakaś krzywda – przecież to ostatecznie tylko namiot.

– Zakładam, że nigdy nie widziałeś prawdziwego pożaru i jak niewinnie potrafi on się zacząć. A ty, Matko Csurik?

Matka Lema przytaknęła głową, zaciskając mocno usta, najwyraźniej rozerwana między pragnieniem ochrony syna a chęcią sprawienia mu porządnego batów za głupotę, która mogła okazać się śmiertelnie niebezpieczna.

– Mogłeś zabić lub straszliwie okaleczyć trójkę swoich przyjaciół. Pomyśl o tym, proszę. Biorąc pod uwagę twój wiek i wyraźny niedorozwój umysłowy, nie oskarżę cię na razie o zdradę. W zamian oczekuję, że rodzice chłopca i rzecznik Karal będą odpowiedzialni za jego dobre zachowanie w przyszłości. Oni też zdecydują, jaka mu się należy kara.

– A co z pańskim koniem? – zapytał Pym.

– Ja... nie podejrzewam, żeby to któryś z nich dotykał mego konia – odpowiedział wolno Miles. – Rzucenie łuczywa na namiot było aktem czystej głupoty. Zaś tamto... świadczy o zupełnie innej przemyślności.

W tej właśnie chwili wrócił Zed, któremu pozwolono wziąć wierzchowca Pyma. Przywiózł Harrę. Kobieta weszła do chaty rzecznika, ujrawszy Lema zamarła, na jej twarzy malowała się gorycz. Lem stanął przed żoną, pokazując w geście bezradności puste dłonie. Patrzył na nią zranionym wzrokiem.

– A więc złapałeś go, panie – powiedziała Harra. Zaciśnęła szczęki w bezradnym tryumfie.

– Niezupełnie – odparł Miles. – Sam tutaj przyszedł. Złożył oświadczenie po przyjęciu serum prawdy i oczyścił się z zarzutów. Lem nie zabił Rainy.

Harra pokręciła głową.

– Ale widziałam przecież, że był w chacie. Zostawił swoją kurtkę, a zabrał najlepszą piłę. Wrócił, kiedy mnie nie było. Coś musi być nie tak z tym waszym środkiem.

Miles potrząsnął głową.

– Narkotyk działa, jak należy. Twoja dedukcja też była całkiem dobra. Lem rzeczywiście pojawił się w chacie wtedy, gdy ty zbierałaś maliny. Ale kiedy wychodził, Raina jeszcze żyła i płakała, ile sił w płucach. To nie Lem ją zabił.

Zachwiała się.

– W takim razie kto?

– Wydaje mi się, że wiesz. Walczyłaś z całych sił, by zaprzeczyć tej wiedzy i dlatego oskarżyłaś Lema. Dopóki wierzyłaś, że to on, drugą możliwość mogłaś odepchnąć od siebie.

– Ale kogóż jeszcze by to obchodziło? – wykrzyknęła Harra. – Któż by dbał o to?

– Właśnie, któż? – Miles westchnął. Podszedł do frontowego okna i wyjrzał na podwórko. Mgła przerzedzała się i było już całkiem jasno. Konie rżały niespokojnie.

– Doktorze Dea, czy byłbyś łaskaw przygotować drugą dozę serum? – Miles odwrócił się, przeszedł w stronę paleniska, na którym jeszcze żarzyły się rozpalone wieczorem węgle. Przyjemnie było czuć lekkie ciepło na plecach.

Dea rozejrzał się, trzymając już pojemnik ze sprayem w dłoni. Najwyraźniej zastanawiał się, komu powinien go zaaplikować.

– Panie? – zapytał, oczekując wyjaśnień.

– Czyż nie jest to dla ciebie całkiem jasne, doktorze? – zapytał lekkim tonem Miles.

– Nie, mój panie – w głosie pobrzmiwała uraza.

– Ani dla ciebie, Pym?

– Nie... wcale, panie. – Jednak sierżant spoglądał na Harrę i w jej kierunku mierzył z pistoletu.

– Przypuszczam, że to dlatego, iż żaden z was nie spotkał się z moim dziadkiem – stwierdził Miles. – Zmarł rok wcześniej, zanim ty, Pym, wstąpiłeś na służbę do mego ojca. Urodził się pod sam koniec Czasu Izolacji i był świadkiem wszystkich gwałtownych zmian, jakie ten wiek miał do zaofiarowania Barrayarowi. Nazywano go ostatnim ze Starych Vorów, ale tak naprawdę był pierwszym z nowych. Zmieniał się wraz ze zmieniającymi się czasami, zaczynał od układania taktyki dla kawalerii, a skończył na planach strategii dla szwadronów myśliwców. Walczył na miecze, a później musiał stawić czoło atakom nuklearnym i z każdej z tych zmian wyszedł zwycięski. Nasza obecna wolność od okupacji cetagandańskiej jest właśnie miarą umiejętności jego przystosowania i to wielokrotnego. Kiedy był już starym człowiekiem, zarzucano mu konserwatyzm, tylko dlatego, że tak wiele na Barrayarze potoczyło się w kierunku, który sam wskazał, wypróbował, a potem odrzucił.

Zmieniał się i dostosowywał, dał się nieść wiatrom historii. A potem, już jako sędziwego starca – ponieważ mój ojciec, który był jego najmłodszym synem i jedynym pozostałym przy życiu, ożenił się dopiero dobrze w średnim wieku – a więc już jako starca ugodziły go moje narodziny. I jeszcze raz musiał się zmienić, ale nie potrafił.

Kiedy już wiedzieli, jakie będą moje uszkodzenia, błagał moją matkę, żeby zgodziła się na aborcję. Przez pięć lat po moich urodzinach nie utrzymywał stosunków z moimi rodzicami. Nie widywali się, nie rozmawiali ze sobą, nie informowali o niczym. Wszyscy myśleli, że mój ojciec przeprowadził się do rezydencji imperatora, kiedy został regentem, ponieważ marzył o tronie, ale prawdziwym powodem było to, że dziadek wyrzucił go z siedziby Vorkosiganów. Czyż rodzinne kłótnie nie są czasami wprost śmieszne? Byłem dla swoich bliskich krwawiącym wrzodem. – Miles odwrócił się w stronę okna i wyjrzał na zewnątrz. Tak. Nadchodzili.

– Do pogodzenia doszło etapami, kiedy stało się jasne, że nie będzie już żadnego innego syna – ciągnął dalej Miles. – Obyło się bez dramatycznych wydarzeń. Pomógł fakt, że wynaleziono lekarstwo, dzięki któremu mogłem chodzić. Co ważniejsze, przeszedłem pomyślnie testy na inteligencję. Ale przeważało, że nigdy z niczego nie rezygnowałem, a on potrafił to dostrzec.

Nikt nie śmiał przerwać jego monologu, ale z tego jak na niego patrzyli, widział, że istota przemowy umknęła im. Ponieważ Milesowi chodziło również i o to, by czymś wypełnić czas, nie przejął się brakiem zrozumienia. Usłyszeli kroki na ganku. Pym przesunął się cicho w róg pokoju tak, by mieć nie zasłonięte niczym pole strzału.

– Doktorze Dea – powiedział Miles ciągle spoglądając przez okno – czy mógłby pan zaaplikować serum prawdy pierwszej osobie, która tu wejdzie i to w chwili, kiedy tylko stanie w drzwiach?

– Nie czekamy na wolontariusza, panie?

– Nie tym razem.

Otworzyły się drzwi, Dea zrobił krok do przodu, unosząc rękę, spray wydostał się z pojemnika z sykiem. Matka Mattulich rzuciła się na Deę, jej brudna suknia aż zawirowała wokół gruzłowatych kolan. Kobieta wrzasnęła wściekle:

– Jak śmiałeś! – Jej ręka podniosła się do uderzenia, ale w pół drogi straciła rozpęd i lekarz zdążył odskoczyć. Nie mając się na czym oprzeć góralka straciła równowagę i byłaby upadła, gdyby nie wchodzący za nią rzecznik Karal, który złapał ją od tyłu.

– Jak śmiałeś – teraz już tylko jęknęła, a potem odwróciła się i zobaczyła, że w pomieszczeniu czeka na nią nie tylko Dea, ale również inni świadkowie: Matka Csurik, Matka Karal, Lem, Harra, Pym. Zwiesiła ramiona i w tej samej chwili narkotyk zaczął działać. Stała nieruchomo, uśmiech, który pojawił się na jej twarzy, walczył z wyrazem udręki.

Patrzącemu na to Milesowi zrobiło się wprost niedobrze, ale właśnie tego uśmiechu potrzebował.

– Posadźcie ją tutaj, Dea, pomóż rzecznikowi.

Doprowadzili ją do krzesła nie tak dawno zajmowanego przez Lema Csurika. Walczyła rozpaczliwie z narkotykiem, przebłyśki oporu ustępowały sflaczałej bezmyślności. Stopniowo uległość opanowała ją całkowicie, siedziała spokojnie na krześle, uśmiechając się bezradnie. Miles rzucił spojrzenie na Harrę. Stała pobladła, niema, wydawałoby się, że zamieniona w statuetkę.

Jeszcze kilka lat po pojednaniu nigdy nie zostawiano Milesa z dziadkiem bez osobistego strażnika. Sierżant Bothari nosił liberię hrabiego, ale był lojalny tylko w stosunku do chłopca. Jedyne człowiek tak odważny – niektórzy mówili tak szalony – że potrafiłby przeciwstawić się samemu generałowi. Nie ma potrzeby, pomyślał Miles, zdradzać tym ludziom, po jakim to incydencie jego rodzice uznali, że w obecności generała dziecku konieczny jest opiekun i to taki jak sierżant Bothari. Niech nie splamiona reputacja generała Piotra służy teraz Milesowi. Tak jak tamten by tego chciał. Miles poczuł, że zwilgotniały mu oczy.

Lem spuścił głowę.



– Gdybym wiedział... gdybym potrafił przewidzieć... nie zostawiłbym ich samych, panie. Ja myślałem... że matka Harry zajmie się dzieckiem. Ja nie przypuszczałem... nie mogłem... jak...?

Harra nie patrzyła na niego. W tej chwili nie widziała nic.

– Zakończmy to – westchnął Miles. Ponownie formalnie wezwał zebranych ludzi na świadków i ostrzegł przed przerywaniem wypowiedzi osoby pod działaniem narkotyku, ponieważ mogło to wprowadzić zamieszanie. Oblizał wargi i odwrócił się do Matki Mattulich.

Znowu zaczął od standardowych pytań proceduralnych o jej imię, datę urodzenia, imiona rodziców, dane, które łatwo dawało się sprawdzić. Matka Mattulich nie była tak chętna do współpracy jak Lem, odpowiadała urywanymi zdaniami. Wciąż jeszcze walczyła. Miles z trudem panował nad zniecierpliwieniem. Serum prawdy, mimo że łatwe w użyciu, wymagało pewnej biegłości przy prowadzeniu przesłuchania i cierpliwości. Za daleko już doszedł, żeby teraz popełnić błąd. Posuwał się w swych zapytaniach stopniowo, aż doszedł do pierwszego, krytycznego.

– Gdzie byłaś, kiedy urodziła się Raina?

Jej głos był niski, rozmarzony, jakby odpływała gdzieś w dal.

– Rodziła się w nocy. Lem pobiegł po akuszerkę, której syn powinien był przyjść po mnie, ale zaspał. Zjawiłam się tam dopiero rano i było już za późno. Wszyscy zdążyli zobaczyć.

– Co zobaczyć?

– Koci pyszczek, obrzydliwą mutację. Potwora. Trzeba ich wszystkich zniszczyć. Brzydki mały człowiek. – To ostatnie, uświadomił sobie Miles, odnosiło się do niego. Teraz cała jej uwaga skierowała się na niego, jakby przyciągała ją jakaś neodparta siła. – Mutanci rodzą kolejnych mutantów, płodzą się jak robactwo, jest ich coraz więcej i więcej... Widziałam, jak patrzyłeś łakomie na nasze dziewczęta. Chciałbyś zrobić czystej kobiecie dziwoląga, zatruć nas wszystkie...

Nadszedł czas, żeby skierować ją z powrotem do głównego tematu.

– Czy zdarzyło ci się potem być z dzieckiem sam na sam?

– Nie. Jean była zawsze w pobliżu. Jean zna mnie, wiedziała, czego pragnę. Chociaż to przecież nie jej sprawa. I Harra też tam cały czas była. Harra nie może... To ona widać jest zatruta. Trucizna musiała przejść na nią z jej ojca, przecież kładłam się tylko z jej ojcem, a wszystkie były nie takie, jak trzeba, wszystkie poza nią jedną.

Miles spojrział zaskoczony.

– Co było nie takie, jak trzeba?

Zdążył zauważyć, jak Karal zaciska usta. Rzecznik uchwycił spojrzenie Milesa i spuścił wzrok na swoje stopy, jakby wyłączając się ze wszystkiego, co odbywało się w pomieszczeniu. Lem był tak przejęty, że słuchał z otwartymi ustami, pozostali chłopcy wykazywali wyraźne zdenerwowanie.

– Wszystkie moje dzieci – odpowiedziała Matka Mattulich.

Harra spojrzała na nią gwałtownie, szeroko otwartymi oczami.

– Więc Harra nie była twoim jedynym dzieckiem? – zapytał Miles. Usilnie starał się, by jego głos brzmiał nadal spokojnie, chłodno, chociaż chciało mu się krzyczeć. A jeszcze bardziej pragnął uciec z tego miejsca...

– Nie, oczywiście, że nie. Ale myślałam, że przynajmniej ona jest czysta. Tak myślałam, lecz trucizna musiała się w niej chować. Padłam na kolana i dziękowałam Bogu, kiedy urodziła się taka, jak trzeba. Czyste dziecko, po tak wielu innych, po tych strasznych cierpieniach... Uwierzyłam, że wreszcie zostałam wystarczająco ukarana. Była takim ładnym dzieckiem, myślałam, że to się skończyło. Ale widocznie mimo wszystko była mutantem, tyle że ukrytym...

– Ile – wydusił z siebie Miles – miałaś dzieci?

– Czworo, poza Harra, ona była ostatnia.

– I zabiłaś wszystkie czworo? – Miles zauważył, jak Karal przytakuje swoim stopom.

– Nie! – wykrzyknęła Matka Mattulich. Na chwilę poprzez oszołomienie wywołane narkotykiem przebiło się oburzenie. – Dwoje urodziło się już martwe, pierwsze, a potem takie pokręcone. To, które miało za dużo palców u rąk i nóg, i to z wyдутą głową – te zabiłam. Pocięłam na kawałki. Moja matka pilnowała, czy robię wszystko, jak należy. A Harrę za łagodnie traktowałam. Była dla mnie wszystkim.

– Tak więc zamordowałaś nie jedno niemowlę, ale troje? – zapytał Miles lodowatym głosem. Najmłodszy świadek zebrani w pokoju, synowie Karala i bracia Csurika wpatrywali się w winowajczynię przerażeni. Starsi, w wieku Matki Mattulich, którzy musieli być świadkami wypadków, kiedy się one rozgrywały, wyglądali na upokorzonych, dzielili z nią teraz jej wstyd i hańbę. O tak, oni musieli wiedzieć przez cały czas.

– Zamordowałam? – powtórzyła Matka Mattulich. – O nie, ja je pocięłam. Zrobiłam tylko to, co należało. – Wyprostowała się dumnie, ale potem jej ramiona opadły. – Zabijałam moje dzieci, żeby dogodzić, dogodzić... Nie wiem komu. A teraz nazywacie mnie morderczynią? Niech was! Cóż mi teraz po waszej sprawiedliwości? To wtedy byliście mi potrzebni... dlaczego was wtedy nie było? – zupełnie nagle wybuchnęła płaczem, ale natychmiast znowu zaczęła wykrzykiwać z furją: – Jeśli moje musiały umrzeć, to jej także. Dlaczego miało jej się udać? Rozpieściłam ją... tak bardzo się starałam, tak bardzo, to niesprawiedliwe...

Serum prawdy nie wywołuje takiej reakcji... lecz nie, narkotyk działał nadal, uznał Miles, tyle tylko, że emocje kobiety były zbyt silne. Zwiększenie dozy mogłoby je stłumić, ale wtedy nie wydobyłby z niej już żadnych zeznań. Miles czuł, że wewnątrz cały dygoce, chociaż miał nadzieję, że nikt tego nie dostrzeże. Musiał tę sprawę zakończyć jak najprędzej.

– Dlaczego złamałaś Rainie kark, zamiast przeciąć jej gardło?

– Chodziło mi o Harrę, ona nie może o niczym wiedzieć – powiedziała Matka Mattulich. – Biedne dziecko. Chciałam, żeby niemowlę wyglądało, jakby umarło z przyczyn naturalnych...

Miles zerknął na Lema, potem na rzecznika Karala.

– Wygląda na to, że nie tylko ty wzbraniałaś Harze wiedzy o prawdzie.

– Nie chciałem, by padło to z moich ust – powtórzył Lem swoje wcześniejsze słowa.

– Chciałem oszczędzić jej podwójnego bólu, panie – powiedział Karal. – I tak cierpiała...

W tej chwili oczy Milesa napotkały wzrok Harry.

– Myślę, że jej nie docenialiście. Wasza nadmierna opiekuńczość obraża zarówno jej inteligencję, jak i wolę. Ona pochodzi z twardego pnia.

Harra westchnęła głęboko, opanowując drżenie. Skinęła Milesowi głową, jakby mówiąc: „Dziękuję ci, mały człowieku”. Oddała jej równie lekkie skinienie. „Tak, ja rozumiem”.

– Nie jestem jeszcze pewien, gdzie w tym przypadku leży sprawiedliwość – powiedział Miles – ale jedno wam przypiszę, czas zgodnego ukrywania przestępstw skończył się. Koniec sekretnych mordów popełnianych nocą. Nadchodzi dzień. A skoro mówimy o zbrodniach popełnianych pod osłoną nocy – znowu zwrócił się w stronę Matki Mattulich – czy to ty próbowałaś podciąć gardło mojemu koniowi?

– Próbowałam – odparła Matka Mattulich, teraz już spokojniejsza, bardziej oszołomiona narkotykiem – ale ciągle stawał dęba.

– Dlaczego wybrałaś mojego konia? – Miles nie potrafił ukryć rozdrażnienia, chociaż podczas przesłuchania przy zastosowaniu serum prawdy wymagany był spokojny, równy ton.

– Nie mogłam dostać ciebie – odparła po prostu Matka Mattulich.

Miles pomasował czoło.

– Miało ci to zrekompensować, że nie zabito mnie, kiedy się urodziłem? – wymruczał.

– Ty – powiedziała i chociaż była pod działaniem środka, wywołującego euforię, słysząc było w jej głosie nienawiść – ty jesteś najgorszy. Tyle przeszłam, tyle się wycierpiałam, a potem zjawiasz się ty. Mutant, którego ustanowiono naszym panem. Wszystkie zasady zmienione, zdradzone przez słabość kobiety nie z naszego świata. Przez ciebie każdy mój czyn stracił swój sens, swoją wagę. Nienawidzę cię. Nieczysty pomiot... – jej głos zamienił się pod wpływem narkotyku w bełkot.

Miles westchnął głęboko i rozejrzał się po pomieszczeniu. Panowało głębokie milczenie, którego nikt nie śmiał przerwać.

– Uważam – powiedział – że to zamyka śledztwo, jeśli chodzi o fakty w badanej sprawie.

Tajemnica śmierci Rainy została rozwiązana.

Problem wymierzenia sprawiedliwości, niestety, pozostawał otwarty.

Miles poszedł się przejść.

Cmentarz, chociaż był tylko skrawkiem wykarczowanego lasu, w świetle poranka emanował spokojem i pięknem. Strumień szemrał jednostajnie, na wodzie zielone cienie ścigały się z oślepiającymi refleksami. Lekki wietrzyk, który przegonił resztki porannej mgły, szeptał pomiędzy drzewami, wtórowały mu niewielkie żyjątka, uwijające się na ścieżkach pomiędzy zaroślami. Każdy na Barrayarze, poza biologami, nazywał je śpiewającymi żukami.

– Tak więc, Raino – westchnął Miles – co my teraz zrobimy?

Pym zatrzymał się na skraju buszu, nie chcąc przeszkadzać swemu panu.

– Nic nie szkodzi – Miles rzucił uspokajająco w kierunku małego grobu. – Pym widział już wcześniej, jak rozmawiam ze zmarłymi. Może nawet myśli, że jestem szurnięty, ale zbyt dobrze został wytrenowany i nie odważy mi się tego powiedzieć.

Pym rzeczywiście nie wyglądał na uszczęśliwionego. Miles czuł się wręcz winny, że wyciągnął go za sobą z wioski, bo sierżant powinien odzyskiwać teraz siły w łóżku. Lecz Miles rozpaczliwie pragnął samotności. Zresztą cierpienia Pyma tylko częściowo były konsekwencją kopnięcia Beksy. Nie odezwał się ani słowem od chwili, gdy Miles wyciągnął zeznanie z Matki Mattulich. Co wcale nie dziwiło jego pana. Sierżant przyjechał tu z myślą, że czeka go egzekucja na wioskowym osiłku, najwyraźniej zamiana tegoż na szaloną babkę dawała mu wiele do myślenia. Chociaż Miles nie miał wątpliwości, że Pym wykona każdy jego rozkaz.

Miles spacerował po polanie, przyglądając się strumieniowi i grze światła na wodzie. Kopiając od czasu do czasu kamień, rozmyślał nad osobliwościami prawa na Barrayarze. Fundamentalne zasady były jasne; duch stał ponad literą, prawda ponad procedurą. Precedens był traktowany jako podrzędny w stosunku do osądu dokonywanego na miejscu przestępstwa. I to on właśnie był tym człowiekiem na miejscu. Nie mógł się schronić za sztywne regułki, za literę prawa. Jedyne głos w tej sprawie należał do niego.

Komu posłuży śmierć tej na wpół oszalonej, starej kobiety? Harze? Związek między matką a córką został przecięty jak toporem tym, co się wydarzyło. To właśnie Miles zobaczył w ich oczach, ale mimo wszystko Harra nie miała w sobie tyle nienawiści, by pragnąć śmierci matki. Miles był z tego raczej zadowolony. Perspektywa nawoływania do krwawego rewanzu przerażała go. Sprawiedliwość według zasady oko za oko byłaby kiepską nagrodą dla Harry za to, że złożyła raport o śmierci dziecka.

Rainie? Aha. Tu sprawa komplikowała się.

– Chciałbym położyć tę starą wiedźmę tutaj przy twoich nóżkach, mała pani – wyszeptał Miles. – Czy tego pragniesz? Czy jej śmierć coś by ci dała? Co by zadośćuczyniło twojej krzywdzie? – I czy śmierć starej kobiety była tym wielkim pożarem, który Rainie obiecywał?

Jaki werdykt odbijesz echem po całym paśmie gór Dendarii? Czy powinien poświęcić tych ludzi dla jakichś wyższych politycznych celów, niezależnych od ich chęci? A może powinien o nich zapomnieć i wydać wyrok służący tylko tym, których dotyczył bezpośrednio? Z całej siły kopnął kamyk, który potoczył się do strumienia, gdzie stał się jednym z tysięcy kamieni omywanych przez wodę.

Miles odwrócił się i ujrzał rzecznika stojącego na skraju cmentarza. Karal pochylił głowę w powitaniu i ostrożnie zbliżył się.

– No i co, panie? – zapytał.

– Właśnie – odparł Miles.

– Czy doszedłeś do jakichś wniosków?

– Nie bardzo. – Miles rozejrzał się dookoła. – Każdy rodzaj kary, poza karą śmierci, wydaje się... niesprawiedliwością, a jednak... nie widzę, jakiej sprawie miałyby służyć odebranie życia tej kobiecie.

– Ja również nie. Dlatego właśnie robiłem to, co robiłem.

– Nie... – powiedział powoli Miles – nie, tutaj nie miałeś racji. Z jednej strony o mało nie doprowadziłeś do śmierci Lema Csurika. W pewnej chwili byłem gotów wysłać na poszukiwanie wojsko, a to nie skończyłoby się dobrze. Poza tym jego małżeństwo też o mało nie zostało zniszczone. Prawda jest lepsza. Nieco lepsza. Przynajmniej nie jest nieodwracalnym błędem. Z pewnością coś... uda mi się z nią począć.

– Na początku nie wiedziałem, czego się po tobie spodziewać, panie – przyznał Karal.

Miles potrząsnął głową.

– Przybyłem wywołać zmianę. Teraz... sam nie wiem.

Czoło rzecznika Karala zmarszczyło się.

– Ale przecież my się zmieniamy.

– Niewystarczająco. Nie dość szybko.

– Jesteś, panie, jeszcze młody, dlatego nie widzisz jak bardzo i jak szybko. Spójrz na różnicę między Harrą i jej matką. Boże – zobacz różnicę między Matką Mattulich a jej matką. To dopiero była jędza. – Rzecznik aż się wstrząsnął. – Dobrze ją pamiętam. A przecież w swoich czasach nie stanowiła wyjątku. Nawet gdybyś chciał powstrzymać zmiany, to się już nie uda. Kiedy wreszcie zdobędziemy odbiornik energii i komertel, przeszłość zostanie zamknięta. Jak tylko dzieci ujrzą przyszłość – swoją przyszłość, oszaleją na jej punkcie. Już teraz nie obchodzi ich, co myślą tacy jak Matka Mattulich. A ci starzy to wiedzą, nie myśl, że jest inaczej. Jak sądzisz, dlaczego nie mamy w wiosce przynajmniej małego odbiornika? Problem nie w kosztach. Starzy walczą. Nazywają to korupcją spoza planety, ale tak naprawdę to obawiają się przyszłości.

– Jest jeszcze tak wiele do zrobienia.

– O, tak. Po prawdzie jesteśmy zdesperowanymi ludźmi. Ale mamy nadzieję. Myślę, że nawet nie wiesz, panie, ile zdołałaś swoim przyjazdem tutaj.

– Nic nie zdołałem – powiedział z goryczą Miles. – Głównie siedziałem. A teraz, przysięgam, mam zamiar skończyć z tą beczynościami, dopiero potem odjadę do domu. Niech to wszyscy diabli!

Rzecznik Karal zagryzł wargi, przyjrzał się uważnie swoim stopom, a następnie przeniósł wzrok na wysokie góry.

– W każdej minucie swego pobytu dokonujesz czegoś, panie. Lordmutant. Czy myślisz, że jesteś niewidzialny?

Miles uśmiechnął się ponuro.

– Och, Karal, ja jestem człowiek-orkiestra. A nawet cała parada.

– Jest tak właśnie, jak mówisz. Zwykli ludzie potrzebują niezwykłych przykładów. Żeby mogli powiedzieć sobie: no cóż, jeśli on potrafi to zrobić, ja z pewnością też. Nie ma wymówki.

– Żadnej taryfy ulgowej, o tak, znam tę grę. Gram w nią od urodzenia.

– Myślę – powiedział Karal – że Barrayar potrzebuje ciebie. By pozwolić żyć takim jak ty.

– Barrayar, gdyby tylko mógł, pożarłby mnie.

– Tak – zgodził się Karal wpatrzony w horyzont – właśnie tak by zrobił. – Jego spojrzenie wróciło do małego grobu, nad którym stał. – Ale przecież wszystkich nas w końcu kiedyś zje. A ty przeżyjesz starych.

– W końcu lub na początku – Miles wskazał na grób. – Nie mów mi, kogo przeżyję. Powiedz to Rainie.

Karal zgarbił się.

– Prawda. To prawda. Uczyń swój sąd, panie. Będę cię wspierał.

Miles kazał im wszystkim zebrać się na podwórku Karala. Teraz ganek zamienił się w podium. Wnętrze chaty rozgrzanej popołudniowym słońcem byłoby nie do wytrzymania i nie pomieściłoby wszystkich. A zeszła się cała wioska. Rzecznik Karal, Matka Karal, ich synowie, cały klan Csurików, większość znajomków, którzy brali udział poprzedniej nocy w stypie, mężczyźni, kobiety, dzieci. Harra siedziała w pewnym oddaleniu. Podeszedł do niej Lem i próbował trzymać ją za rękę, chociaż widać było, że ona nie chce, by ją dotykał. Matkę Mattulich posadzono u boku Milesa. Pograżoną w ponurym milczeniu kobietę pilnowali Pym i najwyraźniej speszony Alex.

Miles uniósł w górę podbródek, żeby nie zawadzał o krawędź wysokiego kołnierza munduru, wyczyszczonego przez Pyma. Sierżant naprawdę się przyłożył i uniform wyglądał bardzo urzędowo. Mundur służb imperialnych, zdobyty przez Milesa ciężką pracą. Ale czy ci ludzie wiedzieli, że zasłużył sobie na niego, czy raczej wyobrażali sobie, że to tylko prezent od ojca, świadectwo nepotyzmu rodziny? A niech sobie myślą co im się żywnie podoba. On wiedział. Stał przed swoimi ludźmi kurczowo ściskając balustradę ganku.

– Zakończyłem śledztwo w sprawie zamordowania Rainy, którą przed hrabiowski sąd przedłożyła jej matka Harra Csurik. Oświadczam, że morderstwa tego winna jest Mara Mattulich, co potwierdzają dowody, świadkowie, jak i jej własne zeznania. Skręciła ona niemowlęciu kark, a potem usiłowała ukryć przestępstwo. Nawet wtedy, gdy fałszywie oskarżono jej zięcia, Lema Csurika, stawiając go w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ze względu na bezradność ofiary, okrucieństwo metody i samolubną tchórzliwość nie widzę usprawiedliwienia dla tej zbrodni. W dodatku Mara Mattulich przyznała się do dwóch poprzednich dzieciobójstw, popełnionych dwadzieścia lat temu na swoich własnych dzieciach. Zobowiązuję rzecznika Karala do rozgłoszenia tych faktów w całej Silvy Vale, tak by każdy mieszkaniec wioski o nich się dowiedział.

Czuł palące spojrzenie Matki Mattulich wlepione w jego kark. O tak, stara kobieto, możesz sobie mnie nienawidzić. Pogrzebię cię i dobrze o tym wiesz. Przełknął ślinę i mówił dalej. Formalność języka służyła mu za tarczę.

– Za tę niczym nie dającą się złagodzić zbrodnię jedyną odpowiednią karą jest śmierć. I na nią skazuję Marę Mattulich. Ale ze względu na jej wiek i bliskie pokrewieństwo do drugiej w kolejności ofiary tej zbrodni, Harry Csurik, postanawiam wstrzymać wykonanie tego orzeczenia. Na czas nieokreślony. – Kącikiem oka Miles zobaczył, że Pym, bardzo delikatnie i wprost niezauważalnie, odetchnął z ulgą. Harra palcami przeczesowała kosmyki koloru słomy i słuchała dalej z uwagą.

– Ale w obliczu prawa kobieta ta uznana zostaje za nieżywą. Cały jej majątek, nawet ubranie, które ma na grzbiecie, należą od tej chwili do jej córki Harry, która może nimi dysponować zgodnie ze swą wolą. Mara Mattulich nie może posiadać żadnej własności, podpisywać umów, składać skarg

ani wyrażać swej woli w testamencie. Nie wolno jej opuszczać Silvy Vale bez zgody Harry. Harra będzie mieć nad nią władzę jak rodzic nad dzieckiem lub opiekun nad osobą chorą umysłowo. Pod nieobecność Harry ustanawiam jako jej zastępcę rzecznika Karala. Mara Mattulich będzie pod ciągłą obserwacją tak, żeby nie mogła już nigdy wyrządzić krzywdy żadnemu dziecku.

Co więcej, po śmierci pochowana zostanie bez żadnych ceremonii. Nikt, nawet Harra ani żadna inna osoba nie wykona dla niej palenia ofiarnego, kiedy wreszcie pójdzie do piachu. Ponieważ mordowała swoją przyszłość, więc ta przyszłość zada śmierć jej duchowi. Umrze tak, jak umierają bezdzietni, nikt o niej nie będzie pamiętał.

Słumione westchnienie doleciało go od grupy starców zebranych przed Milesem. Po raz pierwszy Mara Mattulich schyliła swój sztywny kark.

Miles wiedział, że niektórzy uznają wymierzoną karę za symboliczną, ale znajdą się i tacy, dla których będzie równa śmierci. Do tych ostatnich na pewno należeli formalisci, którzy nadal traktowali mutację jako karę za grzechy. Ale nawet ci mniej przesądni, Miles widział to po ich twarzach, rozumieli znaczenie wyroku.

Odwrócił się do Matki Mattulich i zniżył głos.

– Każdą sekundę swego życia zawdzięczasz teraz mojej łasce. Każdy kęs chleba miłosierdziu Harry. Przez miłosierdzie i łaskę – których tyś innym poskąpiła – będziesz żyła, choć jesteś już martwa, kobieto.

– Łaski, dziwny panie – jęknęła.

– Trafiałś w samo sedno – wycedził przez zęby. Skłonił się jej z szyderstwem i odwrócił plecami. – Jestem głosem hrabiego Vorkosigana. Na tym kończę swą mowę.

Po ogłoszeniu wyroku Miles wrócił do chaty Karala, gdzie zastał już Harrę i Lenia.

– Mam dla was propozycję – Miles przestał przechadzać się nerwowo i stanął przed nimi. – Możecie ją odrzucić lub zastanowić się nad nią chwilę. Wiem, że jesteście teraz bardzo zmęczeni. – Tak jak my wszyscy, pomyślał. Czy naprawdę jego pobyt w Silvy Vale trwał tylko półtora dnia? Wydawał mu się wiekiem. Głowa bolała go ze zmęczenia. Harra też miała czerwone oczy. – Przede wszystkim, czy umiecie czytać i pisać?

– Trochę – przyznała Harra. – Uczył nas rzecznik Karal i Matka Lannier.

– Dobrze. Nie zaczniecie więc zupełnie od zera. Posłuchajcie. Kilka lat temu w Hassadarze otwarto seminarium nauczycielskie. Nie jest jeszcze bardzo duże, to dopiero początki. Ale istnieje możliwość otrzymania stypendium. Jeśli zgodzicie się przez trzy lata mieszkać w Hassadarze i solidnie się uczyć, otrzymacie jedno, już moja w tym głowa.

– Ja! – wykrzyknęła Harra. – Nie mogę iść do szkoły! Nic nie umiem... prawie.

– Posłuchajcie, nauczyciele zdają sobie sprawę, z kim mają do czynienia w tym okręgu. Organizują wiele dodatkowych kursów. To prawda, że będziecie musieli pracować ciężiej, żeby dotrzymać kroku tym, którzy urodzili się w mieście lub na nizinach. Ale wiem, że macie odwagę, i wiem, że macie wolę. Reszta to tylko uderzanie w mur tak długo, aż runie. Możecie się poranić, lecz cóż z tego. Skoro ja potrafiłem tego dokonać, to przysięgam, że wy także.

Lem, który siedział koło żony, wyglądał na zasmuconego. Znowu sięgnął po jej dłoń.

– Trzy lata – powiedział słabym głosem – z dala od naszej wioski?

– Stypendium szkolne nie jest bardzo wysokie – mówił dalej Miles – ale jeśli dobrze zrozumiałem, Lem zna się na stolarce. W Hassadarze bardzo wiele się teraz buduje. To miasto będzie wkrótce drugie po Vashoi. Jestem pewny, że dostaniesz tam pracę. Razem przetrwacie.

Na twarzy Lema pojawiła się najpierw ulga, lecz za chwilę wróciło zwątpienie.

– Ale oni wszyscy używają narzędzi napędzanych energią... komputerów... robotów...

– Wcale nie. A poza tym nie każdy z nich urodził się z wiedzą, jak ich używać. Jeśli oni mogli się nauczyć, ty także możesz. Poza tym bogaci ludzie słono płacą za pracę ludzkich rąk, ponieważ ich dzieła są niepowtarzalne. Dopilnuję, żebyście poradzili sobie na początku, bo wtedy jest zawsze najtrudniej. Potem wszystko się ułoży.

– Opuścić Silvy Vale... – w głosie Harry czaiło się przerażenie.

– Tylko po to, żeby powrócić. To jest druga część umowy. Mógłbym zarządzić przysłanie do waszej wioski zestawu łączności komertelowej z przenośnym akumulatorem energii, który wytrzyma dwanaście miesięcy. Ktoś będzie musiał pojechać raz na rok do Vorkosigan Surleau, żeby go wymienić, to nie jest wielki problem. Cały zestaw nie będzie kosztował więcej niż... no, nowy ślizgacz. – Taki sam, jak ten lśniący czerwienią, który Miles oglądał trawiony pożądaniem na wystawie w Vorbarr Sultana. Sugerował rodzicom, że to byłby bardzo odpowiedni prezent z okazji ukończenia Akademii. A teraz nietknięty bon kredytowy leżał nadal w górnej szufladzie jego komody w Vorkosigan Surleau.

– To nie jest jakiś wielki projekt, jak zainstalowanie odbiornika mocy dla całej Silvy Vale czy coś w tym guście. Ale pozwoli na to, by holowid odbierał programy edukacyjne nadawane ze stolicy. Umieścicie go w centralnej chacie, dostawicie kilka ławek dla dzieci i w ten sposób powstanie szkoła. Wszystkie dzieci będą musiały do niej uczęszczać, tego już dopilnuje rzecznik Karal, zresztą jak tylko odkryją holowid, najprawdopodobniej będziecie ich siłą wyrzucać do domów. Ja, hm – Miles odchrząknął – myślałem, że moglibyście nazwać ją Szkołą Podstawową imienia Rainy Csurik.

– Och – szepnęła Harra i rozplakała się po raz pierwszy od śmierci dziecka. Zmieszany Lem poklepał ją po ręce. A ona tym razem nie cofnęła dłoni.

– Mogę przysłać nauczyciela z nizin – powiedział Miles. – Znajdę takiego, który zgodzi się na krótki kontrakt, do waszego powrotu. Ale ta osoba nie będzie rozumiała ludzi z Silvy Vale tak jak wy. Nie będzie wiedziała, dlaczego jest tak, jak jest. Wy... wy to wiecie. Wiecie to, czego nie może was nauczyć żaden uniwersytet.

Harra wytarła oczy i spojrzała w górę – nie tak bardzo w górę – tylko na niego.

– Ty, panie, poszedłeś do imperialnej Akademii?

– Tak – wyprostował się gwałtownie.

– W takim razie ja – jej głos trząsł się – podołam... na seminarium nauczycielskim w Hassadarze. – Nazwa zabrzmiała obco w jej ustach. Na razie. – W takim razie... spróbuję.

– Stawiam na ciebie – powiedział. – Na was oboje. Po prostu – przelotny uśmiech pokazał się na jego wargach – wyprostuj się i mów prawdę, co?

Harra spojrzała ze zrozumieniem. Na jej twarzy pojawił się równie słaby uśmiech.

– Tak. Mały człowieku.

Gruba Beksa powróciła następnego poranka do domu drogą powietrzną, w specjalnym luku bagażowym pod opieką sierżanta Pyma. Doktor Dea poleciał razem ze swymi dwoma pacjentami i ze swym nemezis, gniadym wałachem. Powietrznym vanem przylecieli do Silvy Vale kolejny ochroniarz i giermek, żeby towarzyszyć Milesowi w powrotnej drodze do Vorkosigan Surleau na pozostałych dwóch koniach. No cóż, pomyślał Miles, i tak planowaliśmy z kuzynem Ivanem wycieczkę w góry w czasie przepustki. Służącym w liberii był weteran Esterhazy, człowiek wyjątkowo lakoniczny, którego Miles znał właściwie od urodzenia; znakomity towarzysz dla kogoś, kto nie chce rozmawiać, przeciwieństwo Ivana. Właściwie można było zapomnieć o jego obecności. Miles zastanawiał się, czy przydział był przypadkowy, czy raczej świadczył o łaskawości hrabiego. Esterhazy znał się przy tym na koniach.

Na noc rozbili namioty przy różanych krzewach. Kiedy zapadł już zmierzch, Miles poszedł na

spacer w głąb doliny, żeby sprawdzić dokąd ciągnęła się ta anomalia. Kwietna bariera kończyła się po paru kilometrach w górę strumienia, przechodząc w znacznie późniejsze krzewy. Miles zerwał jeden kwiat dzikiej róży, rozejrzał się, czy na pewno Esterhazy'ego nie ma gdzieś w pobliżu i wiedziony ciekawością wgrzył się w płatki. Uznał, że Beksa nie ma czego żałować. Zresztą przedzieranie się przez rosarium nie byłoby dla niej najlepszą kuracją. A więc pozostawały jej osty.

Miles przyglądał się wieczornym cieniom kładącym się nad górami Dendarii, wysokimi, masywnymi i odległymi. Jak maleńkie wydawały się oglądane z powietrza! Zmarszczki na skórze globu, który dałoby się przykryć własną dłonią. Cała ich masa stawała się niedostrzegalna. Co powoduje iluzję, odległość czy bliskość? Odległość, stwierdził Miles. Odległość była cholernym oszustwem. Czy jego ojciec o tym wiedział? Miles podejrzewał, że tak.

Przez chwilę zapragnął poświęcić wszystkie swoje pieniądze, nie tylko kredyt na zakup ślizgacza, i przeznaczyć je na użytek tej wioski, zapomnieć o własnych planach i poświęcić się nauczaniu. Mógłby też zbudować darmową klinikę, dostarczyć energii, a może nawet wszystko naraz. Ale Silvy Vale była tylko jedną z setek społeczności zakopanych w tych górach, jedną z tysięcy na Barrayarze. I właśnie podatki, które płacili ci ludzie, pozwalały utrzymać bardzo elitarną szkołę wojskową, którą dopiero ukończył – jak duży był ich udział w edukacji Milesa? Ile musiałby im dać, by wyrównać rachunki? On sam dzięki treningowi, który przeszedł, stał się bogactwem tej planety.

To, co Bóg zaplanował dla ciebie, twierdziła jego matka, teistka, można wydedukować z talentów, jakie od Niego otrzymałeś. Każdy kolejny stopień w Akademii Miles osiągnął ciężką, morderczą wręcz pracą. Natomiast gry wojenne, polegające na przechytrzeniu przeciwnika, wybieganiu zawsze o jeden krok przed niego, to była czysta radość. Wojna, która zniszczyła jego planetę nie tak dawno temu, nie była grą. I mogła zdarzyć się znowu. Od człowieka wymaga się tego, co potrafi on robić najlepiej. W tym przynajmniej punkcie Bóg najwyraźniej zgadzał się z matką Milesa.

Miles nie dalej niż dwa tygodnie temu złożył przed imperatorem przysięgę oficerską. Jakiż był wtedy dumny ze swych osiągnięć. Wyobrażał sobie, że pozostanie jej wierny zarówno w bitwie jak i torturowany przez wroga, a nawet podczas cynicznych dyskusji z Ivanem, gdy podważali celowość noszenia archaicznych mieczy i obmawiali ludzi, którzy nie chcieli zarzucić tego zwyczaju. Wtedy nie uwierzyłby, że sytuacja, nie wymagająca w ogóle heroizmu, sprawi, iż imperator przestanie być dla niego symbolem Barrayaru.

Pokój z tobą, maleńka pani, zwrócił się w myślach do Rainy. Zdobyłaś pokręconego, biednego, nowoczesnego rycerza, który od dziś będzie nosił twoją barwę. Ale to jest pokręcony, biedny świat, na którym oboje urodziliśmy się, a który odrzuca nas bez litości i bez pytania nas o zgodę. Przynajmniej nie będę walczył dla ciebie z wiatrakami. Moje strzały trafią w pokrętnych oczyszczaczy naszej rasy, a siła impetu zmiecie ich z naszej ziemi...

Teraz już wiedział komu służy. I dlatego nie zrezygnuje. I dlatego musi zwyciężyć.

Przełożyła Dorota Malinowska



# Dwa

– Lepiej ci? – zapytał ostrożnie Illyan.

– Trochę – odparł spokojnie Miles. Czekał. Porafił czekać dłużej niż Illyan, to nie ulegało wątpliwości.

Dowódca służb bezpieczeństwa przysunął krzesło i usadowił się u wezglowia łóżka. Zmierzył Milesa badawczym spojrzeniem i zacisnął usta.

– Panie... wybacz, że ośmieliłem się zakwestionować twoje oświadczenie.

– Należą mi się przeprosiny – przyznał Miles.

– Tak. Dobrze. – Illyan lekko zmarszczył brwi. – Zastanawiam się, Milesie, czy w pełni dotarło do ciebie, iż w twojej sytuacji – syna swojego ojca – ważne jest nie tylko być uczciwym, ale i takie sprawiać wrażenie?

– W sytuacji syna mojego ojca, prawdę mówiąc, nie – oschle powiedział Miles.

– Ha! Może i nie – prychnął z niechęcią Illyan. Zabębnił palcami w poręcz krzesła. – Niech się dzieje, co chce. Hrabia Vorvolk doszukał się dwóch nieścisłości w twoich raportach z tajnych operacji, w których brałeś udział jako najemnik. Dobór załogi – wydawałoby się najprostsze z zadań – pochłonął niewyobrażalne sumy. Rozumiem, że Dagoola niezmiernie tobą wstrząsnęła, ale jak wytłumaczysz ten pierwszy raz?

– Jaki znowu pierwszy raz?

– Wrócili do sprawy Szczeliny Jacksona. Wymyślili sobie, że jeżeli raz udało ci się zatuszować malwersację, postanowiłeś dokonać tego powtórnie w Dagoola.

– Ależ to było prawie dwa lata temu! – zaproponował Miles.

– Ciągle grzebią – powtórzył Illyan. – Węszą jak psy. Nie darują sobie okazji publicznego przygwożdżenia cię do ściany, o ile tylko im się uda. Ja chcę odebrać im młotek. Cholera – zirytował się nagle – nie patrz tak na mnie. Nie decydują tutaj względy osobiste. Gdyby twój ojciec był kimś innym, nie byłoby całej sprawy, wiesz o tym równie dobrze jak oni. Nie powiem, żeby bawiły mnie finansowe opały nietykalnych Vorów.

Miles westchnął.

– Jestem do twojej dyspozycji, sir, jak zawsze. Co chcesz wiedzieć?

– Uzasadnij rachunek za sprzęt do operacji w Szczelinie Jacksona.

– Chyba przedstawiłem to w swoim raporcie – usiłował przypomnieć sobie Miles.

– Przedstawiłeś, owszem. Ale nie wyjaśniłeś.

– Zostawiliśmy połowę dostawy wysokiej klasy ekwipunku w doku na Stacji Fell. Gdybyśmy tego nie zrobili, byłbyś teraz może naukowcem, nawigatorem i, przede wszystkim, podwładnym.

– Tak? – odrzekł Illyan, splatając palce. Odchylił się na krześle. – Dlaczego?

– Ach... to długa historia. I powikłana. – Miles uśmiechnął się mimo woli do swoich wspomnień.

– Czy to pozostanie między nami?

Illyan pochylił głowę. – Jeśli sobie życzysz...

# Labirynt

Miles objął wzrokiem połyskujący na monitorze zarys planety i skrzyżowawszy ręce opanował przyływ mdłości. Szczelina Jacksona, migocząca, zamożna i skorumpowana... Według jej mieszkańców, korupcja stanowiła niezwykle istotny element – jeżeli Galaktyka nagradzałaby cnotę równie sownie jak występki, miejsce to stałoby się celem pielgrzymek. Miles nie był pewien, komu należałoby przydzielić palmę pierwszeństwa, larwie czy ścierwu, które ją wykarmiło. Jednak, gdyby Szczelina Jacksona nie istniała, Galaktyka prawdopodobnie musiałaby ją wymyślić. Mieszkańcy okolicznych planet mogli zasłaniać oczy w udanym przerażeniu, lecz prawda wyglądała tak, że nie pogodziliby się z istnieniem Szczeliny, gdyby w skrytości ducha nie uważali jej za użyteczne pole manewrów gospodarczych, których legalność podlegała jakiegokolwiek dyskusji.

Rzeczywiście, w przypadku owej planety można było mówić o pewnej szczególnej żywotności. Co prawda nie w takim stopniu, jak sto bądź dwieście lat wstecz, kiedy królowała przemoc, a porwania stanowiły swoisty element codziennego życia. Krwiożercze gangi z czasem potworzyły jednak zwarte i odrębne syndykaty o budowie i stabilności niemalże pokrewnych małym strukturom rządowym. Arystokracja krwi wątpliwej czystości. Oczywiście. Miles zastanawiał się, jak długo jeszcze wiodące korporacje będą w stanie zmagać się z nieubłaganiem nadchodzącą falą integracji.

Korporacja Dyne – główna dziedzina: bankowość, pranie brudnych pieniędzy na Szczelinie Jacksona. Fell – handel bronią bez zadawania zbytecznych pytań. Bharaputra – nielegalne badania genetyczne. Z tych gorszych, Ryoval, którego motto brzmiało: „Ucieleśnienie Marzeń”, z pewnością należał do najpodlejszych stręczycieli w historii. Hargraves, paser galaktyczny, pośrednik w kwestiach okupu – dawał im okup i dzięki ich wpływom zakładnicy z reguły powracali żywi. Do tego należało dodać około tuzina pomniejszych syndykatów, rozmaicie powiązanych.

Nawet dla nas jesteście przydatni. Miles dotknął kontrolki i obraz zniknął. Przywołałszy spis ekwipunku bojowego, aby po raz ostatni skontrolować swoją listę zakupów, z hamowanym wstrętem ściągnął wargi. Nieznaczna zmiana wibracji pojazdu oznaczała, że zaczęli wchodzić w orbitę – krążownik „Ariel” osiadł przy Stacji Fell w przeciągu godziny.

Z konsoly zaczął wyłaniać się dysk zawierający pełną informację dotyczącą zamówień na broń. W tym momencie odezwał się brzęczyk u drzwi kabiny.

– Admirał Naismith? – zabrzmiało z góry.

– Wejść. – Wyjął dyskietkę i odchylił się na krześle.

Kapitan Thorne wkroczył niespiesznie do środka i pozdrowił przyjacielsko Milesa.

– Łądujemy za około pół godziny, sir.

– Dziękuję, Bel.

Bel Thorne, dowódca „Ariela”, był betańskim hermafrodytą, androgenicznym potomkiem sięgającego stulecia wstecz genetyczno-socjalnego eksperymentu. Zdaniem Milesa musiało to być przedsięwzięcie w każdym calu tak dziwaczne, jak te, które według plotkarskich doniesień podejmowali za ciężkie pieniądze wyzuci z etyki chirurdzy Ryovala. Mający źródło w betańskim egalitaryzmie eksperyment wymknął się spod kontroli, hermafrodytyzm nie zyskał powszechnego uznania, w związku z czym niefortunne twory tego idealistycznego porywu pozostały mniejszością w hipertolerancyjnej Kolonii Beta. Wyjawszy kilku zbłąkanych wędrowców takich, jak Bel. Jako oficer najemny, Thorne był sumienny, lojalny i gorliwy, a Miles ogromnie go/ją/to – zwyczaj betański nakazywał użycie rodzaju nijakiego – lubił. Jednakże...

Zapach kwiatowych perfum Bela dolatywał aż do jego miejsca. Ów tak właśnie akcentował

żeńskie oblicze swojej osobowości. Czynił to zresztą z rosnącym nasileniem przez całe trzy dni podróży.

Z reguły przybierał styl trudny do zdefiniowania, z tendencjami w kierunku męskiego. Krótkie brązowe włosy, posągowa, pozbawiona zarostu twarz i szarobiały mundur Dendarii, uzupełniane gwałtowną gestykulacją i nie wolnym od zgryźliwości poczuciem humoru. Miles z narastającą troską wyczuwał, że w jego obecności Bel wyraźnie łagodnieje.

Odwróciwszy się w kierunku monitora umieszczonego na konsolecie, Miles ponownie przywołał obraz planety, ku której zmierzali. Z tej odległości wyglądała statecznie, o górzystej powierzchni i stosunkowo chłodnym klimacie. Na równiku, gdzie znajdowały się skupiska ludności, panował zaledwie klimat umiarkowany. Na monitorze wizerunek Szczeliny Jacksona opleciony był koronkową siatką barwnych szlaków satelitarnych, orbitalnych stacji przekazu oraz legalnych dróg dostępu.

– Czy byłeś tutaj kiedykolwiek przedtem, Belu?

– Raz, jako porucznik we flocie admirała Osera – oświadczył najemnik. – Na czele Korporacji Fell stoi obecnie nowy baron. Ich broń nadal cieszy się powodzeniem, o ile tylko wiesz, co kupujesz. Trzymaj się z dala od neutronowych granatów ręcznych.

– Tak. Dla tych z potężnym zamachem. Nie ma obawy, neutronowe granaty nie figurują na naszej liście. – Wręczył Belowi dyskietkę z danymi.

Bel podszedł bliżej i przechylił się przez oparcie krzesła Milesa, aby ją odebrać.

– Czy mam zwolnić załogę na czas załadunku towaru przez służbę barona? A ty? W pobliżu doków stał niegdyś hotel z wygodami; basen, sauna, doskonałe wyżywienie... – Bel zniżył głos. – Mogłabym zamówić dla nas pokój.

– Miałem zamiar udzielić jedynie jednodniowych przepustek – Miles odchrząknął.

– Jestem również kobietą – zaznaczył Bel przytłumionym głosem.

– Oprócz kilku innych rzeczy.

– Jesteś beznadziejnie monoseksualny, Milesie.

– Przykro mi. – Niezgrabnie poklepał dłoń, która dziwnym trafem znalazła się na jego ramieniu.

Prostując się, Bel westchnął.

– Jak i wielu innych.

Miles również westchnął. Może powinien był dosadniej wyrazić swoją odmowę, bowiem już po raz siódmy z kolei Bel prowokował go do podobnej rozmowy. Zaczęło stanowić to swoisty rytuał, prawie, lecz nie do końca, żart. Co jak co, ale Betańczykom nie sposób było odmówić optymizmu czy głupoty. Lub też, jak uczciwie dodał Miles, szczerego uczucia. Wiedział, że gdyby odwrócił się teraz, w oczach hermafrodyty mógłby dostrzec bezgraniczną samotność, której ten nigdy nie dał wyrazu w rozmowie. Nie odwrócił się.

A kimże on był, by móc osądzać innych. On, którego własne ciało nie stanowiło dlań żadnego źródła pociechy? Bel, zdrowy, o słusznym wzroście, choć niecodziennym ułożeniu organów płciowych, cóż takiego widział w niepozornym, niekiedy szalonym półkalece? Zerknął na swój szary mundur oficerski Dendarii. W pełni na niego zasłużył. Jeśli nie możesz mieć siedmiu stóp wzrostu, miej przynajmniej siedem stóp rozumu. Jak dotychczas jednak jego rozsądek nie podsunął mu żadnego stosownego rozwiązania w sprawie Thorna.

– Czy myślałeś kiedykolwiek o powrocie do Kolonii Beta i poszukaniu sobie kogoś w swoim rodzaju? – zapytał Miles.

Thorne wzruszył ramionami. – Nudy. Dlatego właśnie opuściłem to miejsce. Jest tak bezpieczne, tak ciasne.

– Zwróć uwagę jednak, że stwarza idealne warunki do wychowywania dzieci. – Kącik ust Milesa uniósł się do góry.

Thorne uśmiechnął się krzywo. – Jasne. Byłbyś prawie doskonałym Betańczykiem, wiesz o tym? Prawie. Masz akcent, lokalne poczucie humoru...

– Czego więc mi brakuje? – Miles uspokoił się nieco.

Thorne dotknął jego policzka; Miles uchylił się.

– Refleksu. – Zawyrokował Thorne. – Ach.

– Nie wydam cię.

– Wiem o tym.

Bel znowu pochylał się nad nim. – Mogłabym pomóc ci nadrobić to ostatnie niedociągnięcie...

– Daj spokój – Miles zarumienił się lekko. – Mamy zadanie do wykonania.

– Odbiór towaru – stwierdził z pogardą Thorne.

– Chodzi o coś innego – odparł Miles. – To tylko przykrywka.

– Aha – Thorne wyprostował się. – Nareszcie.

– Co: nareszcie?

– Nietrudno zgadnąć. Przyjechaliśmy, aby zakupić broń, ale zamiast wyruszyć transportowcem o największej ładowności, wybrałeś „Ariela”, najszybszego z floty. Nie ma na świecie niczego bardziej monotonna niż odbiór towaru, ale zamiast wysłać wykwalifikowanego kwatermistrza, decydujesz się osobiście sprawować nad tym pieczę.

– Ależ naprawdę zależy mi na zawarciu znajomości z baronem Fell – zaproponował łagodnie Miles. – To największy dostawca broni po tej stronie Kolonii Beta, w dodatku o niebo mniej grymaśny w wyborze klienteli. Jeżeli jakość towaru z pierwszej transakcji będzie zadowalająca, może odtąd stale będziemy się u nich zaopatrywać.

– Jedną czwartą ich broni stanowi produkcja betańska, o odpowiednio zawyżonej cenie – odrzekł Thorne. – Aha.

– I podczas naszego pobytu – podjął Miles – pojawi się pewien mężczyzna w średnim wieku, by dołączyć do najemników Dendarii, jako technik medyczny. Z tą chwilą odwołane zostaną wszystkie przepustki, uporamy się z załadunkiem jak najszybciej i odjeżdżamy.

Na twarz Thorna wpłynął pełen satysfakcji uśmiešek.

– Dezerter. Świetnie. Przypuszczam, że nieźle nam płacą?

– Jeszcze jak. O ile tylko dotrze on cało na miejsce. Tak się składa, że ten człowiek jest głównym genetykiem od badań przeprowadzanych w laboratoriach Bharaputry. Rząd planetarny, zdolny uchronić go od długich rąk ludzi barona Luigi Bharaputry, zaoferował mu azyl. Jego wkrótce były zwierzchnik z pewnością wpadnie w gniew wobec braku wymówienia z miesięcznym wyprzedzeniem. Płacą nam za dowieszenie go żywego do naszych pracodawców, bez, hm, poddawania gruntownym przesłuchaniom dotyczącym sekretów jego fachu. Z uwagi na fakt, że Bharaputra prawdopodobnie byłby w stanie kupić i sprzedać całą flotę najemną Dendarii bez większego uszczerbku dla swoich oszczędności, wolałbym, abyśmy również nie mieli nic do czynienia z ludźmi barona Luigi. Toteż będziemy udawać naiwnych – zwyczajnie wynajęliśmy cholernego technika medycznego, sir. I sami będziemy wściekli, jeżeli ucieknie po tym, jak stawimy się o wyznaczonej godzinie w pobliżu Escobar.

– Według mnie brzmi nieźle – przyznał Thorne. – I nieskomplikowanie.

– Mam nadzieję – westchnął Miles. W końcu dlaczego wszystko nie miałooby przebiec zgodnie z planem, chociaż ten jeden, jedyny raz?

Biura sprzedaży i ekspozycje śmiertelnych wyrobów Korporacji mieściły się niedaleko

doku. Dzięki temu większość pomniejszych kontrahentów nigdy nie zapuszczała się w głąb Stacji Fell. Jednak wkrótce po tym, jak Miles wraz z Thornem złożyli swoje zamówienie – czyli mniej więcej po upływie czasu niezbędnego dla potwierdzenia listu kredytowego – nadszedł sługa odziany w jedwabny mundur Korporacji i do ręki admirała Naismitha przytwierdził zaproszenie do osobistej siedziby barona.

Cztery godziny później, okazując przepustkę majordomusowi barona u hermetycznie zamkniętych wrót do prywatnego sektora Stacji, Miles dokonał pośpiesznych oględzin siebie i swojego towarzysza. Na odświętny mundur składała się szara, biało oblamowana aksamitna bluza ze srebrnymi guzikami na ramionach, szare spodnie z biegnącą z boku lamówką oraz szare buty z syntetycznego zamszu – a że odrobinę damski fason? Cóż, nie on go zaprojektował. Zresztą, da się wytrzymać.

Przedsiomek prywatnego sektora prezentował się nadzwyczaj interesująco. Podczas gdy majordomus sprawdzał, czy nie mają przy sobie broni, Miles bacznie rejestrował szczegóły otoczenia. Systemy podtrzymujące życie – a ściślej wszystkie systemy – funkcjonowały niezależnie od pozostałej części stacji. Pozwalało to nie tylko odgrodzić teren od reszty świata, ale i całkowicie go odłączyć. Po prostu był to regularny statek kosmiczny – Miles dałby głowę, iż całe otoczenie jeżyło się od broni i wszędzie zostały zainstalowane silniki. Jednak samodzielna penetracja terenu mogłaby okazać się fatalna w skutkach. Majordomus wprowadził ich do środka, uprzednio przekazując informację do nadajnika umieszczonego na jednym z jego nadgarstków: „Admirał Miles Naismith, dowódca Wolnej Najemnej Floty Dendarii. Kapitan Bel Thorne, głównodowodzący krążownika Ariel”. Miles zastanawiał się do czyich uszu kierował owe słowa.

Sala przyjęć była przestronna i doskonale urządzona, z ruchomymi schodami, które mieniły się barwami tęczy, i płaszczyznami tworzącymi odosobnione nisze bez naruszania złudzenia otwartej przestrzeni. Przy każdym wyjściu (Miles naliczył sześć) postawiono ubranego na zielono strażnika, mającego udawać zwykłego sługę. Jedna ze ścian stanowiła przyprowadzający o zawrót głowy taras, wychodzący na ruchliwy port Stacji Fell. Nad portem widniał błyszczący zarys Szczeliny Jacksona przecinającej obsypany gwiazdami horyzont.

Grupka szykownych kobiet obleczonych w zielone jedwabne sari wmieszała się między gości, roznosząc przekąski i napoje.

Szary aksamit, uznał Miles rzuciwszy okiem na pozostałych gości, stanowił idealny wybór na tę okazję. Ubrani weń bez trudu wtopią się w ściany. Rozproszone gdzieś tam małe grupy pozostałych uprzywilejowanych gości prezentowały chyba wszystkie obowiązujące trendy. Ich członkowie jednak wykazywali daleko posuniętą ostrożność i ściśle trzymali się własnego grona. Partyzanci, jak się wydawało, nie rozmawiali z najemnikami, ani przemytnicy z rebeliantami, natomiast święci gnostycy, naturalnie, rozmawiali wyłącznie z Jedynym Prawdziwym Bogiem, być może czyniąc wyjątek dla barona Fell.

– Na którymś przyjęciu – skomentował Bel – poszedłem na przedstawienie z oswojonymi zwierzętami, gdzie panowała atmosfera zupełnie jak tutaj. Punkt kulminacyjny nastąpił, kiedy zgubiła się czyjaś tau cetańska jaszczurka paciorkowata i pożarła najzdolniejszy egzemplarz z psiej sekcji.

– Cicho. – Miles uśmiechnął się kątem ust. – Tu chodzi o interesy.

Spowita w zieleń kobieta skłoniła się przed nimi i podsunęła tacę.

Zerkając na Milesa, Thorne uniósł brew. – Czy my...?

– A dlaczego nie? – mruknął Miles. – W końcu za to płacimy. Nie sądzę, aby baron zamierzał wytruć swoją klientelę, to nie służyłoby jego interesom. Teraz króluje biznes. Po kapitalizmie laissez-faire nie pozostało ani śladu.

Wybrał różowy koreczek w kształcie kwiatu lotosu i tajemniczy mętnawy napój. Thorne natychmiast podążył w jego ślady. Niestety, różowy lotos był po prostu kawałkiem surowej ryby i za każdym kęsem nieprzyjemnie zgrzytał o zęby. Pełen poświęcenia Miles przełknął go z trudem. Napój okazał się wysokoprocentowy; chcąc popić lotos, Miles pociągnął jeden łyk i z żalem odstawił szklankę. Jego wątły organizm nie tolerował alkoholu; poza tym nie chciał stanąć twarzą w twarz z baronem Fell w półletargu lub chichocząc w sposób nie kontrolowany. Obdarzony lepszą przemianą materii Thorne mógł sobie pozwolić na więcej.

Napłynęła fala niezwykle dźwięków. Miles nie był w stanie rozpoznać instrumentu – czy też instrumentów. Wymienili z Thornem spojrzenia i ruszyli w kierunku, skąd dochodziła muzyka. Obok kręconych schodów wspieranych splotem stacji, planet i gwiazd, odnaleźli źródło muzyki. Oczy Milesa rozszerzyły się. Tym razem chirurdzy Ryovala posunęli się za daleko...

Małeńkie, mieniące się kolorowo iskierki zakreślały pole sferyczne wypełnionej powietrzem kuli. Wewnątrz niej płynnie unosiła się kobieta. Kiedy grała, jej ramiona o barwie kości słoniowej wyraźnie odcinały się na tle zielonej jedwabnej szaty. Dwie pary ramion... Miała na sobie leżące, przepasane paskiem kimono i krótkie spodnie, z których w miejscu, gdzie powinny znajdować się nogi, wyłaniała się druga para rąk. Jej włosy były krótkie i miękkie, o barwie głębokiej czerni. Przymknęła oczy, a uróżowiona twarz przybrała wyraz anielskiego natchnienia, niemal przerażającego w swoim oddaleniu.

Tuż przed nią kołysał się dziwaczny instrument; płaska lśniaca rama z drewna, z górą i dołem złączonymi wieloma połyskliwymi strunami oraz płytą rezonansową pośrodku. W zawrotnym tempie uderzała z obu stron naraz w struny za pomocą czterech młoteczków, na przemian górną bądź dolną parą ramion, dobywając kaskadę dźwięków.

– Dobry Boże – powiedział Thorne. – Przecież to quaddie.

– Co takiego?

– Quaddie. Zawędrowała daleko od domu.

– A więc... nie jest tutejszym tworem?

– Ależ skąd.

– To dobrze. Skąd więc, u licha, pochodzi?

– Mniej więcej dwieście lat temu, w czasie kiedy stworzono hermafrodytów – twarz Thorna przeciął szyderczy grymas – w przededniu rozwoju badań nad replikatorem macicznym nastąpiła fala eksperymentów genetycznych na ludziach. Wkrótce potem usankcjonowano wiele praw mających na celu ukrócenie tej działalności. Naukowcy jednak w dalszym ciągu łudzili się, iż są w stanie stworzyć rasę niezależnych osobników. Wówczas nadeszły czasy sztucznej grawitacji, która wyparła ich z rynku. Czwororamienni rozproszyli się – ich potomkowie znaleźli azyl z dala od reszty świata, na Nexus, szmat drogi od Ziemi. Podobno mają w zwyczaju trzymać się razem. Ta, po tej stronie Ziemi, stanowi jakiś szczególny przypadek. Teraz cicho – Thorne słuchał z rozchylonymi ustami.

Przypadek równie szczególny, co betański hermafrodyta w Wolnej Najemnej Flocie, pomyślał Miles. Lecz muzyka zasługiwała na niepodzielną uwagę, chociaż niewielu spośród dziwaczego tłumu zdawało się nią interesować. Szkoda. Miles nie znał się na muzyce, ale nawet on był w stanie wyczuć intensywność pasji, która wykraczając poza zwykły talent, przydawała grającej niewątpliwych cech geniusza. Dźwięki zdawały się splecione z czasem, i przelotne jak on wymykały się odbiorcy, zapadając jednak głęboko w pamięć.

Potok muzyki ustał, pozostawiając przejmujące echo. Zapadła cisza. Niebieskie oczy czwororamiennej otworzyły się i jej natchniona twarz na powrót przybrała ludzki wygląd, zastygając w wyrazie melancholii.

– Ach – westchnął Thorne i wsadziwszy pustą szklankę pod pachę, uniósł ręce do oklasków, po czym zawahał się niepewny, czy powinien zwracać na siebie uwagę w sali wypełnionej obojętnymi słuchaczami.

Miles stanowczo był za tym, aby się nie wyróżniać.

– Może z nią porozmawiasz? – zaproponował.

– Tak myślisz? – Rozpromieniony Thorne ruszył do przodu, pochylił się, by postawić szklankę i rozkładając ręce postąpił ku migoczącej kuli. Na jego twarz wpłynął pełen zachwytu przymilny uśmiech. – Uch... – Piers Thorna uniosła się i znów opadła.

Dobry Boże, Bel, nie wiesz co powiedzieć? Nigdy nie przypuszczałem, że przyjdzie mi to ujrzeć. – Zapytaj ją, jak się nazywa ten instrument – podsunął uczynnie Miles.

Czwororamienna z zaciekawieniem pochyliła głowę i przepłynawszy z gracją nad swoim instrumentem, pochyliła się ku Thornowi, patrząc na niego zza połyskliwej przegrody.

– Jak nazywa się ten niezwykle instrument? – podchwycił Thorne.

– To obustronne cymbały, pani – sir... – jej usłużno-zdawkowy głos zawahał się przez chwilę z obawy przed obrażeniem gościa. – Oficerze.

– Kapitan Bel Thorne – oznajmił Bel, powoli odzyskując swój zwykły stan równowagi. – Głównodowodzący dendariańskiego krążownika „Ariel”. Do usług. Jakim sposobem się tu znalazłaś?

– Dzięki ciężkiej pracy. Szukałam zajęcia i znalazłam je u barona Fell. – Gwałtownie podniosła głowę, chcąc jak gdyby odeprzeć utajoną krytykę, choć Bel nic nie dał po sobie poznać.

– Czy jesteś prawdziwą quaddie?

– Słyszałeś o nas? – z zaskoczeniem uniosła ciemne brwi. – Większość napotykanych tutaj ludzi uważa mnie za wyprodukowane dziwadło – w jej głosie zabrzmiała zjadliwa, pełna goryczy nuta.

Thorne odchrząknął.

– Sam jestem Betańczykiem. Śledziłem dzieje wczesnej eksplozji genetycznej, z raczej osobistych względów. Odchrząknął raz jeszcze. – Rozumiesz, betańskim hermafrodytą – z obawą czekał na jej reakcję.

No proszę. Nigdy nie dbał o reakcje swoich rozmówców, twardo brnąc do przodu i nie czekając na rozwój akcji. Nie będę się w to mieszał choćby nie wiem co. Miles cofnął się nieznacznie pocierając usta, by ukryć uśmiech na widok epatującego teraz męskim czarem Bela.

Spojrzała nań z zainteresowaniem i jedną z górnej pary rąk złożyła na dzielącej ich migotliwej barierze, niedaleko dłoni Bela.

– Naprawdę? Zatem dzielimy podobny los.

– O, tak. Powiedz, jak się nazywasz?

– Nicol.

– Nicol. I tyle? To znaczy... prześliczne imię.

– Nie używamy nazwisk.

– Ach. A, hm, jakie masz plany na później? Tutaj, niestety, ingerencja okazała się nieodzowna.

– Uwaga, kapitanie – mruknął Miles. Oprzytomniawszy natychmiast, Bel podążył za jego spojrzeniem. Na widok zbliżającego się mężczyzny quaddie odpląnęła od przegrody i pochyliwszy głowę nad złożonymi dłońmi, zamarła. Miles również uprzejmie zwrócił się w kierunku nowo przybyłego.

Zważywszy na fakt, że swoje stanowisko piastował od niedawna, Georish Stauber, baron Fell okazał się człowiekiem w nadspodziewanie podeszłym wieku. Wydawał się starszy niż na zdjęciach oglądanych w trakcie przygotowań do misji. Był tłusty i jowialny, z wianuszkami białych włosów okalającym lśniącą łysinę. Sprawiał wrażenie dobrodusznego dziadka. W żaden sposób nie

przypominał dziada Milesa; ten pozostał chudy i drapieżny do końca swoich dni. Poza tym, tytuł starego hrabiego był autentyczny, w przeciwieństwie do miana, którym cieszył się rozbitek Syndykatu. Jego dobronurzy wygląd był złudny; Miles przypomniał sobie, że baron Fell dotarł na szczyt po stosie trupów.

– Admirale Naismith, kapitanie Thorne. Witajcie na Stacji Fell – zagrział z uśmiechem baron.

Miles skłonił się dwornie. Thorne nieudolnie poszedł w jego ślady. Następnym razem będzie musiał skopiować tę nieudolność. Takie drobiazgi uwiarygodniały przybraną tożsamość. Lub też sprawiały, że legła w gruzach.

– Czy moi ludzie troszczą się o was jak należy?

– Owszem, dziękujemy. – Jak na razie, nieskazitelny wizerunek człowieka interesu.

– Tak się cieszę, że wreszcie mogłem pana poznać – ciągnął baron. – Wiele tu o panu słyszeliśmy.

– Czyżby? – odparł zachęcająco Miles. Odniósł wrażenie, że w oczach barona widzi przyczajoną zachłanność. Coś się tak uczeplił małego, nic nie znaczącego najemnika, co? Poświęcał im więcej uwagi niż było przyjęte nawet wobec ważniejszej klienteli. Miles baczył, aby odwzajemniany baronowi uśmiech nie odzwierciedlił ogarniającej go podejrzliwości. Cierpliwości. Pozwól, niech jawnie cię sprowokuje, nie śpiesz mocować się z tym, czegoś jeszcze nie zobaczył. – Mam nadzieję, że same dobre rzeczy.

– Znakomite rzeczy. Rozwój pańskiej kariery był równie szybki, jak tajemnicze jest pańskie pochodzenie.

Jakaż pułapka za tym się kryła? Czy baron dawał mu do zrozumienia, iż świadomy był prawdziwej tożsamości „admirala Naismitha”? To mogło pociągać za sobą nagłe i niebagatelne kłopoty. Nie – strach wyprzedził przyczynę. Czekaj. Zapomnij, że osoba zwana mianem porucznika lorda Vorkosigana kiedykolwiek znajdowała się w tej skórze. W żaden sposób nie dałaby rady pomieścić nas obu, chłopcze. Ale wobec tego dlaczego ten tłusty rekin tak się znacząco uśmiecha? Miles obojętnie podniósł głowę.

– Echa sukcesu waszej floty pod Vervain dotarły nawet do nas. Szkoda poprzedniego dowódcy.

Miles zeszywniał.

– Nie mogę odżałować śmierci admirała Osera.

Baron wzruszył ramionami. – Historie takie, jak ta są w świecie biznesu na porządku dziennym. Tylko jeden może sprawować władzę.

– Mógł być doskonałym podwładnym.

– Duma jest niebezpieczna – uśmiechnął się baron. Rzeczywiście. Miles ugryzł się w język. A więc on uważa, że to ja „zaaranżowałem” śmierć Osera. Niech i tak będzie. To, że w sali przebywał jeden najemnik mniej, niż się wydawało, że poprzez Milesa Dendarianie stanowili przedłużenie Cesarskiej Służby Bezpieczeństwa, co było tak zatuszowane, że większość z nich nie zdawała sobie nawet z tego sprawy... baron Syndykatu, który nie potrafiłby wyciągnąć z tych informacji odpowiednich korzyści byłby do niczego.

– Ciekawi mnie pan w najwyższym stopniu – podjął baron. – Weźmy na przykład pański wiek: to dopiero łamigłówa. Tak jak i pańska wcześniejsza kariera wojskowa.

Gdyby Miles zachował swój napój, opróżniłby teraz szklanek jednym haustem. Zamiast tego gorączkowo zacisnął ręce za plecami. Wryte przez ból bruzdy niewystarczająco postarzały jego twarz. Zupełnie jakby baron przejrzał na wylot fałszywego najemnika i dostrzegł w nim dwudziestotrzyletniego porucznika Cesarskiej Służby Bezpieczeństwa. A przecież zazwyczaj mu się udawało.



Baron zniżył głos.

– Czy krążące o was plotki również nie mijają się z prawdą w związku z betańską kuracją odmładzającą?

A więc do tego zmierzał. Miles osłabł z ulgi.

– A jaki interes wy byście w tym mieli, panie? – zająknął się z lekka. – Sądziłem, że Szczelina Jacksona jest ojczyzną nieśmiertelności. Mówią, że żyją tutaj ludzie o ciałach klonowanych trzykrotnie.

– Ja do nich nie należę – stwierdził cokolwiek z żalem baron.

Miles uniósł brwi w nie udawanym zaskoczeniu. Ten człowiek chyba nie uważał owego procesu za morderstwo.

– Jakaś niefortunna przeszkoda natury medycznej? – zapytał przybierając ton uprzejmego współczucia. – Wyrazy ubolewania, sir.

– W pewnym sensie. – Uśmiech barona zaostrzył się. – Sama transplantacja mózgu pociąga za sobą śmierć iluś procent pacjentów.

Tak, pomyślał Miles, począwszy od stu procent klonów, których mózgi zostają wymiecione do czysta, aby zrobić miejsce...

– Z kolei jeszcze inni spośród nich doznają nieodwracalnego uszkodzenia mózgu. W obliczu takiej nagrody każdy musi ponieść ryzyko.

– Za to nagroda jest warta świeczki.

– Jednak istnieje pewna grupa pacjentów nie dająca się odróżnić od tej pierwszej, których śmierć na stole operacyjnym nie jest dziełem przypadku. O ile ich przeciwnicy wykażą dostateczną zręczność i spryt, by to zaaranżować. Mam wielu wrogów, admirałe Naismith.

Miles spojrzał z niedowierzaniem i starał się okazywać głębokie zainteresowanie.

– Swoje aktualne szansę na przeżycie transplantacji szacuję na nieco poniżej przeciętnej – podjął baron. – W związku z tym chciałbym poznać inne możliwości. – Zamarł w oczekiwaniu.

– Och – odparł Miles. Och, w rzeczy samej. Oglądał swoje paznokcie, myśląc przy tym intensywnie. – Prawda, kiedyś brałem udział w pewnym... nie autoryzowanym doświadczeniu. Oczywiście przedwczesnym, zbyt szybko przeniesionym ze zwierząt na ludzi. Nie powiodło się.

– Czyżby? – Baron miał wątpliwości. – Nie wydaje się, aby cokolwiek panu dolegało.

Miles wzruszył ramionami.

– Tak, nastąpiły pewne korzystne zmiany dla mięśni, kolorytu cery, włosów. Ale moje kości są kruche niczym kości starca.

– To prawda. – Ulegają dotkliwym stanom zapalnym; bywają dni, kiedy bez leku nie ujdę kroku. – Do ciała, to również prawda. Rokowania, jeśli chodzi o długość mojego życia, nie są pomyślne. – Zwłaszcza gdyby pewne osoby dowiedziały się, kim naprawdę jest „Admirał Naismith”. Wówczas koniec nastąpiłby w ciągu kwadransa. – Tak więc, obawiam się, że jeżeli nie chce pan doświadczyć bólu i stać się kaleką, muszę stanowczo odradzić tę procedurę. Baron zmierzył go od stóp do głów przeciągłym spojrzeniem. Jego twarz aż się wydłużyła z powodu doznanego rozczarowania.

– Rozumiem.

Bel Thorne, który doskonale wiedział, iż wspomniana „betańska kuracja odmładzająca” była najczystszy wymysłem, przysłuchiwał się rozmowie ze starannie skrywanym rozbawieniem, zachowując poważną minę. Dzięki mu za to.

– No tak, ale – nie ustępował baron – pański... znajomy naukowiec mógł na przestrzeni lat udoskonalić swoją metodę.

– Niestety nie – odparł Miles. – Umarł. – Rozłożył bezradnie ręce. – Starość.

– Och! – Baron opuścił ramiona.

– A, tutaj jesteś, Fell – z boku zabrzmiał znieczeka czyjś głos. Baron wyprostował się i odwrócił w tamtą stronę.

Mężczyzna, który go zawołał, ubrany był równie tradycyjnie, jak Fell; towarzyszył mu milczący sługa, ze słowem „ochroniarz” wręcz wypisanym na czole. Nie miał przy sobie broni i odziany był w mundur składający się z czerwonej jedwabnej tuniki z wysokim kołnierzem i luźnych czarnych spodni. Poza ludźmi Fella nikt na Stacji nie nosił broni. Panowały tu ściśle określone przepisy, dotyczące jej użycia; ze wszystkich znanych Milesowi, te egzekwowane były najsurowiej. Liczne zgrubienia widniejące na smukłych dłoniach strażnika świadczyły o tym, że prawdopodobnie mógł doskonale obejść się bez broni. Jego oczy pałały niezdrowym blaskiem, nie potrafił opanować lekkiego drżenia rąk; znajdował się w stanie ciągłej gotowości generowanej za pomocą sztucznych środków. Na rozkaz atakował z zawrotną szybkością i ze zwiększoną, dzięki adrenalinie, siłą. Nie przyjdzie mu długo pełnić służby; wystąpi z niej w młodym wieku, z metabolizmem zrujnowanym na całą resztę swojego krótkiego życia.

Strzeżony przez niego mężczyzna także był młody – syn jakiegoś wielmoży? pomyślał Miles. Jego lśniące czarne włosy splecione były w kunsztowny warkocz, miał gładką oliwkową cerę i garbaty nos. Nie mógł być starszy od Milesa, jednak nosił się w sposób właściwy ludziom dojrzałym.

– Ryoval – baron Fell skinął mu w odpowiedzi niczym równemu sobie, nie młodzieńcowi. Cały czas grając rolę wzorowego gospodarza, dodał: – Oficerowie, pozwólcie, że przedstawię wam Ryovala, barona Korporacji Ryoval. Admirał Naismith, kapitan Thorne. Należą do załogi krążownika illyrikańskiej produkcji stojącego w doku. Przypuszczam, że nie umknął on twojej uwadze.

– Obawiam się, że jestem pozbawiony twojej spostrzegawczości, jeżeli chodzi o żelastwo, Georish. – Baron Ryoval skinął im głową gestem człowieka wykazującego się uprzejmością w stosunku do podwładnych wyłącznie dla zasady. Miles niezgrabnie odwzajemnił ukłon.

Ryoval w ogóle nie zwracał na niego uwagi. Stał założywszy ręce na biodra i bacznie przyglądał się mieszkanke kuli.

– Mój agent nie przesadził w opisach jej wdzięku.

Fell uśmiechnął się kwaśno. Wraz z nadejściem Ryovala Nicol cofnęła się – uciekła – za swój instrument i pilnie zajęła się jego strojeniem. Udawała, że to robi. Rzuciwszy Ryovalowi niespokojne spojrzenie, powróciła do swojej czynności, jak gdyby w nadziei, że instrument wzniesie pomiędzy nimi jakąś magiczną zaporę.

– Czy mógłbyś kazać jej zagrać? – zaczął Ryoval i urwał na dźwięk dochodzący z umieszczonego na nadgarstku nadajnika.

– Przepraszam, Georish. – Zirytowany stanął do nich bokiem. – Ryoval – powiedział do nadajnika. – Lepiej, żeby to było ważne.

– Tak, panie – odpowiedział mu cienki głos. – Tu menedżer Deem z działu sprzedaży i wystaw. Mamy kłopot. Stworzenie, które sprzedał nam Bharaputra, zaatakowało klienta.

Nieskazitelną zarys ust Ryovala zniekształciło bezgłośnie przekleństwo.

– Uprzedzałem, żebyście przykuli je łańcuchem.

– Tak było, panie. Łańcuchy wytrzymały, ale wyrwała sworznie ze ściany.

– Obezwładnijcie ją.

– Już to zrobiliśmy.

– A więc ukarżcie ją odpowiednio, kiedy dojdzie do siebie. Przez dostatecznie długą głodówkę

powinna oduczyć się agresji. Jej przemiana materii jest niewiarygodna.

– A co z klientem?

– Zapewnijcie mi, o cokolwiek poprosi. Na koszt firmy.

– Nie... nie sądzę, aby był w stanie to docenić, przynajmniej przez pewien czas. Przebywa w klinice. Nadal nie odzyskał przytomności.

Ryoval syknął.

– Wezwijcie mojego medyka, niech się o niego zatroszczy. Resztą zajmę się po powrocie, czyli za około sześć godzin. Bez odbioru. – Gwałtownie wyłączył nadajnik. – Durnie – warknął. W skupieniu wziął głęboki oddech i na powrót przywołał dobre maniery, jak gdyby dobywając je z ukrytej pamięci.

– Proszę wybaczyć mi, Georish.

Fell machnął ze zrozumieniem ręką, jakby chciał powiedzieć: „ach te interesy”.

– Tak, jak mówiłem, czy mógłbyś kazać jej coś zagrać? – Ryoval skinął w kierunku czwororamiennej.

Fell z kłasnieniem złączył ręce za plecami i rozjaśnił twarz wymuszonym uśmiechem.

– Zagraj coś, Nicol.

Posłusznie skinęła głową i przybrawszy odpowiednią pozycję przymknęła oczy. Ściągający jej oblicze niepokój z wolna ustąpił miejsca wewnętrznemu uspokojeniu i zaczęła grać. Z instrumentu popłynęły słodkie dźwięki; rozbrzmiewały przez chwilę w wolnej tonacji, po czym stopniowo zaczęły nabierać tempa.

– Dość! – Ryoval porywczo machnął ręką. – Dokładnie taka, jak mi mówiono.

Nicol urwała w połowie frazy. Wciągnęła głęboko powietrze, wyraźnie dotknięta faktem, iż nie pozwolono jej poprowadzić melodii ku zamierzonemu finałowi; przez to miała poczucie artystycznego niespełnienia. Urywającymi, gwałtownymi ruchami powstrzymywała młoteczkę w oprawki z boku instrumentu i skrzyżowała górne i dolne ramiona. Thorne ściągnął usta i założył ręce na piersi, nieświadomie kopiując jej gest.

– Mój agent wiernie odmalował jej rzeczywisty obraz.

– Zatem musiał też przekazać moje wyrazy ubolewania – odparł oschle Fell.

– Istotnie. Ale nie dane mu było wykroczyć poza pewien standardowy pułap. W wypadku czegoś tak unikalnego, nic nie zastąpi bezpośredniego kontaktu.

– Tak się składa, iż nad wyraz cenię sobie jej umiejętności – rzekł Fell. – W moim wieku łatwiej zdobyć pieniądze niż godziwą rozrywkę.

– Prawda. Jednak pewne rodzaje rozrywek można zastąpić innymi. Mógłbym zorganizować coś specjalnego. Czego nie uświadczysz w żadnym katalogu.

– Miałem na myśli jej muzyczne umiejętności, Ryoval. Te są więcej niż specjalne. Są niepowtarzalne. Prawdziwe. A nie sztucznie generowane. Nie powielisz ich w swoich laboratoriach.

– Moje laboratoria są w stanie powielić absolutnie wszystko. – Ryoval z uśmiechem przyjął wyzwanie.

– Z wyjątkiem oryginalności. Jak sama nazwa wskazuje. Ryoval rozłożył ręce w uprzejmej akceptacji tego filozoficznego stwierdzenia. Fell, jak podejrzewał Miles, nie tylko podziwiał muzyczny talent quaddie, ale i wysoko cenił sobie posiadanie czegoś, o co tak usilnie zabiegał jego rywal, a czego on nie miał najmniejszego zamiaru odsprzedać. Poczucie wyższości dawało mu niezmierną satysfakcję. Wydawało się, że nawet sam Ryoval nie mógł mu dorównać – a jednak, zakładając, że Ryoval zaproponuje stawkę, która zadowoli Fella, jakaż siła na Szczelinie Jacksona ocaliłaby Nicol? Naraz Miles zdał sobie sprawę z tego, jakiej ceny oczekuje Fell. Czy Ryoval

również się domyśli?

Ryoval ściągnął wargi.

– No to, powiedzmy, rozważmy pobranie tkanki. Nie doznałaby uszczerbku, a ty mógłbyś dalej bez przeszkód rozkoszować się jej niepowtarzalnymi zdolnościami.

– Jej niepowtarzalność doznałaby uszczerbku. Krążące tu i ówdzie podróbki obniżają wartość oryginału, jak zresztą sam dobrze wiesz. Baron Fell uśmiechnął się krzywo.

– Upłynęłoby trochę czasu – zaznaczył Ryoval. – Prace nad dojrzałym klonem trwają co najmniej dziesięć lat – ach, ale ty przecież wiesz. – Poczerwieniał i wykonał lekki przepraszający ukłon, jak gdyby zdał sobie sprawę, że popełnił nietakt.

Sądząc po zaciśniętych ustach Fella rzeczywiście tak się stało.

– W rzeczy samej – odparł lodowatym tonem.

Wówczas Bel Thorne, pilnie przysłuchujący się wymianie zdań, wtrącił ze zgrozą:

– Nie może pan sprzedawać jej tkanek! Nie należą do pana. Ona nie jest jakimś tam wytworem Szczeliny Jacksona, lecz wolnym członkiem Galaktyki!

Obydwaj baronowie jednocześnie zwrócili się w jego kierunku, jak gdyby stanowił element umeblowania, który raptem przemówił ludzkim głosem. W dodatku zupełnie nie w porę. Miles drgnął.

– Może odsprzedać jej kontrakt – odrzekł Ryoval, siląc się na wyrozumiałość. – To właśnie omawiamy. W prywatnej rozmowie.

Bel zlekceważył aluzję.

– Czy na Szczelinie Jacksona mówiąc „kontrakt” macie na myśli ciało, nie widząc między nimi żadnej różnicy?

– Dokładnie tak. Tutaj własność oznacza coś więcej niż dziewięć artykułów prawnych. – Ryoval posłał mu chłodny uśmiešek.

– Postępujecie wbrew prawu!

– Czy coś jest zgodne z prawem, mój drogi – ach, jesteś Betańczykiem, prawda? To wszystko tłumaczy – powiedział Ryoval. – Lub też niezgodne, zależy tylko i wyłącznie od planety, na której w danej chwili przebywasz, i od sposobu usankcjonowania owych zasad. Nie dostrzegam tu żadnych betańskich bojowników, którzy narzucaliby nam swoją specyficzną wersję moralności, a ty, Fell?

Na wpół rozbawiony, na wpół poirytowany Fell przysłuchiwał się rozmowie z uniesionymi brwiami. Bel drgnął.

– Zatem gdybym wyciągnął broń i odstrzelił ci głowę, byłoby to najzupełniej legalne?

Strażnik zeszywniał i przyjął pozycję umożliwiającą szybkie i skuteczne uderzenie.

– Daj spokój, Bel – mruknął pod nosem Miles.

Ale Ryovala zaczynało bawić drażnienie betańskiego natręta.

– Nie masz broni. Wyjąwszy kwestię legalności, moi podwładni otrzymali rozkaz pomszczenia mnie. A to, cokolwiek by sądzić, prawo naturalne bądź faktyczne. W rezultacie uznałbyś ten niedorzeczny wybrzyk za całkowicie nielegalny.

Baron Fell podchwycił spojrzenie Milesa i lekko pochylił głowę.

Czas wkroczyć.

– Pora ruszyć dalej, kapitanie – oświadczył Miles. – Nie jesteśmy jedynymi gośćmi barona.

– Skosztujcie gorących dań – zaproponował uprzejmie Fell. Ryoval przeniósł uwagę na Milesa.

– Proszę zajrzeć do mojej firmy, kiedy zejdzie pan na dół, admirale. Nawet Betańczykom nie zaszkodzi poszerzyć nieco swoje horyzonty. Jestem pewien, że mój personel będzie w stanie wyszukać coś interesującego w dogodnej cenie.

– Raczej nie – odrzekł Miles. – Baron Fell zainkasował już nasz list kredytowy.

– Och, szkoda. Może więc następnym razem. – I Ryoval niefrasobliwie odwrócił się do nich plecami.

Bel nie dał się tak łatwo zbyć.

– Tam nie można bezkarnie sprzedawać obywateli Galaktyki. – Machnął porywczo ręką w stronę wyłaniającego się zza portu zarysu planety. Twarz czwororamiennej Nicol obserwującej go spoza swojego instrumentu była bez wyrazu, lecz jej badawcze niebieskie oczy płonęły.

Ryoval odwrócił się, udając zaskoczenie.

– Ależ, kapitanie, właśnie coś sobie uświadomiłem. Betańczyk – musi pan być autentycznym hermafrodytą. Sam stanowi pan godną uwagi osobliwość. Mogę zaproponować panu pewną interesującą posadę za sumę dwukrotnie wyższą od pańskiego obecnego wynagrodzenia. I w dodatku nikt by do pana nie strzelał. Gwarantuję, że zyskałby pan niezmierną popularność. Oferujemy stawki nie do pogardzenia.

Miles gotów był przysiąc, iż dostrzegł, jak Thornowi skoczyło ciśnienie, kiedy dotarł do niego sens słów Ryovala. Twarz hermafrodyty pociemniała i wstrzymał oddech. Sięgnąwszy w górę ręką, Miles silnie chwycił go za ramię. Ten w dalszym ciągu wstrzymywał oddech.

– Nie? – wyraził zdziwienie Ryoval, unosząc podbródek. – No cóż, w porządku. A poważnie: nieźle bym zapłacił za próbkę tkanki do mojego archiwum.

Bel zachłysnął się. – Wyklonowane ze mnie istoty miałyby... miałyby być zmuszane do nierządu w następnym stuleciu! Po moim... po twoim... trupie, ty...

Thorn był tak wściekły, że zaczął się jąkać; czegoś podobnego Miles nie zaobserwował u niego nigdy, w żadnej sytuacji podczas siedmiu lat znajomości; nawet podczas walki.

– Betańczyk do szpiku kości – zawyrokował Ryoval.

– Przestań, Ry – warknął Fell.

Ryoval westchnął. – No, już dobrze. Ależ to takie proste.

– Nie damy im rady, Bel – syknął Miles. – Pora dać za wygraną.

Ciałem strażnika wstrząsały gwałtowne dreszcze.

Fell skinął Milesowi z aprobatą.

– Dziękujemy za pańską gościnność, baronie Fell – rzekł oficjalnie Miles. – Miłego dnia, baronie Ryoval.

– Miłego dnia, admirale – odpowiedział Ryoval, z żalem rozstając się z najatrakcyjniejszą rozrywką, jaka trafiła mu się w ciągu całego dnia. – Jak na Betańczyka, wygląda pan na kosmopolitę. Może mógłby pan nas tu kiedyś odwiedzić, bez asysty swojego przyzwoitego kolegi.

Walkę na słowa należało wygrać za pomocą słów.

– Nie sędzę – mruknął Miles, chociaż pragnął rzucić na odchodne jakąś miażdżącą ripostę.

– Doprawdy, żałuję – odparł Ryoval. – Dysponujemy aktem przedstawiającym psa z karłem. Mniemam, iż uznałby to pan za fascynujące.

Zapadła cisza.

– Wykurzyć ich z orbity – zasugerował twardo Bel.

Miles uśmiechnął się zaciśniętymi ustami, skłonił i uczynił krok w tył, nie wypuszczając z garści rękawa Bela. Odwracając się posłyszał, jak Ryoval wybucha śmiechem.

Majordomus Fella nie odstępował ich nawet na krok.

– Tędy do wyjścia, oficerowie – uśmiechnął się.

Nigdy przedtem Miles nie został znikąd wyrzucony z tak wyszukaną grzecnością.

Kiedy powrócili na statek, Thorne począł tam i z powrotem przemierzać wartownię, podczas gdy Miles niespiesznie popijał swoją kawę, równie gorącą i czarną, jak jego własne myśli.

– Przykro mi, że ten gówniarz zdołał wyprowadzić mnie z równowagi – burknął przeprasząco Bel.

– Gówniarz, doprawdy – zgodził się Miles. – Zamknięty w tej czaszce mózg musi liczyć co najmniej sto lat. Grał na tobie, jak na skrzypcach. Nie. Nie mogliśmy liczyć na zdobycie nad nimi przewagi. Choć przyznaję, że byłoby miłe, gdybyś miał dość rozsądku, aby siedzieć cicho. – Wciągnął ustami powietrze, by ochłodzić poparzony język.

Nie przestając chodzić, Bel niedbałym gestem przyznał mu rację.

– I ta biedna dziewczyna zamknięta w kuli. Miałem jedyną szansę, by z nią pomówić i zmarnowałem. Tak się wygłupić...

– Zdarza się najlepszym spośród nas – mruknął.

Ona rzeczywiście obudziła w Thornie pierwiastek męski, pomyślał niedowierzająco Miles. Uśmiechnął się, zasłoniwszy nieco kubkiem, lecz zaraz zmarszczył brwi. Nie. Lepiej nie utwierdzać Thorna w jego zainteresowaniu czwororamienną. To jasne, że była kimś znacznie więcej niż po prostu jedną ze służek Fella. Mieli tu statek z dwudziestoosobową załogą; nawet gdyby dysponowali wsparciem całej floty dendariańskiej, Miles dwukrotnie rozważyłby wszczęcie konfliktu z baronem Fell na obszarze tego ostatniego. Ciężko na nich wypełnienie misji. Właśnie, gdzie podziewał się ten przeklęty uciekinier? Dlaczego jeszcze nie dał znaku życia, tak, jak to było umówione?

Rozległ się sygnał umieszczonego na ścianie nadajnika. Thorne zbliżył się doń wielkimi krokami.

– Thorne, słucham.

– Mówi kapral Nout, przy wejściu od strony basenu portowego. Jest tutaj... kobieta, która życzy sobie widzieć się z wami.

Thorne i Miles wymienili zdziwione spojrzenia.

– Jak ma na imię? – zapytał Thorne.

Szmer głosów, po którym usłyszeli: – Mówi, że Nicol.

Thorne odchrząknął z zaskoczeniem. – Dobrze. Przyprowadź ją do wartowni.

– Tak jest, kapitanie. – Odchodząc, kapral zapomniał wyłączyć nadajnik i usłyszeli dobiegające z pewnego oddalenia jego słowa:... „pobądź trochę w tej załodze, a zobaczysz wszystkie dziwy”.

W drzwiach ujrzeni Nicol rozpartą na siedzisku w kształcie cylindrycznej filizanki, która wyglądała tak, jak gdyby szukała odpowiedniego dla siebie spodka. Pociągnięto ją niebieskim lakierem idealnie współgrającym z kolorem oczu Nicol. Prześlizgnęła się przez drzwi z gracją kołyszącej biodrami kobiety, po czym ze świstem zahamowawszy przy stole Milesa obniżyła się do jego wysokości. Sterowała pojazdem za pomocą dolnej pary ramion, pozostawiając górnej całkowitą swobodę. Pojazd musiał zostać zaprojektowany specjalnie na jej potrzeby. Miles z zaciekawieniem obserwował wykonywane przez nią manewry. Przedtem nie był pewien, czy byłaby w stanie egzystować poza swoją kulą. Sądził, iż jest słaba. Teraz nie sprawiała takiego wrażenia. Wyglądała na zdeterminowaną. I patrzyła na Thorna.

Ten nie posiadał się ze szczęścia.

– Nicol, jak miło cię znowu widzieć.

Skinęła głową.

– Kapitanie Thorne. Admirale Naismith. – Wymieniając nazwiska obdarzyła ich właścicielei przelotnymi spojrzeniami, po czym jej wzrok ponownie spoczął na Thornie. Miles podejrzewał, iż rozumie dlaczego. Pociągnął łyk kawy i czekał na rozwój wydarzeń.

– Kapitanie Thorne, jest pan najemnikiem, prawda?

– Zgadza się...

– I... proszę wybaczyć, jeżeli się mylę, ale wydawało mi się, iż wykazał pan pewne zrozumienie dla mojej sytuacji.

Thorne wykonał niezręczny ukłon.

– Rozumiem, że wisisz nad przepaścią.

Zacisnąwszy usta, w milczeniu skinęła głową.

– Sama się w to wplątała – zauważył Miles.

Uniosła podbródek.

– I mam zamiar sama się z tego wyplątać.

Miles uczynił obronny gest i znów pociągnął z kubka.

Nerwowo pomanipulowała kontrolką i jej pojazd osiągnął pierwotną wysokość.

– Myślę – powiedział Miles – że baron Fell to godny zaufania obrońca. Tak długo, jak panuje nad sytuacją, nie masz co się lękać nagabywań ze strony Ryovala.

– Baron Fell umiera. – Pokiwała głową. – Jest o tym przekonany.

– Tak przypuszczałem. Dlaczego nie zleci wytworzenia klonu?

– Zlecił. Wszystko zostało uzgodnione z Korporacją Bharaputra. Klon liczył sobie czternaście lat, był w pełni rozwinięty. Lecz przed kilkoma miesiącami ktoś odebrał mu życie. Baron nie jest na sto procent pewny, kto to zrobił, ale posiada swoją małą listę podejrzanych. Pierwszy jest jego przyrodni brat.

– W ten sposób uwięziono go w starzejącym się ciele. Co za... niezwykle manewr taktyczny – zadumał się Miles. – Ciekawe, jakie będzie następne posunięcie tego nieznanego wroga? Czy postanowił po prostu czekać?

– Nie wiem – odparła Nicol. – Rozpoczęto prace nad kolejnym klonem, ale nie wydobyto go jeszcze z replikatora. Nawet przy użyciu stymulatorów wzrostu upłyną lata nim dojrzeje do transplantacji. Poza tym... przyszło mi do głowy, że baron może umrzeć nie tylko z powodu złego stanu zdrowia.

– Niepewna sytuacja – przytaknął Miles.

– Chcę wydostać się stąd. Chcę wykupić sobie przejazd.

– Dlaczego więc – powiedział oschle Miles – nie pójdziesz do jednej z trzech stacjonujących tu komercyjnych linii przewozowych i po prostu nie kupisz biletu?

– Chodzi o mój kontrakt – rzekła Nicol. – Kiedy podpisywałam go na Ziemi, nie miałam pojęcia, co to oznacza, dopóki nie znalazłam się na Szczelinie Jacksona. Nie mogę zrezygnować nawet za pieniądze, chyba że baron łaskawie udzieli swojej zgody. Poza tym... samo utrzymanie tutaj pociąga za sobą coraz większe koszty. Przeliczyłam to dokładnie... a zanim upłynie mój termin, będzie jeszcze gorzej.

– Jak długo jeszcze? – rzucił Thorne.

– Pięć lat.

– Och! – Nie krył współczucia.

– Zatem chcesz, byśmy pomogli ci zerwać umowę z Syndykatem – rzekł Miles. Przesuwając kubek, znaczył powierzchnię stołu brązowymi krążkami. – I, jak sądzę, potajemnie cię stąd wywieźć.

– Mogę zapłacić. Teraz suma będzie większa od tej, która przypadnie mi w przyszłym roku. Nie było żadnych występów z zespołem, na co liczyłam przyjeżdżając tutaj. Napomykano o nagraniu płyty... Nie doszło do tego. I nie wierzę, by kiedykolwiek nastąpiło. Jeżeli ma mnie być stać na opłacenie powrotu do domu, muszę zdobyć szerszą publikę. Wrócę do swoich... Chcę... uciec, nim

runę w dół tej studni grawitacyjnej. – Machnęła kciukiem w stronę planety, w której orbicie przebywali. – Udając się tam, ludzie przepadają bez śladu. – Zamilkła. – Czy boicie się barona Fella?

– Nie! – rzucił Thorne.

Miles natychmiast zaproponował:

– Tak.

Wymienili zjadliwe spojrzenia.

– Skłaniamy się raczej ku pewnej ostrożności w stosunku do niego – sprecyzował Miles. Thorne wzruszył ramionami.

Nicol przyżegłowała do stołu. Z kieszeni zielonego płaszcza wyciągnęła zwitek planetarnej waluty i zmarszczywszy brwi położyła go przed Milesem.

– Czy to ukoji twoje nerwy?

Thorne podniósł pieniądze i przejrzał je pobieżnie. Z grubsza oszacował sumę jako równowartość przynajmniej kilku tysięcy betańskich dolarów, głównie banknoty o średnich nominałach; na wierzchu leżała betańska jednodolarówka, mogąca na pierwszy rzut oka mylić co do prawdziwej kwoty.

– No i – rzekł, zerkając na Milesa – cóż my, najemnicy, o tym wszystkim sądzimy?

Ten siedział zamyślony. Utrzymanie w tajemnicy jego tożsamości nie było jedyną przysługą, za którą Thorne mógłby zażądać rewanżu. Pamiętał dzień, kiedy Thorne pomógł w zdobyciu asteroidalnej stacji kopalnianej oraz pancernika „Triumph” przy wsparciu zaledwie szesnastu gotowych do walki żołnierzy i kosztem masy nerwów.

– Zachęcam swoich dowódców do podejmowania inicjatywy twórczej w kwestiach finansowych – powiedział wreszcie. – Do dzieła, kapitanie.

Thorne uśmiechnął się i odjął ze zwitka betańską jednodolarówkę.

– Twój pomysł nie jest zły – zwrócił się do czwororamiennej – ale kwota nie taka, jak trzeba.

Niepewnie sięgnęła do kieszeni i zamarła, podczas gdy on popchnął banknoty w jej kierunku, zatrzymując jednodolarówkę.

– Co takiego?

Thorne wziął pieniądz i przedarł go na połowę. – Oto właściwa stawka. Widzisz, w ten sposób zawarliśmy oficjalny kontrakt. Wyciągnął ku niej rękę. Ujęła ją po chwili, ochłonawszy ze zdumienia.

– Umowa stoi – oznajmił pogodnie Thorne.

– Bohaterze – powiedział Miles, ostrzegawczo wznosząc palec – strzeż się, gdyż mogę wystosować weto, jeśli nie będziesz potrafił zrealizować tego przedsięwzięcia w całkowitym sekrecie. To mój warunek.

– Tak jest, sir – odparł Thorne.

\*\*\*

Kilka godzin później Miles przebudził się nagle w swojej kajucie na pokładzie „Ariela”, zaalarmowany sygnałem z konsoly komunikacyjnej. Coś mu się śniło, ale majaki rozplynęły się natychmiast, pozostawiając mgliste odczucie czegoś bardzo nieprzyjemnego. Fizycznie nieprzyjemnego.

– Tu Naismith.

– Mówi oficer dyżurny od nawigacji i łączności, sir. Ma pan rozmowę z komercyjnej sieci komunikacyjnej. Proszono, aby przekazać, że dzwoni Vaughn.

Tak brzmiał umówiony pseudonim uciekiniera. Naprawdę nazywał się Canaba. Miles chwycił



bluzę od munduru i narzucił ją na swój czarny podkoszulek. Bezskutecznie spróbował przyglądzić włosy, po czym opadł na stojące przy konsolocie krzesło.

– Łączyć.

Na monitorze pojawiła się twarz mężczyzny. Był w średnim wieku. Opalony, o rysach, które trudno było przypisać konkretnej rasie, i krótkich falujących włosach posiwiałych na skroniach. Szczególną uwagę przykuwało inteligentne spojrzenie jego wyrazistych brązowych oczu. – Tak, to mój człowiek, pomyślał z zadowoleniem Miles. No to jestem w domu. Ale Canaba wyglądał nie tylko na podenerwowanego. Więcej, wyglądał na całkowicie rozbitego.

– Admirał Naismith?

– Tak. Vaughn?

Canaba skinął głową.

– Gdzie pan jest? – zapytał Miles.

– Na dole.

– Mieliśmy spotkać się tutaj.

– Wiem. Zaistniały nieprzewidziane okoliczności. Mam kłopot.

– Jakiego rodzaju kłopot? Ach – czy ta linia jest bezpieczna?

Canaba zaśmiał się gorzko.

– Na tej planecie nic nie jest bezpieczne. Ale nie sądzę, aby mnie śledzono. Jednak nie mogę się jeszcze stawić. Potrzebuję... pomocy.

– Vaughn, nie dysponujemy wystarczającą ilością środków, by odbić pana od silniejszych od nas. Jeżeli zostaliście uwięzieni...

Potrząsnął głową. – Nie, chodzi o zupełnie inną sprawę. Ja... zgubiłem coś. Potrzebna mi pomoc, aby to odzyskać.

– Sądziłem, że mieliście porzucić wszystko; rekompensata nastąpiłaby w późniejszym terminie.

– To nie własność prywatna. Chodzi o coś, na czym niezmiernie zależy waszemu przełożonemu. Pozbawiono mnie pewnych... próbek. Bez nich nie mam po co jechać.

Doktor Canaba wziął Milesa za płatnego najemnika, któremu barrayarska służba bezpieczeństwa powierzyła jedynie niezbędne minimum informacji. Cóż.

– Proszono mnie wyłącznie o przywiezienie was.

– Nie powiedziano wam wszystkiego.

Rzeczywiście nie. Barrayar przyjąłby was z otwartymi ramionami; tak, jak stoicie.

– O co chodzi?

Canaba pozostał niewzruszony wobec zmarszczonych brwi Milesa.

– Nie pojedę bez nich. Albo zrywam umowę. A wy możecie pożegnać się z zapłatą, najemniku.

Mówił poważnie. Cholera. Miles zmrużył oczy.

– To wszystko jest dziwnie tajemnicze.

Canaba wzruszył ramionami.

– Przykro mi. Lecz muszę... Spotkajmy się, a zaznajomię was z całą resztą. Albo jedźcie sobie, nie dbam o to. Jednak pewną sprawę trzeba doprowadzić do końca... odpokutować. – Zamilkł, przejęty.

Miles zaczerpnął powietrza.

– Dobrze. Ale każde dodatkowe utrudnienie wzmaga pańskie ryzyko. I moje. Lepiej niech sprawa będzie tego warta.

– Och, admirale – rzucił z przygnębieniem Canaba – dla mnie jest. Naprawdę jest.

Umówili się na spotkanie w niewielkim parku. Prószyący śnieg niewątpliwie dałby Milesowi

kolejny powód do przekleństw, gdyby tylko nie wyczerpał ich zasobu kilka godzin wcześniej. Chociaż włożył swoją dendariańską podszytą futrem pelerynę, zdążył porządnie zmarznąć, nim Canaba zjawiał się przy odrapanej budce, gdzie na niego czekali. Bez słowa podążyli jego śladem.

Laboratoryjne Centrum Bharaputry mieściło się w niżej położonej miejscowości, którą Miles z miejsca uznał za przygnębiającą. Strzeżona przystań; strzeżona siedziba Syndykatu; strzeżone budynki miejskie; strzeżone, otoczone wysokimi murami tereny mieszkalne, a wśród tego wszystkiego gmatwanina zaniedbanych, starych domostw, których nikt nie zdawał się strzec, i których mieszkańcy chętnie skryliby się przed resztą świata. Miles rozmyślał, czy słusznie zrobił, wysyłając tylko dwóch dendariańskich żołnierzy jako ochronę. Lecz sunący ulicami ludzie trzymali się z dala od nich; najwyraźniej byli w pełni świadomi tego, co oznaczają strażnicy. Przynajmniej za dnia.

Canaba poprowadził ich do jednego z pobliskich budynków. Windy były niesprawne, korytarze zaś nie ogrzewane. Ciemno ubrana postać nieokreślonej płci umknęła na ich widok w półmrok, budząc w Milesie nieprzyjemne skojarzenie ze szczurem. Pełni wątpliwości wspięli się za Canaba po drabinie bezpieczeństwa, umieszczonej na boku zepsutej windy. Przebyli następny korytarz i otworzywszy drzwi z wyłamanym zamkiem weszli do pustego, brudnego pokoju o szarym oświetleniu, padającym z okna. Przynajmniej tutaj znaleźli osłonę przed wiatrem.

– Myślę, że wreszcie możemy spokojnie porozmawiać – rzekł Canaba, odwracając się i ściągając rękawiczki.

– Bel? – odezwał się Miles.

Thorne dobył spod peleryny zestaw detektorów antypodsłuchowych i dokonał podglądu, podczas gdy dwaj żołnierze ustalali parametry. Jeden zajął pozycję na korytarzu, drugi tuż przy oknie.

– Nic – stwierdził Bel tonem, jak gdyby nie dowierzał własnej aparaturze. – Na razie. – Z uniesionym skanerem okrążył Canabę i sprawdził również jego. Ten czekał z pochyloną głową, niczym człowiek, który wie, że nie zasługuje na nic lepszego. Bel przygotował zaporę z fal radiowych.

Miles odrzucił kaptur i rozpiął pelerynę, umożliwiając sobie w razie zasadzki dogodniejszy dostęp do broni. Canaba stanowił dla niego nierozwiązywalną zagadkę. Co kierowało owym człowiekiem? Korporacja Bharaputra niewątpliwie zapewniła mu dobrobyt – czego świadectwem było choćby jego eleganckie ubranie. Ale mimo faktu, że sytuacja życiowa Canaby, po oddaniu usług Barrayarskiemu Instytutowi Nauki nie uległaby pogorszeniu, nie zdołałby tam zgromadzić tego, co udało mu się zdobyć tutaj. Zatem nie chodziło o pieniądze. Miles potrafił to zrozumieć. Lecz skoro zdecydował się najpierw podjąć pracę w miejscu takim jak Bharaputra, czyż chciwość nie wzięła w nim góry nad uczciwością?

– Zdumiewa mnie pan, doktorze – powiedział lekko Miles. – Skąd tak nagłe pragnienie odmiany u szczytu kariery? Dobrze znam pańskich nowych pracodawców i szczerze mówiąc nie mogę pojąć, w czym mieliby okazać się lepsi od Korporacji Bharaputra? – Najemnik użyłby dokładnie takich słów.

– Obiecali mi ochronę przed Korporacją. Chociaż jeżeli pan... – Z powątpiewaniem spojrzął z góry na Milesa.

Tak. Do diabła. Ten człowiek istotnie gotów był czmychnąć. I zostawić mu konieczność wyjaśnienia fiaska misji Illyanowi, samemu dowódcy służby bezpieczeństwa. – Opłacili nasze usługi – poinformował lakonicznie.

– Och – rzekł Canaba. – Rozumiem. – Przeszedł do okna i z powrotem. – Ale czy zrobicie, o co was poproszę?

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Świetnie. O Boże... – Canaba niespokojnie potrząsnął głową i powziąwszy jakąś decyzję zaczerpnął powietrza. – Nie przyszedłem tu zwabiony pieniędzmi. Zdecydowałem się, ponieważ mogłem przeprowadzić badania naukowe niemożliwe gdziekolwiek indziej. Bez obwarowania zmurszałymi przepisami prawnymi. Śniłem o przełomach... które przerodziły się w koszmar. Rzekoma wolność stała się katorgą. Rzeczy, których ode mnie wymagano...! Ciągłe zakłócanie różnych moich przedsięwzięć. Och, zawsze można znaleźć tych, którzy podejmą się wszystkiego za pieniądze, lecz nie są to naukowcy z prawdziwego zdarzenia. W laboratoriach roi się od nich. Najlepszych nie da się kupić. Dokonałem wielu rzeczy, niepowtarzalnych rzeczy, których Bharaputra nie rozpowszechni, gdyż nie zapewniłyby dostatecznie wysokich zysków. Brak mi kredytu, mojej pracy odmawia się należytego poważania. W literaturze dotyczącej mojej dziedziny co rok napotykałem informacje o odznaczeniach przyznawanych gorszym ode mnie, a ja tkwiłem tutaj, nie będąc w stanie opublikować wyników swoich badań... Przystanął, pochylając głowę. – Zapachniało megalomanią, czyż nie?

– Raczej frustracją – powiedział Miles.

– Frustracja – odparł Canaba – obudziła mnie z głębokiego snu. Zranione ego – i nic więcej. Lecz wzięwszy pod uwagę moją dumę, na nowo odkryłem poczucie wstydu. Jego ciężar obezwładnił mnie, przykuł do miejsca. Rozumiecie? A zresztą, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? Ruszył w kierunku ściany i znów stanął tyłem do nich.

Miles zafrasowany podrapał się w głowę.

– Tak. Z przyjemnością spędziłbym wiele godzin, słuchając pańskich wyjaśnień – na statku. W pewnym oddaleniu od tego miejsca.

Canaba odwrócił się z krzywym uśmiechem na ustach.

– Widzę, że ma pan praktyczne podejście do rzeczywistości. Żołnierz. Cóż, Bóg świadkiem, iż potrzeba mi takiego.

– Czy sprawy skomplikowały się aż tak bardzo?

– To... wydarzyło się nagle. Sądziłem, że panuję nad sytuacją.

– Proszę mówić dalej – westchnął Miles.

– Istniało siedem syntetycznych kompleksów genowych. Jeden z nich to lek na pewne nieokreślone zaburzenia enzymatyczne. Kolejny zwiększył wytwarzanie tlenu na stacjach kosmicznych. Jeszcze inny pochodzi spoza pracowni Korporacji, dostarczył go jakiś mężczyzna. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kim był, ale przyniósł ze sobą śmierć. Kilku pracujących nad jego projektem naukowców zostało zabitych pewnej nocy przez ścigających owego osobnika komandosów. Zniszczono wszelką dokumentację. Nigdy nie przyznałem się, że uszczknąłem fragment tkanki do samodzielnych badań. Jeszcze nie rozpracowałem tego do końca, ale mówię wam, unikatowa sprawa.

Miles rozpoznał, o czym mowa i niemal zakrzuszył się na myśl o niezwykłym zbiegu wydarzeń, kiedy rok wcześniej złożył identyczną próbkę w ręce wywiadu dendariańskiego. Kompleks telepatyczny Terenca See – główny powód dlaczego Jego Cesarska Mość tak pilnie potrzebował wybitnego eksperta od genetyki. Kiedy doktor Canaba zawita w nowym laboratorium, czeka go mała niespodzianka. Ale jeżeli pozostałych sześć kompleksów chociaż po części dorównywało wartości już wspomnianego, Illyan obedrże Milesa ze skóry tępym ostrzem za to, iż pozwolił, aby wymknęły mu się z rąk. Miles spojrzał na Canabę z większą uwagą. Ta niespodziewana eskapada mogła nie być tak błaha, jak się początkowo obawiał.

– Ogółem owych siedem kompleksów równa się dziesiątkom tysięcy godzin żmudnych badań, głównie moich, częściowo innych naukowców – stanowią dzieło mego życia. Od samego początku nosiłem się z zamiarem wzięcia ich ze sobą. Przygotowałem specjalną wkładkę wirusową i

umieściłem je, po odpowiednim zabezpieczeniu, w żywym... – Canaba zawahał się – organizmie na przechowanie. Organizmie, w którym, jak sądziłem, nikt by ich nie szukał.

– Dlaczego sam pan ich sobie nie wszczepił? – zapytał ze złością Miles. – Wówczas nie mógłby pan ich zgubić.

Canaba otworzył usta.

– Nigdy... nie myślałem o tym. Jak sprytnie. Dlaczego nie przyszło mi to do głowy? – W zamyśleniu dotknął czoła, jak gdyby szukał przyczyny niedopatrzenia. Ponownie zacisnął usta. – Ale to niczego by nie zmieniło. W dalszym ciągu potrzebowałbym... – zamilkł. – Chodzi o ten organizm – wydusił wreszcie. – O to... stworzenie. – Znowu zapadła cisza. – Ze wszystkiego, czego dokonałem – podjął z wolna – ze wszystkich zadań narzuconych mi przez to nikczemne miejsce, jednego żałuję najbardziej. Rozumiecie, to miało miejsce lata temu. Byłem młodszy, sądziłem, że czeka mnie tu przyszłość, którą należało zabezpieczyć. I nie tylko ja się do tego przyczyniłem – wina zbiorowa, rozumiecie? Ułatwić sobie sprawę, rozgłosić to, powiedzieć: „to była jego wina, jej sprawka...” Cóż, teraz odpowiedzialność spoczywa wyłącznie na mnie.

Chyba na mnie, chciałeś powiedzieć, pomyślał ponuro Miles. – Doktorze, im więcej czasu zmarnujemy tutaj, tym większe ryzyko niepowodzenia operacji. Proszę przejść do rzeczy.

– Tak... tak. Jak wspominałem, wiele lat temu laboratoria Bharaputry zawarły kontrakt na wyprodukowanie... nowego gatunku. Którego zadaniem byłoby wypełnianie rozkazów.

– Sądziłem, że to Ryoval słynie z produkcji ludzi, czy jak to zwał, do wypełniania rozkazów – przerwał Miles.

– Oni wytwarzają niewolników, pojedyncze egzemplarze. Są wysoce wyspecjalizowani. Robią to na niewielką skalę – krąg ich odbiorców jest zadziwiająco mały. Wśród tych ostatnich są zarówno ludzie bogaci, jak i, przypuszczam, zdeprawowani. Kontrahent Ryovala musi należeć do obydwu kategorii, a te nie kolidują ze sobą tak bardzo, jak moglibyście się spodziewać. Tak czy owak, nasz kontrakt miał doprowadzić do ogromnego przedsięwzięcia produkcyjnego, przekraczającego możliwości Ryovala. Jedna z mniej prominentnych jednostek rządzących, wobec konieczności obrony przed napierającymi sąsiadami, zleciła nam zaprojektowanie i stworzenie rasy superwojowników.

– Co, znowu? – powiedział Miles. – Myślałem, że to już przerabiano.

– Teraz my mieliśmy tego dokonać. A przynajmniej bharaputrańska oligarchia pragnęła zgarnąć pieniądze. Jednak zbyt wielu ludzi usiłowało wywrzeć swój wpływ na ów projekt. Klient, wysoko postawione osoby z naszych kręgów, członkowie zespołu genetycznego; każdy miał jakiś pomysł, który chciał narzucić pozostałym. Przysięgam, że było to skazane na niepowodzenie, zanim jeszcze wyszło spod rąk komisji do spraw planowania.

– Superwojownik. Zaprojektowany przez komisję. Dobry Boże, aż szumi w głowie. – Miles wpatrywał się w niego jak urzeczony. – I co było dalej?

– Niektórym z nas... wydawało się, że przekroczyliśmy już granice możliwości człowieka. Kiedy tylko układ mięśniowy znajduje się w doskonałym stanie za sprawą maksymalnej dawki hormonów i ćwiczeń, nic więcej nie można zrobić. Tak więc, w celu wprowadzenia dodatkowych ulepszeń, sięgnęliśmy do innych gatunków. Mnie, na przykład, zafascynowały przemiany zachodzące w mięśniach konia czystej krwi.

– Co takiego? – Thorne osłupiał.

– Padło wiele innych sugestii. Zbyt wiele. Przysięgam, że nie wszystkie wyszły ode mnie.

– Mieszaliście geny ludzkie ze zwierzęcymi? – zapytał niedowierzająco Miles.

– A dlaczego nie? Od zarania łączono geny ludzkie ze zwierzęcymi – praktycznie od tego zaczęto. Ludzka insulina od bakterii, i tym podobne. Ale jak dotąd nikt nie odważył się zrobić na

odwrót. Ja zniosłem barierę, przekroczyłem przepisy... Początkowo wyglądało nieźle. Dopiero kiedy pierwsi z nich wstąpili w okres pokwitania, wszystkie błędy wyszły na jaw. Cóż, to były zaledwie początkowe próby. Według założeń mieli być straszni. Lecz stali się naprawdę potworni.

– Proszę mi powiedzieć – rzekł Miles – czy w komisji znajdował się choć jeden doświadczony w bitwie żołnierz?

– Przypuszczam, iż klient ich miał. To oni dostarczyli parametry – odparł Canaba.

– Rozumiem – powiedział przytłumionym głosem Thorne. – Próbowali odtworzyć rekrutów.

Miles rzucił mu miążdzące spojrzenie i postukał w swój chronomierz. – Idźmy dalej, doktorze.

Na chwilę zapadła cisza.

– Wytworzyliśmy dziesięć prototypów – podjął Canaba. – Wówczas nasz klient... wypadł z interesów. Przegrał wojnę...

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – mruknął cicho Miles.

...odcięto fundusze, projekt zarzucono, nim mieliśmy możliwość wykorzystania doświadczeń, które zdobyliśmy dzięki popełnionym błędom. Z dziesięciu prototypów, dziewięć już nie żyje. Jeden pozostał. Trzymaliśmy go w obrębie laboratoriów z uwagi na... trudności w znalezieniu dlań odpowiedniego miejsca. Właśnie w nim zamieściłem swoje próbki. Nadal się tam znajdują. Ostatnią czynnością, którą miałem wykonać przed wyjazdem, miało być zabicie tego stworzenia. Litość... odpowiedzialność. Pokuta, jeśli wolicie.

– A potem? – ponaglił Miles.

– Kilka dni temu ni stąd, ni zowąd sprzedano je Korporacji Ryoval. Najwidoczniej jako nowość. Baron Ryoval kolekcjonuje najrozmaitsze kurioza do swoich banków tkanek.

Miles i Bel wymienili spojrzenia.

– Nie miałem pojęcia, że zamierzano je sprzedać. Któregoś ranka po prostu wszedłem i już go nie było. Nie sądzę, aby Ryoval zdawał sobie sprawę z jego istotnej wartości. O ile mi wiadomo, znajduje się teraz na terenie jego posesji.

Miles poczuł, jak z okolic zatok rozchodzi się nieznośny ból głowy. Pewnie od zimna.

– Cóż zatem my, żołnierze, mamy według pana zrobić?

– Dostańcie się tam jakimś sposobem. Zabijcie stworzenie. Pobierzcie tkankę. Tylko wówczas z wami pojedę.

I klucie w żołądku.

Canaba popatrzył na niego chłodno.

– Mięsień lewej łydki. Przechowywane wirusy nie są zakaźne, nie mogły nadmiernie się rozprzestrzenić. Największe skupisko nadal będzie się znajdować w tym miejscu.

– Rozumiem. – Miles potarł skronie i ścisnął palcami powieki. – W porządku. Zajmiemy się tym. Osobisty kontakt naraża nas na zbytnie niebezpieczeństwo; wolałbym, aby to się nie powtórzyło. Proszę zameldować się na moim statku w ciągu najbliższej doby. Czy rozpoznamy je bez trudu?

– Tak myślę. Ów szczególny egzemplarz osiągnął wysokość niewiele ponad osiem stóp. Chcę, abyście wiedzieli, że... kły nie były moim pomysłem.

– Ro... zumiem.

– Porusza się nadzwyczaj szybko, zakładając, że jeszcze nie opadło z sił. Może mógłbym w czymś pomóc. Mam dostęp do bezbolesnych trucizn...

– Zrobił już pan wystarczająco dużo, dziękuję. Proszę zostawić to nam, zawodowcom, dobrze?

– Byłoby najlepiej, gdyby jego ciało uległo doszczętnemu zniszczeniu. Żadnych pozostałości komórek. Jeżeli tylko dacie radę.

– W tym właśnie celu wynaleziono łuki plazmatyczne. Pora na pana.

– Tak. – Canaba zawahał się. – Admirale Naismith?

– Słuchani...

– Ja... byłoby też dobrze, gdyby mój przyszły pracodawca nic o tym nie wiedział. Prowadzą działalność militarną na szeroką skalę. Niepotrzebnie zaostrzyliby sobie apetyt.

– Och – odparł Miles/admirał Naismith/porucznik hrabia Vorkosigan z Cesarskich Sił Barrayaru. – Nie sądzę, aby musiał pan zaprzętać sobie tym głowę.

– Czy dwie doby wystarczą wam? – zatroskał się Canaba. – Zrozumcie, jeżeli nie dostanę tkanki, natychmiast wracam. Nie dam się przemocą zatrzymać na statku.

– Uzyska pan, o co prosi. Stanowi to część mojego kontraktu – uspokoił go Miles. – Teraz naprawdę proszę iść.

– Muszę na was polegać, sir. – Zaniepokojony Canaba skinął im głową i już go nie było.

Odczekali jakiś czas w zimnym pokoju, by pozwolić mu oddalić się na wystarczającą odległość. Miotany wiatrem budynek skrzypiał; z górnego korytarza rozniósł się dziwny pisk. Następnie zabrzmiał śmiech, który zaraz urwał się gwałtownie.

Powrócił osłaniający Canabę strażnik.

– Bezpiecznie dotarł do samochodu, sir.

– No, dobrze – powiedział Thorne. – Spodziewam się, że najpierw musimy zdobyć plan posiadłości Ryovala.

– Raczej nie – odrzekł Miles.

– Skoro mamy na nich najechać...

– Najechać, dobre sobie. Nie mam zamiaru narażać życia moich ludzi, podejmując bezsensowne przedsięwzięcie. Obiecałem, że unicestwię ten jego grzech. Ale nie powiedziałem, w jaki sposób.

Publiczna konsola komunikacyjna niedaleko przystani była jak znalazł. Miles wślizgnął się do budki i wsunął w maszynę swoją kartę kredytową. Thorne przyczaił się z boku, a strażnicy pozostali na zewnątrz, by ich osłaniać. Uruchomił połączenie.

Po chwili na monitorze pojawiła się miła twarz operatorki z dołeczkami w policzkach i białym futrzanym grzebieniem zamiast włosów.

– Korporacja Ryoval, Biuro Obsługi Klienta. Czym mogę służyć, sir?

– Chciałbym pomówić z menedżerem Deemem ze Sprzedaży i Wystaw – odparł gładko Miles. – W związku z ewentualnym zakupem dla mojej organizacji.

– Czy można wiedzieć z kim rozmawiam?

– Admirale Miles Naismith, Dendariańska Wolna Najemna Flota.

– Chwileczkę, sir.

– Naprawdę uważasz, że tak po prostu go sprzedadzą? – mruknął z boku Bel, kiedy twarz dziewczyny zastąpiła mozaika kolorowych świateł i rozległa się cikliwa melodia.

– Pamiętasz, co usłyszeliśmy wczoraj? – przypomniał mu Miles. – Jestem gotów pójść o zakład, że tak. I to tanio. – Musi spróbować przybrać obojętny wyraz twarzy.

Po nadzwyczaj krótkim czasie świetlista plansza ustąpiła miejsca wizerunkowi pięknego mężczyzny o białych włosach i niebieskich oczach, odzianego w czerwoną jedwabną koszulę. Jego bladą twarz z jednej strony szpecił ogromny siniak.

– Tu menedżer Deem. Czym mogę służyć, admirale? Miles odchrząknął.

– Doszły mnie słuchy, iż Korporacja Ryoval zakupiła ostatnio od Bharaputry pewien produkt, interesujący mnie z zawodowego punktu widzenia. Przypuszczalnie prototyp nowego udoskonalonego wojownika. Czy wie pan coś o tym?

Dłoń Deema powędrowała mimochodem w kierunku sińca, musnęła go lekko, po czym znikła.

– Istotnie, sir. Posiadamy tego osobnika.

– Czy jest na sprzedaż?

– Och, tak – to znaczy, wydaje mi się, że pewna transakcja nie została jeszcze rozstrzygnięta.

Ale na pewno można jeszcze podbić cenę.

– Czy mógłbym go obejrzeć?

– Oczywiście – oświadczył Deem, powstrzymując zapal. – Kiedy?

Raptem nastąpiła fala zakłóceń i obraz podzielił się na dwie części. Gwałtownie pomniejszona twarz Deema znalazła się po jednej stronie. Oblicze widoczne na drugiej było aż zbyt znajome. Bel syknął cicho.

– Przejmuję tę rozmowę, Deem – powiedział baron Ryoval.

– Tak, panie. – Oczy Deema rozszerzyły się ze zdumienia. Przerwał połączenie.

Twarz Ryovala wypełniła cały ekran.

– Cóż, Betańczyku – powiedział z uśmiechem Ryoval. – Jednak posiadam coś, na czym ci zależy.

Miles wzruszył ramionami.

– Być może – odparł obojętnie. – O ile tylko nie przekroczy to moich możliwości finansowych.

– Sądziłem, że wszystkie pieniądze zostawiłeś u Fella.

Miles rozłożył ręce. – Dobry dowódca zawsze ma ukryte rezerwy. Pamiętajmy jednak, że rzeczywista cena towaru nie została jak na razie ustalona. W sumie nie potwierdzono jeszcze nawet jego istnienia.

– Och, istnieje, nie ma obawy. I naprawdę... robi wrażenie. Dołączenie go do mojej kolekcji stanowiło nie lada przyjemność. I z żalem się z nim rozstanę. Lecz dla ciebie – Ryoval uśmiechnął się jeszcze szerzej – może uda się nieco ukrócić stawkę. – Zaśmiał się, jakby z jakiejś ukrytej gry słów, której sensu Miles nie uchwycił.

Ukrócić cię o głowę, ot co.

– Tak?

– Proponuję wymianę – rzekł Ryoval. – Ciało za ciało.

– Myślę, że przecenia pan stopień mojego zainteresowania, baronie.

Oczy Ryovala załśniły.

– Raczej nie.

Wie, że omijałbym go z daleka, gdyby nie chodziło o coś naprawdę ważnego. – Więc jaka to propozycja?

– Uczciwa. Oddam potwora Bharaputry – powinieneś go zobaczyć, admirale! – za trzy wycinki tkanek. Trzy wycinki, które, o ile wykażesz dosyć sprytu, nie będą cię nic kosztować. – Ryoval uniósł jeden palec. – Pierwszą, betańskiego hermafrodyty – następny palec powędrował w górę – drugą, od ciebie – trzeci dołączył do pozostałych, tworząc wraz z nimi literę W – i trzecią, od quaddie barona Fell.

Wciśnięty w róg Bel Thorne wyglądał, jakby zmagał się z atakiem apopleksji. Na szczęście robił to bezgłośnie.

– Zdobycie trzeciej mogłoby nastęrczyć sporo trudności – odparł Miles, usiłując zyskać na czasie.

– Mniej tobie niż mnie – stwierdził Ryoval. – Fell zna moich ludzi. Wstępne rokowania rozbudziły w nim czujność. Trzymasz w ręku niepowtarzalną szansę; możesz się przemknąć. Sądzę, że dzięki dostatecznej motywacji będziesz w stanie tego dokonać, najemniku.

– Posiadając dostateczną motywację, niewiele jest rzeczy, których nie jestem w stanie dokonać, baronie.

– Zatem dobrze. Przez kolejną dobę będę oczekiwał wiadomości od ciebie. Po upływie tego czasu cofam swoją ofertę. – Ryoval pogodnie skinął głową. – Miłego dnia, admirale. – Obraz zniknął.

– Zatem dobrze – powtórzył jak echo Miles.

– Co: dobrze? – zapytał podejrzliwie Thorne. – Chyba nie traktujesz poważnie tej nikczemnej propozycji, co?

– Po co mu, na miłość boską, próbka mojej tkanki? – myślał głośno Miles.

– Ani chybi do aktu przedstawiającego psa z karłem – rzucił mściwie Thorne.

– No już, już. Obawiam się, że spotkałoby go spore rozczarowanie, gdyby mój klon doszedł do sześciu stóp. – Miles odchrząknął. – Przecież nikomu nie stałaby się krzywda. To tylko mały fragment tkanki. A atak komandosów niesie ze sobą ryzyko utraty życia.

Bel oparł się o ścianę i założył ręce na piersi.

– To nieprawda. Ode mnie musiałbyś wziąć ją siłą. I od niej też.

Miles posłał mu kwaśny uśmiezek. – No dobrze.

– Dobrze?

– Zdobądźmy więc plan posesji Ryovala. Zdaje się, że ruszamy na łowy.

Teren badawczy Korporacji Ryoval nie stanowił regularnej fortecy; był to po prostu kompleks strzeżonych budynków.

Stojąc na dachu małej ciężarówki, Miles lustrował rozciągającą się przed nim okolicę za pomocą przystosowanej do używania w ciemności lornetki. Na jego włosach perlily się krople wilgoci. Smagał go zimny wiatr, próbując dotrzeć do szczelin w jego kurtce, tak samo on usiłował dopatrzeć się szczelin w systemie ochronnym Ryovala.

Na ciemnym tle porośniętego drzewami wzgórze majaczył biały zarys posesji. Znajdujące się od frontu rzęsiście oświetlone, zamrożone ogrody otulone były warstwą mgły, co nadawało im iście bajkowy wygląd. Wejście z boku prezentowało się bardziej obiecująco. Miles z wolna pokiwał głową. Ześlizgnął się z dachu wynajętej ciężarówki, którą ustawili na poboczu górskiego szlaku pod pozorem dokonywania naprawy, w miejscu, skąd rozciągał się rozległy widok na posiadłość Ryovala. Schronił się do wnętrza samochodu przed przenikającym go na wskroś wiatrem.

Ustawił na środku swoją mapę holowidową i oddział zgromadził się wokół. Kolorowe światełka planu oświetlały ich twarze; wysokiego podoficera Murki, drugiego głównodowodzącego po Milesie i pozostałych dwóch rosnących żołnierzy. Sierżant Laureen Anderson pełniła funkcję kierowcy i wraz z szeregowym Sandym Heraldem i kapitanem Thornem miała ochraniać z zewnątrz. Miles żywił pewne ukryte barrayarskie uprzedzenia względem włączania do akcji kobiet; ufał, iż skutecznie zdołał to zataić. W przypadku Bela Thorne uprzedzenia owe wzrastały w dwójnasób. Nie chodziło o to, jakoby płeć mogła w jakikolwiek sposób wpłynąć na mające nastąpić wydarzenia związane z porwaniem, nawet jeżeli choćby jedna dziesiąta tego, co usłyszał, stanowiła niezbity fakt. Tym niemniej... Ale Laureen utrzymywała, że potrafi przemknąć przez ucho igielne każdym pojazdem stworzonym przez człowieka, mimo że Miles nie przypuszczał, by kiedykolwiek miała do czynienia z czynnością tak prozaiczną, jak nawlekanie igły. Nie odważyła się zakwestionować przydzielonego jej zadania.

– Dobrze słuchajcie wszyscy. Naszym głównym problemem pozostaje to, że nadal nie wiemy, w którym dokładnie miejscu trzymany jest twór Bharaputry. Toteż najpierw zbadamy ogrodzenie,



następnie przyległe podwórze oraz główny budynek, tutaj i tutaj. – Czerwone pasemko świetlne oznaczyło planowaną trasę, podczas gdy Miles operował panelem sterowniczym. – Wówczas po cichu złapiemy jakiegoś pracownika i poddamy go działaniu fastpenty. Od tej pory będziemy szli na wyścigi z czasem, gdyż należy przyjąć, iż pozostali szybko zaniepokoją się jego zniknięciem.

– Najważniejszy jest spokój. Nie przybyliśmy tu po to, by zabijać ludzi, i nie toczymy wojny z pracownikami Ryovala. Miejcie przy sobie paralizatory, a łuki plazmatyczne i resztę zabawek trzymajcie w zanadrzu, dopóki nie zlokalizujemy ofiary. Uwiniemy się z tym szybko i bez szumu, zabiorę próbki – dotknął kurtki w miejscu, gdzie znajdowała się kasetka, w której bez szwanku przetransportuje tkanę z powrotem na „Ariela”. – I już nas nie ma. Gdyby miało miejsce coś nieprzewidzianego, zanim zdołam wyciąć ten cenny kawałek mięsa, nie będziemy na siłę starać się uciec. Nie ma co. Oni tu hołdują pewnym niejasnym regułom w przypadku oskarżenia o zbrodnię, w związku z czym nie widzę potrzeby, aby którekolwiek z nas miało skończyć jako części zamienne w banku tkanek Ryovala. Poczekamy, aż kapitan Thorne dostarczy okup, a potem spróbujemy czegoś innego. W razie konieczności znajdziemy taki czy inny sposób, aby wpłynąć na Ryovala.

– Lepiej nie brać pod uwagę takiej konieczności – mruknął Bel.

– Jeżeli zaś nastąpi coś nieprzewidzianego po wypełnieniu rzeźniczej misji, musimy wydostać się na zewnątrz za wszelką cenę. Ta próbka nie da się niczym zastąpić, dlatego trzeba dostarczyć ją w ręce kapitana Thorna. Laureen, żadnych wątpliwości co do umówionego miejsca?

– Nie, sir – pokazała na mapie.

– Czy wszyscy zrozumieli? Jakies pytania? Sugestie? Ostatnie uwagi? Wobec tego próba łączności, kapitanie Thorne.

Umieszczone na nadgarstkach nadajniki funkcjonowały bez zarzutu. Podoficer Murka zarzucił na plecy pakunek z bronią. Miles umieścił w kieszeni futerał z mapą, którą kilka godzin wcześniej odkupił od pewnej skłonnej do ustępstw firmy budowlanej, za cenę równą niemalże wartości okupu.

Czterej członkowie grupy penetracyjnej wymknęli się z ciężarówki i wtopili w mroźną ciemność.

Czujnie podążali przez las. Krucha, przymarznięta warstwa ściółki ustępowała pod naciskiem stóp, odsłaniając warstwę kleistego błota. Murka dostrzegł przyczajonego wartownika, nim ten zdołał zauważyć ich, po czym oślepił go promieniem mikrofali i przeszli obok. Rośli towarzysze bez wysiłku pomogli Milesowi przebyć mur. On usiłował odsunąć od siebie skojarzenie z dawną zabawą bywalców pubów, polegającą na przerzucaniu karła z rąk do rąk. Podwórze było kanciaste i funkcjonalne; znajdowały się tam ładownice z ogromnymi zaryglowanymi drzwiami, wnęki ze stertami bezużytecznych gratów oraz kilka zaparkowanych pojazdów.

Ich kroki odbiły się głośnym echem. Zanurkowali we wnękę ze śmieciami. Nieopodal przeszedł ubrany na czerwono wartownik wymachujący od niechcienia skanerem na podczerwień. Przykucnęli i skryli twarze w peleryny odporne na jego promienie, przez co nie różnili się od wielu wciśniętych tam worków z odpadkami. Po chwili na palcach dotarli do ładownicy.

Kanały. Kluczem do posiadłości Ryovala okazały się kanały; grzewcze, komunikacyjne oraz umożliwiające dostęp do kabli zasilania optycznego. Wąskie kanały. Raczej niemożliwe do przebycia dla potężnego mężczyzny. Miles zrzucił pelerynę i oddał jednemu z żołnierzy, by ten złożył ją i zapakował.

Balansując na ramionach Murki, sięgnął pierwszego kanału i przeciął osłaniającą go kratę wentylacyjną, umieszczona wysoko nad drzwiami ładownicy. Delikatnie zdjął kratę. W obawie przed nieproszonym towarzystwem Miles przeskanował pospiesznie wnętrze kanału i wślizgnął się do środka. Przejście było ciasne nawet dla niego. Ostrożnie stanął na twardym podłożu i odnalazł

kontrolną skrzynkę wjazdu. Odłączył alarm i unióś drzwi na wysokość metra od ziemi. Jego ludzie przecisnęli się pod nimi i cicho opuścił je z powrotem. Na razie szło jak z płatka, nie musieli wymieniać żadnych uwag.

Zdołali przylgnąć do wnęki akurat w momencie kiedy pojawił się ubrany na czerwono pracownik, jadący elektrycznym wózkiem wyładowanym robotami do sprzątnięcia.

Murka dotknął rękawą Milesa. – Ten?

Miles potrząsnął głową.

– Jeszcze nie czas.

Robotnik nie wyglądał na osobę dopuszczoną do samego serca świętego przybytku, która mogła znać miejsce przetrzymywania ofiary. Poza tym nie dysponowali wystarczającą ilością czasu, by na chybił trafił zaśmiecać teren nieprzytomnymi ciałami. Zgodnie ze wskazówkami mapy odnaleźli tunel wiodący do głównego budynku. Tak, jak oczekiwali, drzwi były zamknięte.

Miles ponownie wspiął się na ramiona Murki. Szybkim cięciem nożyc poluzował przedział w suficie i dostał się na górę – delikatna konstrukcja nie utrzymałaby cięższego osobnika – następnie odnalazł kable zasilające blokadę w drzwiach. Właśnie oglądał je dokładnie i dobywał pochowane po kieszeniach narzędzia, kiedy Murka wrzucił obok niego niesioną broń i ostrożnie zasunął przegrodę w suficie. Miles padł plackiem na brzuch i przystawił oko do szpary.

Na donośne „Stać!”, wszystkie przekleństwa, które znał przemknęły mu przez głowę. Zdusił je, zaciskając zęby. Z góry widział czubki głów swoich żołnierzy. W jednej chwili zostali otoczeni przez pół tuzina uzbrojonych wartowników w czerwonych bluzach i czarnych spodniach.

– Co tu robicie? – warknął sierżant.

– Cholera! – krzyknął Murka. – Błagam, proszę nie mówić mojemu dowódcy, że zastał mnie pan tutaj. Zdegradowałby mnie do szeregowca!

– Co? – Sierżant szturchnął Murkę bronią, której użycie groziłoby porażeniem układu nerwowego. – Ręce do góry! Kim jesteście?

– Nazywam się Murka. Przybyliśmy na Stację Fell na statku floty najemnej, ale kapitan nie udzielił nam przepustek. Proszę pomyśleć – przejechaliśmy taki szmat drogi na Szczelinę Jacksona, a ten sukinsyn nie chciał nas wypuścić! Parszywy drań nie pozwolił nam zobaczyć siedziby Ryovala!

Ubrani na czerwono żołdacy przeszukiwali ich pośpiesznie, bynajmniej nie okazując przy tym delikatności. Znaleźli jedynie paralizatory i niesioną przez Murkę część przyrządów do deaktywowania alarmu.

– Założyłem się, że wejdziemy do środka, choćby tylnymi drzwiami. – Zbity z tropu Murka skrzywił się. – Jednak wygląda na to, że zgubiliśmy drogę.

– Rzeczywiście na to wygląda – stwierdził sierżant, cofając się do tyłu.

Jeden z jego ludzi oglądał przedmioty znalezione przy Dendarianach.

– Nie są dostatecznie wyekwipowani, jak na grupę zamachowców – zauważył.

– Bo nimi nie jesteśmy! – Murka wyprężył się gwałtownie, płonąć świętym oburzeniem.

Wzrok sierżanta padł na paralizator.

– Dezerterzy, co?

– Nie, jeżeli wrócimy na statek przed północą. – W głosie Murki zabrzmiały błagalne nuty. – Proszę zrozumieć, nasz dowódca jest łajdakiem do kwadratu. Czy istnieje jakiś sposób, by przekonać pana, że tamten nie może się dowiedzieć o tym incydencie? – Wiele mówiącym gestem Murka sięgnął w kierunku ukrytego w kieszeni portfela.

Sierżant zmierzył go od góry do dołu, uśmiechając się szyderczo.

– Być może.

Miles z zachwytem przysłuchiwał się rozmowie. Murka, jeśli to poskutkuje, dostaniesz awans...

– Może jednak moglibyśmy rzucić okiem do środka? Nawet nie chodzi o dziewczynki, po prostu trochę się rozejrzeć? Abym mógł powiedzieć, co widziałem? Murka nie dawał za wygraną.

– To nie burdel, żołnierzu! – naskoczył na niego sierżant.

– Co? – zdumiał się Murka.

– Teren badawczy.

– Och – powiedział Murka.

– Ty durniu – zganił go jeden z towarzyszy, podchwytnując rolę.

Miles pobłogosławił go w duchu. Wszyscy trzej mieli dość rozsądku, aby nie zerkać na sufit.

– Ale ten człowiek w mieście mi powiedział – zaoponował Murka.

– Jaki znowu człowiek? – przerwał sierżant.

– Ten, który wziął pieniądze – oświadczył Murka.

Na twarzach wartowników pojawiły się uśmieški. Sierżant ponownie trącił Murkę bronią.

– Ruszaj, żołnierzu. Tędy. Masz swój szczęśliwy dzień.

– Chce pan powiedzieć, że zajrzemy do środka? – zapytał z nadzieją Murka.

– Nie – sierżant rozwiął jego złudzenia. – Chcę powiedzieć, że nie połamiemy wam nóg przed wyrzuceniem stąd. – Urwał, po czym podjął łagodniejszym tonem. – W mieście jest burdel. – Wyciągnął portfel Murki, sprawdził nazwisko na karcie kredytowej i włożywszy ją z powrotem, zabrał całą gotówkę. Wartownicy uczynili podobnie z pozostałymi ogłupiałymi żołnierzami i podzielili zdobycz między sobą.

– One przyjmują karty kredytowe, a wam pozostało jeszcze trochę czasu do północy. No, jazda!

Takim sposobem oddział Milesa, bezlitośnie, choć w stanie nienaruszonym, popędzono w dół tunelu. Miles odczekał, aż cała grupka oddali się na wystarczającą odległość, po czym uruchomił swój nadajnik.

– Bel?

– Słucham – zabrzmiała natychmiastowa odpowiedź.

– Kłopoty. Murka i reszta wpadli w ręce straży. Ten geniusz jednak tak omamił wartowników, że ci zamiast rozszarpać właśnie wyrzucają ich za drzwi. Jak tylko będę mógł, pójdę za nimi; spotkamy się i ustalimy dalszy plan działania. – Miles zamilkł. Kompletna klęska; znajdowali się obecnie w gorszej sytuacji niż na początku. Wartownicy Ryovala na pewno zachowają wzmożoną czujność przez resztę długiej jacksonskiej nocy. Ponownie uruchomił nadajnik.

– Przed odwrotem zobaczę przynajmniej, czy może zdołam odnaleźć miejsce przebywania istoty. To powinno zwiększyć nasze szanse na powodzenie następnym razem.

– Bądź ostrożny – poprosił go żarliwie Bel.

– Nie ma obawy. Wyglądaj Murki i reszty. Bez odbioru.

Kiedy rozpoznał właściwe przewody, było kwestią zaledwie paru sekund, by drzwi stanęły otworem. Wisząc z palcami wczepionymi w przedział w suficie usilnie starał się przywrócić mu jego pierwotną pozycję. Następnie zeskoczył na ziemię maksymalnie rozluźniając mięśnie, pełen lęku o stan swoich kości. Niczego nie złamał. Przemknął przez portal do głównego budynku i skorzystał z najbliższej okazji, by ponownie skryć się w kanale, wiedząc z doświadczenia, iż w korytarzach mogło czaić się niebezpieczeństwo. Leżąc na plecach w wąskiej rurze ustawił sobie na brzuchu mapę holowidową i wybrał kolejną, bezpieczniejszą trasę, niekoniecznie dostępną dla pary krzepkich wojaków. Gdzież jednak należało szukać potwora? W szafach?

Przy chyba trzecim zakręcie, do którego dobrnął posuwając się cal po calu i wlokąc za sobą

toból z bronią, uświadomił sobie, że teren przestał pasować do mapy. A niech to wszyscy diabli. Czy owe zmiany w układzie budowli istniały od chwili jej powstania, czy raczej w grę wchodziło zafałszowanie planu? Tak czy inaczej to bez znaczenia, wcale się nie zgubił, bo w dalszym ciągu mógł wrócić tą samą drogą do punktu wyjścia.

Przez następne trzydzieści minut podążał naprzód, odkrywając i rozbrajając po drodze dwa czujniki, nim one zdążyły odkryć jego. Czas naglił. Wkrótce będzie zmuszony, aby... ach, tutaj! Przez szparę wentylatora zajrzał do mrocznego, wypełnionego błękitnym światłem pokoju zawierającego aparaturę komunikacyjną. Warsztat naprawczy – wedle określenia na mapie. Pomieszczenie nie wyglądało jednak na warsztat. Kolejna zmiana, od kiedy zapanowały tu rządy Ryovala? Samotny mężczyzna siedział zwrócony plecami do ściany Milesa. Idealnie, nie należało przepuścić takiej okazji.

Oddychając bezgłośnie, Miles powoli dobył ze swego pakunku wiatrówkę i załadował ją nabojem zawierającym fastpentę z dodatkiem środka obezwładniającego, cudowną mieszankę spreparowaną w tym celu przez pokładowego medyka. Spojrzał przez siatkę, precyzyjnie wycelował igłowy czubek wiatrówki i strzelił. To się nazywa oko. Mężczyzna klepnął się w kark, po czym zamarł, a jego ręka bezwładnie osunęła się w dół. Miles pozwolił sobie na przelotny uśmiezek, sforsował siatkę wentylatora i zeskoczył na podłogę.

Mężczyzna ubrany był w przyzwoitą cywilną odzież – może jeden z naukowców? Kołysał się na krześle z lekkim uśmiechem igrającym na ustach i ze spokojnym zaciekawieniem spoglądał na Milesa.

Byłby runął na ziemię, gdyby Miles nie chwycił go i bezpiecznie nie podparł na krześle.

– Usiądź tu ładnie, tak jest, nie możesz przecież rozmawiać ze mną mając twarz w dywanie, prawda?

– Nieee... – Mężczyzna wykonał nie skoordynowany ruch głową i uśmiechnął się z uległością.

– Czy wiesz coś o tworze genetycznym, istocie kupionej niedawno od Bharaputry i sprowadzonej tutaj?

Twarz mężczyzny ponownie się rozjaśniła. – Tak.

Miles przypomniał sobie, że wypowiedzi osób będących pod wpływem fastpenty należało traktować dosłownie. – Gdzie ją trzymacie?

– Na dole.

– To znaczy, gdzie na dole?

– Pod piwnicą. W ciasnym przejściu wokół fundamentów. Liczyliśmy, że wyłapie część szczurów, wiesz. – Mężczyzna zachichotał. – Czy koty jedzą szczury? Czy szczury jedzą koty...?

Miles popatrzył na mapę. Tak. Wyglądało nieźle, przynajmniej pod względem możliwości dotarcia tam przez grupę penetracyjną i późniejszego wydostania się na zewnątrz. Generalnie jednak teren poszukiwawczy był znaczny, uformowany w labirynt za sprawą elementów konstrukcyjnych głęboko zatopionych w skalnym podłożu oraz niskowibracyjnych kolumn podporowych, biegnących w górę ku pracowniom badawczym. Przy niższej krawędzi, gdzie zbocze góry łagodnym stokiem opadało w dół, sufit był wysoki i znajdował się stosunkowo blisko powierzchni, co stwarzało możliwość wybicia się na zewnątrz. W miejscu, gdzie budynek wciśnięty był w stok, przestrzeń zwężała się, prowadząc ku skalnemu podłożu. W porządku. Miles otworzył kasetkę z zastrzykami, aby poszukać czegoś, co unieszkodliwiłoby ofiarę na resztę nocy. Mężczyzna dotknął go; pod odchylonym rękawem Miles zobaczył nadajnik niemal tej samej wielkości i równie skomplikowany, jak jego. Zamrugało na nim światełko. Ogarnięty nagłym podejrzeniem Miles przyjrzał się urządzeniu. Ten pokój...

– A tak w ogóle, to kim jesteś?

– Moglia, dowódca służby bezpieczeństwa, Biologiczne Centrum Ryovala – oznajmił radośnie mężczyzna. – Do usług, sir.

– Och, naprawdę? – Zdrętwiałymi nagle palcami Miles począł gorączkowo przerzucać zawartość kasetki. Cholera, cholera, cholera.

Drzwi otworzyły się z hukiem.

– Stać!

Miles uruchomił urządzenie samoniszące we własnym nadajniku i wyrzucił w górę rękę, pozbywając się go płynnym ruchem. Na szczęście pomiędzy nim a wejściem, przez które wtargnęli do środka wartownicy, siedział Moglia, co powstrzymało ich przed natychmiastowym otwarciem ognia. Nadajnik stopił się, nie mógł więc już posłużyć ochronie Ryovala do wytopienia przebywającego na zewnątrz oddziału, a Bel przynajmniej będzie wiedział, że coś się stało.

Tymczasem szef ochrony zaśmiał się do siebie, chwilowo zaabsorbowany bez reszty liczeniem własnych palców. Ubrany w czerwony strój sierżant, wspierany przez swój oddział, wdarł się do pomieszczenia będącego, jak boleśnie uświadomił sobie Miles, Operacyjnym Punktem Służby Bezpieczeństwa. Pchnął Milesa twarzą do ściany i zaczął obszukiwać go z nie pozbawioną brutalności wprawą. W mgnieniu oka pozbawił go dźwięczącego balastu bezsprzecznie świadczącego o jego winie, zdarł z niego kurtkę, buty oraz pas. Miles przylgnął do ściany, drżąc zarówno z bólu wywołanego umiejętnie zadanyymi razami, jak i ze zdenerwowania tak niespodziewaną zmianą sytuacji.

Uwolnionego spod wpływu narkotyków szefa ochrony raczej nie zachwyciło wyznanie sierżanta na temat trzech umundurowanych mężczyzn, którym wcześniej pozwolił wykpić się grzywną. Postawił na nogi całą zmianę i wysłał uzbrojony oddział w ślad za zbiegłymi Dendarianami. Następnie, z niepokojem, który nadał jego twarzy wyraz podobny do wyrazu twarzy sierżanta podczas składania jego upokarzającej relacji, i z gorzką satysfakcją na widok Milesa, nękany wywołanymi przez narkotyk mdłościami, nawiązał połączenie.

– Panie? – zagaił ostrożnie szef ochrony.

– O co chodzi, Moglia? – Twarz Ryovala była zaspana i rozdrażniona.

– Wybacz, że zakłócam twój spokój, sir, sądziłem jednak, iż zainteresowałby cię intruz, którego właśnie schwytaliśmy. Sądząc po jego ubraniu i sprzęcie, nie jest zwykłym złodziejem. Dziwacznie wygląda, taki wyrośnięty karzeł. Przecisnął się kanałami. – Na poparcie swoich słów Moglia podniósł do góry kasetkę do przechowywania tkanek, rozniesione na części narzędzia rozbijające oraz broń. Sierżant przyciągnął potykającego się Milesa w zasięg ekranu. – Zadawał mnóstwo pytań o potwora Bharaputry.

Ryoval otworzył usta. Następnie jego oczy rozzarzyły się i odrzucając w tył głowę wybuchnął śmiechem.

– Powinienem był zgadnąć. Kradniesz, miast kupować, admirale? – prychnął. – Doskonale, Moglia!

Niepokój sierżanta odrobinę zelżał.

– Znasz tego małego mutanta, panie?

– W rzeczy samej. Jego nazwisko brzmi Miles Naismith. Najemnik – samozwańczy admirał. Bez wątpienia sam siebie wypromował. Świetnie się spisałeś, Moglia. Trzymajcie go, zjawię się tam rano i zajmę nim osobiście.

– Co mamy z nim zrobić, sir?

Ryoval wzruszył ramionami. – Zabawcie się. Jak tylko chcecie.

Kiedy obraz Ryovala rozpląnął się na monitorze, Miles został przygwożdżony atakującymi go z obu stron złowieszczymi spojrzeniami sierżanta i szefa ochrony.

Zwalisty strażnik przytrzymał Milesa, a szef ochrony rozładował napięcie, wymierzając mu potężny cios w brzuch. Ciągle jednak nie czuł się na tyle dobrze, aby móc w pełni czerpać z tego satysfakcję.

– Przeszedłeś zobaczyć zabawkę Bharaputry, co? – sapnął trąc własny żołądek.

Sierżant podchwycił wzrok przełożonego.

– Wie pan, myślę, że powinniśmy spełnić jego życzenie.

Szef ochrony beknął głośno i uśmiechnął się, jak gdyby roztoczyła się przed nim jakaś świątobliwa wizja.

– Tak...

Błagając w duchu, by nie połamano mu rąk, Miles został powleczony ciągiem korytarzy i wind przez przysadzistego strażnika; sierżant i szef podążali ich śladem. Ostatnia winda zniosła ich na sam dół, prosto do zakurzonej piwnicy zagraconej stosami zapasów oraz bezużytecznego sprzętu. Poprowadzili go w kierunku zamkniętej kłapy umieszczonej w podłodze. Odskoczyła gwałtownie, ukazując metalową drabinę, której koniec ginał w ciemności.

– Ostatnią rzeczą, którą tu wrzuciliśmy, był szczur – oświadczył szczerze sierżant. – Dziewiątka z miejsca odgryzła mu głowę. Ma iście wilczy apetyt. Jej organizm pochłania pokarm na podobieństwo pieca hutniczego.

Strażnik zmusił Milesa, by ten wstąpił na drabinę i zszedł około metra w dół, traktując jego wczepione w krawędź palce gumową pałką. Miles zawisł tuż poza jej zasięgiem i z niepokojem zlustrował oblane mętnym światłem kamienne podłoże u swoich stóp. Resztę stanowiły filary i cienie oraz przejmująca chłodem wilgoć.

– Dziewiątka! – Okrzyk sierżanta rozniósł się w mroku głośnym echem. – Dziewiątka! Kolacja! Chodź tu i weź ją sobie!

Szef ochrony zaśmiał się szyderczo, po czym ścisnął rękami głowę i jęknął cicho.

Przecież Ryoval zapowiedział, że rano osobiście zajmie się Milesem. Przecież dla strażników musiało być oczywiste, że chciał zastać go żywego. A może nie było? Albo on wcale sobie tego nie życzył?

– Czy to lochy? – Miles splunął krwią i rozejrzał się wokół.

– Nie, nie, zwyczajna piwnica – zapewnił go sierżant. – Lochy są dla klientów, którzy płacą. – Zaśmiewając się z własnego żartu, kopniakiem zatrzaskał klapę. Rozległ się dźwięk zatrzaskującego mechanizmu. Zapadła cisza.

Stopnie drabiny dotkliwie ziębiły mu stopy. Przełożył rękę wokół listwy i wsunął dłoń pod pachę, aby nieco ją ogrzać.

Wisiał uczepiony drabiny przez dłuższy czas. Wejście do góry było bezsensowne, a możliwość zejścia na dół nie wyglądała zbyt zachęcająco. Wkrótce obezwładniający nerwoból począł słabnąć, zaś budzący dreszcze szok fizyczny powoli ustąpił. Mimo to nie puścił drabiny. Zimno.

Mogło być gorzej, stwierdził Miles. Sierżant i jego załoga mogli na przykład dojść do wniosku, że pragną zabawić się w Lawrence'a z Arabii i sześciu Turków. Komandor Tung, szef załogi dendariańskiej, ogarnięty znaną obsesją na punkcie historii militarnej, uraczył ostatnio Milesa serią opowiadań wojskowych. Jakim sposobem pułkownikowi Lawrence'owi udało się zbiec, chociaż sytuacja była pozornie bez wyjścia? Ach, tak, udał niemego i nakłonił swych porywaczy do porzucenia go w błocie. Tung musiał zastosować wobec Murki identyczną metodę szkolenia.

Kiedy oczy Milesa przyzwyczyły się do ciemności, zauważył, iż porozsiewane tu i ówdzie załamania w suficie emitują nikłe, żółtawe światło. Zszedł ostatnie dwa metry i stanął na twardej skale.

Wyobraził sobie nagłówki prasowe – Ciało cesarskiego oficera znalezione w Pałacu Marzeń Cara dal. Czyżby śmierć z wyczerpania? Do diabła, to nie było chwalebne poświęcenie cesarzowi, do czego niegdyś się zobowiązał, to było po prostu żenujące. Może stworzona przez Bharaputrę istota pożre wszelkie dowody.

Wisielczy humor dodał Milesowi nieco otuchy. Począł przesuwając się od jednego filaru do drugiego, przystając, nasłuchując i rozglądając się wokół. Może gdzieś tkwiła kolejna drabina. Może natrafi na klapę, której ktoś zapomniał zatrzasnąć. Może nadal gdzieś tliła się nadzieja na ocalenie.

Chyba coś poruszało się za tamtą kolumną...

Miles wstrzymał oddech, po czym odetchnął, gdy cień zmaterializował się w tłustego białego szczura. Na widok Milesa spłoszył się i umknął pospiesznie, stukając pazurkami o ścianę. Zwyczajny szczur, który uciekł z laboratorium. Cholernie duży szczur, ale jednak po prostu szczur.

Naraz znikąd wychynął potężny falujący cień. Z zawrotną szybkością pochwycił szczura za ogon i cisnął nim o kolumnę, z trzaskiem gruchocząc jego czaszkę. Mignięcie grubego, wygiętego szponiasto paznokcia i białe futro zostało rozprute przez całą długość. Palce błyskawicznie zdarły ze szczura skórę, chlapiąc krwią. Pierwszą rzeczą, którą dostrzegł Miles, były kły, szarpiące i zatapiane raz po raz w ciele zdobyczy.

Czyniła z nich użytek, nie służyły zatem dla ozdoby. Osadzone w wystającej szczęce, przysłoniętej szerokimi ustami o podłużnych wargach. Jednak wyglądem przywodziła na myśl nie małpę, lecz wilka. Płaski nos, wygięte, ostro zarysowane brwi, wysokie kości policzkowe. Kłęb ciemnych splecionych włosów. I, tak jest, pełnych osiem stóp mocnego, umięśnionego ciała.

Ponowne wspięcie się na drabinę nic by nie dało; istota mogła ściągnąć go z niej bez najmniejszego wysiłku i potraktować dokładnie tak, jak przed chwilą szczura. Wdrapać się na filar? Och, żeby tak mieć palce u rąk i nóg czepne niczym mucha, oto kwestia pominięta jak dotychczas przez zespoły bioinżynieryjne. Stańć bez ruchu i udawać niewidzialnego? Miles zastosował się do ostatniej możliwości – z przerażenia po prostu wrósł w ziemię.

Duże stopy, bosa mimo lodowatej posadzki, również uzbrojone były w szponiaste paznokcie. Ale reszta ciała istoty była okryta odzieżą wykonaną z zielonego płótna laboratoryjnego. Przepasany kimonowaty płaszcz i luźne spodnie. Zauważył coś jeszcze.

Nie uprzedzili mnie, że jest rodzaju żeńskiego...

Prawie skończyła ze szczurem, kiedy naraz uniosła głowę i dostrzegła Milesa. Z twarzą i dłońmi poplamionymi krwią zamarła tak samo, jak on.

Spazmatycznym ruchem Miles wyszarpnął z kieszeni spodni zgnieciony baton i wyciągnął w jej kierunku otwartą dłoń.

– Deser? – zaśmiał się histerycznie.

Odrzucając szczątki szczura, porwała balonik z jego ręki, zdarła papier i pochłonęła go czterema kęsami. Następnie postąpiła krok do przodu i chwyciwszy Milesa za czarną koszulkę uniosła go na wysokość swojej twarzy. Szpony wpiły się w jego skórę, machnął pozbawionymi oparcia nogami. Woń jej oddechu nie zaskoczyła go bynajmniej. Oczywiście miała suche i płonące.

– Wody! – wycharczała.

Nie uprzedzili mnie, że mówi...

– Tak, tak, woda – odparł piskliwie Miles. – Dobrze. Gdzieś tu powinna być woda – popatrz na te rury pod sufitem. Jeżeli grzecznie postawisz mnie na ziemi, spróbuję znaleźć rurę z wodą...

Powoli opuściła go na dół i zwolniła uścisk. Cofnął się ostrożnie, próbując przywrócić swojemu głosowi niską, uspokajającą tonację.

– Spróbujmy w tym miejscu. Sufit obniża się, czy też raczej podłóże unosi się w górę... zaraz obok tego przedziału świetlnego, tam, taka cienka rura z plastyku. Wodną z reguły oznacza się na biało. Nie chcemy szarej, to ścieki, ani czerwonej, od zasilania optycznego...

Nie był w stanie stwierdzić, ile z tego, co mówił, docierało do niej, wiedział jednak, że odpowiednia tonacja decydowała o wszystkim.

– Jeżeli, hm, mógłbym stanąć na twoich barkach, tak jak u Murki, spróbowałbym poluznić tamto spoiwo... – Pomagał sobie gestami, niepewny, czy treść jego słów trafiała do jakiegokolwiek inteligencji ukrytej za tymi strasznymi oczami.

Pokrwawione dłonie, bez mała dwa razy większe od jego rąk, gwałtownie pochwyciły jego biodra i podrzuciły w górę. Złapał białą rurę i nie wypuszczając jej przesuwając stopniowo rękę, aż dotarł do spoiwa. Jej barki poruszały się pod jego ciężarem. Nie tylko on drżał, drżały również jej mięśnie. Spoiwo trzymało mocno – potrzebował narzędzi – przekręcił je z całej siły, narażając na szwank kruche kości palców. Naraz zawór pisnął i ustąpił. Teraz poszło gładko, plastikowy pierścień obracał się i spomiędzy palców Milesa zaczęła tryskać woda. Jeszcze jeden obrót i woda chlusnęła wartkim świetlistym łukiem na skalistą posadzkę.

W pośpiechu omal go nie upuściła. Podstawiła szeroko otwarte usta pod strumień i pozwalając, by woda zachlapała jej całą twarz, kaszlała i krztusiła się w sposób jeszcze bardziej dziki od tego, w jaki zaatakowała szczura. Bez końca gasiła pragnienie. Oplukała z krwi dłonie, twarz i głowę, po czym znów się napiła. Miles zaczynał już myśleć, że nigdy nie przestanie, kiedy odsunęła się wreszcie, odrzuciła z oczu mokre kosmyki i spojrzała na niego. Patrzyła tak przez około minutę i ni stąd, ni zowąd wykrzyknęła:

– Zimno!

Miles podskoczył.

– Ach... zimno... tak. Mnie też, całe skarpetki mam przemoczone. Ogrzewanie, tego nam brakuje. Pomyślmy. Cofnijmy się kawałek tam, gdzie sufit jest niższy. Nie, tutaj to bez sensu, cały żar zebrałby się poza naszym zasięgiem, nie tędy droga...

Śledziła każdy jego ruch z napięciem kota polującego na... cóż... szczura, kiedy przemykał tak pomiędzy filarami w kierunku miejsca, gdzie można było poruszać się wyłącznie na czworakach, jako że wysokość dzieląca sufit od podłogi wynosiła zaledwie cztery stopy. O tam, właśnie tam znajdowała się najniższej położona rura, jaką mógł znaleźć.

– Gdybyśmy mogli ją otworzyć. – Wskazał na plastikową tubę o średnicy równej mniej więcej jego obwodowi w pasie. – Jest wypełniona gorącym powietrzem pompowanym pod ciśnieniem. Tym razem nie mamy użytecznego zaworu. – Usiłował zebrać myśli. Plastik był bardzo mocny.

Przykucnęła i szarpnęła rurę, następnie położyła się na wznak i zaczęła ją kopać. Kiedy to nie pomogło, obrzuciła go żalonym spojrzeniem.

– Próbuje. – Nerwowo ujął jej dłoń i poprowadził do rury, znacząc powierzchnię wokół jej obwodu twardymi paznokciami.

Drapała i drapała, po czym znów spojrzała na niego.

– To nie skutkuje!

– Jeszcze raz kopnij ją i szarpnij – podsunął.

Kopnęła jeszcze raz ze wzmożonym wysiłkiem, potem otoczyła rurę ramionami i zapała się stopami o sufit, wyginając ciało i wieszając się na rurze całym ciężarem swoich trzystu funtów. Rura rozpadła się w miejscach zarysowań. Runęła wraz z nią na ziemię. Z sykiem zaczęło wydostawać się



gorące powietrze. Przysunęła ku niemu ręce i twarz, opadła na kolana i rozkoszowała się owiewającym ją gorącym podmuchem. Miles kucnął obok i ściągnawszy skarpetki zawiesił je na rurze, by wyschły. Oto nadarzyła się możliwość ucieczki, byle tylko było dokąd uciekać. Nie spuszczał z oka swojej niedoszłej ofiary. Ofiary? Rozważył bezcenną wartość mięśnia jej lewej łydki. Siedziała na skale z twarzą ukrytą w kolanach.

Nie uprzedzili mnie, że płacze.

Wyciągnął chustkę, ten archaiczny kwadracik materiału. Nigdy nie mógł pojąć, po co dawali im te idiotyczne chustki. Może z myślą o tym, iż tam, gdzie docierają żołnierze, niezmiennie pojawiają się łzy.

– Masz. Wytrzyj sobie oczy.

Przyjęła chustkę, po czym wydmuchała w nią swój duży spłaszczony nos i chciała oddać.

– Zatrzymaj ją – powiedział Miles. – Hm... Jak to ciebie nazywają?

– Dziewiątka – odburknęła. Jej głos nie był wrogi, po prostu w taki sposób dobywał się ze ściśniętego gardła. –... A ciebie jak nazywają?

Dobry Boże, całe zdanie. Miles zamrugnął.

– Admirał Miles Naismith. – Założył nogę na nogę. W zdumieniu podniosła głowę.

– Żołnierz. Prawdziwy oficer? – I zaraz, jakby dopiero dotarł do niej jego obraz, dodała: – Ty?

Miles odchrząknął.

– Najprawdziwszy. Choć w chwili obecnej odrobinę nieudolny – uzupełnił.

– Tak jak ja – odparła ponuro i siąknęła nosem. – Nie wiem, jak długo mnie tu trzymają, ale przed chwilą piłam po raz pierwszy.

– Myślę, że od około trzech dni – powiedział Miles. – Chyba też cię nie karmili, co?

– Nie. – Zmarszczyła brwi; w połączeniu z kłami efekt był porażający. – To gorsze niż bycie w laboratorium.

Skrzywdzi cię nie to, czego nie znasz, lecz to, o czym wiesz, że takie nie jest, mówiło stare porzekadło. Miles pomyślał o swojej mapie i zerknął na Dziewiątkę. Wyobraził sobie, jak bierze swój – tak ściśle dopracowany – plan między dwa palce i wyrzuca go do zsypu. Nęciła go wizja biegnących sufitem kanałów. Dziewiątka nigdy by się nimi nie precisięła...

Odgarnęła włosy z twarzy i popatrzyła na niego z nowym przypływem zawziętości. Oczy miała koloru orzechów laskowych, co wzmagało efekt wilczego wyglądu. – Co naprawdę tutaj robisz? Czy to kolejny sprawdzian?

– Nie, to się dzieje naprawdę. – Miles wykrzywił usta. – Popelniłem błąd.

– Ja chyba też – oświadczyła, spuszcżając głowę.

Skubnął palcami wargę i popatrzył na nią przymrużonymi oczami.

– Ciekawe, jak wyglądało do tej pory twoje życie – powiedział na pół do siebie w zadumie.

Bez ogródek udzieliła mu odpowiedzi.

– Do ośmiu lat mieszkałam z wynajętą rodziną zastępczą. Tak, jak to zwykle klony. Później zaczęłam rosnać, robić się niezdarna i tłuc różne rzeczy. No i przyprowadzili mnie do laboratorium. Nie było tak źle, nie marzłam i chodziłam najedzona.

– Nie mogli zbytnio cię uprościć, skoro zostałam przeznaczona na żołnierza. Jakie jest twoje IQ? – zapytał.

– Sto trzydzieści pięć.

Z trudem ochłonał ze zdumienia.

– Rozumiem. Czy kiedykolwiek poddawano cię... jakimś szkoleniom?

Wzruszyła ramionami.

– Przechodziłam wiele testów. Wypadłam w nich... dobrze. Z wyjątkiem sprawdzianów na agresję. Nie znoszę elektrowstrząsów. – Spochmurniała. – Ani psychologów eksperymentalnych. Kłamią. – Opuściła ramiona. – Koniec końców, nie dałam rady. Żadne z nas nie dało rady.

– Skąd możesz mieć pewność, skoro nigdy nie przeszedłeś należytego treningu? – odrzekł pogardliwie Miles. – Rzemiosło wojenne pociąga za sobą najbardziej złożone zachowania, jakiegokolwiek wymyślono, których wyuczyć się można tylko i wyłącznie w grupie. Studiuję strategię i taktykę od lat, a wciąż jeszcze tylu spraw nie wiem. To wszystko siedzi tutaj – wskazał palcem głowę.

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Jeżeli tak – wyciągnęła przed siebie szponiaste dłonie i spojrzała na nie – to po co mi to dali?

Miles zamilkł zakłopotany. Uczuł nagłą suchość w gardle. Zatem admirałowie też ukrywają prawdę. Nawet przed samymi sobą. Po chwili niezręcznej ciszy zapytał:

– Nigdy nie przyszło ci do głowy, aby siłą otworzyć rurę z wodą?

– Za niszczenie czegokolwiek grożą surowe kary. Czy też groziły. Może ciebie to nie dotyczy, w końcu jesteś człowiekiem.

– Czy kiedykolwiek myślałeś o ucieczce, wyrwaniu się na wolność? To obowiązek żołnierza, który znalazłszy się w niewoli za wszelką cenę będzie dążył do odzyskania wolności. Przeżycie, ucieczka, sabotaż, oto właściwa kolejność.

– Wróg? – Spojrzała w górę, jakby szacując rozmiary ciężącej nad nimi Korporacji Ryoval. – A któż jest moim przyjacielem?

– Ach. Tak. Rzeczywiście, to... ważne. – I dokąd mógłby zbiec ten ośmiostopowy koktajl genetyczny z kłami? Wziął głęboki oddech. Nie miał najmniejszych wątpliwości co do swojego następnego posunięcia. Obowiązek, korzyść, przeżycie; należało przestrzegać wszystkich trzech aspektów. – Twoi przyjaciele znajdują się bliżej niż myślisz. Jak sądzisz, po co się tutaj zjawiłem? – No właśnie, po co?

W milczeniu rzuciła mu spod zmarszczonych brwi zdziwione spojrzenie.

– Przybyłem po ciebie. Słyszałem o tobie. Zajmuję się... werbowaniem żołnierzy. Czy raczej, powinienem użyć czasu przeszłego. Wydarzenia potoczyły się niezgodnie z planem i teraz muszę uciekać. Ale jeżeli wyruszysz ze mną, będziesz mogła dołączyć do najemników dendariańskich. Dobrowolne towarzystwo – a dobry fachowiec jest zawsze w cenie. Mam tam pewnego głównego sierżanta, który... który potrzebuje rekruta takiego, jak ty.

Prawda. Sierżant Dyeb słynął ze swojej niechęci do kobiet w armii, którą tłumaczył ich zbytnią łagodnością. Jeśli któraś zdołała przebrnąć przez jego kurs, wychodziła z niego z wysoce rozwiniętym stopniem agresji. Miles wyobraził sobie Dyeba wiszącego głową w dół na wysokości ośmiu stóp. Odsunął narzucające mu się obrazy, wracając myślami do aktualnej sytuacji. Dziewiątka wyglądała na mocno... niewzruszoną.

– Bardzo śmieszne – odparła chłodno, sprawiając, iż Miles zastanowił się, czy aby nie została wyposażona w zespół do odbioru telepatycznego – nie, to nastąpiło później. – Przecież nawet nie jestem człowiekiem. Może o tym nie wiedziałaś?

Ostrożnie wzruszył ramionami.

– Człowiekiem jest ten, kto postępuje jak człowiek. – Przemógł się i sięgnął, by dotknąć jej wilgotnego policzka. – Zwierzęta nie płaczą, Dziewiątka.

Odkoczyła, niczym porażona prądem.

– Zwierzęta nie kłamią. A ludzie tak. Bez przerwy.

– Wcale nie bez przerwy. – Miał nadzieję, że w półmroku nie dojrzy jego rumieńca.

Obserwowała go bacznie.

– Udowodnij to. – Pochyliła głowę, zakładając nogę na nogę. Jej uważne złociste oczy zapłonęły nagłym blaskiem.

– Hm... jasne. W jaki sposób?

– Rozbierz się.

... co takiego?

– Rozbierz się i połóż obok mnie, jak to robią ludzie. Mężczyźni i kobiety. – Wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego gardła.

Pod naporem jej paznokci w skórze powstały niewielkie wgłębienia. Miles zachłusnął się. Poczł, jak oczy wychodzą mu z orbit. Odrobinię większy nacisk i spod paznokci popłynię krew. Umieram...

Wpatrywała się zachłannie w jego twarz. Naraz puściła go. Odskoczył i uderzył głową w niski sufit. Kiedy upadał, przed oczami widział gwiazdy. Nie miały jednak nic wspólnego z miłością od pierwszego wejrzenia.

Skrzywiła się, wydając jęk rozpacz.

– Brzydka! – zawyła. Szponiastymi palcami przeciągnęła po policzkach, zostawiając na nich rozorane czerwone bruzdy. – Zbyt brzydka, zwierzę... wcale nie uważasz mnie za człowieka. – Wydawało się, jakby dążyła do samozniszczenia.

– Nie, nie, nie! – wybełkotał Miles i zerwał się, by przytrzymać i przemocą opuścić w dół jej rękę. – Nie tak. Po prostu... ile właściwie masz lat?

– Szesnaście.

Szesnaście. Mój Boże. Pamiętał siebie w tym wieku. Zbikowany na punkcie seksu i w ciągłej wewnętrznej gorączce. Potworny wiek dla chłopca uwięzionego w zdeformowanym, kruchym i kalekim ciele. Tylko Bóg wiedział, jakim cudem udało mu się zwalczyć autoagresję. On został ocalony przez kogoś, kto go kochał.

– Czy nie jesteś na to za młoda? – zapytał z nadzieją.

– A ile ty miałaś lat?

– Piętnaście – przyznał nim przyszło mu do głowy, aby skłamać. – Ale... tanto pozostawiło trwały uraz. I nie sprawdziło się na dłuższą metę.

Ponownie podniosła rękę do twarzy.

– Nie rób tego! – krzyknął chwytając je. Sytuacja przypomniała mu epizod z sierżantem Botharim i nożem. Sierżant pozbawił go noża przy użyciu znacznej siły. W chwili obecnej jednak coś takiego nie wchodziło w rachubę

– Uspokoisz się wreszcie? – huknął na nią.

Zawahała się.

– Nie wypada, aby oficer i gentleman rzucił swoją panią na gołą posadzkę. Trzeba... trzeba usiąść. Wygodnie. Potem porozmawiać, wypić odrobinię wina, posłuchać dobrej muzyki... jednym słowem zwolnić. Ty w dalszym ciągu jesteś zmarznięta. Chodź, usiądź obok, tu jest najcieplej. – Wskazał jej miejsce w pobliżu naderwanej rury, po czym ukląkł i zaczął rozmasowywać jej ramiona i kark. Pod palcami wyczuwał mięśnie, twarde i napięte jak skała. Próba uduszenia zakończyłaby się fiaskiem.

Niewiarygodne. Uwięziony w podziemiach Ryovala ze spragnionym miłości nastoletnim wilkołakiem rodzaju żeńskiego. W żadnym podręczniku w Akademii nie było o tym mowy... Przypomnił sobie o celu swojej misji, którym było dostarczenie na pokład „Ariela” mięśnia lewej łydki w stanie nienaruszonym. Doktorze Canaba, jeżeli przeżyję, czeka nas poważna rozmowa na ten

temat...

Przemówiła głosem przytłumionym przez łyżę i zniekształcone usta.

– Uważasz, że jestem za wysoka.

– Wcale nie. – Odzyskał przytomność umysłu na tyle, by móc bardziej gładko kłamać. – Uwielbiam wysokie kobiety, zapytaj któregoś z moich znajomych. Poza tym dawno stwierdziłem, ku swej radości, że różnica wzrostu odgrywa rolę tylko i wyłącznie wtedy, kiedy się stoi. Natomiast żadnej, kiedy się leży...

Mimowolnie przypomniał sobie doświadczenia zdobywane metodą prób i błędów, głównie błędów, w stosunkach z kobietami. To było przytłaczające. Czego one tak naprawdę chciały?

Stanął przed nią i wzięwszy za rękę, głęboko popatrzył jej w oczy. Odwzajemniła mu się równie szczerym spojrzeniem, jakby oczekując na... wskazówki. W tym momencie zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy ma do czynienia z dziewczyną.

– Dziewiątka... nigdy przedtem tego nie robiłaś, prawda?

– Widziałam filmy. – Zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć. – Z reguły rozpoczynali od pocałunku, no ale... – nieznaczny ruch w kierunku zdeformowanych ust. – Może wcale nie chcesz.

Miles starał się nie myśleć o szurze. W końcu była przecież ustawicznie głodzona. – Filmy bywają mylące. W przypadku kobiet, zwłaszcza jeśli chodzi o ten pierwszy raz, potrzeba praktyki, by uświadomić sobie reakcje własnego ciała, tak mówią moje przyjaciółki. Obawiam się, że mogę cię zranić. – A wtedy ty rozniesiesz mnie na sztuki.

Spojrzała mu w oczy.

– Nie szkodzi. Posiadam niski stopień wrażliwości na ból.

Ale ja nie.

Ogarnęło ich szaleństwo. Ona była szalona. On był szalony. Jednak na myśl o tej... propozycji poczuł przyjemny dreszcz, który rozlał się od brzucha w górę, docierając do mózgu. Nie ulegało wątpliwości, że była najwyższą istotą rodzaju żeńskiego, jaką kiedykolwiek mógł spotkać. Więcej niż jedna z jego znajomych zarzucała mu niezdrowe skłonności do wspinaczki wysokogórskiej. Uwolniłby się od tego raz na zawsze...

Mam nadzieję, że jest czysta. Nie była pozbawiona pewnego... słowo „urok” nie bardzo tutaj pasowało – bez względu na piękno, którego można się było dopatrzeć w silnym cieple o płynnych ruchach i szczupłej, choć atletycznej budowie. Oczywiście, jeżeli człowiek oswoił się już z jego rozmiarami. Ze swojego miejsca czuł bijące od niej ciepło – zwierzęcy magnetyzm? podpowiedział mu tłumiony głos z tyłu czaszki. Siła? Cokolwiek to było, nie sposób odmówić temu niezwykłości.

W uszach zadźwięczała mu jedna z ulubionych sentencji jego matki: Jeżeli warto coś robić, mawiała, warto robić to jak należy.

Oszołomiony niczym pod wpływem alkoholu, zastąpił dulkę logiki skrzydłami inspiracji.

– Wobec tego, doktorze – doleciały go wymamrotane pod nosem własne słowa – rozpoczniemy eksperyment.

Całowanie kobiety z kłami musiało wywołać szok. Sposób, w jaki oddawała pocałunki – a pojmowała zasady nadzwyczaj szybko – również nie dawał się z niczym porównać. Kiedy gorączkowo otoczyła go ramionami, stracił niejako panowanie nad sytuacją. Jakiś czas później podniósł głowę i nie patrząc na nią zapytał:

– Dziewiątka, słyszałaś kiedyś o pająku, który nazywa się czarna wdowa?

– Nie... a co to jest?

– Nic takiego – odparł niedbale.

Było to niezdarne, ale szczerze, i kiedy skończył, nie płakała z bólu, lecz z radości. Wyglądała na

niezwykle (jakże by inaczej?) zadowolona. Tymczasem on natychmiast zapadł w kilkuminutową drzemkę wsparty o jej ciało.

Obudził się uśmiechnięty.

– Twoje kości policzkowe są naprawdę przepiękne – stwierdził, wodząc po nich palcem. Poddała się jego dotknięciu. Na pokładzie mojego statku jest kobieta, która splata sobie warkocz z tyłu. Byłoby ci z tym bardzo do twarzy. Może mogłaby cię nauczyć.

Chwyciła kosmyk swoich włosów i przyjrzała mu się zezując, jak gdyby próbowała przebić się wzrokiem przez płataninę i kurz. Z kolei dotknęła jego twarzy.

– Jesteś bardzo przystojny, admirale.

– Kto, ja? – Przejechał dłonią po całonocnym zaroście, ostrych rysach i pobrużdżonej skórze... musi być zaślepiona moją domniemaną rangą.

– Twoja twarz jest taka... żywa. A oczy widzą dokładnie to, na co patrzą.

– Dziewiątka... – zaczął, po czym urwał chrząkając. – Do licha, przecież to nie imię, tylko numer. Co stało się z Dziesiątką?

– Umarł. – Może i mnie to spotka, powiedziały wyraźnie jej oczy, nim przysłoniła powiekami ich osobliwą barwę.

– Czy zawsze mówiono na ciebie po prostu Dziewiątka?

– Istnieje długi biokomputerowy zapis cyfrowy, będący moim rzeczywistym oznaczeniem.

– Cóż, każdy z nas posiada swój numer seryjny. – O ile mógł sobie przypomnieć, sam miał dwa.

– Ale to bez sensu. Nie mogę nazywać cię Dziewiątka, jak jakiegoś robota. Potrzebujesz prawdziwego imienia, które by do ciebie pasowało. – Oparł się o jej ciepłe nagie ramię – nie skłamali, mówiąc o jej metabolizmie, grzała jak piec. Na jego usta z wolna wpłynął uśmiech. – Taura.

– Taura? – Wymówiła to z lekka niewyraźnie i melodyjnie -... jest zbyt piękne jak dla mnie!

– Taura – powtórzył zdecydowanie. – Piękne, ale silne. Pełne tajemnych znaczeń. Idealne. Ach, mówiąc o tajemnicach... – Czy nadeszła odpowiednia chwila, aby zdradzić, co doktor Canaba zaszczeplił w jej lewej nodze? A może zrani ją to, jak kogoś uwiedzionego obłudnie dla pieniędzy – lub zwabionego jego tytułem. Miles zawahał się. – Myślę, że skoro już poznaliśmy się lepiej, pora opuścić to miejsce.

Spojrzała na otaczający ich mętny półmrok.

– Jak?

– Chyba powinniśmy ustalić, prawda? Muszę przyznać, że nie mogę opędzić się od myśli o kanałach. – Poza oczywiście rurą grzewczą.

Musiałby głodzić się przez dłuższy czas, aby dostać się do środka, pomijając fakt, że ugotowałby się żywcem. Strzepnął swoją czarną koszulkę i założył ją – spodnie wciągnął natychmiast po przebudzeniu, kamienna podłoga niemiłosiernie ziębiła. Stał na nogi. O Boże. Chyba robił się już za stary na tego typu rzeczy. Szesnastolatka najwyraźniej posiadała fizyczną odporność godną bogini. Cóż to było takiego, w czym on utknął, mając szesnaście lat? Piasek, na pewno. W duchu skrzywił się na wspomnienie tego, co zrobił z niektórymi fałdami i szczelinami ciała. W sumie może lodowata skała nie była taka zła.

Wyciągnęła spod siebie jasnozielony płaszcz i spodnie, ubrała się, po czym na czworakach ruszyła za nim, aż dotarli do miejsca, gdzie mogła swobodnie się wyprostować.

Przemierzali podziemną komnatę wzdłuż i wszerz. Znaleźli cztery drabiny prowadzące do wyjść w suficie, z których każde było zamknięte. Od strony pochyłego zbocza odkryli zatrzaśniętą bramę

wjazdową. Bezpośrednie wydostanie się na zewnątrz mogło stanowić najprostsze rozwiązanie, ale gdyby nie zdołał nawiązać natychmiastowego kontaktu z Thornem, czekałaby ich bardzo długa wędrówka do najbliższego miasta. Po śniegu, podczas gdy on miał na nogach jedynie skarpetki, zaś jej stopy były bose. Zakładając, że dotarliby tam, i tak nie mógłby skorzystać z punktu łączności wizualnej, gdyż jego karta kredytowa pozostała zamknięta w biurze ochrony na górze. A prośba o łaskę w mieście Ryovala budziła pewne wątpliwości. Zatem, uciec od razu i potem tego żałować, czy też odwlec to jeszcze, postarać się o jakiś sprzęt, ryzykując ponowne schwytanie i pożałować przedziej? Podejmowanie decyzji taktycznych to czysta przyjemność.

Kanały zwyciężyły. Miles pokazał najbardziej możliwy.

– Myślisz, że mogłabyś wybić w nim dziurę i podsadzić mnie do środka? – zapytał Taurę.

Spojrzała w górę i z nieodgadnionym wyrazem twarzy powoli skinęła głową. Prostując się, sięgnęła spowitego miękkim metalem złącza, podważyła listwę paznokciem, po czym zerwała ją nagłym szarpnięciem. Wczepiła palce w odsłonięty otwór i uwiesiła się na nim. Pod jej ciężarem rura odgięła się dostatecznie.

– Zrobione – oznajmiła.

Bez najmniejszego wysiłku uniosła go do góry jak dziecko i wpełzł do środka kanału. Był dość ciasny, choć niechybnie największy ze wszystkich biegnących pod sufitem w tym pomieszczeniu. Miles posuwał się cal po calu. Dwa razy musiał przystanąć, by stłumić ogarniający go napad histerycznej wesołości. Kanał łukowato kierował się ku górze. W zupełnej ciemności wślizgnął się w ten łuk, by zaraz stwierdzić, iż rozwidła się on na kształt litery „Y”, której odgałęzienia równały się połowie dotychczasowego obwodu. Zaklął i ruszył z powrotem.

Taura stała ze zwróconą ku niemu twarzą; po raz pierwszy patrzył na nią z góry.

– W ten sposób nic nie zdziałamy – wysapał. Na wysokości wyłomu przemieścił się, kierując głowę w przeciwną stronę. To przejście też się rozwidlało, ale prawie natychmiast natrafił na kratkę wentylacyjną. Ciasno dopasowaną, nie dającą przesunąć się ani o milimetr. Może Taura miałaby dosyć siły, by wyrwać ją ze ściany, ale nie mieściła się w rurze, by jej sięgnąć. Rozważał to przez chwilę. – Dobrze – mruknął i znów się wycofał.

– Kanały mamy z głowy – oświadczył Taurze. – Czy... mogłabyś ściągnąć mnie na dół? – Postawiła go na podłodze, gdzie bezskutecznie usiłował otrzepać się z kurzu. – Poszukajmy gdzie indziej.

Posłusznie ruszyła za nim, choć w wyrazie jej twarzy pojawiło się coś, co mogło świadczyć o tym, że powoli zaczynała tracić wiarę, iż naprawdę ma do czynienia z admirałem. Na jednym z filarów jakiś fragment przykuł jego uwagę, więc przystanął, by baczniej mu się przyjrzeć w nikłym świetle.

Była to jedna z niskowibracyjnych kolumn podporowych. Dwa metry średnicy, głęboko osadzona w skale w wypełnionej płynem studni, w celu dostarczenia ultrastabilnej podstawy dla pewnych projektów wytwarzania kryształu i tym podobnych. Miles postukał w bok kolumny. Zabrzmiało głucho. Tak, zgadza się, elementy stałe nie unoszą się zbyt dobrze na wodzie. Wgłębienie w boku sygnalizowało... dostęp od strony portu? Przebiegł po nim palcami, badając kształt. Było tam coś... ukrytego. Wyciągnął ręce i po przeciwnej stronie namacał identyczne miejsce. Zgrubienia ustąpiły powoli pod naciskiem jego palców. Rozległ się nagły trzask i syk. Miles z trudem utrzymał równowagę i omal nie wpadł do nagle otwartego przejścia.

– No proszę – uśmiechnął się. Wsadził głowę przez wyrwę do środka, po czym spojrzał w górę i w dół. Czarno niczym w kominie. Niepewnie wyciągnął rękę i pomacał na oślep. Po wilgotnej ścianie biegła z boku drabina umożliwiająca czyszczenie oraz roboty naprawcze. Najwidoczniej do

kolumny można było nalewać płyny o dowolnej gęstości. Napełniona i zassana własnym ciśnieniem na pewno byłaby nie do otwarcia. Ostrożnie zbadał wewnętrzną krawędź włazu. Na szczęście otwierało się go z obu stron. – Sprawdźmy, czy wyżej nie znajdziemy jeszcze kilku innych.

Posuwali się z mozołem, coraz głębiej wnikając w ciemność i dotykając ścian w poszukiwaniu kolejnych włazów. Miles próbował nie myśleć o upadku, gdyby zsunął się z oślizgłej drabiny. Oddech Taura, chociaż ciężki, napawał go otuchą. Przebyli około trzech pięter, kiedy zmarznięte i drętwiejące palce Milesa natrafiły na następną bruzdę. Omal jej nie przeoczył, gdyż znajdowała się po odwrotnej stronie drabiny. Zaraz też stwierdził, iż wisząc z jednym ramieniem oplecionym wokół drabiny nie jest w stanie nadusić obu przycisków zwalniających jednocześnie. Poślizgnął się, próbując mimo wszystko tego dokonać i przywarł do drabiny, aby przeczekać szaleńcze bicie serca.

– Taura? – powiedział chrapliwie. – Podejdę wyżej, a ty spróbuj. – Niewiele „wyżej” już pozostało; od szczytu kolumny dzielił go zaledwie metr.

Szeroka rozpiętość jej ramion okazała się tym, czego potrzebowali. Przyciski, chociaż opornie, ale ustąpiły pod dużymi dłońmi.

– Co widzisz? – szepnął Miles.

– Duży, ciemny pokój. Może laboratorium.

– To by się zgadzało. Zejdz niżej i nałóż z powrotem tę dolną pokrywę. Nie ma sensu pokazywać im, którądy wyszliśmy.

Miles wślizgnął się przez właz do zatopionego w ciemnościach laboratorium, podczas gdy Taura spełniała jego polecenie. Nie miał odwagi zapalić światła w pozbawionym okien pomieszczeniu, jednak świetlne odczyty na niektórych urządzeniach dawały upiorny blask, zapewniając dostateczne oświetlenie dla jego przyzwyczajonych do mroku oczu. O nic się nie potknął. Jedne oszklone drzwi prowadziły na korytarz wyposażony w mnóstwo monitorów elektronicznych. Z nosem przyciśniętym do szyby Miles dostrzegł czerwony kształt, który mignął mu na skrzyżowaniu dwóch korytarzy. Strażnicy. Czego oni tu pilnują?

Taura z trudem precyzyjnie przeszła przez właz i ciężko opadła na podłogę, chowając twarz w dłoniach. Miles podbiegł do niej z niepokojem.

– Wszystko w porządku?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Jestem głodna.

– Już? Sądziłem, że szcz... baton pokryje dobowe zapotrzebowanie. Nie wspominając o dwu czy trzykilogramowym kawałku mięsa, który pochłonęła jako przystawkę.

– Może twoje – burknęła. Wstrząsały nią gwałtowne dreszcze.

Miles zaczynał rozumieć, dlaczego Canaba określał swój projekt jako porażkę. Wykarmić całą armię żołnierzy o podobnych apetytach. Napoleon zadrżałby na samą myśl. Być może dziewczyna nadal rosła. Niezachęcające przypuszczenie.

Na tyłach laboratorium stała lodówka. O ile znał laborantów... a jednak, spomiędzy próbek wygrzebał zawiniątko z połową kanapki oraz dużą, nieco obitą gruszkę. Podał Taurze. Spojrzała z podziwem, jakby wyczarował jedzenie za sprawą magicznej sztuczki, i natychmiast połknęła. Bładość na jej twarzy odrobinę ustąpiła.

Szukając pożywienia dla swojego żołnierza, Miles w dalszym ciągu penetrował wnętrze lodówki. Niestety, jedynymi elementami organicznymi były w niej małe przykryte naczynia, wypełnione galaretowatą substancją, wewnątrz której tkwiły wielobarwne kłaczki. Pod ścianą, w rzędzie stały trzy lśniące ogromne chłodnie.

Przez kwadratową szybę w drzwiach Miles zajrzał do jednej z nich i niechętnie nacisnął

włącznik światła. Zobaczył piętrzące się od podłogi do sufitu szuflady, wypełnione przezroczystymi opakowaniami z plastyku. Jakieś zamrożone próbki. Były ich tysiące. – Rzucił jeszcze raz okiem, próbując dokładniej oszacować ich liczbę – setki tysięcy. Zerknął na oświetloną tablicę rozdzielczą obok jednej z szuflad. Widoczna na niej temperatura równała się temperaturze ciekłego azotu. Trzy chłodnie... Miliony...

Z rozmachem usiadł na podłodze.

– Tauro, czy zdajesz sobie sprawę z tego, gdzie jesteśmy? – wyszeptał podekscytowany.

– Przepraszam, ale nie – odparła również szeptem podpełzając bliżej.

– To było pytanie retoryczne. Znam odpowiedź.

– No więc?

– W skarbcu Ryovala.

– Co takiego?

– To – Miles wskazał kciukiem w kierunku chłodni – jest należąca do barona stuletnia kolekcja tkanek. Mój Boże! Jej wartości niemalże nie sposób przeliczyć na pieniądze. Każdy niepowtarzalny, jedyne w swoim rodzaju, zmutowany kawałek, który wyzebrał, kupił, pożyczył bądź ukradł przez ostatnie trzy czwarte wieku, wszystko ustawione rzadkami w nienagannym porządku, czekając na swoją kolej, aby zostać stopione i połączone z innymi, w celu wytworzenia nowego nieszczęsnego więźnia. Oto bijące serce jego biologicznej fabryki ludzi. – Miles skoczył na równe nogi i zaczął pilnie studiować tablice rozdzielcze. Serce tłukło mu jak szalone, chwycił powietrze przez otwarte usta i śmiał się cicho, ogarnięty uczuciem, jakby zaraz miał zemdleć. – O rany! O Boże! – Stał i przełknął ślinę. Czy da radę tego dokonać?

Chłodnie musiały posiadać system alarmowy, przypuszczalnie również i kamery, przesyłające obraz na ekrany znajdujące się na pewno przynajmniej w Operacyjnym Punkcie Służby Bezpieczeństwa. Urządzenie umożliwiające otwarcie drzwi wyglądało na skomplikowane – nic nie szkodzi, on nie miał zamiaru ich otwierać. Nawet ich nie dotykał. Interesował go jedynie układ sieci. Gdyby mógł zepsuć choć jeden czujnik... Czy obraz wnętrza chłodni odbierany był przez kilka różnie rozmieszczonych monitorów, czy też płynął na jednej fali wyłącznie do jednego? Wygrzebał małą latarkę. Niezliczone szuflady zapewniły mu bogaty wybór najrozmaitszych narzędzi. Taura w osłupieniu śledziła jego ruchy, kiedy tak biegał to tu, to tam w poszukiwaniu niezbędnego sprzętu.

Wizja musiała być transmitowana na zewnątrz. Kamera znajdowała się poza jego zasięgiem, może zatem powinien spróbować zakłócić działanie samego komputera? Najciszej jak tylko mógł podważył ciemną plastikową osłonę. Tutaj, tu właśnie włókno optyczne wychodziło ze ściany, bezustannie pompując informację o stanie wnętrza chłodni. Pasowało do standardowej wtyczki umieszczonej na czarnej skrzynce regulującej system alarmowy drzwi. Wcześniej znalazł pełną szufladę włókien o najróżniejszych końcówkach i rozgałęzionych nasadkach... Z tej plątaniny dobył co niezbędne, odrzucając przy okazji uszkodzone sztuki. Były tam też trzy optyczne rejestratory danych. Dwa zepsute, trzeci działał jak należy.

Krótki błysk, sprawne odłączenie i ponowne włączenie do sieci i już przekaz z jednej chłodni płynął do dwóch skrzynek kontrolnych. Uwolniony gwint podłączył do rejestratora danych. W czasie całej operacji ryzykował jedynie przelotnym zakłóceniem obrazu. Gdyby ktoś pofatygował się, by to sprawdzić, zastałby wszystko w jak najlepszym porządku. Miles zgasił latarkę i starając się nie oddychać odczekał kilka minut, by urządzenie zarejestrowało nienaganny wizerunek otoczenia, który następnie miało odtwarzać raz za razem. Taura siedziała bez ruchu z cierpliwością drapieżnika.

Raz, dwa, trzy i podłączył rejestrator do wszystkich trzech kontrolerek. Właściwe włókna wisiały bezużyteczne. Czy to zadziała? Nie odezwał się alarm, a na korytarzu nie słychać tupotu roześlonych



wartowników...

– Taura, chodź tutaj.

Wyłoniła się z ciemności i stanęła obok niego.

– Czy spotkałaś kiedykolwiek Ryovala? – zapytał Miles.

– Tak, raz... kiedy przyszedł mnie kupić.

– Podobał ci się?

Spojrzała na niego, jak gdyby postradał zmysły.

– Mnie też nie. – W gruncie rzeczy musiał stoczyć ze sobą walkę, aby nie zrobić mu krzywdy.

Teraz błogosławił się w duchu, iż zwycięsko ją rozegrał. – Gdybyś mogła, rozdarłabyś go na kawałki?

Zacisnęła szponiaste dłonie.

– Wypróbuj mnie!

– Dobrze! – uśmiechnął się zadowolony. – Chciałbym udzielić ci pierwszej lekcji taktyki. –

Wskazał ręką. – Widzisz tę kontrolkę? W czasie sterylizacji pomieszczenia temperaturę w chłodniach można podnieść do 200 stopni. Daj mi swój palec. Jeden palec. Delikatnie. Jeszcze delikatniej. – Poprowadził jej rękę. – Najlepszy nacisk potrzebny do wybrania numeru... Teraz druga – pociągnął ją do następnej – i ostatnia. – Odetchnął, jakby nadal nie całkiem wierzył w to, co się działo.

– Musisz zapamiętać – rzekł. – Nieważne jest, ile siły używasz. Chodzi o to, do jakich celów ją stosujesz.

Zdławił ochotę, by nabazgrać flamastrem na drzwiach chłodni Odwet karła. Im dłużej ogarnięty furią baron będzie miotał się nie wiedząc, kogo ścigać, tym lepiej. Nim zgromadzone tam zasoby osiągną stan zadowalający minie kilka godzin, ale jeżeli do końca nocnej zmiany nikt nie nadejdzie, ruina będzie zupełna.

Miles zerknął na ścienny zegar cyfrowy. Dobry Boże, masę czasu spędził w tych podziemiach. Nie był to czas stracony, ale mimo wszystko...

– A teraz – zwrócił się do Taury, która nadal ślęczała nad kontrolką, połyskując złocistymi oczami – musimy się stąd wydostać. Naprawdę musimy się stąd wydostać. – Chyba że następną lekcją miało być: Nie podcinaj gałęzi, na której siedzisz, pomyślał nerwowo Miles.

Podczas dokładniejszych oględzin mechanizmu zatraskowego w drzwiach i wzięcia pod uwagę tego, co znajdowało się za nimi – między innymi aktywowane dźwiękiem monitory ścienne na korytarzu, wyzwalające automatyczny ogień laserowy – Miles już skłonny był z powrotem obniżyć temperaturę w chłodniach. Jego dendariańskie narzędzia, zamknięte obecnie w Operacyjnym Punkcie Służby Bezpieczeństwa, mogłyby co najwyżej poradzić sobie ze złożonym obwodem elektrycznym w rozmontowanej skrzynce kontrolnej. Lecz oczywiście bez swojego sprzętu nie mógł nawet marzyć o odzyskaniu tych narzędzi – co za paradoks. Nie powinno go dziwić, że Ryoval przeznaczył najbardziej wymyślny system alarmowy dla jedyne go wyjścia z tego laboratorium. Dzięki niemu owo pomieszczenie stanowiło jeszcze większą pułapkę niż same podziemia.

Ściskając przywłaszczoną latarkę, po raz kolejny okrążył salę i ponownie zaczął szperać w szufladach. Nie znalazł żadnych kart magnetycznych, ale zamiast tego z szuflady pełnej śrub i nakrętek wygrzebał solidny przecinak, co nasunęło mu myśl o kracie wentylacyjnej, której nie dał rady usunąć w czasie pierwszej próby wydostania się z podziemia. A więc wspinaczka do laboratorium była jedynie złudnym krokiem w kierunku wolności.

– Strategiczny odwrót do lepszej pozycji wcale nie przynosi wstydu – szepnął do Taury, kiedy nie chciała ponownie wchodzić w ziejący czernią otwór kolumny podporowej. – Teraz jesteśmy w ślepych zaułku. To oznacza koniec, może nawet w sensie dosłownym. – Widoczne w jej brązowych

oczach zwątpienie napawało go niepokojem i ciążyło nieznośnie na sercu. Ciągle mi nie ufasz? Może ci, którym sprawiono wielki zawód, potrzebują wielkich dowodów.

– Trzymaj się mnie – mruknął cicho, znikając w rurze. – Musi się udać. – Skryła niepewność pod opuszczonymi powiekami i poszła jego śladem, zatraskując za sobą klapę.

Dzięki latarce zejście na dół było mniej przykre niż wcześniejsza wspinaczka w nieznanie. Po drodze nie natrafili na żadne inne wyjścia i wkrótce stali na kamiennej posadzce, będącej ich punktem wyjścia. Podczas gdy Taura ponownie gasiła pragnienie, Miles sprawdził stan wody ciągle lejącej się z sufitu. Rozpryskujący się strumień spływał miarowo w miejsce, gdzie grunt był niższy, ale wzięwszy pod uwagę rozmiary podziemia, minie kilka dni, nim poziom wody podmywającej niższą ścianę osiągnie stan stwarzający jakiejkolwiek możliwości strategiczne. Istniała jednak nadzieja, że może przyczynić się do naruszenia fundamentów.

Taura ponownie podsadziła go do kanału.

– Życz mi szczęścia – powiedział przytłumionym głosem.

– Żegnaj – odparła. Nie widział jej twarzy, lecz głos miała zupełnie pozbawiony wyrazu.

– Do zobaczenia – poprawił ją z naciskiem.

Po kilku minutach czołgania dotarł do kratki wentylatora. Prowadziła do ciemnego zagraconego pokoju, będącego cichą i wyludnioną częścią właściwej piwnicy. Zgrzyt przecinaka niszczącego kratkę wydawał się dostatecznie głośny, by ściągnąć całą ochronę Ryovała, ale nie pojawił się nikt. Być może ich dowódca nadal odsypiał skutki narkotyku. Dochodzący z boku chrobot, który niósł się cichym echem po kanale, sprawił, że Miles na chwilę zamarł. Błysnął latarką w stronę biegnącego z boku odgałęzienia. W odpowiedzi rozbłysły rubinowe światelka oczu ogromnego szczura. Przemknęło mu przez myśl, aby złapać go i zanieść Taurze. Nie. Kiedy dotrą na pokład jednostki, dostanie na obiad stek. Albo dwa steki. Szczur ocalił skórę błyskawicznym odwrotem i ucieczką.

Kratka nareszcie ustąpiła. Miles wcisnął się do składziku. Która to mogła być godzina? Późna, bardzo późna. Pomieszczenie wychodziło na korytarz, na którego skraju w podłodze lśniło blade światelko kolejnego wjazdu. Serce Milesa zatrzepotało z nadzieją. Jak tylko wydostaną się na zewnątrz, będą musieli rozejrzeć się za jakimś pojazdem...

Pokrywę tego wjazdu, tak jak pierwszego, otwierało się ręcznie, bez konieczności rozbijania skomplikowanych urządzeń. Jednak z chwilą zamknięcia, zatraskiwała się automatycznie. Przed zejściem z drabiny Miles zablokował ją przecinakiem. Błysnął wokół latarką.

– Taura! – szepnął. – Gdzie jesteś?

Nie padła żadna odpowiedź; między lasem filarów nie widać było połyskujących złociście oczu. Nie chciał krzyczeć. Pośpiesznie zbiegł po szczeblach drabiny i w milczeniu począł krążyć po komnacie. Kamienna posadzka przenikała go chłodem od stóp w górę, zatęsknił więc za swoimi butami.

Dostrzegł ją – siedziała obok jednego z filarów, z policzkiem opartym o kolana; wyglądała na bardzo przygnębioną.

Nie trwało długo, by zacząć zauważać ledwo uchwytnie uczucia odzwierciedlające się w jej wilczej twarzy.

– Pora ruszać, żołnierzu – powiedział Miles.

Uniosła głowę.

– Wróciłeś!

– A myślałaś, że co zamierzam zrobić? Oczywiście, że wróciłem. Jesteś w końcu moim rekrutem, prawda?

Otarła twarz wierzchem dłoni i podniosła się.

– Chyba tak. – Na jej usta wpłynął nieznaczny uśmiech. Gdyby ktoś nie wiedział, co ów grymas miał oznaczać, wrażenie mogło być piorunujące.

– Otworzyłem pokrywę wjazdu. Musimy spróbować wydostać się z głównego budynku i wrócić na dziedziniec. Widziałem tam kilka zaparkowanych pojazdów. Cóż teraz znaczy drobna kradzież...

Pokrywa wjazdu położonego po ich prawej stronie zaczęła ni stąd, ni zowąd unosić się. Wilgotne pomieszczenie owiało zimne, suche powietrze, a wąski snop żółtego świtu zaniebieścił cienie. Oślepieni niespodziewanym blaskiem przysłonili oczy. Z jaskrawych oparów wyłoniło się sześć czerwonych kształtów, potęgując wrażenie uniesioną do strzału bronią.

Dłoń Taury zeszywniała na ramieniu Milesa. „Uciekaj” zamarło na ustach, w żaden sposób nie umknęliby spoza zasięgu niszczącej układ nerwowy broni, znajdującej się w rękach co najmniej dwóch wartowników. Miles z sykiem wypuścił przez zęby powietrze. Był zbyt oszołomiony, by zdobyć się choćby na przekleństwo. Przecież byli tak blisko...

Moglia wkroczył niespiesznie do środka.

– Ciągłe w jednym kawałku, Naismith? – nieprzyjemnie wykrzywił usta. – Dziewiątka musiała nareszcie zdać sobie sprawę z tego, iż pora podjąć współpracę, co, Dziewiątka?

Miles mocno ścisnął jej rękę, łudząc się, że zostanie to odczytane jako „czekaj”.

Uniosła podbródek.

– Chyba tak – odparła chłodnym tonem.

– Najwyższy czas – stwierdził Moglia. – A teraz bądź grzeczna, to zabierzemy cię na górę i po tym wszystkim dostaniesz porządne śniadanie.

Moglia szturchnął Milesa pałką.

– Czas na ciebie, karle. Twoi przyjaciele wpłacili okup. Co mnie zaskoczyło.

Miles też był zdziwiony. Ruszył w kierunku wyjścia, ciągnąc za sobą Taurę. Nie patrzył na nią, usiłując nie przyciągać uwagi do ich bliskości, jednocześnie nie tracąc jej. Zaczęli iść szybciej; wówczas puścił jej rękę.

Co u licha...? Była to pierwsza myśl, kiedy wyszli na oświetlony jasnym blaskiem zorzy podjazd, wysypany mieniącym się od szronu żwirem. Stojący tam ludzie przedstawiali sobą iście osobliwy widok.

Uzbrojeni w paralizatory Bel Thorne i jeden z dendariańskich żołnierzy kręcili się niespokojnie – chyba nie zostali uwięzieni? Pół tuzina mężczyzn w mundurach Korporacji Fell stało w pełnej gotowości. Na skraju wysypanej żwirem powierzchni zaparkowano lekki samolot bojowy, udekorowany proporcem Fella. Otulona w białe futro Nicol kołysała się w swoim siedzisku tuż na wprost wymierzonego w nią paralizatora jednego z zielonych mundurów. Światło było szarozłociste i równie lodowate jak samo słońce, które wznosząc się ponad ciemniejące w oddali wzgórza, przebijało przez chmury.

– Czy to jego chcecie? – zapytał Thorna kapitan zielonej straży.

– Właśnie jego. – Twarz Thorna zbladła w wyniku dziwnego pomieszania niepokoju i ulgi. – Admirale, nic wam nie jest? – zapytał natarczywie. Kiedy przeniósł wzrok na wysoką towarzyszkę Milesa, wytrzeszczył w zdumieniu oczy. – A cóż to, u diabła, jest?

– Jej imię brzmi Taura. Jest naszym nowym rekrutem – oznajmił zdecydowanie Miles, mając nadzieję, że po pierwsze, Bel właściwie odczyta kilka zawartych w tym zdaniu znaczeń; po drugie, strażnicy Ryowała tego nie robią. Bel wyglądał na wstrząśniętego, toteż Miles przynajmniej częściowo osiągnął zamierzony cel. Moglia przybrał podejrzliwy wyraz twarzy, lecz był wyraźnie zbity z tropu. Jednakże to Miles stanowił problem, którego należało się jak najszybciej pozbyć. Ochłonawszy ze zdumienia, Moglia zwrócił się do ważniejszej osoby w postaci kapitana straży

Fella.

– Co się tu dzieje? – syknął Miles do Bela, podchodząc na tyle blisko, na ile pozwolił mu czerwony wartownik, który potrząsając głową uniósł broń.

Pochyliwszy ku sobie głowy, Moglia i kapitan studiowali elektroniczne dane; najwyraźniej chodziło o jakąś oficjalną dokumentację.

– Kiedy zgubiliśmy cię ostatniej nocy, wpadłem w panikę – Bel zniżył głos. – Frontalny atak nie wchodził w rachubę. Pobieglem więc do barona Fella, by prosić go o pomoc. Ale ta, którą uzyskałem, niezupełnie zgadzała się z moimi oczekiwaniami. Fell i Ryoval zawarli umowę, na mocy której miałeś zostać wymieniony na Nicol. Przysięgam, dowiedziałem się szczegółów niespełna godzinę temu! – zaklinał się Bel, czując na sobie spojrzenie zaciskającej usta Nicol.

– Rozumiem. – Miles zamilkł. – Czy planujemy oddać jej tego dolara?

– Sir – odrzekł z udręką w głosie Bel – nie mieliśmy pojęcia co się tu z tobą działo. Prawie widzieliśmy, jak Ryoval poddaje cię serii najwymyślniejszych tortur. Jak mawia komendant Tung, „jeśli stoisz na niepewnym gruncie, użyj podstępu”.

Miles rozpoznał jeden z ulubionych aforyzmów Sun Tzu Tunga. Kiedy Tung miał zły dzień, zwykł cytować niezującego od 4000 lat generała w oryginalnej chińszczyźnie. Kiedy był w lepszym nastroju, raczył ich tłumaczeniem. Miles rozejrzał się, sumując zgromadzony sprzęt, broń oraz ludzi. Większość zielonych wartowników trzymała paralizatory. Trzynaście do... trzech? czterech? Zerknął na Nicol. Może pięciu? W krytycznej sytuacji, radził Sun Tzu, stańcie do walki. Czy można było wyobrazić sobie sytuację bardziej krytyczną niż obecna?

– Ach... – zaczął Miles. – A cóż takiego zaproponowaliśmy baronowi Fell w zamian za jego wielkoduszość? Czy też czyni to z dobroci serca?

Bel spojrział na niego z rozpaczą i odchrząknął.

– Obiecałem, że opowiesz mi, jak naprawdę przebiegała betańska kuracja odmładzająca.

– Bel...

Thorne wzruszył bezradnie ramionami.

– Sądziłem, że kiedy wrócisz, zdołamy coś wymyślić. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że zaoferuje w zamian Nicol, przysięgam!

Na dnie doliny Miles dostrzegł ciągnącą wąskim połyskliwym pasmem jednotorówkę. Niebawem zjawi się tu poranna zmiana bioinżynierów i technologów, portierów i urzędników oraz kucharzy bufetowych. Popatrzył na wznoszący się powyżej biały budynek i wyobraził sobie scenę mającą rozegrać się na trzecim piętrze, kiedy to po deaktywowaniu alarmu strażnicy wpuszczą pracowników do laboratorium. Pierwszy z nich zmarszczy nos, rzucając żałośnie: „Co to za potworny smród?”

– Czy Vaughn przybył już na pokład „Ariela”? – zapytał Miles.

– Zrobi to w ciągu godziny.

– No dobrze... a więc obyło się bez wycinania czegokolwiek. Przesyłka wędruje nienaruszona. – Wskazał podbródkiem Taurę.

Bel jeszcze bardziej zniżył głos.

– To idzie z nami?

– Radzę ci w to uwierzyć. Vaughn nie przedstawił nam pełnej wersji wydarzeń. Delikatnie mówiąc. Później wszystko ci wyjaśnię – dodał, widząc, że dwaj kapitanowie straży przerwali pertraktację, a Moglia, kołyszając pałką, ruszył w jego kierunku. – Poza tym odrobinę się przeliczyłeś. To nie jest niepewny grunt, ale sytuacja krytyczna. Nicol, chcę, abyś wiedziała, że Dendarianie nie uznają zwrotu pieniędzy.

Zdziwiona Nicol zmarszczyła brwi. Otwierając szeroko oczy, Bel porównał rozkład sił. Miles rozpoznał, że wyszło mu trzynaście do trzech.

– Naprawdę? – zapytał zduszonym głosem Bel. Ostrożny sygnał dany mu lekkim pociągnięciem za nogawkę postawił go w stan natychmiastowej gotowości.

– Naprawdę krytyczna – powtórzył z naciskiem Miles. Wziął głęboki oddech. – Teraz! Ruszaj Taura!

Sam rzucił się w kierunku Moglii, nie tyle wiedziony zamiarem wydarcia mu jego pałki, ile chcąc osłonić się przed atakiem jego żołnierzy uzbrojonych w śmiertcioną broń. Baczny na szczegóły Dendarianin powalił ogniem z paralizatora jednego z nich, po czym odturlał się na bok, umykając przed natychmiastowym odwetem drugiego, który zaraz runął pod ciosem Bela. Mierzący paralizatorami w hermafrodytę dwaj czerwoni strażnicy zostali podniesieni w górę za karki. Kierując się większą siłą niż wprawą, Taura zderzyła ich o siebie. Upadli na ziemię, po omacku szukając upuszczonej broni.

Wykorzystując nieuwagę i wahania strażników Fella, niepewnych, po czyjej stronie walczyć, Nicol skierowała swój pojazd ku górze, po czym runąwszy w dół zbiła z nóg strzegącego ją żołnierza, który oniemiały przypatrywał się walce. Następnie umknęła w bok i osłoniwszy się przed wymierzonym w nią ogniem z paralizatora, powtórnie nabrała wysokości. Chwyciwszy czerwonego strażnika Taura rzuciła nim w zielonego; obaj legli na ziemi w płataninie nóg i ramion.

W obawie przed paralizującym podmuchem Dendarianin stanął tuż przy zielonym wartowniku. Nie dawszy się zwieść tą sztuczką, kapitan Fella powalił ich obu, wykorzystując przewagę liczebną swoich oddziałów. Moglia przycisnął tchawicę Milesa pałką i zaczął dusić, wrzeszcząc jednocześnie do nadajnika, aby przysłano mu posiłki. Rozległ się krzyk zielonego strażnika, którym Taura cisnęła w mierzącego do niej żołnierza, wybiwszy mu uprzednio ramię ze stawu.

Milesowi tańczyły przed oczami kolorowe plamy. Skupiwszy uwagę na Taurze jako na stanowiącej największe zagrożenie, kapitan Fella padł pod ogniem Thorna, Nicol zaś zaatakowała od tyłu ostatniego stojącego o własnych siłach zielonego żołnierza.

– Do samolotu! – wychrypiał Miles. – Prędko!

Bel obrzucił go desperackim spojrzeniem i pobiegł we wskazanym kierunku. Miles wił się jak piskorz, aż wreszcie Moglia sięgnął do swojego buta i dobywszy z niego ostry cienki nóż przystawił go do szyi Milesa.

– Stać! – warknął. – Tak, znacznie lepiej...

W ciszy, która zapanowała, Moglia wyprostował się, przekonany, że jego szansę zwyżkują. – Niech ktokolwiek waży się choćby drgnąć.

Bel zamarł z ręką na klamce pojazdu. Kilku powalonych na żwirze mężczyzn głośno jęczało z bólu.

– A teraz odsuń się od – ostatnie słowa zginęły w niespodziewanym bełkocie.

Szept Taury wionął do ucha Moglii cichym pomrukiem. – Wyrzuć nóż. Albo ja zajmę się twoim gardłem gołymi rękami.

Miles kątem oka próbował ocenić sytuację, podczas gdy ostrze nadal wpijało się w jego skórę.

– Zdążę zabić go, nim ty ruszysz palcem – odparł Moglia.

– Człowieczek należy do mnie – przeciągnęła melodyjnie Taura. – Sam mi go dałeś. On po mnie wrócił. Draśnij go tylko, a urwę ci głowę.

Miles uczył, jak Moglia odrywa się od ziemi. Upuszczony nóż brzęknął o chodnik. Miles odskoczył chwiejnie. Taura trzymała Moglię za kark, z paznokciami zatopionymi w jego skórze.

– Nadal mam ochotę urwać mu głowę – powiedziała z rozdrażnieniem, a jej oczy zalśniły na

wspomnienie tego, czego się wobec niej dopuścił.

– Zostaw go – odrzekł nie bez wysiłku Miles. – Uwierz mi, wkrótce na własnej skórze odczuje zemstę bardziej dotkliwie, niż moglibyśmy sobie to wymarzyć.

Taura trzymała dowódcę służby bezpieczeństwa w wyciągniętej ręce niczym kota. Bel podbiegł, chcąc sparaliżować go z bliskiej odległości. Milesowi udało się nakłonić Taurę, by upuściła nieprzytomnego na ziemię, po czym obiegił wokół pojazdu i otworzył tylne drzwiczki dla Nicol, która umieściła tam swój fotel. Wtłoczyli się do środka, zatrzasnęli włącz i po uruchomieniu maszyny przez Bela wzbili się do góry. Usłyszeli odgłos syreny alarmowej, dobiegający od strony posesji Ryovala.

– Nadajnik, nadajnik – wymamrotał Miles, spychając z urządzenia swojego nieprzytomnego żołnierza. – Bel, gdzie zaparkowaliście czółno?

– Na małej publicznej przystani, tuż za miastem Ryovala, około czterdziestu kilometrów stąd.

– Czy ktoś tam został?

– Anderson i Nout.

– Na jakim kanale mogę ich złapać?

– Dwudziestym trzecim.

Miles opadł na siedzenie obok Bela i uruchomił kanał. Nim sierżant Anderson odpowiedziała na sygnał, upłynęła cała wieczność, czyli około trzydziestu bądź czterdziestu sekund. Samolot unosił się nad koronami drzew, mijając okoliczne pasma górskie.

– Laureen, jak najszybciej wzbijcie się w powietrze. Pilnie potrzebujemy jeszcze jednego środka transportu. Znajdujemy się w wozie pod banderą Fella i zmierzamy na – Miles podstawił nadajnik pod nos Bela.

...północ od pracowni biologicznych Ryovala – wyrecytował Bel. – Lecimy z prędkością sześciuset kilometrów na godzinę, więcej z tego wraka nie da się wycisnąć.

– Zmierzaj prosto na nasz radar. – Miles nastawił sygnał awaryjny na nadajniku. – Nie czekaj na odprawę kontroli ruchu na przystani Ryovala, bo i tak nie uzyskasz prawa na przejazd. Niech Nout nie traci ze mną łączności w drodze na Ariela.

– Rozkaz, sir – dobiegł go pogodny głos Anderson.

Urwany sygnał, po którym nastąpiło kolejnych kilka sekund dręczącego oczekiwania. Po chwili rozbrzmiał podekscytowany głos.

– Tu Murka. Wczoraj w nocy myślałem, że pójdzie pan prosto za nami! Czy wszystko w porządku?

– Chwilowo tak. Czy Vaughn jest już na statku?

– Tak, sir.

– Dobrze. Za nic go nie wypuście. Powiedz mu, że wiozę tę jego próbkę.

– Naprawdę? Jakim cudem...

– Nieważne. Sprowadź całą załogę na pokład i wzniescie się na wolną orbitę. Uwzględnij w planach ściąganie z powietrza czółna i każ pilotowi obrać kurs na uskok Escobar, tak abyśmy ruszyli tam na najwyższych obrotach. I nie czekaj na odprawę.

– Wciąż trwa załadunek...

– Zostawcie to, czego jeszcze nie zapakowaliście.

– Czy jesteśmy w tarapatach, sir?

– Śmiertelnych, Murka.

– Rozumiem, sir. Bez odbioru.

– Sądziłem, że mieliśmy przetrwać pobyt na Szczelinie Jacksona, siedząc cicho jak mysz pod miotłą – zalił się Bel. – Czy nie robimy wokół siebie trochę za dużo hałasu?

– Sytuacja uległa zmianie. Nie będzie żadnych negocjacji z Ryovalem w sprawie Nicol. Ani Taury, po tym, co zrobiliśmy minionej nocy. Krótko mówiąc, wymierzyłem cios w obronie prawdy i sprawiedliwości. Później ci opowiem. Zresztą, czy naprawdę wolałbyś sterczeć tu, podczas gdy ja wprowadzałbym barona Fella w szczegóły betańskiej kuracji odmładzającej?

– Och. – Śledzące w skupieniu drogę oczy Thorna zaślniły. – Wiele bym dał, aby to zobaczyć.

– Ha. O nie. Przez jedną, ostatnią chwilę tam w dole mieliśmy kontrolę nad sytuacją. A przynajmniej tak się zdawało. – Miles zaczął z uwagą badać odczyty na prostej tablicy rozdzielczej pojazdu. – Okazja, by powtórnie zebrać nas wszystkich razem już by się nie trafiła, nigdy. Można manewrować, ile się da, ale przychodzi chwila, kiedy należy przedsięwziąć energiczne kroki. Jeśli ją przegapisz, bogowie spiszą cię na straty. I vice versa... a propos, widziałeś jak Taura położyła siedmiu z nich? – Miles roześmiał się na samo wspomnienie. – Ciekawe, w co przeobrazą się po pierwszym etapie szkolenia?

Bel niespokojnie zerknął przez ramię w kierunku miejsca, gdzie spoczywał pojazd Nicol. Taura siedziała wciśnięta w tył wozu, mając u boku nieprzytomnego żołnierza.

Miles wstał i przepchnął się do tyłu, by doglądać jego cennej zawartości.

– Nicol, byłaś wspaniała – powiedział. – Walczyłaś jak jastrząb. Kto wie, może dostaniesz z racji tego jakiś upust.

Nicol w dalszym ciągu była bez tchu, policzki o barwie kości słoniowej okrył rumieniec. Górną ręką zgarnęła z oczu kosmyk czarnych włosów.

– Bałam się, że połamię mój instrument. – Dolną ręką pogładziła spoczywający obok duży futerał. – No, i że skrzywdzą Bela...

Zielonkawa na twarzy Taura siedziała wsparta o ścianę. Miles klęknął przy niej.

– Taura, kochana, co ci jest? – Delikatnie uniósł jej szponiastą rękę, by stwierdzić, że miała przyspieszony puls.

Na ten czuły gest Nicol posłała mu lekko zdziwione spojrzenie, gdyż sama odsunęła swój pojazd od Taury, tak daleko jak tylko mogła.

– Jestem głodna – wydusiła Taura.

– Znowu? Ależ tak, to całe zużycie energii. Czy ktoś ma przy sobie prowiant? – Pośpieszne poszukiwania ujawniły w kieszeni zemdlonego żołnierza nadgryziony baton.

Miles zabrał go natychmiast. Uśmiechnął się do Taury, kiedy ta pochłaniała baton; mimo pełnych ust odpowiedziała mu uśmiechem. Nigdy więcej szurów, przyrzekł jej w duchu. Zaraz po powrocie na Ariela trzy steki plus ciasto czekoladowe na deser...

Samolot uczynił nagły zwrot. Dochodząca do siebie Taura wyciągnęła nogi i przycisnęła do ściany fotel Nicol, by uchronić go od wstrząsów.

– Dziękuję – odparła ostrożnie Nicol. Taura skinęła głową.

– Mamy towarzystwo – zawołał przez ramię Bel Thorne. Miles pospieszył w jego kierunku.

Doganiały ich dwa ślizgacze. Ochrona Ryovala. Z pewnością daleko lepiej wyposażona niż przeciętne wozy policyjne. Bel ponownie uskoczył. Obok przeleciały strumienie plazmy, pozostawiając zielone pasma na siatkówkach Milesa. Quasiwojskowi i poważnie rozdrażnieni, tak można by określić ich obecnych napastników.

– To jeden z samolotów Fella, powinniśmy mieć coś, co można by rzucić im w zamian. – Ale Miles nie widział przed sobą nic, co wyglądałoby na sterownię wyrzutni pocisków.

Rozległ się huk, po którym usłyszeli krzyk Nicol. Pojazd zadygotał w powietrzu i zaraz wyrównał kurs pod wprawną ręką Bela. Łoskot powietrza i gwałtowne wibracje – Miles rozejrzał się gorączkowo – górny róg powierzchni ładowniczej samolotu przestał istnieć. Jedna część

bocznych drzwi zatrzasnęła się awaryjnie, podczas gdy druga, pozbawiona zabezpieczenia, hałaśliwie otwierała się i zamykała. Taura nadal ścisnęła siedzisko Nicol, która zdążyła chwycić ją za kostki obu nóg.

– Ach – powiedział Thorne. – Żadnej osłony.

– Co oni sobie wyobrażali, że to będzie misja pokojowa? – Miles sprawdził nadajnik. – Laureen, czy już wystartowałaś?

– Jestem w drodze, sir.

– Więc jeśli kiedykolwiek korciło cię, aby przekroczyć czerwoną linię, teraz masz okazję. I tym razem nikt nie powie ci słowa na temat nadużywania sprzętu.

– Dziękuję, sir – odrzekła radośnie.

Tracili prędkość i wysokość.

– Trzymajcie się! – wrzasnął przez ramię Bel i raptownie odwrócił siłę ciągu.

Depczący im po piętach napastnicy przemknęli obok, lecz zaraz zaczęli pięć się w górę. Bel ponownie przyspieszył, na co z tyłu odpowiedział mu kolejny okrzyk, kiedy pasażerki zostały rzucone na wątpliwą teraz trwałości boczne drzwi.

Paralizatory nie mogły im przynieść żadnego pożytku. Miles jeszcze raz przełaził do tyłu w poszukiwaniu jakiegoś pomieszczenia na bagaż, czy półki z bronią – przecież ludzie Fella nie polegali tylko i wyłącznie na budzącej strach reputacji swojego pracodawcy...

Wyściełane ławki po bokach, na których przypuszczalnie siadali podczas jazdy żołnierze, służyły jednocześnie jako miejsce na bagaż. Pierwsza z nich świeciła pustkami, druga zawierała rzeczy osobiste. Miles rozważył możliwość uduszenia wroga spodniami od piżamy lub zatkania bielizną wlotu powietrza. Trzecia była także pusta. Czwarta zaś zatrzaśnięta na głucho.

Pojazd zakołysał się pod kolejnym uderzeniem, część dachu odpadła i została porwana przez wiatr. Miles chwycił Taurę i maszyna runęła w dół. Miał uczucie, jakby coś wypychało mu wnętrzności. Kiedy Bel przyhamował, pasażerowie ponownie zostali wgniecenii w podłogę. Samolot zatrząsnął się, przechylił i zarył w gąszcz poczerniałych od mrozu zarośli. Wszyscy, Miles i Taura, nieprzytomny żołnierz oraz Nicol w swoim siedzisku polecili na łeb na szyję do przodu.

Bel, z krwią płynącą po twarzy, skoczył ku nim wołając: „Wychodzić, wychodzić!”. Miles sięgnął ręką do wyrwy w suficie i cofnął ją natychmiast pod parzącym dotknięciem rozgrzanego metalu i stopionego plastyku. Taura stanęła na nogi i wystawiła głowę na zewnątrz, po czym schyliła się, by wypchnąć tą drogą Milesa. Zeskoczywszy na ziemię, Miles spojrział dookoła. Znajdowali się w obramowanej prążkowanymi pagórkami dolinie, gdzie przebiegała nie zakłócona obecnością człowieka wegetacja. Ich śladem podążały dwa wrogie ślizgacze, sunąc coraz wolniej i potężniej w miarę zmniejszania się odległości. Czy przybywały, by wziąć zakładników, czy też by staranniej wycelować?

Zza wzgórz wyłoniło się czółno bojowe „Ariela” i zstępowało ku nim, niczym czarna dłoń Boga. Ślizgacze zaraz wydały się dużo mniejsze. Jeden z nich skręcił i umknął, a drugi został strącony na ziemię podmuchem lądującego czółna. Z miejsca jego upadku nie wzbijała się choćby smuga dymu. Czółno wylądowało nieopodal nich wśród ogłuszającego trzasku łamanych gałęzi. Osłona wejścia rozwinęła się i złożyła w rodzaj uprzejmego, nonszalanckiego pozdrowienia.

– Efekciara – mruknął Miles. Przerzucił sobie przez barki ramię Thorna. Taura wzięła na ręce zemdlonego żołnierza, a sponiewierany pojazd Nicol niemrawo unosił się nad nimi. Chwiejnie ruszyli ku swemu ocaleniu.

W poszumie znajomych dźwięków Miles wszedł do rękawa prowadzącego na pokład „Ariela”.



W zetknięciu ze sztuczną grawitacją, nie do końca zgraną z przeciążonymi silnikami, poczuł nagłe szarpnięcie w żołądku. Podróż trwała, właśnie przecinali orbitę. Miles pragnął jak najszybciej dostać się do kabiny nawigacyjnej, choć jak dotychczas wszystko wskazywało na to, że Murka radzi sobie całkiem dobrze. Anderson i Nout przyciągnęli odzyskującego przytomność żołnierza i przekazali natychmiast czekającemu już z noszami lekarzowi. Thorne, któremu opatrzono czoło, skaleczone podczas lotu czółnem, polecił Nicol udać się za nimi, po czym ruszył w kierunku kabiny nawigacyjnej. Miles ujrzał przed sobą człowieka, którego oglądać w tej chwili nie miał najmniejszej ochoty. W korytarzu stał doktor Canaba.

Ty – powiedział Miles pełnym gniewu głosem. Canaba cofnął się mimowolnie. Gdyby nie zbyt niski wzrost, Miles powiesiłby go na ścianie za kołnierz. Z żalem odsunął od siebie myśl, by kazać Noutowi zrobić to za niego. Zamiast tego osadził Canabę w miejscu wściekłym spojrzeniem.

– Ty zimnokrwisty draniu o podwójnej twarzy. Wysyłać mnie, abym mordował szesnastolatkę!

Canaba uniósł ręce w obronnym geście.

– Pan nie rozumie...

Zgięta w pół Taura przeszła przez właz. Na widok Canaby wytrzeszczyła oczy, nie mniej zdumiona niż on sam.

– Doktorze Canaba! Co pan tutaj robi?

Miles wycelował palcem w Canabę.

– Ty, zostań tu – nakazał mu ostro. Opanowawszy się, przeniósł wzrok na pilota czółna. – Laureen?

– Słucham, sir?

Miles wziął Taurę za rękę i podprowadził ją do sierżant Anderson.

– Laureen, zabierz stąd Taurę i porządnie nakarm. Ma się najeść do syta, powiedziałem: do syta. Potem niech się wykąpie, daj jej mundur i oprowadź po statku.

Anderson zmierzyla wzrokiem strzelistą sylwetkę Taury.

– Eee... tak jest, sir.

– Przeszła ciężkie chwile – uznał za stosowne wyjaśnić Miles. Zamilkł na moment, po czym dodał: – Zaopiekuj się nią jak należy. To ważne.

– Tak jest, sir – odparła zdecydowanie Anderson i odeszła. Taura ruszyła za nią, obrzucając ich na odchodne niepewnym spojrzeniem.

Miles potarł swój zarośnięty podbródek, świadom tego jak bardzo jest nieświeży i brudny. Po przebytych wydarzeniach znużenie dawało o sobie znać napiętymi do ostatnich granic nerwami. Popatrzył na oniemiałego genetyka.

– W porządku, doktorze – warknął – proszę sprawić, abym to pojął. Będzie pan musiał się mocno starać.

– Nie mogłem pozostawić jej w rękach Ryovala! – rzucił zapalczywie Canaba. – Uczyniłby z niej ofiarę lub co gorsza wykonawcę swoich najpodlejszych zamysłów...

– Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, by prosić nas o jej uratowanie?

– Ale – odparł zmieszany Canaba – niby dlaczego mielibyście to robić? Nie było zawarte w umowie – najemnicy...

– Doktorze, przecież spędził pan na Szczelinie Jacksona wystarczającą ilość czasu.

– Zdawałem sobie z tego sprawę już wtedy, kiedy każdego ranka rzygałem przed pójściem do pracy. – Canaba wyprostował się z godnością. – Ale nie rozumie pan, admirale. – Spojrzał w kierunku, dokąd przed chwilą udała się Taura. – Nie mogłem pozostawić jej w rękach Ryovala. Ale niemożliwe jest też zabranie jej na Barrayar. Oni tam zabijają mutantów!

W odpowiedzi Miles zająknął się z lekka.

– Podejmowane są próby wyeliminowania tych uprzedzeń. O ile mi wiadomo. Ale ma pan całkowitą rację. Barrayar nie jest odpowiednim miejscem.

– Zanim przybyliście tu, łudziłem się, że zdołam sam pozbawić ją życia. Co nie byłoby łatwe. Znam ją... zbyt długo. Lecz pozostawienie jej na pastwę losu stanowiłoby najgorszą karę...

– Nie przeczę. Cóż, już jej tam nie ma. Pana zresztą również. – Oby tylko tak pozostało... Miles z niecierpliwością myślał o pójściu do kabiny nawigacyjnej w celu rozpoznania sytuacji. Czy Ryoval wysłał już pościg? Albo Fell? Czy stacja kosmiczna strzegąca odległego uskoku otrzymała rozkaz odcięcia im ucieczki?

– Nie chciałem tak po prostu jej porzucić – zaklinał się Canaba. – Ale i nie byłem w stanie ze sobą zabrać!

– To oczywiste, że nie. Nikt bardziej nie przystosowany do sprawowania nad nią opieki nie przychodzi mi do głowy. Mam zamiar przekonać ją, aby wstąpiła do Dendariańskich Najemników. Zdaje się, że to jej genetyczne przeznaczenie. Chyba że mógłby pan wysunąć jakiś argument przeciw?

– Ależ ona wkrótce umrze!

Miles zamilkł.

– A pan lub ja, nie? – odrzekł cicho po chwili. Podnosząc nieco głos, dodał: – Dlaczego? Kiedy?

– To wynika z jej przemiany materii. Kolejny błąd bądź też suma błędów. Nie wiem dokładnie, kiedy. Może w przyszłym roku, za dwa lata lub za pięć. Czy dziesięć.

– Lub piętnaście?

– Lub piętnaście, chociaż to mało prawdopodobne. W każdym razie niedługo.

– A jednak chciał pan odebrać jej i to... Dlaczego?

– Aby ją oszczędzić. Końcowe zniedołężnienie następuje błyskawicznie, ale nie bez bólu, sądząc po tym, co przechodziły inne... prototypy. Kobiety chyba bardziej cierpiały niż mężczyźni, nie jestem pewien... Ale to potworna śmierć. A szczególnie potworna byłaby w niewoli u Ryovala.

– Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek zetknął się z przyjemną śmiercią. A widziałem już różne. Zaś co do trwania to, proszę mi uwierzyć, wszyscy moglibyśmy umrzeć w ciągu pięciu minut. I gdzie tu miejsce na pańską łaskę?

Musiał iść do kabiny nawigacyjnej.

– Rozumiem pańskie pobudki, doktorze. Tymczasem jednak proszę pozwolić jej czerpać z życia, ile tylko zdoła.

– Ale przecież powstała z mojego zamysłu. Odpowiadam za nią.

– Nie. Teraz jest wolna. Musi odpowiadać sama za siebie.

– Jak można być wolnym, będąc uwięzionym w takim ciele. Jakie życie ją czeka – już lepiej jest umrzeć bez bólu, niż dźwigać ciężar nieustannego cierpienia.

– Nie. Nie jest – odparł z naciskiem Miles przez zaciśnięte zęby.

Canaba wlepił w niego oczy, nareszcie wyrwany z toku swojej argumentacji.

Tak jest, doktorze, pomyślał Miles. I co ty na to?

– Dlaczego niby... miałyby to pana obchodzić? – zapytał Canaba.

– Lubię ją. Muszę przyznać, że chyba bardziej niż pana.

Miles urwał na myśl o konieczności powiadomienia Taury o kompleksach genowych zawartych w jej nodze. Przecież prędzej czy później będą musieli je odzyskać. Chyba że zdoła to jakoś zatuszować, udając, iż biopsja stanowi rodzaj standardowej procedury przy wcielaniu do oddziałów dendariańskich. Nie. Zasługiwała na większą szczerłość.

Był zły na Canabę, dlatego że przyczynił się do tej fałszywej nuty pomiędzy nim a Taurą, aczkolwiek, mimo iż poczucie dumy broniło się przed tą wersją, czy to nie owe geny przesądziły o jego dla niej poświęceniu? Przekroczył zakres swoich obowiązków i naraził misję na fiasko z czystej dobroci serca? Oddanie sprawie, czy pragmatyczne wyrachowanie, gdzie przebiegała granica? Teraz już się nie dowie. Gniew ustąpił miejsca zmęczeniu, doświadczanemu już odczuciu spadku sił po wykonaniu każdego zadania – tym razem zbyt wcześnie, misja jeszcze nie dobiegła końca, przypomniał sobie ponuro Miles. Wziął głęboki oddech.

– Nie może pan ocalić jej przed życiem, doktorze Canaba. Za późno. Proszę pozwolić jej odejść. Odejść.

Canaba ściągnął usta i pochylił głowę, rozkładając bezradnie ręce.

– Wezwijcie admirała – zabrzmiały słowa Thorna, kiedy Miles wkroczył do kabiny nawigacyjnej, po czym: – Już nie trzeba – kiedy na odgłos otwieranych drzwi wszystkie głowy zwróciły się ku niemu. – W samą porę, sir.

– Co tam? – Miles usiadł na wskazanym przez Thorna krześle. Murka dokonywał przeglądu osłony statku i systemów obronnych, zaś pilot tkwił na posterunku w hełmie najeżonym płataniną drutów i przewodów. Był bez reszty pochłonięty czekającym go zadaniem; opanowany i skupiony zdawał się stanowić jedność z prowadzoną przez siebie maszyną. Zaczny człowiek.

– Baron Ryoval na linii, do ciebie – oznajmił Thorne. – Osobiście.

– Ciekaw jestem, czy już sprawdził chłodnie. – Miles usadowił się przed wideofonem. – Jak długo czeka?

– Mniej niż minutę – powiedział oficer łączności.

– Zatem damy mu jeszcze chwilę. Czy ktoś już nas ściga?

– Jak dotychczas, nikt – odrzekł Murka.

Miles uniósł brwi na tę nieoczekiwaną wiadomość. Chciał jakoś doprowadzić się do porządku, załując jednocześnie, że przed czekającą go przeprawą nie miał czasu, by odświeżyć się, ogolić i założyć czysty mundur. Podrapawszy swędzący podbródek, przecesał dłonią włosy i potarł palcami stóp o wykładzinę, której ledwie sięgały. Obniżył nieco krzesło, wyprostował kręgosłup jak tylko mógł, starając się wyregulować przyspieszony oddech.

– Dobrze, łączcie.

Tło, na którym pojawiła się twarz, wyglądało na znajome: Operacyjny Punkt Służby Bezpieczeństwa w centrum badawczym Ryovala. Zgodnie z obietnicą, baron Ryoval osobiście zawitał w miejscu zdarzenia. Wystarczyło jedno spojrzenie na wykrzywioną młodzieńczą twarz Ryovala, by domyślić się reszty. Miles skrzyżował ręce na piersi i posłał mu niewinny uśmiech.

– Dzień dobry, baronie. Co mogę dla pana uczynić?

– Zdechnąć, ty pokrako! – wypluł Ryoval. – Ty! Choćbyś zaszył się w najgłębszej dziurze, i tak cię dopadnę. Wyznaczę taką cenę za twoją głowę, że wszyscy łowcy nagród w Galaktyce będą deptać ci po piętach – nie zaznasz chwili spokoju – dopadnę cię.

Jego zachowanie wskazywało, że widział chłodnie. I to chyba niedawno. Po wzdorliwej pozie, którą przybrał podczas pierwszego spotkania, nie pozostało ani śladu. Jednak ton jego gróźb zaskoczył Milesa. Możliwe, że baron spodziewał się, iż zdołają zbiec z jacksonskiego terytorium. Korporacja Ryoval istotnie nie dysponowała własną flotą, ale przecież mogła wynająć pancernik od Fella i przystąpić do niezwłocznego ataku. To byłaby wersja, której Miles najbardziej się spodziewał i lękał, że Ryoval i Fell, a może i Bharaputra, przysięgną się przeciwko niemu w celu udaremnienia wywozu cennych zdobyczy.

– Czy w tej chwili stać cię na to, by opłacić łowców nagród? – zapytał łagodnie Miles. – Sądziłem, że twoje rezerwy doznały niejakiego uszczerbku. Choć pewnie nadal posiadasz ekspertów-chirurgów.

Ciężko chwytając powietrze, Ryoval otarł pianę z ust.

– Czy stoi za tym mój najdroższy brat?

– Kto? – zdumienie Milesa nie było udawane. Czyżby kolejny uczestnik gry...?

– Baron Fell.

– Ja... nie wiedziałem, że jesteście spokrewnieni – odrzekł Miles. Młodszy brat?

– Kiepsko potrafisz kłamać – oświadczył z ironicznym uśmiechem Ryoval. – Wiedziałem, że maczał w tym palce.

– Sam go o to spytaj – rzucił Miles; aż kręciło mu się w głowie po tym, co usłyszał. Uzyskane przed misją informacje były do niczego, nie padło w nich ani jedno słowo na temat tego powiązania. Koncentrowały się jedynie na Korporacji Bharaputra. Niewątpliwie bracia przyrodni – tak, przecież Nicol wspominała coś o „przyrodnim bracie Fella”.

– Zapłacisz za to głową – pieniał się Ryoval. – Dostarczą mi ją zamrożoną w skrzynce. Pokryję ją plastykiem i powieszę nad... albo nie; podwójną stawkę otrzyma ten, kto dowiedzie cię żywego. Będziesz konał powoli i w poniżeniu.

Miles był rad, że dzieląca ich odległość zwiększała się z każdą chwilą.

Ogarnięty nagłym podejrzeniem Ryoval przerwał potok gróźb i zmarszczył brwi.

– A może to Bharaputra cię wynajął? Dążąc do powstrzymania mnie przed naruszeniem jego monopolu biologicznego, zamiast połączyć siły zgodnie z obietnicami?

– Nie, zaraz – przerwał mu przeciągle Miles. – Czy rzeczywiście Bharaputra odważyłby się uknuć intrygę przeciwko przywódcy innej korporacji? Czy masz dowody, że podejmowane są tego rodzaju działania? Albo – kto zabił kłona twojego brata? – Szereg powiązań nareszcie się krystalizował. Miles poczuł, że wraz ze swoją misją trafił w sam środek nieprzerwanego konfliktu o władzę na skalę bizantyjską. Według słów Nicol, Fell nigdy nie zdołał ustalić tożsamości zabójcy swojego duplikatu... – Czy mam zgadywać?

– Wiesz, aż za dobrze – rzucił się Ryoval. – Ale który z nich cię wynajął? Fell czy Bharaputra? Który?

Ryoval, jak stwierdził Miles, był kompletnie nieświadomy prawdziwego celu misji dendariańskiej, wymierzonej w Korporację Bharaputra. A wzięwszy pod uwagę napiętą atmosferę między korporacjami, przypuszczalnie upłynie dużo czasu, nim dojdą do porozumienia na tyle, aby wyciągnąć wspólne wnioski. Jeżeli chodziło o Milesa, im dłużej, tym lepiej.

Celowo pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech. – Jak to, zatem tak trudno ci uwierzyć, że był to po prostu wyraz mojego osobistego protestu przeciwko handlowi genetycznych niewolników? Czyn w obronie honoru mojej pani?

Wzmianka o Taurze nie zrobiła na Ryovalu najmniejszego wrażenia. Miał już ustalony pogląd na sprawę, a jej wątek i jego wściekłość stanowiły skuteczną zaporę przed napływem nowych informacji. Wmówienie człowiekowi, który spiskował przeciwko swoim rywalom, że oni czynią tak samo, nie nastrecało żadnych trudności.

– Fell, czy Bharaputra? – nie dawał za wygraną Ryoval. – Czy tym podłym wandalizmem usiłowałaś zatuszować kradzież na zlecenie Bharaputry?

Kradzież? Miles rozważył to z namysłem. Na pewno nie chodziło o Taurę – może jakiś wycinek tkanki, o który pertraktował Bharaputra? Ach, tak...

– Czy to nie oczywiste? – odparł Miles. – Ingerując w plany wiodące ku przedłużeniu życia

twojego brata, podsunąłeś mu motyw. A że na dodatek stawiałeś zbyt wysokie wymagania Bharaputrze, wspólnie wynaleźli sposób, umieszczając swojego superwojownika na twoim terenie, gdzie mogłem się z nią spotkać. Co więcej, sam zapłaciłeś za całkowitą ruinę swojego systemu obronnego. Wmanewrowałeś się prosto w nasze ręce. Cały ten perfekcyjny plan – Miles polerował paznokcie skrajem koszulki – był, rzecz jasna, mój.

Zerknął na ekran. Ryoval miał wyraźne problemy z oddychaniem. Nagłym ruchem drżącej dłoni przerwał połączenie. Ciemność.

Nucąc w zamyśleniu, Miles poszedł wziąć prysznic.

Odziany w biel i szarość, naszpikowany salicyłami na swoje bóle i potłuczenia, wrócił do kabiny nawigacyjnej. W rękę trzymał kubek z gorącą czarną kawą; antidotum na piekące, zaczerwienione oczy. Czekala go kolejna rozmowa.

W przeciwieństwie do swojego przyrodniego brata, widoczny na ekranie baron Fell przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w Milesa. Ten, rumieniąc się pod jego spojrzeniem, poczuł niebywałą satysfakcję, iż miał czas, aby się odświeżyć. Czyżby baron w końcu zatęsknił za swoją czwororamienną? Czy Ryoval przekazał mu coś ze steku nonsensów, którymi uraczył go Miles? Ze Stacji Fell nie wypuszczono za nimi pościgu – powinni zrobić to szybko albo wcale, gdyż jednostka na tyle lekka, by dogonić „Ariela”, nie będzie w stanie stawić czoła jego uzbrojeniu. Chyba że baron Fell planował poprosić o wsparcie konsorcjum korporacyjne, kierujące stacją uskokową... Miles czuł, że jeszcze minuta tej przytłaczającej ciszy i zacznie pleść coś bez sensu. Na szczęście Fell zdecydował się wreszcie przemówić.

– Nie wiem, czy dzieje się tak przez przypadek, czy nie – zaczął. – Jednak wygląda na to, admirale, że wywozi pan coś, co nie należy do pana.

Było kilka tych cosiów, stwierdził w duchu Miles, ale przypuszczał, że Fell miał na myśli wyłącznie Nicol. – Zostaliśmy zmuszeni do niezwłocznego wyjazdu – odrzekł przeproszającym tonem.

– Tak też mi powiedziano. – Fell miał ironiczny wyraz twarzy. Musiał otrzymać sprawozdanie niefortunnego przywódcy oddziału. – Mógł pan oszczędzić sobie kłopotu. Ustalono za nią cenę. Nie sprawi mi różnicy, czy oddam ją panu, czy Ryovalowi, o ile tylko otrzymam zapłatę.

Obsługujący monitory Thorne unikał wzroku Milesa.

– Rozumiem, że ceną, o której mówisz, jest sekret betańskiej techniki odmładzającej – powiedział Miles.

– Dokładnie.

– Ach... hm. – Miles zwilżył wargi. – Nie mogę, baronie.

Fell obrócił głowę.

– Komandorze, proszę o wypuszczenie jednostek pościgowych.

– Czekaj! – wrzasnął Miles.

Fell uniósł brwi.

– Przemyślał pan to? Świetnie.

– Sęk nie w tym, że nie powiem panu – odrzekł desperacko Miles – ale że prawda na nic by się panu nie zdała. Absolutnie na nic. Jednak zgadzam się, że zasługuje pan na odszkodowanie. Istnieje pewna informacja, która może przynieść lepszy pożytek. Mogę ją panu zaferować.

– Tak? – głos Fella był obojętny, ale wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego.

– Podejrzał pan Ryovala, swojego brata przyrodniego, o zaaranżowanie morderstwa swojego duplikatu, ale nie mógł pan przedstawić żadnych dowodów, czy tak?

Fell wykazał odrobinę zainteresowania.

– Ani moi agenci, ani agenci Bharaputry nie stwierdzili żadnych powiązań. Próbowaliśmy.

– Nie dziwi mnie to. Ponieważ właśnie agenci Bharaputry dokonali tego czynu. – W każdym razie nie było to wykluczone.

Oczy Fella zwięźli się w szparki.

– Zabili swój własny twór? – odparł z wolna.

– Podobno Ryoval uknuł spisek z Korporacją Bharaputra, by pana zdradzić – poszedł za ciosem Miles. – Wiązało się to z wymianą pewnych unikalnych próbek biologicznych będących w posiadaniu Ryovala; nie sądzę, aby byli skłonni narażać się dla samej gotówki. Umowę zawarto niewątpliwie na najwyższym szczeblu. Nie wiem, jak planowali podzielić łupy po pańskiej śmierci – być może wcale nie zamierzali tego robić. Wydaje się, że przedsięwzięli jakiś ostateczny plan, mający na celu połączenie ich działań na rzecz poszerzonego monopolu biologicznego na Szczelinie Jacksona. Zbiorowe połączenie specjalności. – Miles spauzował dla większego efektu. – Czyż nie lepiej, aby zachował pan siły na bardziej, hm, aktualnego przeciwnika? Poza tym zainkasował pan od nas pełną kwotę, a my mamy tylko połowę towaru. Czy to sprawiedliwe?

Z wyrazem twarzy człowieka, którego myśli biegną w trzech kierunkach jednocześnie, przez pełną minutę Fell nie spuszczał ze swego rozmówcy rozgniewanego spojrzenia. Miles znał to uczucie. Następnie odwrócił głowę i wycedził:

– Wstrzymać pościg. Miles odetchnął.

– Dziękuję za tę informację, admirale – powiedział chłodno baron – ale nie bardzo dziękuję. Nie będę utrudniał panu odwrotu. Ale jeżeli pan lub jakikolwiek z pańskich statków znów pojawi się w przestrzeni jacksonskiej...

– Ależ baronie – przerwał szczerze Miles. – Pozostanie z dala od tego miejsca staje się jednym z moich najgorętszych pragnień.

– Jest pan rozsądny – burknął Fell i chciał przerwać odbiór.

– Baronie Fell – wtrącił Miles. Fell znieruchomiał. – Na przyszłość – czy ta linia jest zabezpieczona?

– Tak.

– Prawdziwy sekret betańskiej kuracji odmładzającej tkwi w tym, że takowa nie istnieje. Proszę więcej nie dać się oszukać. Wyglądam na tyle lat, na ile wyglądam, ponieważ dokładnie tyle mam. Resztę pozostawiam panu.

Fell nie powiedział ani słowa. Po chwili nieznaczny, lodowaty uśmiešek poruszył jego usta. Potrząsnął głową i przerwał połączenie.

Kończącą odprawę na stacji uskokowej Miles na wszelki wypadek przeczekał w szklanej osłonie w rogu kabiny nawigacyjnej. Doszedł jednak do wniosku, że korporacje Fell, Ryoval i Bharaputra były zbyt pochłonięte własnymi sprawami, by troszczyć się o niego, przynajmniej na razie. Ostatni podział zarówno prawdziwych, jak i fałszywych informacji między bojowników – każdemu według jego własnej miarki – kojarzył mu się z rzuceniem jednej kości między trzy wygłodzone, złe psy. Prawie żałował, że nie było mu dane podziwiać rezultatów. Prawie.

Długo po przekroczeniu uskoku obudził się w swoim pokoju całkowicie ubrany, z butami ustawionymi porządnie obok łóżka. Zupełnie nie pamiętał, jak tam trafił. Przypuszczał, że stało się to za sprawą Murki. Gdyby zasnął spacerując samotnie, w dalszym ciągu miałby na sobie buty.

Najpierw zajrzał do oficera dyżurnego, by dowiedzieć się o aktualnej sytuacji „Ariela”. Była pokrępowana monotonna. Przecinali układ błękitnogwiezdny, wiodący od uskoku w kierunku

Escobar. Wyludniony i pusty, jeśli nie liczyć ciągnących tu i ówdzie pojazdów dostawczych. Nikt ich nie ścigał. Miles zjadł lekki posiłek, nie wiedząc, czy było to śniadanie, lunch, czy też obiad. Przygody na dole zakłóciły jego biorytm. Następnie wybrał się na poszukiwanie Thorna i Nicol. Odnalazł ich w warsztatach. Mechanik prostował właśnie ostatnie wkłknięcia w fotelu Nicol.

Nicol, ubrana teraz w białą tunikę i szorty z różową lamówką, leżała na brzuchu na ławce, pilnie śledząc przebieg naprawy. Widząc ją pozbawioną swojego pojazdu, Miles doznał dziwnego uczucia, podobnego do reakcji na widok kraba bez skorupy bądź foki na brzegu. Leżąc na ziemi wyglądała na bezbroną, ale na wspomnienie swobody i wdzięku, z jakim poruszała się w swojej kuli, widok jej dodatkowych ramion przestał robić na nim wrażenie. Thorne pomógł mechanikowi nałożyć błękitną pokrywę na mechanizm antygravitacyjny, po czym gdy ten przeszedł do mocowania go na miejsce, odwrócił się, by powitać Milesa.

Miles usiadł na ławce, niżej od Nicol.

– Okoliczności wskazują na to – powiedział – że ze strony Fella nic nie powinno ci zagrażać. On i jego brat przyrodni będą teraz pochłonięci zemstą. Cieszę się, że jestem jedynakiem.

– Hm – odparła w zadumie.

– Jesteś bezpieczna – zapewnił ją Thorne.

– Och nie, nie o to chodzi – powiedziała Nicol. – Właśnie myślałam o swoich siostrach. Kiedyś nie mogłam doczekać się chwili, gdy będę z dala od nich. A teraz nie mogę się doczekać, kiedy znów je zobaczę.

– Jakie są twoje najbliższe plany? – zapytał Miles.

– Przede wszystkim zatrzymam się w Escobar – odrzekła. – W tym miejscu przecina się wiele szlaków, stąd będę mogła wyruszyć na Ziemię. A z Ziemi dostanę się na Orient IV, z którego już potem prosto do domu.

– A więc dom stanowi twój obecny cel?

– Pozostaje jeszcze dużo Galaktyki do zwiedzenia – wtrącił Thorne. – Nie wiem, czy podział funkcji na statku przewiduje posadę pokładowego muzyka, ale...

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Do domu – odparła stanowczo. – Mam dosyć zmagania z grawitacją. Mam dosyć samotności. Zaczynam mieć koszmary, że rosną mi nogi.

Thorne westchnął lekko.

– Jest u nas niewielka kolonia ludzi stąd – dodała patrząc na Thorna. – Stworzyli własną asteroidę ze sztuczną grawitacją – prawie taką jak na dole, tyle że bez przeciągów.

Miles zaniepokoił się nieco – stracić dowódcę o wypróbowanej lojalności...

– Ach – odparł Thorne równie melancholijnym tonem. – Ale twoja asteroida znajduje się zbyt daleko od mojego domu.

– Czy zamierzasz powrócić któregoś dnia na Kolonię Beta? – spytała. – Czy to Wolna Najemna Flota Dendarii jest dla ciebie domem i rodziną?

– Może nie do tego stopnia – powiedział Thorne. – Pozostaję tu głównie powodowany ciekawością, co wydarzy się dalej. – Obdarzył Milesa szczególnym uśmiechem.

Pomógł Nicol usadowić się w jej błękitnej kapsule. Po krótkim sprawdzeniu urządzeń znów dryfowała w górze, równie czy nawet bardziej ruchliwa niż jej wyposażeni w nogi towarzysze. Kołysząc się, obrzuciła Thorna rozpromienionym spojrzeniem.

– Pozostały zaledwie trzy dni do wejścia w orbitę Escobar. – Thorne zwrócił się z żalem do Nicol. – A jednak – 72 godziny. 4320 minut. Ile można dokonać w ciągu 4320 minut?

Raczej, jak często, pomyślał z przekąsem Miles. Zwłaszcza jeśli się nie śpi. A sądząc po

zachowaniu Thorna, on wcale nie sen miał na myśli. Miles w duchu życzył im powodzenia.

– Tymczasem – Thorne poprowadził Nicol w stronę korytarza – pozwól, że oprowadzę cię po moim statku. Illyricańska robota – rozumiem, że niewiele ci to mówi. Istnieje cała historia o tym, jak „Ariel” trafił w ręce Dendarii – byliśmy wówczas najemnikami oserańskimi...

Nicol przytakiwała zachęcająco. Miles pohamował grymas zawiści i ruszył w przeciwną stronę, by odszukać doktora Canabę i ustalić przebieg ostatniego, niemiłego zadania, które go czekało.

Kiedy drzwi do gabinetu otworzyły się z szumem, Miles pospiesznie odłożył wstrzykiwacz podskórny, który niepewnie obracał w rękach. Odwróciwszy fotel, spojrział na wchodzącą w asyście Taury sierżant Anderson.

– O rany! – mruknął. Anderson zasalutowała.

– Zadanie wykonane, sir.

Taura drgnęła, niepewna, czy ma naśladować jej wojskowe powitanie. Miles spojrział na Taurę i otworzył usta w mimowolnym zachwycie. Przeobrażenie, które się w niej dokonało, przeszło jego najśmielsze oczekiwania.

Nie miał pojęcia, jakim cudem Anderson zdołała nakłonić magazynowy komputer do wyjścia poza jego stałe parametry, w każdym bądź razie udało jej się wydusić z niego kompletny dendariański strój dopasowany do rozmiarów Taury: białoszara kurtkę z kieszeniami, szare spodnie i wypolerowane buty za kostkę. Jej twarz i włosy mogły konkurować czystością z butami. Ciemne włosy miała misternie upięte w gruby i cokolwiek tajemniczy warkocz okalający tył głowy – Miles nie potrafił rozeznaczyć, gdzie ginął jego koniec – i odbijający niespodziewane mahoniowe refleksy.

Wyglądała nie tyle na sytą, ile jej oczy straciły wygłodzony wyraz, nabierając blasku i bystrości. Nie były to już żółte iskierki wyzierające z kościstych oczodołów. Nawet z tej odległości dostrzegł, że woda i szczoteczka zrobiły swoje, eliminując przykry zapach z ust, spowodowany kilkudniową głodówką przerywaną niekiedy surowym mięsem wiadomego pochodzenia. Z jej dużych rąk znikł brudny nalot, zaś paznokcie – tu Anderson wykazała się szczególną pomysłowością – nie zostały stępione, lecz nadano im ładny kształt i pociągnięto perłową emalią, co uzupełniało jej strój niczym biżuteria. Emalia pochodziła zapewne z prywatnych zasobów pani sierżant.

– Wspaniale, Anderson – oświadczył z podziwem Miles.

Anderson uśmiechnęła się z dumą.

– Czy o to chodziło, sir?

– Dokładnie. – Twarz Taury odbijała jego zachwyt, kierując go z powrotem ku niemu. – Jak przyjęłaś przebyte uskoku? – zapytał.

Jak odgadł, próbowała chyba ściągnąć usta, gdyż pofałdowały się jej podłużne wargi.

– Nagle poczułam zawroty głowy i myślałam, że robi mi się niedobrze, ale sierżant Anderson wyjaśniła mi co się dzieje.

– Żadnych drobnych halucynacji czy pętli czasowej?

– Nie, chociaż to było... tak czy inaczej, zaraz minęło.

– Nie wygląda na to, byś należała do tych szczęśliwców – bądź pechowców – mogących przebrnąć szkolenie na pilota. Sądząc po zdolnościach, które zademonstrowałaś wczoraj u Ryovala, dział taktyczny z niechęcią wypuści cię z rąk na rzecz nawigacji. – Miles urwał. – Dziękuję, Lauren. Co robiłaś, kiedy cię wezwałem?

– Rutynowa kontrola czółen spuszcanych, umieszczałam je pod pokładem. Taura patrzyła, jak to robię.

– Dobrze, możesz wrócić do zajęć. Przyślę Taurę do ciebie jak tylko skończymy.



Wyraźnie zaciekawiona Anderson wyszła z ociąganiem. Miles odczekał aż zamkną się za nią drzwi i dopiero wtedy zabrał głos.

– Siadaj, Taura. Zatem twoja pierwsza doba na pokładzie minęła bez zakłóceń?

Uśmiechnęła się, siadając ostrożnie w fotelu, który zaskrzypiał pod jej ciężarem.

– Najmniejszych.

– Ach. – Zawahał się. – Rozumiesz, że kiedy dotrzemy do Escobar, masz możliwość wybrania własnej drogi. Nikt nie zmusza cię, byś przyłączała się do nas. Mógłbym zadbać o przyzwoity start dla ciebie, tam w dole.

– Co takiego? – Zbita z tropu spojrzała na niego rozszerzonymi oczami. – Nie! To znaczy... czy za dużo jem?

– Ależ skąd! Walczysz za czterech, więc jeść możesz za trzech, stać nas na to. Ale... zanim złożysz przysięgę, chciałbym wyjaśnić parę rzeczy. – Odchrząknął. – Nie przyszedłem do siedziby Ryovala, aby cię zwerbować. Czy przypominasz sobie, jak na kilka tygodni przed sprzedaniem cię doktor Canaba wstrzyknął coś do twojej nogi?

– O, tak. – Na wpół świadomie potarła łydkę. – Ciągle jest tam zgrubienie.

– Czy powiedział, co to było?

– Zastrzyk uodparniający.

Miała wtedy rację, uświadomił sobie Miles, podczas ich pierwszego spotkania. Ludzie naprawdę dużo kłamią.

– Nie, to nie był zastrzyk uodparniający. Canaba użył cię jako żywej przechowalni przetworzonego materiału biologicznego. Szczepionego molekularnie, uśpionego materiału – dodał pospiesznie, widząc jak obróciwszy się z niepokojem spogląda na swoją nogę. – Zapewnił mnie, że nie może się on uaktywnić sam z siebie. Pierwotnym celem misji było dopomóc Canabie w ucieczce. Ale nie chciał odjechać bez swoich kompleksów genowych.

– Planował zabrać mnie ze sobą? – zapytała ze zdumieniem. – A więc to jemu powinnam dziękować za przysłanie ciebie!

Miles wiele by dał, żeby ujrzeć wyraz twarzy Canaby, jeśliby rzeczywiście to zrobiła.

– I tak, i nie. A właściwie, nie. – Podjął niezręcznie, chcąc wykorzystać chwilę, zanim na dobre opuści go odwaga. – Nie masz za co dziękować ani jemu, ani mnie. Po prostu chciał odzyskać swoje próbki, więc ja się po nie udałem.

– Czy zostawiłbyś mnie – czy to dlatego Escobar... – w dalszym ciągu była oszołomiona.

– Zwyczajnie miałaś szczęście – przerwał Miles – że zgubiłem ludzi i zostałem rozbrojony, kiedy doszło do naszego spotkania. On również mnie okłamał. W obronie twierdzi, że posiadał jakiś nie do końca sprecyzowany plan ocalenia cię, wyrwania z niewoli u Ryovala. Taura, on wysłał mnie, abym cię zabił. Wysłał mnie, abym uśmiercił potwora, podczas gdy powinien błagać mnie o wybawienie księżniczki w przebraniu. Nie jestem zadowolony z Canaby. Ani z siebie. W podziemiach Ryovala okłamywałem cię, gdyż sądziłem, że jest to konieczne, by przetrwać i wygrać.

Oszołomienie ściągnęło jej rysi i pozbawiło blasku spojrzenie.

– Wobec tego tak naprawdę nie... nie uważałaś mnie za istotę ludzką.

– Wręcz przeciwnie. Nie mogłaś wybrać lepszego sposobu, aby to sprawdzić. Trudniej kłamać ciałem niż ustami. Kiedy... kiedy udowodniłem ci swoją wiarę, to nie mogło być udawane. – Patrząc na nią w dalszym ciągu doznawał przeszywającego uczucia szalonego szczęścia – reminiscencje tamtego przeżycia. Przypuszczał, że za sprawą swoich męskich uwarunkowań już zawsze będzie na to skazany. – Chciałabyś, abym udowodnił ci to po raz kolejny? – zapytał na wpół z nadzieją, po czym ugryzł się w język. – Nie – odpowiedział sam sobie. – Skoro mam być twoim przełożonym,

obowiązuje tu zakaz nadmiernego bratania się z podwładnymi. Głównie po to, aby ochronić przed wyzyskiem tych niższych rangą, choć równie dobrze dotyczyć to może obu stron. – Poczul, że się gubi. Podniósł wstrzykiwacz, z rozdrażnieniem obrócił go kilka razy w palcach, po czym odłożył na miejsce.

– Mówiąc wprost, Canaba prosił mnie, żebym ponownie cię okłamał. Chciał, abym zniecka podał ci narkozę, tak by mógł odzyskać swoje materiały. Jest tchórzem, mogłaś to zauważyć. Teraz chowa się gdzieś pewnie, roztrzęsiony, że dowiesz się, co planował. Myślę, że znieczulenie miejscowe paralizatorem medycznym w zupełności wystarczy. Gdyby robił coś przy mnie, sam wolałbym mieć na niego oko. – Jednym palcem wzgardliwie trącił wstrzykiwacz.

Siedziała w milczeniu, a jej wilcza twarz – Miles stopniowo przywykł do jej widoku – była nieprzenikniona.

– Chcesz, abym pozwoliła mu... kroić swoją nogę? – zapytała w końcu.

– Tak.

– A później co?

– A później nic. To będzie ostatnie doświadczenie związane z Canaba, ze Szczeliną Jacksona i z całą resztą. Jeżeli jednak wątpisz w prawdziwość moich obietnic, nie biorę ci tego za złe.

– Ostatnie... – odetchnęła. Opuściła głowę, po czym uniosła ją, prostując ramiona. – A więc miejmy to już za sobą. – Na jej twarzy nie pozostał choćby cień uśmiechu.

Zgodnie z przewidywaniami Milesa, Canaba wcale nie był uszczęśliwiony na widok przytomnej ofiary. Milesa jednak w istocie nie obchodziły uczucia lekarza, toteż wystarczył jeden rzut oka na jego zimną twarz, by ten ostatni zaniechał wszelkich dyskusji. Canaba bez słowa wydobyl próbkę, ostrożnie umieścił ją w biotenerze i tak szybko, na ile pozwoliło mu poczucie przyzwoitości, umknął w zacisze swojej kabiny.

Miles posiedział z Taurą w gabinecie czekając, aż znieczulenie przestanie działać na tyle, aby mogła swobodnie się poruszać. Nie odzywała się przez dłuższy czas. Obserwował jej nieruchome rysy, myśląc gorączkowo nad sposobem, który mógłby ponownie rozświetlić te złociste oczy.

– Kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy – powiedziała miękko – to było jak cud. Coś magicznego. Wszystko, czego pragnęłam od tak dawna. Jedzenie. Woda. Ciepło. Odwet. Ucieczka. – Zerknęła na swoje polakierowane paznokcie. – Przyjaciele... -...dotyk.

– Czego byś jeszcze chciała, Tauro? – podchwycił Miles.

Odpowiedziała mu powoli.

– Chciałabym być normalna.

Przez chwilę milczał.

– Nie mogę ofiarować ci tego, czego sam nie posiadani – odparł wreszcie. Słowa zdawały się padać niefortunnie gdzieś pomiędzy nich. Zmobilizował się do większego wysiłku. – Nie. Nie miej takich życzeń. Przyszedł mi do głowy lepszy pomysł. Chciej być sobą. W każdym calu. Odkryj, w czym jesteś najlepsza i doskonała tę umiejętność. Zostaw swoje słabostki. Nie ma na nie czasu. Spójrz na Nicol...

– Jest prześliczna – westchnęła Taura.

– Albo na kapitana Thorna i wyjaśnij mi znaczenie słowa „normalny” oraz dlaczego powinno mnie to obchodzić. A ja? Czy powinienem wypowiedzieć wojnę wszystkim tym, którzy dwukrotnie przewyższają mnie wzrostem i wagą, czy też raczej wznieść się do góry, gdzie ich mięśnie są bezużyteczne, gdyż nigdy nie mogą podejść na tyle blisko, aby zrobić z nich pełny użytek? Nie mam czasu do stracenia, to samo można powiedzieć o tobie.

– Czy wiesz dokładnie, jak niewiele mi go pozostało? – zapytała nagle Taura.

– Ach... – odrzekł czujnie Miles. – A ty?

– Jestem ostatnią spośród tych, którym dano życie w jednakowym czasie. Niby skąd mam wiedzieć? – Wyzywająco uniosła podbródek.

– Zatem porzuć marzenie o normalności – oświadczył z naciskiem Miles. – Inaczej bowiem zmarnujesz swój cenny czas na jałową frustrację. Zechciej być wspaniała! Przynajmniej na to masz pomysłyne rokowania. Wspaniała w tym, czegokolwiek się podejmiesz. Wspaniałym żołnierzem, doskonałym sierżantem. Wspaniałym kwatermistrzem, na miłość boską, o ile dokonanie tego nie nastęcza zbyt wiele trudu. Lub muzykiem, tak jak Nicol – pomyśl tylko, jakie to byłoby straszne, gdyby ona za wszelką cenę dążyła do normalności. – Urwał, nagle coś sobie uświadamiając. Łatwo się mówi...

Taura obejrzała swoje pomalowane paznokcie, po czym westchnęła.

– Przypuszczam, że równie bezużyteczne jest życzyć sobie urody takiej, jaką ma sierżant Anderson?

– Z twojej strony bezużyteczne byłyby starania, aby się do niej upodobnić – odrzekł Miles. – Być tak piękną, jak Taura, to byłabyś w stanie osiągnąć. I to z powodzeniem. – Ujął jej rękę i musnął palcem błyszczący paznokieć. – Mimo że Laureen najprawdopodobniej wyuczyła się zasad, możesz brać przykład z jej smaku.

– Admirale – powiedziała wolno Taura nie puszczając jego dłoni. – Czy właściwie jest już pan moim przełożonym, czy nie? Sierżant Anderson napomknęła coś o orientacji, testach wprowadzających, przysiędze...

– Tak, przyjdzie na to czas, kiedy cała flota zbierze się razem. Na razie jesteś naszym gościem.

– Nim to nastąpi – nie naruszyłbyś żadnych przepisów dendariańskich, chcąc jeszcze raz pokazać mi, na ile jestem człowiekiem, prawda? Jeden jedyny raz?

Musiało się to wiązać, pomyślał Miles, z tym samym bodźcem, który nakłaniał ludzi, by wspinali się po gładkich ścianach skalnych bez pasa antygravitacyjnego lub wyskakiwali z dawnych samolotów ze skrawkiem jedwabiu jako jedyną ochroną przed roztrzaskaniem się o ziemię. Czuł, jak na przekór wszystkiemu narasta w nim ochota do śmiechu. – Powoli? – zapytał przytłumionym głosem – tym razem jak należy? Porozmawiać, wypić odrobinę wina, posłuchać muzyki? Bez patrolu Ryovala czającego się nad głową, czy zimną jak lód skałą pod...

Obdarzyła go złocistym spojrzeniem ogromnych wilgotnych oczu.

– Sam mówiłeś, że lubisz ćwiczyć to, w czym jesteś naprawdę dobry.

Miles nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był podatny na pochlebstwa ze strony wysokich kobiet. Oto słabość, której będzie musiał się wystrzegać. Kiedyś.

Poszli do jego kabiny i oddawali się ćwiczeniu aż do połowy drogi do Escobar.

# Trzy

– Jakie były jej dalsze losy? – dopytywał się Illyan po długiej chwili milczenia, urzeczony opowieścią.

– Niedawno uzyskała stopień sierżanta. Dendariański lekarz wojskowy zapisał jej jakieś leki mające obniżyć tempo przemiany materii. Trochę na zasadzie eksperymentu.

– Czy to przedłuży jej życie? Miles wzruszył ramionami.

– Sam chciałbym wiedzieć. Może. Nie tracimy nadziei.

– Cóż. – Illyan zmienił pozycję. – Wobec tego pozostaje nam Dagoola, w związku z którą, pozwól, że ci przypomnę, jedynym raportem otrzymanym przeze mnie był ten lakoniczny, dostarczony przez ciebie z Mahata Solaris.

– To miał być zaledwie wstęp. Myślałem, że zdążę dotrzeć do domu jeszcze przed nim.

– Nie w tym rzecz – a przynajmniej nie dla hrabiego Vörvolk. Dagoola, Miles. Wykrztuś to, a potem będziesz mógł odpocząć.

Miles ze znużeniem zmarszczył brwi. – Zaczęło się tak po prostu. Prawie równie zwyczajnie, jak misja na Szczelinę Jacksona. A później wszystko się pogmatwało. I to bardzo...

– Zacznij od początku.

– Początek. O Boże. No dobrze...

# Granice Nieskończoności

Jak mogłem umrzeć i pójść do piekła, nawet tego nie zauważając?

Nad surrealistycznym krajobrazem, którego wrażenie obcości spotęgowane zostało początkową dezorientacją i przerażeniem Milesa, roztaczała się opalizująca kopuła. Tworzyła doskonały okrąg o półkilometrowej średnicy. Miles stał tuż obok krawędzi, której wklęsła powierzchnia grzęzła w twardo ubitym gruncie. Oczami wyobraźni ujrzał, jak zagrzebany pod jego stopami łuk biegnie na drugą stronę, by tam po ponownym wynurzeniu dopełnić kształtu kuli. Dawało to wrażenie uwięzienia w skorupce od jajka. Skorupce, której nie można było stłuc.

Rozgrywająca się wewnątrz scena była żywcem zaczerpnięta z dawnych obrazów przedstawiających czyściec. Tu i ówdzie na całej powierzchni areny rozproszone były nieregularne grupki przygnębionych kobiet i mężczyzn, siedzących, stojących czy przeważnie wyciągniętych na ziemi. Miles z niepokojem poszukiwał śladów jakiegokolwiek porządku lub szyku wojskowego, ale układ poszczególnych grup wskazywał na zupełną przypadkowość doboru.

A może zabito go w momencie, kiedy wkraczał na teren obozu więziennego. Może jego wrogowie zdradliwie zesłali nań śmierć, za przykładem dawnych ziemskich żołnierzy, którzy spędzali swoje ofiary pod zatrute prysznice, wręczając im dla niepoznaki po kawałku mydła, po czym świadomość prawdy spadała na nieszczęsnych duszącym obłokiem.

Może zagłada jego ciała nastąpiła tak szybko, że neurony nie miały dosyć czasu, by przesłać informację do mózgu. Dlaczegoż bowiem tak wiele mitów antycznych zgadzało się co do tego, że piekło kształtem przypominało okrąg?

Obóz więzienny numer 3, Dagoola IV. A więc to było to? Ta... patelnia? Miles miał w głowie mglistą wizję baraków, maszerujących patroli, codziennych apeli, sekretnych przejść, spisków uciekinierów.

Naraz zdał sobie sprawę, że właściwie kopuła załatwiała wszystko. Kto potrzebował baraków, skoro ona osłaniała więźniów przed deszczem? Albo straży? Kopuła wytwarzana była od zewnątrz; w żaden sposób nie można było jej naruszyć od środka. Eliminowało to konieczność sprawowania warty bądź zwoływania apeli. Tunele to ułuda, natomiast spiski uciekinierów absurd. Wystarczała sama kopuła.

Jedynymi konstrukcjami, rozłożonymi równomiernie wzdłuż obwodu kopuły były duże, szare grzyby z plastyku. Latryny, stwierdził Miles.

Portal, przez który Miles i trzej współwięźniowie weszli do środka, zamknął się za nimi, a potem znikło wybrzuszenie kopuły, umożliwiające dostęp z zewnątrz. Znajdujący się najbliżej mężczyzna leżał rozciągnięty na macie identycznej jak ta, którą trzymał Miles. Obróciwszy lekko głowę, omiótł spojrzeniem grupkę nowo przybyłych, uśmiechnął się kwaśno i odwrócił do nich plecami. Nikt z pozostałych nawet nie zareagował.

– Cholera – mruknął jeden z towarzyszy Milesa. On i jego dwaj koledzy instynktownie trzymali się razem. Powiedzieli, że kiedyś należeli do jednego oddziału. Miles poznał ich zaledwie kilka minut wcześniej w trakcie ostatnich czynności poprzedzających zesłanie tutaj, kiedy wręczono im zestaw przedmiotów niezbędnych do życia w obozie więziennym numer 3.

Jedna para luźnych szarych spodni. Dopasowana do nich szara tunika z krótkimi rękawami. Zwinięta, prostokątna mata do spania. Plastikowy kubek. I nic więcej. Poza numerami umieszczonymi na ich ciałach. Milesowi nie dawało spokoju, że tamci postanowili ulokować je pośrodku pleców, tam gdzie więźniowie nie byli w stanie ich dojrzeć. Pohamował gwałtowną chęć,

by mimo to przekręcić się i obrócić szyję, choć drapał miejsce pod koszulką, usiłując pozbyć się czysto psychosomatycznego swędzenia. Pod palcami także nie mógł wyczuć kodu.

Wśród obecnych dało się zauważyć pewne poruszenie. Podeszła ku nim cztero – lub pięcioosobowa grupa mężczyzn. Czyżby nareszcie komitet powitalny? Miles desperacko czekał na informacje. Czy wśród tych nieprzeliczonych rzesz szarych mężczyzn i kobiet – nie, nie nieprzeliczonych, skorygował Miles. Każdy nosił swój numer.

Rozgromione pozostałości Trzeciej i Czwartej Zbrojnej Formacji Wywiadowczej. Nieustępliwi i pomysłowi cywile, broniący stacji przekazowej Garson. Prawie nie naruszony Drugi Batalion Winoweh. No i Czternasty Oddział Komandosów; ci, którzy wyszli cało z oblężenia twierdzy Fallow Core. Głównie ci ostatni. Dokładnie 10 214. Najlepsi z planety Marilac. Z nim, 10 215. Czy powinien siebie liczyć?

Obdarty komitet powitalny przystanął kilka metrów od nich. Wysocy, silni i muskularni, nie zdawali się pałać życzliwością w stosunku do nowo przybyłych. Z matowych, posępnych oczu wyzierała śmiertelna nuda, której nie był w stanie zmącić nawet ich obecny zamysł.

Dwie grupy, pięcio – i trzyosobowa, wymieniły taksujące spojrzenia, po czym członkowie tej drugiej oddalili się przezornie. Do Milesa poniewczasie dotarło, że nie będąc członkiem żadnej z grup, został pozostawiony samemu sobie.

Opuszczony i nadmiernie zwracający uwagę. Samoświadomość, poczucie niedoskonałości własnego ciała, zazwyczaj spychane na drugi plan z tej prostej przyczyny, że nie miał czasu, by poświęcać im uwagę, powróciły do niego ze zdwojoną siłą. Zbyt niski, o dziwacznym wyglądzie – dzięki ostatniej operacji jego nogi były obecnie jednakowej długości, jednak wciąż nie na tyle długie, by przegonić tamtych pięciu. Poza tym, dokąd miałby uciec? Możliwość wzbicia się do lotu również nie wchodziła w rachubę.

Walka? Bądź poważny.

To na nic, pomyślał i z rezygnacją ruszył w ich kierunku. Przynajmniej było to bardziej honorowe, niż gdyby mieli zacząć go gonić z tym samym rezultatem.

Usiłował przywołać na twarz uśmiech – raczej skromny niż głupawy. Nie wiedział, na ile mu się to udało.

– Witajcie. Czy możecie mi powiedzieć, gdzie znajdę czternasty oddział komandosów pułkownika Guya Tremonta?

Jeden z piątki prychnął szyderyczym śmiechem. Dwóch stanęło za plecami Milesa.

Cóż, śmiech to prawie mowa. Tak czy inaczej kontakt został nawiązany. Wstęp, punkt zaczepienia.

– Jak się nazywacie, żołnierzu, i jaki jest wasz stopień i kompania? – Miles zapytał tego, który się śmiał.

– Tu nie ma żadnych stopni, pokrako. Ani kompanii. O żołnierzach nie wspominając. Nic. Miles rozejrzał się wokół. Oczywiście był otoczony.

– No tak. – Ale przecież ma się jakichś przyjaciół. Jego rozmówca niemal się uśmiechnął.

– Ty nie masz.

Milesowi przemknęło przez myśl, że zbyt pochopnie zrezygnował ze wzbicia się w górę.

– Nie liczylibym na to, gdybym był...

Wymierzone od tyłu kopnięcie w nerki kazało mu zamilknąć – prawie przygryzł sobie język. Upadł zgięty w pół, wypuszczając z rąk matę i kubek. Na szczęście napastnik nie miał na nogach wojskowego obuwia – zgodnie z zasadami prawa Newtona, jego stopa powinna uciepnieć na równi z plecami Milesa. Nikłe pocieszenie. Może tłukąc go posiniaczą sobie kłykie... Jeden z nich zagarnął

mizerny dobytek Milesa.

– Chcecie jego rzeczy? Trochę na mnie za mało.

– Nie.

– Dobra – odparł pierwszy. – Weźcie je mimo to. Może uda się przekupić którąś z kobiet.

Zdarto mu z pleców tunikę i ściągnięto spodnie. Miles był zbyt pochłonięty osłanianiem głowy przed padającymi na chybił trafił razami, by zatroszczyć się o ubranie. Usiłował przyjąć jak najwięcej ciosów na brzuch i żebra, zamiast na ramiona, nogi czy szczękę. W swojej obecnej sytuacji, na początku pobytu tutaj, mógł sobie ostatecznie pozwolić na złamane żebro. Przetrażona szczeka byłaby najgorszym, co mogłoby mu się przytrafić.

Agresja napastników z lekka osłabła, kiedy odkryli sekretny niedorozwój jego kości.

– A więc to tak – stwierdził z lekką zadyszka pierwszy. – Nadęty gówniarz.

– Tępak – uzupełnił inny.

Kolejna seria ciosów była gorsza od poprzedniej. Pękły dwa żebra. Cudem uniknął miażdżącego uderzenia w szczękę kosztem rwącego bólu w lewym nadgarstku, którego użył jako osłony. Nic nie mówił.

Leżał utyłany ziemią i pragnął umrzeć.

Paralizujący ból nie ustępował. Nie wiedział, jak długo mogło to trwać. Niezmienna poświata emanująca z kopuły była stała i nie rzucająca cienia. Piekło było wieczne, prawda? Nie ulegało wątpliwości, że to miejsce miało wiele wspólnego z piekłem.

I oto nadchodził kolejny demon... Miles zamrugał, usiłując ześrodkować mglisty zarys zbliżającej się postaci. Mężczyzna, równie posiniaczony i nagi jak on, zagłodzony i wychudzony do kości, ukląkł na ziemi kilka metrów dalej. Postarzała napięciem, koścista twarz – mógł mieć równie dobrze czterdzieści, pięćdziesiąt, jak i dwadzieścia pięć lat.

Nadmierna chudość nienaturalnie uwydatniła jego oczy. Ich białka zdawały się jarzyć w gorączce na tle ciemnej, pokrytej brudnym nalotem skóry. Nalotem, nie zarostem – wszyscy więźniowie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, przy pierwszym strzyżeniu poddawani byli elektrycznemu zabiegowi mającemu na celu powstrzymanie odrostu włosów. Na stałe ogoleni i ostrzyżeni niemalże do skóry. Kilka godzin wcześniej Miles przez to przeszedł. Jednak ktokolwiek zajmował się tym człowiekiem, musiał działać w pośpiechu. Ominięto fragment jego policzka i porastały go teraz włosy na podobieństwo kępy, sterczącej z niedbale skoszonego trawnika. Mimo iż były skręcone, Miles dostrzegł, że miały dobrych kilka centymetrów długości i sięgały poza podbródek mężczyzny. Gdyby tylko wiedział, jak długo rosły, mógłby oszacować czas jego pobytu tutaj. Mniejsza o liczby, i tak zbyt długo, pomyślał Miles, wzdychając.

Mężczyzna trzymał odłamany spód plastikowego kubka, który popychał ostrożnie w kierunku Milesa. Oddychał ze świstem przez zażółcone zęby, czy to z wysiłku, czy z podniecenia bądź choroby – chociaż ostatniej przyczyny raczej nie należało brać pod uwagę – wszyscy tutaj byli starannie immunizowani. Ucieczka, nawet ta poprzez śmierć, wcale nie była taka łatwa. Miles przewrócił się na bok i podparł łokciem, spoglądając na mężczyznę przez z wolna ustępującą mgłę bólu.

Mężczyzna cofnął się nieznacznie z nerwowym uśmiechem na ustach. Skinął w stronę kubka.

– Woda. Lepiej wypij. Kubek jest pęknięty i wszystko wycieknie, jeżeli będziesz dłużej zwlekał.

– Dzięki – wychrypiał Miles. Tydzień wcześniej, czy jak kto woli w poprzednim życiu, Miles przebierał wśród rozmaitych gatunków win, często nawet wybrzydząc. Jego wyschłe wargi popękały, kiedy uśmiechnął się na to wspomnienie. Pociągnął łyk. Najzwyklejsza, ciepława woda, z

lekka tracąca odorem siarki i chloru. Doskonali aromat, aczkolwiek bukiet zbyt zdecydowany...

Mężczyzna odczekał z pełną rezerwą uprzejmością, aż Miles dopije do końca, następnie z hamowaną natarczywością pochylił się ku niemu, podpierając rękami:

– Czy jesteś Nim?

Miles zamrugął.

– Czy jestem kim?

– Nim. To znaczy, tym drugim. Pismo mówi, że musi być dwóch.

– Och. – Miles zawahał się. – Co dokładnie mówi Pismo?

Mężczyzna prawą ręką chwycił za swój lewy kościsty nadgarstek, wokół którego owinięty miał kawałek skręconego gałgana. Zamknął oczy; przez chwilę poruszał bezgłośnie ustami, po czym wyrecytował: – „...pielgrzymi jednak bez trudu wspięli się na wzgórze, gdyż za ramiona wiedli ich ci dwaj; pozostawili za sobą swe odzienie, ponieważ choć mieli je wkraczając do środka, wychodząc byli nadzy”. – Otworzywszy ponownie oczy, wlepił w Milesa pełne nadziei spojrzenie.

A więc zaczynamy rozumieć, dlaczego ten człowiek jest sam jak palec...

– Czy przypadkiem nie jesteś drugim Nim? – rzucił Miles.

Mężczyzna nieśmiało pokiwał głową.

– Rozumiem. Hm... – Jak to się działo, że zawsze Ignęli do niego szaleńcy? Zlizał z warg ostatnie krople wody. Mężczyzna co prawda mógł mieć nie po kolei w głowie, ale zawsze stanowił przyjemniejszą odmianę od tego, co niedawno spotkało Milesa. Zakładając, że gdzieś w jego umyśle nie czaiła się druga osobowość – o morderczych instynktach. Nie, wówczas przedstawiałby się jako Wybrani Dwaj, a nie rozglądał za wsparciem z zewnątrz. – Hm... jak ci na imię?

– Suegar.

– Suegar. Dobrze. No dobrze. Tak przy okazji – ja jestem Miles.

– Aha. – Twarz Suegara przybrała wyraz ironicznego zadowolenia. – Twoje imię oznacza „żołnierz”, wiedziałeś o tym?

– Tak, mówiono mi.

– Ale nie jesteś żołnierzem...?

Znikąd skrawka odzieży bądź czegokolwiek, aby ukryć przed sobą czy innymi dziwną budowę swojego ciała. Miles zarumienił się.

– Pod koniec brali już wszystkich. Zrobili mnie werbownikiem. Nigdy nawet nie użyłem broni. Słuchaj, Suegarze, jak doszedłeś do tego, że jesteś Nim, czy też jednym z Nich? Czy zawsze byłeś tego świadomy?

– Ta świadomość spływała na mnie stopniowo – przyznał Suegar, siadając ze skrzyżowanymi nogami. – Jestem tu jedynym obdarzonym Słowem, rozumiesz. – Ponownie dotknął zwoju szmat. – Przetrasnąłem cały obóz, ale tylko mnie wyśmiewali. Był to niejako proces eliminacyjny, wiesz, kiedy tak poddawali się jeden po drugim, wszyscy oprócz mnie.

– Ach. – Miles również usiadł, posykując z bólu. Żebra porządnie dadzą mu się we znaki w ciągu kilku następnych dni. Wskazał głową szmacianą bransoletę.

– Czy w tym chowasz swoje Pismo? Mogę zobaczyć?

Jakim cudem Suegar mógł wejść w posiadanie płytki z plastyku, kawałka papieru, czy w ogóle czegokolwiek, w miejscu takim, jak to?

Suegar przycisnął do siebie obronnym gestem rękę i potrząsnął głową.

– Zrozum, od miesiący próbują mi to odebrać. Ostrożność nigdy nie zawadzi, dopóki nie udowodnisz, że jesteś Nim. Sam szatan potrafi cytować Pismo.

Tak, dokładnie to miałem na myśli... Kto wie, jakie wskazówki mogło zawierać „Pismo”



Suegara? No nic, może później. Na razie ciągnij tę samą melodię.

– Czy istnieją jakieś inne znaki? – zapytał Miles. – No wiesz, nie mam pojęcia, czy jestem tym twoim Nim, ale i nie mogę mieć całkowitej pewności, że nim nie jestem. W końcu dopiero co się tu zjawiłem.

Suegar ponownie potrząsnął głową.

– To zaledwie pięć czy sześć zdań. Trzeba co nieco dopowiadać tu i ówdzie.

Jasne. Miles nie wypowiedział tej myśli na głos.

– Jakim cudem je zdobyłeś? Chyba nie tutaj?

– W Porcie Lisma, rozumiesz, tuż przed tym, jak nas schwytano – odrzekł Suegar. – Strzelanina. Jeden z moich obcasów trochę się poluzował i stukał podczas chodzenia. Śmieszne, że wśród straszliwego zgiełku, taki drobiazg mógł człowiekowi zależeć za skórę. Natrafiłem na biblioteczkę z oszklonymi drzwiami, autentyczne stare książki. Zbiłem szybę rękojeścią broni, wydarłem z jednej książki kartkę i złożyłem, by wetknąć ją do obcasa, żeby wreszcie przestał stukać. Nawet nie spojrzałem na tę książkę. I nie wiedziałem, że to Pismo, dopiero później. A przynajmniej domyślałem się, że to Pismo. W każdym razie tak właśnie brzmi. To musi być to.

Suegar nerwowo nawijał na palec kępę włosów z brody.

– Kiedy czekaliśmy aż nas oporządzą, ot tak, zwyczajnie wyjąłem zwitek z buta. Trzymałem w ręku – strażnik zauważył, ale mi nie zabrał. Pewnie sądził, że to po prostu zwykły kawałek papieru. Nie wiedział, że to Pismo. Kiedy nas tu wepchnięto, nadal ścisnąłem je w dłoni. Jedyne fragmenty tekstu, znajdujący się w obozie, czujesz to? – dodał z dumą. – To musi być Pismo.

– No dobrze... teraz musisz dobrze pilnować – poradził mu uprzejmie Miles. – Skoro zachowałeś je już tak długo, niechybnie zostałeś do tego przeznaczony.

– Tak... – Suegar zamrugał.

Łzy?

– Jestem tutaj jedynym, na którym spoczywa jakieś zadanie, prawda? Zatem muszę być jednym z Nich.

– Pewnie tak – przyznał Miles. – Powiedz mi – ogarnął wzrokiem rozległą, monotonną przestrzeń wokół – jakim sposobem udaje ci się poruszać tutaj i nie zgubić drogi? – Żadnych oznaczeń ani drogowskazów. Milesowi nasunęło się skojarzenie z kolonią pingwinów, choć te najwyraźniej nie miały kłopotów z odnalezieniem swoich ukrytych między skałami siedzib. Będzie musiał przyjąć kategorie myślenia pingwinów. Lub też zdobyć jakiegoś, by go poprowadził. Zerknął na swojego przewodnika, który błędził gdzieś myślami, bazgrząc po piasku. Oczywiście koła.

– Gdzie tu jest jakiś punkt centralny? – zapytał głośniejszym głosem Miles. – Skąd wzięłeś wodę?

– Krany są po drugiej stronie latryn – odparł Suegar. – Ale nie zawsze działają jak trzeba. Żadnego punktu centralnego. Zwyczajnie dostajemy racje żywnościowe. Czasami.

– Czasami? – rzucił ze złością Miles. Mógł policzyć zębra Suegara. – Do diabła, przecież Cetagandanie głoszą wszem i wobec, że traktują swoich więźniów wojennych zgodnie z nakazami Międzygwiazdnej Komisji Sądowej. Tyle i tyle metrów kwadratowych powierzchni przypadającej na jedną osobę, 3000 kalorii dziennie, przynajmniej 50 gram białka, dwa litry wody pitnej. Powinieneś otrzymywać choćby dwa standardowe MKS porcje dziennie. Czy oni cię głodzą?

– Po jakimś czasie – powiedział z westchnieniem Suegar – przestaje ci zależeć na tym, czy dostaniesz swoją, czy nie.

Ożywienie wzbudzone niosącym nadzieję pojawieniem się Milesa zdawało się gasnąć. Oddech Suegara spowolniał, a jego sylwetka przygarbiła się. Wyglądał jakby lada chwila miał legnąć na piasku. Miles pomyślał, że ich maty dzieliły ten sam los. Tyle że Suegarowi przyszło znosić to od

dawna.

- Słuchaj, Suegarze, sędzę, że gdzieś na terenie obozu przebywa mój krewniak. Kuzyn mojej matki. Myślisz, że mógłbyś pomóc mi go odnaleźć?
- Przydałby ci się krewniak – osądził Suegar. – Niedobrze być tu samemu.
- Zdażyłem się już przekonać. Ale jak tu kogokolwiek znaleźć?
- Och, istnieją grupki, tu i ówdzie. Po pewnym czasie każdy trzyma się jednego miejsca.
- Należał do oddziału czternastego. Gdzie mogą teraz być?
- Nie uchowała się żadna ze starych grup.
- Chodzi o pułkownika Tremonta. Pułkownika Guya Tremonta.
- Och, oficer. – Stropiony Suegar zmarszczył czoło. – To komplikuje sprawę. Ty nie byłeś oficerem, prawda? Jeśli tak, lepiej nie rozpowiadać...
- Byłem urzędnikiem – powtórzył Miles.
- ... bo niektóre z tutejszych grup nie przepadają za oficerami. Urzędnik. Zatem pewnie jesteś w porządku.

– A czy ty byłeś oficerem, Suegarze? – zapytał ciekawie Miles.

Suegar spojrział nań spod zmarszczonych brwi i szarpnął włosy na brodzie.

– Armia Marilac obrócona w perzynę. A jeśli nie ma armii, nie może też być oficerów, czyż nie?

Miles przelotnie rozważył, czy nie lepiej byłoby pozostawić Suegara i nawiązać rozmowę z pierwszym napotkanym więźniem. Grupki tu i ówdzie. Na pewno podobne do tamtej piątki. Postanowił zostać z Suegarem jeszcze chwilę. Choćby dlatego, że jego nagość nie doskwierała mu tak bardzo, gdy przebywał w towarzystwie innej nagiej istoty.

– Mógłbyś zaprowadzić mnie do kogoś, kto należał do czternastego? – Miles ponowił swoją prośbę. – Do kogokolwiek, kto mógł znać Tremonta choćby z widzenia.

– A więc ty go nie znasz?

– Nigdy nie spotkaliśmy się. Widziałem jedynie zdjęcia. Obawiam się jednak, że od tamtej pory jego wygląd mógł... ulec zmianie.

Suegar w zamyśleniu dotknął własnej twarzy. – Tak, być może.

Obolały Miles z trudem dźwignął się na nogi. Kiedy nie miało się na sobie ubrania, pod kopułą panował zaledwie lekki chłód. Bezszelestny powiew uniósł włosy na jego ramionach. Gdyby był w stanie odzyskać tylko jeden fragment odzieży, to czy wybrałby spodnie, by osłonić genitalia, czy koszulę, którą przykryłby krzywe plecy? Pal sześć! Nie ma na to czasu. Wyciągnął rękę, chcąc pomóc Suegarowi wstać.

– Dalej.

Suegar patrzył na niego z uniesioną głową.

– Zawsze rozpoznam nowego. W dalszym ciągu się spieszysz. Tutaj musisz zwolnić tempo. Twój mózg funkcjonuje na zwolnionych obrotach.

– Czy Pismo ma coś na ten temat do powiedzenia? – przerwał mu niecierpliwie Miles.

– „...wspięli się nań zręcznie i szybko, poprzez fundamenty miasta...” – Bliźniacze zmarszczki przecięły jego czoło, podczas gdy patrzył z napięciem na Milesa.

Dziękuję, pomyślał Miles. Biorę. Pociągnął Suegara w górę.

– A więc ruszajmy.

Nie było to ani zręczne, ani szybkie, lecz przynajmniej stanowiło pewien postęp. Przemierzali jedną czwartą obozu, przechodząc między jednymi grupami, a starannie omijając drugie. Miles ujrzał z daleka znajomą piątkę, siedzącą na stosie zagrabionych mat. Oszacował przy tym liczebność

plemienia z pięciu na około piętnastu. Niektórzy mężczyźni siedzieli dwójkami, trójkami, bądź po sześciu, kilku zaś samotnie, bez skutku usiłując przybrać dostatecznie bezpieczną odległość.

Najliczniejsza grupa składała się z samych kobiet. Ogarnąwszy wzrokiem rozmiary ich nie wyznaczonego granicami skupiska, Miles spojrzął na nie z ogromnym zainteresowaniem. Ich grupa liczyła przynajmniej kilka setek członkiń. Wszystkie posiadały maty, choć niekiedy musiały dzielić je ze sobą. Suwerenność ich terytorium była jednak strzeżona przez kilkusobowe patrole, przechadzające się niespiesznie tam i z powrotem. Najwyraźniej wywalczyły sobie prawo wyłącznego korzystania z dwóch latryn.

– Opowiedz mi o nich, Suegarze – poprosił swojego towarzysza Miles, wskazując na kobiety ruchem głowy.

– Zapomnij. – Uśmiech Suegara przybrał z lekka sardoniczny wyraz. – Im to nie w głowie.

– W ogóle? Żadnej z nich? Los spędził nas tu wszystkich razem i chyba należy się nam jakaś porcja rozrywki. Sądzę, że któraś na pewno okazałaby zainteresowanie. – Tok rozumowania Milesa wyprzedził odpowiedź Suegara. Cóż nieprzyjemnego ich jeszcze tutaj czekało?

Suegar wycelował palcem w kopułę.

– Wiedzą, że wszyscy jesteśmy na podglądzie. Tamci widzą wszystko, nie uronią ani jednego słowa, jeśli chcą. To znaczy, o ile ktokolwiek tam jeszcze jest. Mogli przecież zwyczajnie odjechać i zapomnieć wyłączyć kopułę. Czasem mi się to śni. Jestem zakleszczony tutaj, pod tą kopułą na zawsze. Potem budzę się i jestem tu, pod tą kopułą... Niekiedy nie mam absolutnej pewności, co do granicy między jawą a snem. Poza tym nadal dociera tu jedzenie i od czasu do czasu – choć już nie tak często – jakiś nowy, jak ty. Jednak przypuszczam, że prowiant może być wydzielany automatycznie. A ty może po prostu mi się śnisz...

– Nadal tam są – odparł ponuro Miles.

Suegar westchnął.

– Wiesz, w pewnym stopniu jestem niemalże z tego rad.

Na podglądzie, no tak. Miles wiedział wszystko na temat podglądu. Stłumił ochotę, by pomachać ręką i wykrzyknąć: „Cześć, mamo!”.

To musiało być podłe zajęcie dla tamtych w górze. Życzył im, by zanudzili się na śmierć.

– Ale co to ma wspólnego z kobietami, Suegarze?

– Początkowo każdy czuł się bardziej lub mniej skrępowany ze względu na... – ponownie wskazał palcem ku górze. – Potem, po jakimś czasie uświadomiliśmy sobie, że nie ingerują w nasze sprawy. W ogóle. Miało miejsce kilka gwałtów... Od tamtej pory wszystko zaczęło się psuć.

– Hm. Przypuszczam więc, że pomysł wszczęcia rozruchów i zniszczenia kopuły, gdy sprowadzą wojska, by przywróciły porządek jest do niczego?

– Próbowano tego niegdyś, dawno temu. Nie pamiętam, jak dawno. – Suegar nawinął włosy na palec. – Nie muszą wchodzić do środka, by stłumić bunt. Zmieniają po prostu średnicę kopuły. Wtedy zmniejszyli ją do około stu metrów. Gdyby tylko chcieli, nic nie powstrzymałoby ich od zmniejszenia jej do jednego metra, z nami wszystkimi wewnątrz. Tak czy siak, to skutecznie powstrzymało zamieszki. Mogą również ograniczyć przepuszczalność kopuły, przez co, z powodu własnych wyziewów, zapadniemy w śpiączkę. Zrobili to już dwukrotnie.

– Rozumiem – odrzekł Miles. Ciarki przebiegły mu po plecach.

Mniej więcej sto metrów od nich ściana kopuły zaczęła wybrzuszać się do środka niczym tętniak. Miles dotknął ręki Suegara.

– Co się dzieje? Napływ kolejnych więźniów?

Suegar rozejrzał się wokół.

– Aha. Nie obraliśmy najszcześniejszej pozycji. – Kołysał się przez chwilę w miejscu, niepewny czy cofnąć się, czy brnąć do przodu.

Od strony wyrzucenia przez obóz przetoczyła się nerwowa fala. Ludzie zrywali się na nogi. Twarze zwracały się w tym kierunku niby przyciągane magnesem. Mężczyźni stłoczyli się w ciasno zbite grupki; kilku zaczęło biec. Niektórzy w ogóle nie ruszali się z miejsca.

Miles zerknął na skupisko kobiet. Około połowa z nich pospiesznie formowała szyki.

– Jesteśmy tak blisko, a niech tam, może mamy szansę – oświadczył Suegar. – Jazda! – Zaczął truchcikiem biec ku wyrzuceniu; była to największa prędkość, na jaką mógł się zdobyć. Miles również zmusił się do biegu, usiłując narazić zebra na jak najmniej wstrząsów. Szybko stracił dech, co spowodowało przeszywający ból w jego klatce piersiowej.

– Co my wyprawiamy? – wykrzyknął urywanym głosem do Suegara, nim wyrzucenie nie znikło ostatecznie, pozwalając mu nareszcie ujrzeć to, ku czemu zmierzali.

Tuż przed połyskliwą barierą kopuły tkwiła ciemnobrązowa sterta około metrowej wysokości; trzy metry wszerz i dwa w głąb. Standardowe racje MKS, stwierdził Miles. Bóg wie, co istotnie wchodziło w ich skład. 15 kalorii każda. 25 gram białka, połowa dziennego zapotrzebowania na witaminy A, B, C i resztę alfabetu – smakowały jak ocukrzony kamyczki. Mogły podtrzymywać życie i zdrowie człowieka wiecznie, a raczej tak długo, dopóki ten był w stanie je przełknąć.

Zabawimy się w zgadywanke, by odgadnąć ile porcji zawiera ta sterta? pomyślał Miles. Nie trzeba zgadywanki. Nie trzeba nawet mierzyć wysokości i dzielić jej przez 3 cm. Ni mniej, ni więcej, tylko 10 215. Doskonale pomyślane.

Cetagandańskie korpusy operacyjne musiały dysponować kilkoma tęgimi umysłami. Miles zastanowił się, czy jeśliby kiedykolwiek wpadli mu w ręce, to wcieliłby ich do własnej armii, czy też unicestwił raz na zawsze. Tę przelotną fantazję odsunęła bardziej aktualna konieczność utrzymania się przy życiu, jako że 10 000, wyjąwszy tych najbardziej zdruzgotanych lub niedołączonych, hurmem runęło w kierunku tych samych sześciu metrów kwadratowych obozu.

Pierwsi biegnący dopadli sterty i chwyciwszy pełne garście prowiantu rzucili się do ucieczki. Niektórzy podzielili łupy pod osłoną kompanów i zaczęli oddalać się od centrum rosnącego z każdą chwilą kłębowiska ludzkich ciał. Inni, nie zdoławszy umknąć łupieżczym oddziałom, pozwolili gwałtownie wydrzeć sobie zdobycz. Druga grupa biegnących, która nie zdążyła w porę uciec, została przygwożdżona do ścian przez napływający zewsząd tłum.

Niestety, Miles i Suegar znaleźli się w tej drugiej kategorii. Pole widzenia Milesa zostało zredukowane do przepoconej, cuchnącej i falującej masy łokci, klatek piersiowych i pleców.

– Jedz, jedz! – ponaglił go z pełnymi ustami Suegar, kiedy rozdzielał ich natłok więźniów. Lecz nim Miles na tyle odzyskał przytomność umysłu, by zastosować się do tej rady, trzymana w ręku porcja została mu z niej wydarta. Zresztą i tak głód był niczym wobec groźby zmiżdżenia lub, co gorsza, upadku i rozdeptania. Natrafił stopami na coś miękkiego, ale nie był w stanie na tyle odeprzeć napierających, by dać tej osobie – mężczyźnie, kobiecie, kto wie? – szansę wstania na nogi.

Wkrótce napór zelżał i odnalazłszy brzeg zbiorowiska, Miles wydostał się na wolną przestrzeń. Chwiejnym krokiem odszedł kawałek, po czym roztrzęsiony i zziębnięty opadł na piasek. Z gardła dobywał mu się chrapliwy oddech. Upłynął długi czas, nim zdołał jako tako dojść do siebie.

Ugodziło go to do głębi i obudziło w nim najszybsze lęki. Mógłbym tutaj umrzeć, uświadomił sobie, nie ujrzawszy nigdy oblicza wroga. Wyglądało jednak na to, że nie złamał żadnej dodatkowej kości, z wyjątkiem może lewej stopy. Co do niej, to nie był pewien. Słoń, który na nią nastąpił, niechybnie dostawał więcej ponad przynależną mu rację.

No, dobrze, pomyślał wreszcie Miles. Dosyć tego. Na nogi, żołnierzu. Najwyższy czas odszukać pułkownika Tremonta.

Guy Tremont. Prawdziwy bohater oblężenia Fallow Core. Ten uparty, który trwał i trwał na posterunku jeszcze długo po odwróceniu generała Xiana i po śmierci Baneri.

Xian przysiągł, że powróci, ale wkrótce pochłonął go wir wydarzeń na Stacji Vassily. Centrum dowodzenia obiecało dodatkowe wsparcie, po czym wraz ze swym najważniejszym portem zostało przejęte przez Cetagandanów.

Jednak zanim to nastąpiło, Tremont utracił z nimi łączność. Nie ustępował więc, czekał, zachowując nadzieję. Wreszcie zapasy wyczerpały się i pozostała mu już tylko nadzieja i skały. Te ostatnie nadawały się do wielorakiego użytku; można było albo uwarzyć z nich zupę, albo cisnąć nimi we wroga. Koniec końców Fallow Core została zdobyta. Nie poddała się. Została zdobyta.

Guy Tremont. Miles tak bardzo chciał go spotkać.

Stanąwszy na nogi i rozejrzawszy się wokół, dostrzegł w oddali powłóczącą nogami obszarpaną postać, obrzucaną przez grupę ludzi grudkami ziemi. Suegar przystanął poza zasięgiem ich pocisków i dalej snuł swoje wywody, wskazując na owinięty wokół nadgarstka gałgan. Trzech czy czterech mężczyzn, do których kierował te słowa, odwróciło się do niego tyłem w wiele mówiący sposób.

Miles westchnął i mozolnie ruszył w jego kierunku.

– Hej, Suegarze! – zawołał i pokiwał ręką, kiedy znalazł się dostatecznie blisko.

– Och, tutaj jesteś. – Suegar rozjaśnił się na jego widok i podszedł bliżej. – Zgubiłem cię. – Otarł z brwi warstwę pyłu. – Nikt nie chce słuchać, wiesz?

– Tak, no ale większość z nich wysłuchała cię już przynajmniej raz, prawda?

– Pewnie ze dwadzieścia razy. Nie daje mi spokoju, że mogłem kogoś pominąć. Może właśnie Jego, drugiego z Nich.

– Chętnie posłuchałbym tego, co masz do powiedzenia, ale naprawdę wpierw muszę odszukać pułkownika Tremonta. Mówiłeś, że znasz kogoś...

– Ach, tak. Tędy. – Suegar ponownie ruszył z miejsca.

– Dzięki. Powiedz mi, czy każda dostawa jedzenia wygląda tak, jak ta ostatnia?

– Mniej więcej.

– Co więc powstrzymuje którąś z grup od przejścia tej części obozu?

– Za każdym razem dostawa odbywa się w innym miejscu. Jak im się żywnie podoba. Kiedyś próbowano opracować strategię, czy nie lepiej być pośrodku, tak by od tego miejsca dzieliła cię nie więcej niż połowa średnicy, czy bliżej krawędzi, bo a nuż tutaj trafi się następnym razem. Niektórzy usiłowali nawet rozpisać to według jakichś zasad matematycznych, reguł prawdopodobieństwa.

– A jaką strategię ty obrałeś?

– Och, ja nie mam stałego miejsca; kręcę się to tu, to tam, czekając na łut szczęścia. – Prawą ręką dotknął swojego gałgana. – W końcu nie to jest najważniejsze. Chociaż miło było najeść się dzisiaj. Bez względu na to, jaki dzień przypada.

– Drugi listopada, '97, Ziemskiej Ery Zwykłej.

– Och, i to wszystko? – Suegar wyprostował włosy na brodzie i wytrzeszczył oczy, próbując zmierzyć je wzrokiem. – Sądziłem, że jestem tu dłużej. No, proszę, nawet nie minęły całe trzy lata. – Po czym dodał przepaszająco – Tutaj liczy się tylko dzień dzisiejszy.

– Mm – mruknął Miles. – A więc prowiant jest zawsze dostarczany w postaci takiej sterty, co?

– Tak.

– Cholerni spryciarze.

– Tak – westchnął Suegar. W tym westchnieniu i w pośpiesznym geście, który wykonał, dało się

odczuć tłumiony gniew. Zatem mój szalenciec nie jest aż taki nieskomplikowany...

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Suegar. Stanęli obok obozowiska wyznaczonego sześcioma matami ułożonymi w nieforemny okrąg. Jeden z mężczyzn podniósł głowę i obrzucił ich wrogim spojrzeniem. – Wynoś się, Suegarze. Nie mam nastroju do wysłuchiwania kazań.

– Czy to pułkownik? – szepnął Miles.

– Ależ skąd, ten ma na imię Oliver. Znałem go – onegdaj. Walczył pod Fallow Core – odszepnął Suegar. – On cię do niego zaprowadzi.

Suegar wypchnął Milesa do przodu.

– Nazywa się Miles. Jest tu nowy. Chce z tobą pomówić. – Sam odszedł do tyłu. Zdawał sobie sprawę, że jego niepopularność może Milesowi zaszkodzić.

Miles studiował badawczo następne ogniwo łańcucha. Oliver zdołał zachować swoją piżamę, matę oraz kubek w stanie nienaruszonym, co po raz kolejny uświadomiło Milesowi jego własną nagość. Z drugiej strony jednak nie wyglądało na to, że posiadał również inne, zagarnięte przedmioty. Mógł być równie nieprzyjemny, jak tamta piątka, lecz poza tym jednym szczegółem nic więcej go z nimi nie łączyło. A to dawało pewne nadzieje. Chociaż obecna sytuacja Milesa wykluczała możliwość utraty jakichkolwiek dóbr materialnych.

Oliver zmierzył Milesa nieprzychylnym spojrzeniem, po czym nieznacznie złagodniał.

– Czego chcesz? – burknął.

Miles rozłożył ręce.

– Szukam pułkownika Guya Tremonta.

– Tu nie ma żadnych pułkowników, chłopcze.

– Kuzyn mojej matki. Nie było osoby ani w rodzinie, ani poza nią, która otrzymałaby jakieś wieści o nim po upadku Fallow Core. Ja... ja nie należę do żadnego oddziału bądź szczątku oddziału przebywającego tutaj. Pułkownik Tremont jest tu jedynym, o którym cokolwiek wiem. – Miles złożył ręce i usiłował przybrać jak najbardziej bezradny wygląd. Naraz ogarnęły go wątpliwości i zmarszczył brwi. – Czy on w ogóle jeszcze żyje?

Czoło Olivera pofałdowało się zmarszczkami.

– Krewniak, co? – Zgrubiałym palcem podrapał się po nosie. – Myślę, że masz prawo. Ale nie przyniesie ci to żadnego pożytku, na co zapewne liczysz.

– Ja... – Miles potrząsnął głową. – Po prostu chciałbym wiedzieć.

– Chodź więc. – Oliver wstał ze sieknięciem i ruszył przed siebie, nie oglądając się na Milesa.

Ten utykając poszedł jego śladem.

– Prowadzisz mnie do niego?

Oliver nie odpowiedział, dopóki nie dotarli do celu wędrówki, oddalonego o zaledwie kilkadziesiąt metrów. Ktoś zaklął, ktoś inny splunął; większość nie zwracała na nich najmniejszej uwagi.

Jedna z mat leżała w pewnym oddaleniu od pozostałych, tak że niemal można było wątpić w jej przynależność do grupy. Oliver bez słowa obrzucił ją wzrokiem, złożony ogromne pięści na biodrach.

– Czy to pułkownik? – szepnął natarczywie Miles.

– Nie, chłopcze. – Oliver przygryzł dolną wargę. – Jedyne to, co z niego pozostało.

Miles przyklęknął. Z ulgą zdał sobie sprawę, że Oliver po prostu przybrał patetyczny ton. Mężczyzna oddychał.

– Pułkownik Tremont? Sir?

Serce w nim zamarło, kiedy ujrzał, że oddech był jedyną czynnością, na którą było stać

Tremonta. Leżał bezwładnie, patrząc gdzieś przed siebie. Nie spojrzął nawet w kierunku Milesa. Był wychudzony, chudszy nawet niż Suegar. Miles rozpoznał zarys szczęki i kształt ucha, które zapamiętał z oglądanych zdjęć. Były to szczątki twarzy, niczym ruiny zburzonej Fallow Core. Trzeba było niemal przenikliwości archeologa, by doszukać się w nich cech wspólnych łączących przeszłość ze stanem obecnym.

Miał na sobie ubranie, a jego kubek stał tuż przy jego twarzy, lecz ziemia wokół maty była zbita w mokre cuchnące grudy. Pewnie od moczu, pomyślał Miles. Na łokciach Tremonta widniały zmiany chorobowe, stanowiące niewątpliwie początki odleżyn. Wilgotna plama na szarej tkaninie spodni w miejscu, gdzie znajdowały się kościste biodra, nasuwała przypuszczenie istnienia bardziej rozległych ran, które się pod nią kryły.

Jednak ktoś musi o niego dbać, uświadomił sobie Miles, inaczej bowiem byłby w znacznie gorszym stanie.

Oliver ukląkł obok Milesa, grzęznąc bosymi stopami w błocie i zza elastycznej gumki od spodni wyciągnął kawałek racji. Pokruszył ją zgrubiałymi palcami i wepchnął między wargi Tremonta. – Jedz – szepnął. Usta poruszyły się lekko, okruchy upadły na matę. Oliver spróbował raz jeszcze. Naraz, jakby zdając sobie sprawę ze śledzącego jego ruchy spojrzenia Milesa, z niewyraźnym pomrukiem wsunął jedzenie z powrotem za spodnie.

– Czy... czy on został ranny w czasie zdobycia Fallow Core? – zapytał Miles. – Ranny w głowę? Oliver potrząsnął głową.

– Fallow Core nie została wzięta szturmem, chłopcze.

– Ale przecież według oficjalnych doniesień padła szóstego października, no i...

– Padła piątego października. W wyniku zdrady.

Oliver odwrócił się i odszedł, nim jego stężała twarz zdążyła odsłonić jakiegokolwiek emocje.

Miles klęczał w błocie oddychając z wolna.

Ach, tak.

Czy zatem jego wędrówka dobiegła kresu?

\*\*\*

Chciał przemyśleć to spacerując, ale chodzenie nadal sprawiało mu ból. Pokuśtykał kawałek, starając się nie wkroczyć niechcący na terytorium jakiejś liczniejszej grupy. Następnie usiadł i położył się na ziemi, kładąc ręce pod głowę; wpatrywał się w perłową kopułę zamkniętą nad nim na podobieństwo gigantycznej powieki.

Rozważył swoje możliwości, punkt po punkcie, jedną po drugiej. Rozważył je starannie. Nie zajęło mu to dużo czasu.

Sądziłem, że nie wierzyłeś w podział na dobrych i złych? Myślał, że wraz z zesłaniem tutaj skutecznie zdołał pozbyć się wszelkich emocji, dla własnego dobra, jednak teraz czuł, jak jego misternie wypracowana bezstronność rozwiewa się bez śladu. Narastała w nim nienawiść do tej kopuły. Okazała z estetycznego punktu widzenia, idealnie łączyła formę z funkcją na równi z jajkiem, doskonałość fizyki przeistoczona w narzędzie tortur.

Wyrafinowanych tortur... Miles w myślach dokonał przeglądu ustanowionych przez Komisję reguł, dotyczących traktowania jeńców wojennych. Co ciekawe, Cetagandana była jednym z sygnatariuszy tego zbioru. Określona liczba metrów kwadratowych na osobę, no tak, na brak przestrzeni tutaj nie mogli narzekać. Zakaz izolowania więźniów na okres przekraczający dwadzieścia cztery godziny – o samotności nie mogło być mowy, chyba że chodziło o izolację wewnętrzną, będącą wynikiem obłądu. Zaciemnienie nie dłuższe niż dwanaście godzin – tu poszło

gładko, zamiast ciemności nieustanny blask pałającej nad głowami kopuły. Zakaz stosowania kar cielesnych – strażnicy z ręką na sercu mogli przyznać, że nie tykali jeńców choćby palcem. Po prostu obserwowali, jak ci skutecznie robią to za nich. Zabronione z jeszcze większą surowością gwałty niewątpliwie odbywały się na tej samej zasadzie.

Miles miał możliwość ujrzeć na własne oczy, jak zorganizowano rozdzielenie dwóch przypadających na osobę porcji dziennego prowiantu. Wywołane tym zamieszanie było szczególnie zgrabnym posunięciem. Wszyscy musieli wziąć w tym udział – pogłaskał się po burczącym brzuchu. Wróg mógł zapoczątkować niezgodę poprzez przysłanie małego stosu. Chociaż może i nie – pierwsza osoba, która chwyciła dwie porcje zamiast jednej zostawiała inną bez pożywienia. Następnym razem ta z kolei zabierała trzy, aby wyrównać straty i w ten sposób konflikt narastał. Dwa razy dziennie przypominano ludziom o ich upodleniu i bezsilności, rujnując wszelką nadzieję na porozumienie, podburzając grupy przeciw grupom, jednostki przeciw jednostkom. Nikt nie był w stanie pozwolić sobie, by pozostać na uboczu, o ile nie chciał narazić się na powolne konanie z głodu.

Zakaz zmuszania do pracy – ha, szach. To wymagałoby narzucenia porządku. Dostęp do personelu medycznego – lekarze z poszczególnych oddziałów rozproszeni byli zapewne tu i ówdzie. Usiłował przypomnieć sobie dokładną frazeologię tego paragrafu – dobry Boże, tam istotnie było napisane „personel”. Nie medykamenty, lecz personel medyczny. Nadzy lekarze i technicy medyczni o pustych rękach. Skrzywił usta w gorzkim uśmiechu. Pełne listy jeńców zostały skrupulatnie rozesłane, jak nakazano. Poza tym żadnej łączności...

Łączność. Brak jakiegokolwiek przekazu z zewnątrz mogła w krótkim czasie przyprawić o szaleństwo. Było to równie do niczego, jak modlitwa, pogawędka z Bogiem, który nigdy nie zniżał się do odpowiedzi. Nic dziwnego, że wszyscy tutaj zdawali się zarażeni rodzajem solipsystycznej schizofrenii. Ich wątpliwości udzielały się i jemu. Czy na zewnątrz przebywał jeszcze ktokolwiek? Ktoś, kto mógł usłyszeć i zrozumieć jego wołanie?

Ot, ślepa wiara. Przebłyski wiary. Zaciśnął prawą dłoń, jakby rozgniatą jajko.

– To – oznajmił dobitnie – wymaga radykalnej zmiany planów.

Wstał i poszedł odszukać Suegara.

Znalazł go nieopodal utyłanego ziemią i rysującego coś na piasku. Uniósł głowę i uśmiechnął się lekko.

– Czy Oliver zaprowadził cię do twego kuzyna?

– Tak, ale przybyłem za późno. On umiera.

– Cóż... obawiałem się, że tak właśnie będzie. Przykro mi.

– Mnie również. – Nagła myśl odwróciła uwagę Milesa od kierującego nim celu. – Suegarze, co oni tutaj robią z ciałami?

– Pod jedną ze ścian składowane są nieczystości. Raz na jakiś czas kopuła rozwiera się w tym miejscu i pochłania je, mniej więcej na tej samej zasadzie, jak przebiega dostarczanie nowych więźniów i jedzenia. Zwykle nim ciało spuchnie i zacznie śmierdzieć, ktoś je tam zaciąga. Czasem ja to robię.

– Pewnie nie ma szansy, aby wymknąć się stąd pod stertą śmieci, co?

– Przed otwarciem przejścia palą wszystko na popiół za pomocą mikrofal.

– Ach tak. – Miles wziął głęboki oddech. – Suegarze, uświadomiłem to sobie. Jestem jednym z Nich.

Suegar bez zdziwienia skinął głową.

– Od dawna wiedziałem.



Zbity z tropu Miles nie wiedział, co powiedzieć. Czy to miała być cała odpowiedź...? Oczekiwał czegoś bardziej zdecydowanego albo na tak, albo na nie. – Miałem wizję – dorzucił dramatycznie, konsekwentnie trzymając się ustalonego scenariusza.

– Tak? – Uwaga Suegara wzrosła w sposób widoczny. – Ja nigdy nie miałem wizji – dodał z zazdrością. – Do wszystkiego musiałem dojść sam, no wiesz, na podstawie kontekstu. I jak było? Trans?

Boże, a ja myślałem, że on tu gada z elfami i aniołami...

Miles odrobinę spuścił z tonu.

– Nie, nie, to zupełnie jak myśl, tyle że bardziej intensywna. Opanowuje twoją wolę – pali jak żądza, tylko nie tak łatwo ją zaspokoić. To nie trans, bo prowadzi cię na zewnątrz zamiast do środka. – Zawahał się z niepokojem, gdyż powiedział więcej prawdy niż początkowo zamierzał.

Suegar wyraźnie nabrał otuchy.

– Bardzo dobrze. Już zaczynałem myśleć, że należysz do tych, co rozmawiają z ludźmi, których nikt poza nimi nie widzi.

Miles mimowolnie zerknął do góry, po czym skierował wzrok na Suegara.

– A więc to jest wizja. No proszę, czułem coś podobnego. – Jego oczy przybrały wyraz napięcia i koncentracji.

– Nie rozpoznałeś tego w sobie? – udał zainteresowanie Miles.

– Nie potrafiłem określić... niełatwo jest dźwigać ciężar owego daru. Długi czas próbowałem tego uniknąć, ale Bóg ma swoje sposoby, by zjednać sobie najbardziej przekornych.

– Zbytek skromności, Suegarze. Wierzyłeś w swoje Pismo, a nie w siebie. Czy nie wiesz, że kiedy otrzymujesz jakieś zadanie, zostajesz jednocześnie obdarzony mocą, aby je wykonać?

Suegar westchnął, pełen radosnego zadowolenia.

– Wiedziałem, że to zadanie dla dwóch. Dokładnie, jak to stoi w Piśmie.

– Hm, jasne. A więc teraz jest nas dwóch. Ale musi nas być więcej. Lepiej niezwłocznie złączmy od twoich przyjaciół.

– To nie zajmie dużo czasu – odparł z grymasem Suegar. – Mam nadzieję, że również uwzględniłeś w planach krok następny?

– Następnie zajmiemy się twoimi wrogami. Bądź też przygodnymi znajomymi. Lub pierwszą krwawiącą osobą, która przestąpi nam drogę. Nieważne, od kogo zaczniemy, bo i tak w końcu pozyskamy wszystkich. Do ostatniego. – Nasunął mu się stosowny cytat, toteż dodał z zapałem – „Pozwólcie słuchać tym, którzy mają uszy”. Wszystkim. – W tych słowach zawarł swoje rzeczywiste pragnienie.

– Dobrze. – Miles pomógł Suegarowi stanąć na nogi. – Chodźmy nawracać niewiernych.

Suegar roześmiał się zniecała. – Znałem kiedyś kogoś, kto mawiał „Dalej, nakopmy im do tyłków”, dokładnie tym samym tonem.

– Coś w tym jest. – Miles wykrzywił usta. – Rozumiesz, propozycja udziału w tym przedsięwzięciu nie zawsze spotka się z ochoczym przyjęciem. Ale werbowanie pozostaw mnie, zrozumiano?

Suegar musnął palcami włosy na brodzie i spod uniesionych brwi rzucił Milesowi badawcze spojrzenie.

– Urzędnik, co?

– Zgadza się.

– Tak jest, sir.

Zaczęli od Olivera.

– Czy można wstąpić? – zapytał Miles.

Oliver potarł nos wierzchem dłoni i siąknął.

– Niech no coś ci doradzę, chłopcze. Jako komendant nie zrobisz tu kariery. Żarty się skończyły i dawno je pogrzebano. Co do jednego.

– Dobrze. – Miles skrzyżował nogi i usiadł na ziemi w pobliżu, choć nie za blisko, maty Olivera. Suegar ostrożnie przykucnął za jego plecami, by móc w razie potrzeby jak najszybciej ratować się ucieczką. – Zatem wyłożę sprawę bez ogródek. Nie podoba mi się sposób, w jaki toczy się tu życie.

Na ustach Olivera pojawił się sardoniczny uśmiezek. Nie skomentował słów Milesa. Nie musiał.

– Mam zamiar to zmienić – dorzucił Miles.

– Rany! – burknął Oliver i odwrócił się do nich plecami.

– Popróbować to tu, to tam.

Po chwili milczenia Oliver odpowiedział:

– Idź sobie, bo oberwiesz.

Suegar pospiesznie usiłował ustać. Miles ze złością posadził go z powrotem.

– On był komandosem – szepnął trwożliwie Suegar. – Mógłby rozłamać cię na pół.

– Dziewięć dziesiątych spośród więźniów mogłoby rozłamać mnie na pół. Łącznie z kobietami – odszepnął Miles. – Tym nie warto się kierować.

Miles pochylił się do przodu i chwyciwszy Olivera za podbródek, skierował jego twarz ku sobie. Na widok tak zuchwałego posunięcia Suegar ze świstem wciągnął powietrze.

– Co się tyczy cynizmu, sierzanie, to jest najbardziej uległa postawa moralna we wszechświecie. I najwygodniejsza. Jeśli nic nie da się wskórać, nic nie grozi ci za to, że nie próbujesz i możesz leżeć sobie i gnić do woli.

Oliver odepchnął jego rękę, ale nie wrócił do poprzedniej pozycji. W oczach płonął mu gniew.

– To Suegar powiedział ci, że byłem sierżantem? – syknął.

– Nie, masz to wyryte na czole. Posłuchaj, Oliver... Oliver podciągnął się na rękach i wsparł nimi o matę. Suegar drgnął, ale pozostał na miejscu.

– To ty posłuchaj, pokrako – warknął Oliver. – Już to przerabialiśmy. Prowadziliśmy gry, musztry, sprzątania, ćwiczenia i zimny prysznic, tyle że o zimnym prysznicu nie może tu być mowy. Odbywały się chóralne śpiewy i przedstawienia. Mozolnie studiowaliśmy zbiory zasad i systemy matematyczne. Usiłowaliśmy narzucać to jedni drugim i rozpętaliśmy prawdziwą wojnę. A potem nurzaliśmy się w grzechu, stosując jak najplugawsze praktyki, aż zachciało nam się rzygać. Przerabialiśmy to wszystko co najmniej dziesięciokrotnie. Uważasz, że jesteś pierwszym reformatorem, który chciał nas zbawić?

– Nie, Oliver. – Miles popatrzył mu prosto w twarz, nie zrażony jego wrogim spojrzeniem. Zniżył głos do szeptu. – Uważam, że jestem ostatnim.

Oliver milczał przez chwilę, po czym wybuchnął śmiechem.

– Boże, Suegar nareszcie odnalazł pokrewną duszę. Dwaj wariaci razem, dokładnie jak mówi jego Pismo.

Miles nie zareagował, tylko usiadł prostując plecy.

– Odczytaj Pismo raz jeszcze, Suegarze. Całe. Dla pełniejszego skupienia, i chcąc odwieść Olivera od dalszych komentarzy, przymknął oczy.

Suegar poruszył się niespokojnie i odchrząknął.

– „Dla tych, którzy zostaną dziedzicami zbawienia” – zaczął. – „Ruszyli w kierunku bramy.

Baczcie, że miasto wznosiło się na stromym wzgórzu, pielgrzymi jednak bez trudu wspięli się na nie, gdyż za ramiona wiedli ich ci dwaj. Swe doczesne odzienie pozostawili w rzece, ponieważ choć mieli je wkraczając do środka, wychodząc byli nadzy. Zatem wspięli się nań zręcznie i szybko poprzez fundamenty, wynoszące miasto wyżej niżli chmury. I wstąpili w regiony niebieskie...” – Zamilkł, po czym dorzucił przepaszająco: – Tu się urywa. Podarłem kartkę. Nie jestem pewien, co właściwie oznacza.

– Pewnie to, że dalej powinienes zacząć improwizować – podsunął Miles, otwierając oczy. A więc to był surowiec, z którego miał czerpać. Musiał przyznać, że zwłaszcza ostatnia część zrobiła na nim wrażenie, napełniając jego żołądek lodowatym mrowieniem. No i dobrze. Byle do przodu.

– Widzisz, Oliver. Dokładnie to, co mam do zaoferowania. Jedyna nadzieja, dla której warto żyć. Zbawienie.

– Rzeczywiście podnosi na duchu – odparł szyderczo Oliver.

– O nic innego mi nie chodzi, jedynie o to, aby wszystkich podnieść na duchu. Musisz zrozumieć, jestem fundamentalistą. Traktuję Pismo bardzo dosłownie.

Oliver otworzył i zaraz zamknął usta. Miles mógł liczyć na jego niepodzielną uwagę.

Nareszcie jakaś łączność. Odetchnął w duchu. Kontakt nawiązany.

– Trzeba by cudu – powiedział wreszcie Oliver – aby dokonać tego w takim miejscu.

– Nie zamierzam nawracać wybranych, lecz nauczać wszystkich. A nawet – czuł, że nabiera rozpędu – grzeszników. Niebo jest dla wszystkich. Jednak cuda mają to do siebie, że następują z zewnątrz. Nie nosimy ich po kieszeniach...

– Ty z pewnością nie – mruknął Oliver, omiatając wzrokiem nagą postać Milesa.

... możemy się tylko modlić i przygotować do życia w lepszym świecie. Lecz cuda zdarzają się wyłącznie tym, którzy są na nie przygotowani. Czy jesteś przygotowany, Oliverze? – Miles pochylił się z wigorem do przodu.

– Rany... – Oliver nie dokończył. Co dziwne, szukał potwierdzenia w oczach Suegara. – Czy ten człowiek mówi poważnie?

– On myśli, że udaje – odrzekł Suegar – ale to nieprawda. To On, bez dwóch zdań.

Kolejna fala lodowatego mrowienia. Mieć do czynienia z Suegarem, stwierdził Miles, było niczym przebywanie w korytarzu pełnym luster. Cel, pomimo iż jak najbardziej rzeczywisty, nie znajdował się tam, gdzie według wszelkich zasad logiki powinien.

Oliver wziął głęboki oddech. Na jego twarzy odzwierciedlały się targające nim nadzieja, lęk, wiara i powątpiewanie. – Jakże możemy być ocaleni, wielebny?

– Ach, mów mi Bracie. Tak. Powiedz, ilu nawróconych możesz sprowadzić sam, bez niczyjej pomocy?

Oliver starannie rozważył swoją odpowiedź.

– Pozwól, niech ujrzą to światło, a pójdą za nim wszędzie.

– Tak... tak... zbawienie obejmuje każdego, to nie ulega wątpliwości, jednak pewne względy czasowe przemawiają za utrzymaniem stanu duchownego. To znaczy, błogosławieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli.

– Prawda – zgodził się Oliver. – Gdyby twoja religia nie przyniosła cudu, pociągnęłoby to za sobą z pewnością ofiary w ludziach.

– Ach... być może. – Miles przełknął ślinę. – Nie brakuje ci przenikliwości.

– Nie nazwałbym tego w ten sposób – odrzekł Oliver. – Zwyczajnie mogę to zagwarantować.

– Cóż... wróćmy do mojego pytania. Ilu stronników byłbyś w stanie zwołać? Mam na myśli ciała, a nie dusze.

Oliver zmarszczył brwi, jeszcze nie do końca ufny. – Może dwudziestu.

– A czy ci mogliby sprowadzić następnych? Ściągnąć ich zewsząd i pozyskać dla sprawy?

– Może.

– A więc mianuj ich swoimi kapralami. Myślę, że lepiej zrobimy nie przywracając poprzednich stanowisk. Nazwijmy to Armią Odrodzonych. Albo nie. Armią Przeistoczenia, lepiej brzmi. Zostaniemy przeistoczeni. Nasze ciała to gąsienice otoczone kokonem, ale wkrótce przemienimy się w motyle i odfruniemy stąd.

Oliver pociągnął nosem. – Czego jeszcze dotyczą planowane zmiany?

– Tylko jednego. Prowiantu.

Oliver spojrzał na niego z niedowierzaniem. – Jesteś pewien, że nie chodzi tu o wybieg, aby załapać się na darmowy posiłek?

– To prawda, zaczynani być głodny... – na widok chłodnej reakcji Olivera Miles zaprzestał żartów. – Ale inni ludzie także. Do jutra możemy sprawić, że będą jeść nam z ręki.

– Na kiedy potrzebujesz tych dwudziestu?

– Do następnego przysłania prowiantu. – Dobrze, osiągnął zamierzony rezultat.

– Tak szybko?

– Zrozum, Oliverze, wiara, że posiadasz niewyczerpany zasób czasu jest ułudą celowo narzuconą ci przez to miejsce. Oprzyj się temu.

– Ty rzecz jasna się spieszysz.

– No a co, masz wizytę u dentysty? Chyba nie. Poza tym, moje ciało stanowi połowę twojego. Muszę poruszać się dwa razy szybciej, aby dotrzymać ci kroku. Dwudziestu lub więcej. Do następnego posiłku.

– Czego, u diabła, myślisz dokonać przy wsparciu dwudziestu mężczyzn?

– Przejmiemy cały prowiant. Oliver z niesmakiem wykrzywił usta.

– Z dwudziestoma? Chyba nie mówisz poważnie. Nie przejdzie. To już było. Mówiłem ci, że rozpętała się regularna wojna. Doprowadziłbyś do natychmiastowej masakry.

– Potem, kiedy to już zrobimy, rozdamy go. Sprawiedliwie i pod kontrolą, po jednym dla każdego. Grzesznikom i całej reszcie. A przy jeszcze następnym posiłku, wszyscy ci, dla których kiedyś zabrakło, przejdą na naszą stronę. Wówczas będziemy gotowi zmierzyć się z tymi najbardziej nieustępliwymi.

– Zwariowałeś. Nie uda ci się. Nie przy pomocy dwudziestu.

– Czy kiedykolwiek twierdziłem, że będziemy mieć tylko dwudziestu? Suegarze, powiedz?

Wniebowzięty Suegar pokręcił przecząco głową.

– Nie mam zamiaru nadstawiać karku, nim nie okażesz namacalnych dowodów na wsparcie – oświadczył Oliver. – Moglibyśmy przyplacić to życiem.

– Zrobi się – obiecał nieopatrnie Miles. Trzeba od czegoś zacząć; wyobraźnia jak do tej pory go nie zawiodła. – Dostarczę na ten świątobliwy cel pięciuset żołnierzy.

– A ja przejdę goły na rękach w poprzek obozu – odparował Oliver.

Miles uśmiechnął się.

– Trzymam cię za słowo, sierżancie. Dwudziestu. Przy następnym posiłku. – Miles wstał. – Chodźmy, Suegarze.

Rozdrażniony Oliver machnął za nimi ręką. Odeszli. Kiedy Miles spojrzał przez ramię, Oliver kierował się właśnie ku leżącym nieopodal matom i przyzywał gestem swoich ziomków.

– Niby skąd mamy w tak krótkim czasie zdobyć pięciuset żołnierzy? – zapytał Suegar. –

Chciałbym cię uprzedzić, że Oliver to najlepsze, co mogłem zaoferować. Z następnym nie pójdzie tak gładko.

– Co ja słyszę – odparł Miles. – Czyżby twoja wiara już się chwiała?

– Wierzę – odrzekł Suegar – tyle że nie widzę. Może to właśnie jest moje błogosławieństwo, sam nie wiem.

– Zdziwiasz mnie. Sądziłem, że to zupełnie oczywiste. Tam. – Miles wskazał na widniejące przed nimi obozowisko kobiet.

– Och. – Suegar przystanął gwałtownie. – Och, och. Raczej nie, Milesie.

– Ależ tak. Idziemy.

– Aby tam wejść, potrzebna ci będzie zmiana płci.

– Czyżbyś pomimo swojego natchnienia nie próbował ich nawracać?

– Próbowałem. Obiły mnie. Od tamtej pory przestałem.

Miles ściągnął wargi i przyjrzał mu się bez słowa.

– Nie mogłeś doznać całkowitej porażki, inaczej nie wytrwałbyś tak długo, czekając na mnie. Czy to wstyd powstrzymywał twoją zwykłą stanowczość? Miałeś zamiar dać czemuś upust w tej okolicy?

Suegar potrząsnął głową.

– Nie o to chodzi. Może popełniłem grzech zaniechania. Zwyczajnie nie miałem odwagi więcej ich nagabywać.

– Na całym tym miejscu ciąży grzech pominięcia. – Miles poczuł ulgę, że Suegar nie okazał się zadeklarowanym gwałtcielem. Omiótł wzrokiem teren, próbując dociec reguł rządzących układem poszczególnych grup i wykonywanymi przez nie zajęciami. – Tak... nacisk wywierany przez drapieżnika narzuca określone zachowanie stada. Sądząc po tym, co widzimy, nacisk musi być szczególnie dotkliwy skoro grupa tej wielkości trzyma się razem. Jednak odkąd tu jestem, nie zauważyłem żadnych incydentów.

– Zdarzają się i mijają – odpowiedział Suegar. – Fazy księżyca, czy coś w tym rodzaju.

Fazy księżyca. Jacykolwiek bogowie znajdowali się nad nimi, Miles posłał im modlitwę dziękczynną za to, iż według wszelkich symptomów Cetagandanie, oprócz innych środków uodparniających zaszczepili kobietom także preparat antyowulacyjny. Chwała zapomnianej istocie, która włączyła tę zasadę do regulaminu Komisji Międzygwiazdnej, zmuszając tym samym Cetagandan do przyjęcia bardziej wysublimowanego systemu tortur. A jednak, czy ciążę, obecność niemowląt i dzieci wśród więźniów stanowiłyby kolejny destabilizujący element, czy raczej wiążącą ich siłę, głębszą i silniejszą od wartości, które Cetagandanie najwyraźniej zdołali skutecznie wypłenić? Z logistycznego punktu widzenia Miles poczuł ulgę, że pytanie było czysto teoretyczne.

– Dobrze... – Miles wziął głęboki oddech i wyzywająco nasunął na oczy wyimaginowany kapelusz. – Jestem tu nowy, a więc chwilowo nieskrępowany. Niech ten, który jest bez grzechu, rzuci pierwszą przynętę. Poza tym mam pewną przewagę w tego rodzaju negocjacjach. Nie budzę zagrożenia. – Ruszył do przodu.

– Zaczekam tutaj – zawołał za nim Suegar i przycupnął na ziemi.

Miles tak obliczył kroki, aby przeciąć drogę sześciu przechadzającym się nieopodal strażniczkom. Stał naprzeciw nich i zdarł z głowy wymyślony kapelusz, by przykryć nim krocze.

– Dzień dobry. Od razu chciałbym przeprosić za moje zach...

Garść piasku w ustach uniemożliwiła mu dokończenie zdania. Obstały go cztery kobiety i podciawszy mu nogi, przewróciły na ziemię. Nie zdążył nawet go wypluć, kiedy silne ramiona poderwały go w górę i po niewyraźnym odliczeniu do trzech odrzuciły na sporą odległość. Wciąż

twarzą w dół wylądował niedaleko miejsca, gdzie znajdował się Suegar. Strażniczki bez słowa podjęły obchód.

– Teraz rozumiesz, co miałem na myśli? – zapytał Suegar.

Miles odwrócił głowę i spojrzał na niego.

– Obliczyłeś odległość wyrzutu co do centymetra, co? – powiedział.

– Prawie – przyznał Suegar. – Pomyślałem, że wzięwszy pod uwagę twoje rozmiary, mogą rzucić dalej niż zwykle.

Miles usiadł z trudem, nadal nie mogąc złapać tchu. Cholerne żebra, już prawie przestały mu doskwierać, a teraz każdy oddech napełniał klatkę piersiową nieznośnym bólem. Jednak wstał i otrzepał się. Po namyśle podniósł swój niewidzialny kapelusz. Oszołomiony stał przez chwilę, opierając dłonie na kolanach.

– No, dobrze – mruknął. – Z powrotem.

– Milesie...

– Musimy to zrobić, Suegarze. Nie mamy wyboru. Tak czy siak, skoro raz zacząłem, nie dam za wygraną. Mówiono mi, że jestem patologicznie uparty. Nie mogę zrezygnować.

Chcąc zaoponować, Suegar otworzył usta, po czym przełknął swój protest.

– Jasne – odrzekł. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami, podświadomie gładząc ukrytą w łachmanie skarbnicę wiedzy. – Będę czekał, aż mnie zawołasz. – Wyglądał, jakby pogrążył się w zadumie lub medytacji – czy może drzemce.

Drugie podejście Milesa zakończyło się tak jak pierwsze, tyle że wyrzucono go wyżej i zatoczył w powietrzu nieco szerszy łuk. Trzecia próba różniła się tylko tym, że lot był znacznie krótszy.

– Świetnie – mruknął do siebie. – Zaczynają mieć dosyć. Tym razem zrównał się z patrolem tak, aby strażniczki nie mogły go sięgnąć, lecz usłyszały co ma do powiedzenia.

– Słuchajcie – zaczął. – Wcale nie musicie robić tego po kawałku. Ułatwię wam to. Cierpię na teratogeniczne schorzenie układu kostnego – nie jestem mutantem, moje geny funkcjonują bez zarzutu, po prostu ich produkcję zakłóciła pewna trucizna, na której wpływ została narażona moja matka, będąc w ciąży. To działanie jednorazowe – moim dzieciom nic nie grozi – zawsze czułem, że łatwiej mi się umówić z dziewczyną, kiedy już to wyjaśnię. Żaden mutant – tak czy inaczej, moje kości są kruche, którakolwiek z was mogłaby połamać je bez zbytniego wysiłku. Pewnie ciekawi was, po co to wszystko mówię – w rzeczy samej, zwykle nie jestem skory do rozgłaszania tych informacji – musicie stanąć i wysłuchać mnie. Czy stanowią dla was zagrożenie – czy wyglądam, jakbym mógł stanowić zagrożenie? – wyzwanie, owszem, ale nie zagrożenie. Czy chcecie, abym biegł tak za wami przez cały obóz? Wolniej, na miłość boską! W tym tempie wkrótce zabraknie mi tchu, a co za tym idzie, siły do dalszego ataku werbalnego. – Wyprzedził je i wyciągając ramiona zastąpił im drogę. – Więc jeśli naprawdę macie zamiar połamać mi wszystkie kości, zróbcie teraz, abyśmy od razu mieli to z głowy, ponieważ będę tu wracał dopóty, dopóki tego nie uczynicie.

– Zróbcie, jak mówi – powiedziała rudowłosa wysoka kobieta. Jej wystrzyżona miedziana strzecha przyciągała wzrok Milesa, odwracając jego uwagę. Wyobraził sobie sploty padające na podłogę pod nożycami strażników więziennych. – Złamię lewe ramię, Conr, jeśli ty zajmiesz się prawym – uzupełniła.

– Jeśli to ma sprawić, że staniecie i wysłuchacie mnie choćby przez pięć minut, niech tak będzie – odparł Miles, nie ruszając się z miejsca. Rudowłosa postąpiła ku niemu i chwyciła jego lewy łokieć, stopniowo zwiększając nacisk.

– Pięć minut, dobrze? – dodał desperacko Miles, czując narastający ból.

Omiotła wzrokiem jego profil. Zwilżywszy wargi przymknął oczy, wstrzymał oddech i czekał.

Wspiął się na palce – nacisk stał się nie do zniesienia.

Puściła go tak gwałtownie, że niemal stracił równowagę.

– Mężczyźni – powiedziała z obrzydzeniem. – Ze wszystkiego robią pieprzoną licytację.

– Biologia to Przeznaczenie – wydusił Miles, z trudem otwierając oczy.

– A może jesteś zwykłym zbrojnym, co to podnieca się, kiedy go tłuką kobiety?

Boże, myślę, że nie. Nie zdradziły go żadne niepożądane reakcje jego ciała. Jednak jeśli będzie dłużej przebywał w obecności rudowłosej, koniecznie będzie musiał zdobyć skądś spodnie.

– Gdybym odpowiedział twierdząco, czy dałabyś spokój, tylko po to, aby mnie ukarać? – zapytał.

– Cholera, nie.

– Tak tylko sobie pomyślałem.

– Zostaw go, Beatrice – odezwała się przywódczyni patrolu. Ruchem głowy nakazała rudowłosej dołączyć do pozostałych. – Dobra, trutniu, masz swoje pięć minut. Może.

– Dziękuję. – Miles odetchnął i doprowadził się do porządku na tyle, na ile pozwalał mu na to brak munduru. – Przede wszystkim wybaczenie, że zakłócam wasz spokój, będąc tak niekompletnie ubrany. Pierwszymi ludźmi, których napotkałem tuż po przybyciu do obozu, była grupa samopomocy. Między innymi zagarnęli również moją odzież.

– Widziałam to – powiedziała zniecierpliwiona rudowłosa Beatrice. – Chłopcy Pitta.

Miles zerwał z głowy kapelusz i złożył jej głęboki ukłon.

– Tak, dziękuję ci.

– Kiedy to robisz, wypinasz tyłek na tych, co stoją za tobą – skomentowała beznamiętnie.

– To ich punkt widzenia – odparł Miles. – Jeżeli chodzi o mnie, chciałbym porozmawiać z waszą głównodowodzącą, bądź głównodowodzącymi. Mam opracowany plan poprawienia standardu życia tutaj. W związku z tym pragnę prosić was o pomoc. Powiem wprost: stanowicie w tym miejscu największą część cywilizacji, nie wspominając o porządku militarnym. Chciałbym ujrzeć, jak poszerzacie swoje granice.

– Poświęcamy wszystko, co mamy, aby zachować je w takim stanie, w jakim są obecnie – odrzekła przywódczyni. – Nic nie wskórasz, więc zabieraj się stąd.

– I znajdź sobie jakieś szmaty – uzupełniła Beatrice. – Ale nie tutaj.

Miles westchnął i trzymając kapelusz za szerokie rondo, obrócił go w rękach. Przez chwilę kręcił go na palcu, po czym spojrzał na rudowłosą.

– Zwróć uwagę na mój kapelusz. To jedyny skrawek odzieży, jaki udało mi się ocalić przed zachłannością tamtych pięciu – chłopców Pitta, jak powiedziałaś.

Na tę nieoczekiwaną uwagę parsknęła śmiechem.

– Co za durnie... dlaczego tylko kapelusz? A nie spodnie? Albo cały mundur? – dodała ironicznie.

– Kapelusz jest bardziej użyteczny dla komunikacji. Można wykonywać szerokie gesty – zaprezentował jej – okazać szczerą – przyłożył kapelusz do serca – bądź wstyd – przykrył krocze – demonstrować wściekłość – cisnął kapelusz na ziemię, tak jakby chciał go rozdeptać, po czym podniósł go i troskliwie oczyścił – czy determinację – nasadził go na głowę i nisko opuścił na oczy rondo – i uczynić grzeczność. – Ponownie zdarł go z głowy i skłonił się przed nią. – Czy widzisz kapelusz?

Wyraźnie zaczynało ją to bawić.

– Tak...

– A widzisz na nim pióra?

- Tak...
- Opisz je...
- Och – takie puchate.
- Ile?
- Dwa. Związane razem.
- A widzisz, jaki mają kolor?

Cofnęła się, jakby dotarła do niej świadomość obecności jej towarzyszek. Spojrzała na nie z ukosa.

- Nie.
- Kiedy będziesz w stanie określić kolor tych piór – powiedział miękko Miles – zrozumiesz też, w jaki sposób możesz rozszerzyć swoje granice ku nieskończoności.
- Nie odpowiedziała, a jej twarz straciła jakikolwiek wyraz. Tymczasem przywódczyni mruknęła:
- Niech ten truteń może porozmawia z Tris. Jeden jedyny raz.

Przywódczyni musiała kiedyś brać czynny udział w walce, a nie należeć do obsługi naziemnej, jak większość kobiet. Grające pod jej skórą mięśnie z pewnością nie pochodziły od wielogodzinnego ślęczenia przed monitorem na jakimś podrzędnym stanowisku. Posługiwała się prawdziwą bronią, która niosła prawdziwą śmierć, osiągnęła ostateczny limit, do którego mogło prowadzić połączenie ciała z żelazem, i to wszystko odcisnęło na niej trwałe piętno. Złudzenia wypalono z niej niczym zakażenie, na zawsze pozostawiając szpecącą bliznę. W jej oczach bez przerwy żarzył się gniew, przywodząc na myśl płomień, którego żadna siła nie byłaby w stanie ugasić. Mogła mieć trzydzieści pięć lub czterdzieści lat.

Mój Boże, chyba się zakochałem, pomyślał Miles. Brat Miles potrzebuje CIEBIE do swojej Armii Przeistoczenia... Opamiętał się. Powodzenie jego planu zależało w tej chwili od tego, jak rozegra tę sytuację. Żadne gierki, podchody, nonsensy, brawura, czy urok, które byłby w stanie z siebie wykrzesać nie zdadzą się tutaj na nic, choćby związał je razem i przyozdobił wielką błękitną kokardą.

Ci, których zraniono, pragną władzy, nic więcej; wychodzą z założenia, że to ich uchroni przed dodatkowym cierpieniem. Jej zainteresowania nie wzbudzi osobliwe przesłanie Suegara – a przynajmniej nie teraz... Miles wziął głęboki oddech.

- Pani, przybyłem tu, aby zaproponować ci przejęcie dowodzenia nad obozem.

Taksowała go wzrokiem, jak gdyby był pasożytem odkrytym przypadkiem na jednej ze ścian w ciemnym rogu latryny. Ogarnęła spojrzeniem jego nagość; niemal czuł, jak na ciele powstają jątrzące zadrapania.

– A trzymasz je pewnie w swoim worku podróжным, co? – burknęła. – Dowodzenie nad tym obozem nie istnieje, pokrako. Zatem nie tobie je przydzielać. Wyrzuć go stąd, Beatrice.

Zrobił unik. Kwestię pokraki wyjaśni później.

– Moim zadaniem jest je stworzyć – podkreślił. – Zauważ proszę, że nie proponuję ci odwetu, lecz władzę. Odwet stanowi nadmiernie wysoką stawkę. Dowódcy nie mogą sobie nań pozwolić.

Tris wyplątała się z maty i stanęła przed Milesem; ugięła kolana, aby jej twarz znalazła się na równi z jego twarzą.

- Prawie mnie zaciekawileś. Ja pragnę odwetu. Na każdym mężczyźnie z tego obozu.
- Wobec tego Cetagandanie zwyciężyli. Zapomniałaś, kto jest twoim prawdziwym wrogiem.
- Powiedzmy raczej, że odkryłam, kto nim jest. Gdybyś wiedział o tym wszystkim, co nam zrobili nasi dawni kompani...



– Cetagandanie chcą, abyś wierzyła, że to – gestem ogarnął obóz – stanowi wasz własny wytwór. Walcząc między sobą, stajecie się marionetkami w ich rękach. Cały czas obserwują, będąc świadkami waszego upodlenia.

Jej spojrzenie powędrowało w górę; dobry znak. To było niczym choroba wśród więźniów, że rozglądając się wokół, w końcu zatrzymywali wzrok na szczycie kopuły.

– Władza jest lepsza niż odwet – podsunął Miles, wytrzymując spojrzenie oczu płonących w zimnej, nieruchomej twarzy tkwiącej naprzeciwko niego. – Władza żyje, i dzięki niej możecie pochwycić własną przyszłość. Odwet zaś jest martwy i z przeszłości obłapia was swoimi mackami.

– A ty jesteś mistrzem w wymyślaniu bzdur – przerwała – który nie przepuści żadnej nadarzającej się okazji. Przejrzałam cię. To jest władza. – Podstawiła mu pod nos zaciśniętą pięść, a mięśnie napięły się jej pod skórą. – To jedyna władza, która ma tutaj jakąkolwiek rację bytu. Nie była ci dana, a więc usiłujesz podszyć się pod czyjąś, by ochronić własne siedzenie. Trafiłeś pod niewłaściwy adres.

– Nie – zaoponował Miles i popukał się w czoło. – To jest władza. I należy do mnie. Ona kontroluje to – odepchnął jej pięść. – Ludzie są w stanie poruszyć góry, ale to pomysły poruszają ludzi. Poprzez ciało można sięgnąć do umysłu. Czemuż innemu bowiem to wszystko służy – machnął ręką w kierunku obozu. – Pokonani. Zniewoleni. I nikogo już tam nie ma.

– Zostaniemy tu na zawsze. Lepiej zacznij przyzwyczajać się do tej myśli.

– Słyszałem już tę śpiewkę – odparł Miles. – Zrób użytek ze swojej głowy. Gdyby mieli zamiar zatrzymać cię tu na zawsze, zmiotliby cię w pył już na samym początku, oszczędzając sobie w ten sposób trudu utrzymywania obozu. Nie. Im chodzi o twój umysł. Jesteście tu wszyscy, gdyż na Marilac stanowiliście grono najlepszych, najwytrwalszych i najsilniejszych, najbardziej niepokornych i najniebezpieczniejszych. Tych, do których w razie okupacji zwrócono by się z prośbą o dowodzenie. W ich zamysłach leży złamanie was i zaszczepienie światu niczym zarazki, nie mające dla innych nic prócz rady, aby się poddać.

– Jeżeli to ulegnie zagładzie – delikatnie dotknął jej czoła – wówczas Cetagandanie nie będą musieli obawiać się niczego ze strony tego – musnął palcem jej biceps – i zwrócą wam wolność. Będziecie wolni w świecie, którego horyzont przytłoczy was dokładnie jak ta kopuła, i równie nieubłagane. Wojna jeszcze nie dobiegła końca. Jesteście tutaj, ponieważ Cetagandanie wciąż czekają, aż padnie Fallow Core.

Przemknęło mu przez myśl, że zaraz go zabije. Na pewno wolałaby, aby prędzej skołał, niż ujrzał jej łzy.

Potrząsnęła głową, przybierając na powrót ochronną maskę zgorzknienia.

– Jeżeli to prawda, wówczas wszystko, o czym mówisz, oddala nas od wolności, zamiast do niej przybliżać.

I po co to logicznie roztrząsać? Nie potrzebowała go bić, mogła bez trudu pozbawić życia, jeśli w tej chwili się wycofa. Nie dał za wygraną.

– Istnieje drobna różnica pomiędzy więźniem a niewolnikiem. Jednak ja żadnego nie myślę z byciem wolnym. Ty też nie.

Spoglądała na niego w milczeniu zmrużonymi oczami, bezwiednie skubiąc dolną wargę.

– Dziwak z ciebie – powiedziała wreszcie. – Dlaczego mówisz „ty”, a nie „my”?

Miles obojętnie wzruszył ramionami. W myślach pospiesznie przeanalizował swój wywód – miała rację. Mało brakowało. Jednak nadal mógł wyciągnąć z tego błędu jakąś korzyść.

– Czy wyglądam na waleczną chlubę Marilac? Jestem obcym, uwięzionym w świecie, z którym nigdy nie miałem nic wspólnego. Podróżnik, pielgrzym, dziwnym trafem przechodzący obok. Zapytaj

Suegara.

Parsknęła.

– Tego wariata.

Chybił celu. Szczury, jak powiedziała by Elli. Tęsknił za nią. Później spróbuje jeszcze raz.

– Nie lekceważ Suegara. Ma dla ciebie przesłanie. Uważam, że jest nie do pogardzenia.

– Słyszałam je. Uważam, że jest do niczego... No więc, co chcesz przez to osiągnąć? I nie mów, że nic, bo i tak nie uwierzę. Szczerze mówiąc, myślę, że sam przymierzasz się do dowodzenia, a mnie niespecjalnie zależy na tym, aby stać się dla kogoś szczeblem po drodze do stworzenia imperium.

Poddawała sprawę gruntownej analizie, biorąc pod uwagę możliwości inne niż wyrzucenie go poza granice swego terytorium. Poczuł, jak ogarnia go fala ciepła...

– Chcę jedynie być twoim duchowym doradcą. Nie pragnę władzy – nic mi po niej. Po prostu doradca.

W słowie „doradca” musiało być coś, co przywiodło jej na myśl jakieś skojarzenie z przeszłością. Otworzyła szeroko oczy. Stał na tyle blisko, by móc dostrzec, jak rozszerzają się jej źrenice. Pochyliła się ku niemu i obwiodła palcem niewyraźny zarys wgłębienia u nasady nosa, wyłobionych przewodami kontrolnymi na skraju hełmu. Wyprostowała się i układając palce na kształt litery V, dotknęła identycznych, tyle że głębszych znamion na własnej twarzy.

– Twierdzisz, że kim byłeś kiedyś?

– Urzędnikiem. W biurze werbunkowym – powiedział uparcie Miles.

– Rozumiem.

O ile tym, co zrozumiała, była absurdalność upierania się przy fakcie, że ktoś pełnił funkcję urzędnika, nosząc jednocześnie hełm wojskowy na tyle często, aby na stałe odcisnęły się jego ślady, dopiął celu. Chyba.

Ponownie usadowiła się na macie i wskazała mu jej drugi koniec.

– Usiądź, kapelanie. I mów dalej.

Kiedy Miles wrócił, Suegar pogrążony był w głębokim śnie. Siedział ze skrzyżowanymi nogami i chrapał. Miles poklepał go po ramieniu.

– Wstawaj, Suegarze. Jesteśmy w domu.

Suegar obudził się z głośnym chrapnięciem.

– Boże, jak tęsknię za kawą. Co? – Mrugając spojrzał na Milesa. – Ciągle w jednym kawałku?

– Niewiele brakowało. Słuchaj, jeśli chodzi o ten fragment traktujący o ubraniu pozostawionym w rzece, to czy naprawdę musimy paradować nago? Czy też przepowiednia sprawdziła się już w wystarczającym stopniu?

– He?

– Czy możemy się ubrać? – powtórzył cierpliwie Miles.

– A skąd mam wiedzieć? Sądzę, że gdyby było nam przeznaczone nosić ubranie, to otrzymalibyśmy je.

Miles szturchnął go i pokazał palcem.

– Tam. No to już je mamy.

Nieopodal stała w niedbałej pozie Beatrice, trzymając pod pachą zwiniętą odzież.

– Chcecie te rzeczy, głupki, czy nie? Ja wracam.

– Nakłoniłeś je, aby dały ci ubranie? – szepnął zdumiony Suegar.

– Nam, Suegarze, nam. – Skinął ręką w kierunku Beatrice. – Dobra, dawaj.

Rzuciła mu pakunek, pociągnęła nosem i odeszła.

– Dzięki! – krzyknął za nią Miles. Strzepnął tkaninę. Dwa komplety szarych piżam, mała i duża. Musiał podwinąć nogawki spodni, aby ich nie przydeptywać. Odzież była poplamiona i sztywna od zastarzałego potu i brudu. Co więcej, stwierdził Miles, musiano niegdyś zedrzyć jaz nieboszczyka. Suegar ubrał się i stał oszołomiony, macając palcami szary materiał.

– Dały nam ubranie – wymamrotał. – Dały nam. Jakim cudem tego dokonałeś?

– Dały nam wszystko, Suegarze. Dalej, muszę jeszcze raz porozmawiać z Oliverem. – Miles zdecydowanie pociągnął za sobą Suegara. – Ciekawe, ile czasu pozostało nam do kolejnego sygnału. Następuje dwukrotnie w ciągu dnia, ale nie zdziwiłbym się, gdyby robili to w nieregularnych odstępach czasu, aby wprowadzić większą dezorientację. W końcu dla nas to jedyny wyznacznik czasu...

Jego wzrok przykuła sylwetka biegnącego mężczyzny. Nie wyglądało, by uciekał przed atakiem którejś z grup. On po prostu biegł, z nisko pochyloną głową, szaleńczo tłukąc o ziemię bosymi stopami. Posuwał się wzdłuż obwodu, nie naruszając jednak granic obozowiska kobiet. Płakał.

– A cóż to znowu? – zapytał Miles, wskazując głową zbliżającą się postać.

Suegar wzruszył ramionami.

– Czasem przychodzi coś takiego. Kiedy już dłużej nie można znieść siedzenia w miejscu. Sam widziałem, jak taki jeden biegał, dopóki nie umarł. Raz po raz, dookoła...

– Tak czy inaczej – osądził Miles – on biegnie w naszym kierunku.

– Lada chwila zacznie zmykać.

– No to pomóż mi go złapać.

Miles chwycił go od dołu, a Suegar od góry. Usiadł na jego piersi, a Miles na prawej ręce, częściowo uniemożliwiając mu opór. W chwili uwięzienia musiał być bardzo młodym żołnierzem – może nawet skłamał przy podawaniu wieku wstępując do armii – gdyż nawet teraz jego twarz miała chłopięce rysy, zniekształcone łzami. Łkał i bełkotał przekleństwa. Po chwili ucichł.

Miles z przebiegłym uśmiechem pochylił się nad jego twarzą.

– Lubisz dobrą zabawę, chłopcze?

– Taaa... – Przewrócił otoczonymi białą obwódką oczami.

– A twoi przyjaciele? Czy oni też lubią dobrą zabawę?

– I to jak – odparł chłopiec, podejrzewając najwyraźniej, że wpadł w ręce jeszcze większych szaleńców niż on sam. – Lepiej zejdz ze mnie, potworze, bo inaczej dadzą ci szkołę.

– Mam zamiar zaprosić ciebie i twoich przyjaciół na największą zabawę – rzekł Miles. – Dziś wieczorem odbędzie się przyjęcie o znaczeniu historycznym. Wiesz, gdzie można znaleźć sierżanta Olivera z byłego czternastego oddziału komandosów?

– Tak... – potwierdził ostrożnie chłopiec.

– No więc zbierz swoich przyjaciół i stawcie się u niego. Lepiej zarezerwujcie sobie miejsca na pokładzie jego statku, inaczej bowiem możecie wylądować pod nim. Armia Przeistoczenia formuje szyki. Zrozumiano?

– Zrozumiano – stęknął chłopiec, gdyż dla mocniejszego efektu Suegar wraził mu w splot słoneczny swoją pięść.

– Przekaż mu, że przysyła cię brat Miles – krzyknął Miles, podczas gdy chłopiec oddalał się chwiejnie, rzucając na nich przez ramię niepewne spojrzenia. – Nie uda ci się schować. Jeśli zawiedziesz, wyślę Komandosów Kosmicznych, ażeby cię dopadli.

Suegar strzepnął rękawy i wygładził na sobie ubranie.

– Myślisz, że przyjdzie?

Miles uśmiechnął się.

– A ma wybór? Będzie jak znalazł. – Wyprostował się, obierając pierwotny kierunek. – Oliver.

Ostatecznie zebrali nie dwudziestu, ale dwustu. Oliver zwołał czterdziestu sześciu. Chłopiec sprowadził osiemnastu. Oznaki porządku i poruszenia ściągnęły ciekawskich – zabłąkanemu na skraju grupy wystarczyło pytanie „O co chodzi?”, aby z miejsca zostać wcielonym do armii i mianowanym kapralem. Zaciekawienie widzów sięgnęło szczytu, kiedy oddział Olivera zbliżył się do granicy terytorium kobiet – i został wpuszczony do środka. Natychmiast wywołało to zgłoszenie kolejnych siedemdziesięciu pięciu ochotników.

– Czy wiesz, o co chodzi? – zapytał jednego z nich Miles podczas krótkiej inspekcji poprzedzającej skierowanie ich do jednej z czternastu wyznaczonych grup dowodzących.

– Nie – przyznał mężczyzna. Z zapałem kiwnął w kierunku kobiet. – Ale chcę iść tam, dokąd one idą.

Z uwagi na rosnący niepokój Tris, rozdrażnionej tą infiltracją jej granic, Miles poprzestał na dwustu żołnierzach. Następnie z tego ustępstwa uczynił swój atut w debacie strategicznej, którą wiedli nieprzerwanie od jakiegoś czasu. Przy podziale swojej grupy Tris chciała zastosować zwykły sposób: jedną połowę przeznaczyć na atak, drugą zaś pozostawić na straży granic w bazie wyjściowej. Miles nalegał, by przy pierwszym ataku wykorzystać wszystkie siły.

– Jeśli wygramy, nie będziesz już potrzebowała wartowników.

– A jeśli przegramy?

Miles zniżył głos.

– Nawet nie ważmy się tak myśleć. To jedyna okazja, by ich zaskoczyć. Oczywiście, możemy wycofać się, przegrupować, uderzyć ponownie. Na jedno jestem całkowicie przygotowany, a raczej do tego zmuszony: próbować dopóty, dopóki mnie to nie zabije. Ale potem przeciwnik będzie w stanie przewidzieć każdy nasz następny krok i odpowiednio się doń przygotować. Czuję szczególną niechęć do martwych punktów. Wolę wygrywać wojny niż niepotrzebnie je przedłużać.

Westchnęła, w jednej chwili wyczuła z siłą, zmęczona i postarzała.

– Tkwę w tym od wielu lat, wiesz? Po jakimś czasie nawet porażka może wydawać się korzystna wobec możliwości przedłużenia wojny.

Ogarnięty podobnymi wątpliwościami poczuł, jak traci ochotę do dyskusji. Wskazał palcem do góry, zniżając głos do świszczącego szeptu.

– Ale chyba nie myślisz poddać się im...

Jej spojrzenie powędrowało w górę. Wyprostowała plecy.

– Nie. Im nie. – Zaczerpnęła powietrza. – No dobrze, kapelanie. Będziesz miał ten swój totalny atak. Ten jeden raz...

Oliver powrócił z obchodu i usiadł obok nich.

– Otrzymali rozkazy. Ile swoich da Tris do każdego z oddziałów?

– Komendant Tris – poprawił szybko Miles, widząc jak nagle zmarszczyła brwi.

– Uderzymy wszyscy naraz. Dostaniesz każdego, kto rusza się o własnych siłach.

Pisząc palcem po piasku Oliver wyliczył:

– Będzie około pięćdziesięciu w każdym oddziale – powinno wystarczyć... w sumie, ale czy nie lepiej byłoby utworzyć dwadzieścia oddziałów? To przyspieszyłoby podział przy formowaniu szeregów. No i pewnie byłoby korzystniejsze.

– Wykluczone – uciął kategorycznie Miles, widząc że Tris przychylnie odnosi się do tego pomysłu. – Ma być czternaście. Czternaście oddziałów to czternaście szeregów na czternaście baterii. Czternaście, to... to teologicznie szczególna cyfra – dodał wobec ich powątpiewających spojrzeń.

– Dlaczego? – zapytała Tris.

– Ze względu na czternastu apostołów – odparł Miles, składając pobożnie ręce.

Tris wzruszyła ramionami. Suegar podrapał się po głowie i zaczął coś mówić, lecz zamarł na widok miażdżącego spojrzenia Milesa.

Oliver spoglądał na niego przymrużonymi oczami.

– Też. – Ale zaprzestał wszelkich sporów.

Teraz pozostawało im tylko czekać. Miles przestał lękać się, że Cetagandanie przyślą następną dostawę, zanim zdoła uporządkować swoje plany. Zamiast tego ogarnęły go obawy, że dostawa nastąpi tak późno, iż on utraci kontrolę nad swoimi wojskami, które rozproszą się znudzone i rozczarowane. Zebranie ich wszystkich razem dało mu poczucie człowieka ciągnącego kozę na sznurze ukręconym z wody. Niematerialna natura Idei nigdy nie zdawała się bardziej wyrazista.

Oliver poklepał go po ramieniu, pokazując na coś palcem.

– Zaczyna się...

Ściana kopuły oddalona o mniej więcej jedną trzecią drogi wzdłuż krawędzi zaczęła wybrzuszać się do środka.

Trafili bez zarzutu. Wojska znajdowały się u szczytu gotowości. Podejrzanie bez zarzutu... przecież Cetagandanie śledzili z góry wszystkie ich poczynania i na pewno nie darowałyby sobie okazji, aby jeszcze bardziej pogłębić więźniów. Jeśli dostawa nie nastąpiła zbyt wcześnie, musiała nastąpić później. Albo...

Miles zerwał się na równe nogi, wrzeszcząc:

– Stać! Stać! Czekaście na moje rozkazy!

Oddziały przystanąły, niezdecydowanie zwracając się ku przewidzianemu celowi. Oliver jednak doskonale dobrał dowódców – powstrzymywali teraz swoje oddziały, kierując ku niemu niepewne spojrzenia. Musieli kiedyś być żołnierzami. Oliver spojrział na Tris, u której boku stała porucznik Beatrice, a Tris ze złością popatrzyła na Milesa.

– O co znów chodzi? Stracimy naszą przewagę... – zaczęła, podczas gdy wybrzuszenie wzbudzało wśród więźniów narastający popłoch.

– Jeżeli to pomyłka – jęknął Miles – zabiję się – czekać, do diabła! Na moje rozkazy. Nic nie widzę – Suegarze, podsadź mnie. – Wspiął się na ramiona chudzielca i począł z napięciem wpatrywać w wybrzuszenie. Ściana zdążyła rozewrzeć się do połowy, kiedy z oddali dobiegły go pierwsze okrzyki zawodu. Rozglądał się zapamiętale. Jakież jeszcze sploty okoliczności – jeżeli Cetagandanie wiedzieli, i on wiedział, że oni wiedzieli, że on wiedział, i... Stłumił ten wewnętrzny głos, kiedy naprzeciwległą ścianę obozu wypychało kolejne wybrzuszenie.

Ruchem człowieka rzucającego kości wskazał na nie, krzycząc:

– Tam! Tam! Szybciej!

Wówczas Tris zrozumiała. Rzuciła mu zdumione spojrzenie, pełne respektu. Gwiżdżąc i kierując głównym oddziałem, ruszyła za grupą biegnących. Miles zsunął się z ramion Suegara i utykając podążył za nimi. Zobaczył przez ramię, jak zbity szary tłum zderza się ze ścianą i przystępuje do odwrotu. Poczł się nagle jak człowiek usiłujący prześcignąć falę przyływu. Jęknął i przyspieszył kroku.

Ostatnia szansa fatalnej pomyłki – nie. Pierwsze grupy biegnących dotarły do sterty; była tam. Już zaczęli roznosić ją na części. Oddziały otoczyły ich murem ciał i powstrzymały przed rozproszeniem. Cetagandanie przeliczyli się. Tym razem.

Pole widzenia Milesa gwałtownie zawężyło się, kiedy porwała go fala tłumu. Ktoś pchnął go od

tyłu i upadł twarzą w piasek. Napastnik przeskoczył nad nim. Wydawało mu się, że poznaje sylwetkę Pitta, ale nie był pewien. Pitt nie omieszkaby na niego nadebrać, zamiast przeskoczyć. Chwyciwszy Milesa za lewe ramię Suegar poderwał go w górę. Miles powstrzymał okrzyk bólu. To, co się działo, starczało za wszystko.

Rozpoznał biegnącego chłopca, który właśnie szykował się z kimś do bójki.

– Masz krzyczeć „Do szeregu!”, a NIE „Spieprzaj!”... Komendy zawsze wyrodnieją w walce – mruknął do siebie. – Zawsze...

U jego boku pojawiła się Beatrice. Miles uchwycił jej się kurczowo. Bez oporów manewrowała łokciami i odpychała co bardziej natrętnych, zachowując dzięki temu swobodę ruchów. Gdybym ja tak robił, pomyślał zazdrośnie, zmiażdżyłbym sobie łokieć, natomiast przeciwnik wyszedłby bez szwanku. Wobec bliskości rudowłosej pohamował chęć, by wtulić się w miękką, szarą tkaninę jej ubrania; wiedział, że drogo by za to zapłacił. Popatrzył na nią.

– Dalej – powiedziała i pociągnęła go za sobą, torując drogę przez tłum. Czyżby wrzawa odrobinę cichła? Jego oddziały rozstały się na tyle, by mogli przecisnąć się między nimi.

Znaleźli się w wyjściowym punkcie kolejki. Udało się, na Boga, istotnie się udało! Czternaście grup, aczkolwiek przyciśniętych nieco zbyt blisko ściany – co jednak można było poprawić następnym razem – rozdawało wygłodzonym po jednej racji. Dogłądano, by kolejka posuwała się zwawo i wzdłuż muru ciał bezpiecznie odprowadzano już zaopatrzonych na skraj tłumy. Oliver dobrał parami najsilniejszych mężczyzn, by ci dopilnowali, żeby nikt nie został przemocą pozbawiony posiłku.

Uplłynęło wiele czasu, od kiedy ktokolwiek tutaj mógł wykazać się bohaterstwem. Świeżo wyznaczeni strażnicy porządku z entuzjazmem wykonywali swoje obowiązki. Niejednokrotnie musiały odzywać się echa dawnych niesnasek, bowiem Miles zobaczył, jak dwaj wartownicy tłuką jednego z chłopców Pitta. Pamiętając o swoim celu, stłumił uczucie satysfakcji.

Miles, Beatrice i Suegar przecisnęli się przez sznur więźniów w kierunku malejących stert z prowiantem. Z lekkim westchnieniem żalu Miles odszukał Olivera i wysłał go do wyjścia w celu przywrócenia porządku wśród jego podwładnych.

Tris sprawowała ścisłą kontrolę nad dystrybucją racji. Miles pogratulował sobie pomysłu, aby powierzyć to kobietom. W grę wchodził także silny czynnik emocjonalny – większość więźniów mamrotała niewyraźne „dziękuję”, kiedy wciskano im w ręce jedzenie; to samo czynili ci stojący za nimi, gdy następowała ich kolej.

Ha! Miles popatrzył w stronę mdłej i milczącej kopuły. Utraciliście monopol na broń psychologiczną, dranie. Pomieszaliśmy wam szyki.

Jego medytacje zakłóciła nagła sprzeczka w pobliżu jednej ze stert. Z irytacją zacisnął usta na widok Pitta. Poszedł w tamtym kierunku.

Okazało się, że Pitt odplacił za jedzenie nie podziękowaniem, lecz wyzywającym spojrzeniem, drwiną i wulgarną odzywką. Usłyszawszy to, trzy kobiety zareagowały natychmiast, bez powodzenia; był wysoki i silny, i na dodatek nie miał żadnych oporów, by odeprzeć ciosy. Jedna z kobiet, niewiele wyższa od Milesa, wylądowała na stercie i już nie wstała. Wystarczyła chwila, by równe szyki czekających na swoją kolej uległy załamaniu i momentalnie wytworzył się bałagan. Miles zaklął.

– Ty, ty, ty i – ty – wskazał Miles. – Brać go. Wyprowadźcie go stąd – z powrotem pod ścianę.

Wyznaczeni mężczyźni nie kwapili się do wykonania polecenia, lecz podbiegły Tris i Beatrice, które z większą werwą poprowadziły atak. Pitt został pochwycony i odciągnięty na bok, z dala od kolejki. Upewniwszy się, że dystrybucja przebiega jak należy, Miles skierował uwagę na

awanturnika. Dołączyli do niego Oliver i Suegar.

– Rozedrzeć go na strzępy – mówiła Tris. – Rozkazuję.

– Rozkaz wojskowy – wtrącił Miles. – Jeżeli ten tutaj jest oskarżony o zakłócanie porządku, powinnaś postawić go przed sądem wojennym.

– To gwałcieciel i morderca – odparła lodowatym tonem. – Szybka egzekucja byłaby dla niego zbyt łaskawą. Musi umierać powoli.

Miles odciągnął na bok Suegara.

– Rzeczywiście, kusząca perspektywa, ale czuję się jakoś nieszczególnie, przekazując go jej właśnie teraz. Niby... ale jednak nieszczególnie. Dlaczego tak się dzieje?

Spojrzenie Suegara wyrażało nieklamany szacunek.

– Chyba masz rację. Widzisz, tutaj przebywa zbyt wielu takich, co naprawdę zawinili.

Rozwścieczony Pitt zauważył Milesa.

– Ty! Ty gnoju – myślisz, że one cię obronią? – machnął głową w stronę Tris i Beatrice. – Nie mają dosyć siły. Przejechaliśmy je raz i zrobimy to znowu. Nie przegralibyśmy tej cholernej wojny, gdybyśmy mieli prawdziwych żołnierzy, tak jak Barrayaranie. Oni nie pakowali w swoje szeregi gnojników i łachudrów. I wykurzyli Cetagandan ze swojej planety...

– Wątpię – przerwał mu burkliwie Miles – abyś mógł wypowiadać się na temat systemu obrony Barrayaru w czasie Pierwszej Wojny Cetagandańskiej. A może mogłeś dowiedzieć się czegoś...

– Czy Tris uczyniła cię honorową członkinią, pokrako? – prychnął w odpowiedzi Pitt. – Nie trzeba by wiele...

Dlaczego wdaję się w dyskusje z tym zerem? zapytał sam siebie Miles, podczas gdy Pitt nie przestawał obrzucać go obelgami. Szkoda czasu. Pora to skończyć.

Miles cofnął się i założył ręce na piersi.

– Czy nikomu z was nie przyszło jeszcze do głowy, że wszystko wskazuje na to, iż ów człowiek jest szpiegiem Cetagandan?

Nawet Pitt zamilkł ze zdumienia.

– Dowody są oczywiste – ciągnął zdecydowanie Miles, podnosząc głos tak, aby wszyscy w pobliżu mogli go usłyszeć.

– On zagrał kluczową rolę w procesie waszej dezintegracji. Podstępem omamił swoich towarzyszy, nastawił ich przeciw sobie. Byliście najlepsi na Marilac. Cetagandanie nie mogli liczyć na to, że ustąpicie. Toteż zasiali między was ziarno zła. Tylko dlatego, aby się upewnić. I rzeczywiście podziałało – i to doskonale. Nigdy nie podejrzewaliście...

Oliver podszedł do Milesa i szepnął mu do ucha:

– Bracie, ja go znam. On nie jest cetagandańskim szpiegiem. To po prostu jeden z wielu...

– Oliverze – syknął przez zaciśnięte zęby Miles – zamknij się. I mówił dalej jeszcze bardziej donośnym głosem. – Oczywiście, że jest cetagandańskim szpiegiem. Kretem. A wy przez cały czas sądziliście, że robiliście to sami sobie.

Tam, gdzie nie ma ciała, pomyślał Miles, może zająć potrzeba, aby je wymyślić. Bolał go żołądek, ale celowo przybrał gniewny wyraz twarzy. Popatrzył po twarzach zgromadzonych ludzi. Niejedna była blada na równi z jego własną, choć z innego powodu. Ze strony obecnych dał się słyszeć na wpół zdumiony, na wpół złowrogi pomruk.

– Zdejmijcie mu koszulę – polecił Miles – i połóżcie go twarzą w dół. Suegarze, daj mi swój kubek.

Połamane naczynie miało wyszczerbiony brzeg. Miles posłużył się nim jak rylcem. Usiadł na pośladkach Pitta i dużymi literami wydrapał mu na plecach:

CETA  
SZPIEG

Rył głęboko i bezlitośnie; krew lała się strumieniami. Pitt wrzeszczał, kopał i przeklinał.

Miles wstał. Był rozdygotany i zdyszany nie tylko z powodu wysiłku.

– A teraz – powiedział – dajcie mu jego rację i doprowadźcie do wyjścia.

Chcąc zaprotestować, Tris otworzyła usta, po czym zaraz je zamknęła. Odprowadziła Pitta płonąącym spojrzeniem. Następnie odwróciła się do Milesa, grymasem twarzy wyrażając powątpiewanie.

– Naprawdę myślisz, że to Cetagandanin? – zapytała pokornie.

– Nie ma mowy – wtrącił Oliver. – O co tu, u diabła, chodzi, Bracie?

– Nie kwestionuję oskarżeń Tris – odparł Miles. – Chcę, abyście zdali sobie z tego sprawę. Ale nie mógłbym ukarać go za popełnione zbrodnie bez podzielenia obozu i, co za tym idzie, podważenia autorytetu Tris. W ten sposób Tris i pozostałe kobiety mają swój odwet, nie stojąc w obliczu wrogości połowy mężczyzn. Ręce komendanta są czyste, a sprawa, która po wyjściu na zewnątrz stałaby się przyczyną sporów, została rozwiązana. Poza tym, dla wielu stanowiło to ostrzeżenie, którego nie mogą zlekceważyć. Działanie na wielu płaszczyznach.

Twarz Olivera niczego nie wyrażała. Po chwili milczenia powiedział:

– Masz nikczemne metody walki, Bracie.

– Nie stać mnie na to, aby przegrać. – Miles rzucił mu posępne spojrzenie. – A ciebie?

Oliver zacisnął usta.

– Nie.

Tris nie odezwała się ani słowem.

Miles osobiście dopilnował, aby wszyscy niezdolni do samodzielnego odebrania prowiantu, chorzy, słabi bądź pobici otrzymali przynależne im porcje.

Pułkownik Tremont leżał zwinięty na swojej macie, patrząc w przestrzeń nieruchomymi oczami. Oliver przyklęknął i zamknął wyschnięte powieki. Pułkownik mógł umrzeć w każdym momencie w ciągu ostatnich kilku godzin.

– Tak mi przykro – powiedział szczerze Miles. – Przepraszam, że przyszedłem tak późno.

– Cóż... – odrzekł Oliver. – Co zrobić... – Wstał skubiąc wargę, potrząsnął głową i nie powiedział nic więcej. Miles, Suegar oraz Tris i Beatrice pomogli mu przenieść ciało, matę, odzież i kubek na stertę śmieci. Oliver wepchnął rację zachowaną dla pułkownika pod jego lewe ramię. Po ich odejściu nikt nie odważył się ograbić zwłok, mimo iż obok leżało inne sztywniejące ciało ogołocone ze wszystkiego.

Wkrótce potem natrafili na ciało Pitta. Przyczyną śmierci było najprawdopodobniej uduszenie, jednak twarz była tak posiniaczona, że nie mogli mieć co do tego absolutnej pewności.

Tris przykucnęła obok i popatrzyła na Milesa.

– Myślę, że nie myliłeś się co do władzy, człowieczku.

– A co do odwetu?

– Sądziłam, że nigdy nie miałabym tego dosyć – westchnęła, spoglądając na ciało. – Tak, co do tego również.

– Dziękuję. – Miles trącił ciało czubkiem palca. – Aby nie było wątpliwości, to jest nasza strata.

Polecił Suegarowi, by kto inny zaciągnął je na stertę śmieci.

Wkrótce po tym Miles zarządził naradę wojenną. Żałobnicy Tremonta, których zaczął już



traktować jako swoją naczelną załogę oraz czterestu dowódców oddziałów zebrało się wokół niego w pobliżu granic obozowiska kobiet. Miles spacerował przed nimi tam i z powrotem, żywo gestykułując.

– Pochwała należy się dowódcom grup, no i sierżantowi Oliverowi, ponieważ ich wybrał. Dokonaliśmy tego, przez co zyskaliśmy nie tylko posłuszeństwo większości, ale i zyskaliśmy na czasie. Teraz każde następne rozdanie prowiantu pójdzie łatwiej i sprawniej, będąc przygotowaniem dla kolejnego.

To nie jest nic innego, jak tylko ćwiczenie wojskowe. Ponownie prowadzimy wojnę. Już naruszyliśmy ową starannie wypracowaną strategię Cetagandan i wymusiliśmy na nich kontrofensywę. Podjęliśmy działanie. Oni zareagowali. Chociaż może się to wam wydać dziwne, pierwszy punkt należy do nas.

Teraz zastanówmy się nad następnym posunięciem. Pomyślcie, jaka może być ich kolejna prowokacja? Szczerze mówiąc, macie po prostu myśleć, i tyle. To wszystko, co miałem do powiedzenia. Oddaję głos komendant Tris. – Miles zmusił się, aby usiąść, zwalniając pole dla wybranej, bez względu na to, czy tego chciała, czy nie. Przypomniał sobie, że Tris była oficerem polowym, a nie sztabowym; potrzebowała praktyki bardziej niż on.

– Oczywiście mogą przysłać mniejsze sterty – kiedyś już tak zrobili – zaczęła, chrząkając. – Co oczywiście doprowadziło do konfliktu. – Podchwyciła spojrzenie Milesa, który zachęcająco skinął głową. – To by oznaczało, że będziemy musieli prowadzić ścisły rozrachunek dzielonych racji, aby nikt nie był pokrzywdzony. Każdy dowódca musi wyznaczyć kwatermistrza i księgowych, by sprawdzali jego wyliczenia.

– Równie niebezpiecznym posunięciem, które mogliby zastosować Cetagandanie – nie wytrzymał Miles – byłoby przysłanie nadwyżki prowiantu, przez co trzeba by się nagłowić, jak ją sprawiedliwie rozdzielić. Na twoim miejscu również to wziąłbym pod uwagę. – Posłał jej nieznaczny uśmiech.

Uniosła brew.

– Mogą też – podjęła – podzielić stertę, utrudniając nam przejęcie jej i kontrolę dystrybucji. Czy cokolwiek jeszcze przychodzi wam do głowy? – Mimowolnie zerknęła na Milesa.

Jeden z dowódców oddziałów z wahaniem podniósł rękę.

– Proszę pani, przecież oni nas słyszą. Czy nie ułatwiamy im zadania?

Miles powstał, aby wyraźnie i głośno odpowiedzieć na to pytanie.

– Oczywiście, że nas słyszą. Niewątpliwie przyciągnęliśmy uwagę. – Zrobił brzydki gest w stronę kopuły. – No i dobrze. Każde z ich posunięć jest dla nas informacją z zewnątrz, cieniem określającym ich kształt, informacją na ich temat. Czekamy na to.

– A jeśli – powiedział z jeszcze większym wahaniem inny dowódca – znowu odetną nam dopływ powietrza? Na stałe?

– Wówczas – odparł natychmiast Miles – utracą swoją z takim trudem zdobytą pozycję w MKS, która ich wiele kosztowała. Ostatnimi czasy sieją sporo propagandy, szczególnie od momentu, kiedy nasza strona, stojąc w obliczu trudnej sytuacji w ojczyźnie, nie była w stanie utrzymać w szyku własnych wojsk, nie wspominając o wziętych do niewoli Cetagandanach. Ci ostatni, którzy publicznie twierdzą, iż dzielą z nami swój rząd imperialny wyłącznie przez wspaniałomyślność, nie kryją, że jest to oznaka ich wyższej cywilizacji i dobrych manier.

Ostatnie słowa przyjęto seria gwizdów i pohukiwań. Miles uśmiechnął się i mówił dalej.

– Śmiertelność w tym obozie jest tak nieprawdopodobna, że przyciągnęło to uwagę Komisji. Jak na razie w trakcie trzech inspekcji Cetagandanie dostarczyli zadowalających wyjaśnień, ale sto

procent to dużo, nawet jak na nich. – Ze strony słuchaczy dały się słyszeć potakiwania i odgłosy tłumionego gniewu.

Miles usiadł. Oliver pochylił się ku niemu i wyszeptał:

– Skąd zdołałeś uzyskać takie wiadomości?

Na twarzy Milesa pojawił się uśmiezek.

– Brzmiały przekonująco? To świetnie.

Wstrząśnięty Oliver wrócił na swoje miejsce.

– Nie masz żadnych zahamowań, co?

– Nie w walce.

Następne dwie godziny Tris wraz z dowódcami spędziła na analizowaniu różnych możliwości zachowań Cetagandan oraz ewentualnych na nie reakcji taktycznych. Skończywszy, dowódcy i Oliver udali się, by udzielić wybranym podwładnym stosownych wskazówek.

Tris przystanęła obok Milesa, który w trakcie drugiej godziny obrad uległ grawitacji i leżał teraz, bez wyrazu wpatrując się w kopułę. Mrugał intensywnie, starając się na siłę powstrzymać opadające powieki. Przed przybyciem tutaj nie spał półtora dnia. Nie był pewien, ile czasu minęło od tamtej pory.

– Przyszła mi do głowy jeszcze jedna możliwość – powiedziała Tris. – Co pocniemy, jeżeli z ich strony nie nastąpi żaden odzew? Jeśli nie zrobią nic, nic nie zmieniają?

Miles uśmiechnął się sennie.

– Bardzo prawdopodobne. Sądzę, że próba oszustwa ostatnim razem, to zwyczajne potknięcie.

– Jednak jak długo możemy udawać, że jesteśmy armią wobec braku wroga? – nie ustępowała. – Dla tego celu dzwignąłeś nas z błota. A jeśli się nie powiedzie, co wtedy?

Tonąc w dziwnych i bezkształtnych myślach, rozkojarzony wizją wysokiej agresywnej kobiety o rudych włosach, Miles ułożył się na boku. Ziewnął.

– Wtedy będziemy modlić się o cud. Przypomnij mi, abyśmy przedyskutowali cuda... później...

Ocknął się na wpół, kiedy ktoś wpychał pod niego matę. Obdarzył Beatrice sennym uśmiechem.

– Dureń – burknęła, szturchając go. – Tylko sobie nie myśl, że to był mój pomysł.

– Widzisz, Suegarze – mruknął Miles. – Ona chyba mnie lubi. – Po czym powrócił w objęcia Beatrice ze swojego snu.

Ku rozpaczyc Milesa, jego przepowiednia okazała się prawdziwa. Cetagandanie powrócili do rutynowego dostarczania prowiantu, obojętni na zachodzące wewnątrz obozu zmiany. Co prawda stworzyło to okazję, aby dopracować system dystrybucji. Jednak kopuła odwróciła ich uwagę na zewnątrz, ponownie przypomniawszy o wrogu i przede wszystkim przerwała paraliżującą nudę ich więziennego życia. Na dłuższą metę obawy Tris musiały znaleźć potwierdzenie w rzeczywistości.

– Nienawidzę wroga, który nie popełnia błędów – mruknął z irytacją Miles, po czym skierował swoje wysiłki na sprawy podlegające jego bezpośredniej kontroli.

Nakazał powolnemu więźniowi położyć się na piasku i mierzyć puls i sam zaczął odmierzać czas dystrybucji, po czym przystąpił do działań nad jego redukcją.

– To ćwiczenie duchowe – oświadczył z chwilą gdy czternastu kwatermistrzów zaczęło rozdawać racje po dwieście na raz, z trzydziestominutowymi przerwami między każdą z grup.

– Sęk tkwi w zmianie tempa – wyjaśnił stojącej z boku Tris. – Jeżeli nie możemy nakłonić Cetagandan do wprowadzenia urozmaiceń, będziemy zmuszeni zrobić to sami. – Nareszcie otrzymał pełen spis żyjących więźniów. Wszędzie go było pełno, napominał, popędzał, popychał i powstrzymywał.

– Jeśli naprawdę tak ci się spieszy, utwórz więcej krwawiących stert – ironizował Oliver.

– Nie bluźnij – odparł Miles i wrócił do swoich zajęć. Nakłaniał właśnie grupy do przewiezienia ich racji do stert rozmieszczonych równomiernie wzdłuż średnicy.

Przy dziewiętnastym sygnale od swego przybycia do obozu Miles ocenił system dystrybucji jako kompletny i teologicznie poprawny. Przyjąwszy, że dwa sygnały stanowiły „dzień”, przebywał tu dziewięć dni.

– Skończyłem – uświadomił sobie nagle – a tutaj jeszcze zbyt wcześnie.

– Ronisz łyzy, bo nie masz więcej światów do podbicia? – zapytała Tris z sarkastycznym uśmiechem.

Przy trzydziestym drugim sygnale system nadal funkcjonował bez zarzutu, jednak Miles zaczął poważnie się niecierpliwić.

– Witamy na pokładzie. Czekają nas długi lot – powiedziała sucho Beatrice. – Im prędzej się z tym pogodzisz, tym lepiej, Bracie. Jeśli to, co mówi Tris jest prawdą, spędzimy tu więcej czasu, i to przez ciebie. Będę musiała pamiętać, aby kiedyś odpowiednio ci za to podziękować. – Uśmiechnęła się złowroźnie, na co Miles przypomniał sobie, że ma pilną sprawę w drugiej części obozu.

Ona ma rację, pomyślał desperacko. Większość więźniów liczyła swoją obecność tutaj nie w dniach i tygodniach, lecz w miesiącach i latach. A on dostawał obłądu po czasie, który dla większości z nich był zaledwie westchnieniem. Zastanowił się ponuro, jaką formę przybierze jego szaleństwo. Czy będzie to obsesja wywołana nieustannie podsycanymi złudzeniami, jak na przykład u Zdobywcy Komarru? Czy raczej depresja, ucieczka w siebie aż do całkowitego zatracenia, jak u Tremonta?

Cuda. Historia знаła przywódców, którzy źle obliczyli czas decydującego starcia i powiedli swoje wojska, by na szczycie góry czekać na apoteozę, co nigdy nie miała nadejść. Ich późniejsze życie wypełnione było samotnością i alkoholem. Tutaj nie było nic do picia. Miles miał ochotę na sześć podwójnych, dokładnie teraz.

Teraz. Teraz. Teraz.

Częściowo dla inspekcji, czy też jej pozorów, częściowo, aby pozbyć się zgromadzonej w nim niezdrowej energii, Miles zaczął po każdym sygnale robić obchód wzdłuż obwodu kopuły. Coraz trudniej przychodziło mu zasnąć. Po udanym wprowadzeniu i udoskonaleniu dystrybucji w obozie zapanował okres spokoju, jak gdyby ich zarządzenia stanowiły kryształ zanurzony w supernasyconym roztworze. Jednak w ciągu ostatnich dni miało miejsce kilka bójek, stłumionych przez grupę porządkowych. Sami porządkowi skorzy byli do stosowania przemocy i demonstrowania niesmacznej buńczuczności. Fazy księżyca. Któż mógł z nimi wygrać?

– Wolniej, Milesie – poprosił Suegar, który musiał biec, aby dotrzymać mu kroku.

– Przepraszam. – Miles zwolnił i otrząsnął się z zamyślenia. Po jego lewej ręce wznosiła się połyskliwa kopuła, która zdawała się pulsować w rytm nieustannego nucenia, będącego poza zasięgiem jego słuchu. Po prawej stronie panował spokój, ludzie przeważnie siedzieli grupkami na ziemi. Niewiele widocznych zmian od czasu jego przybycia. Może odrobinę mniej napięcia, więcej uwagi poświęcanej chorym bądź rannym. Fazy księżyca. Odsunął swój niepokój i uśmiechnął się do Suegara.

– I co, wykazują ostatnimi czasy większe zainteresowanie twoimi kazaniami? – zapytał.

– Przynajmniej nikt już nie próbuje mnie obić – odrzekł Suegar. – Poza tym nie miałem na to zbyt wiele czasu, kiedy trzeba było zajmować się dystrybucją i w ogóle. No i teraz mamy porządkowych. Trudno powiedzieć.

– Masz zamiar próbować dalej?

– O, tak. Wiesz, widywałem miejsca gorsze niż to. Kiedyś, jako dzieciak trafiłem do obozu kopalnianego. No i odkryto złoża płomienno-żelaznego klejnotu. Dla odmiany, zamiast udziału jednej wielkiej firmy lub rządu, cały teren podzielono na setki małych działek, zwykle dwa metry kwadratowe. Mężczyźni kopali ręcznie, za pomocą rydli i kijów od miotły – duże rubiny są delikatne, no wiesz, kruszą się przy nieuważnym ruchu. Kopali dzień po dniu, w upalnych promieniach słońca. Wielu z nich miało na sobie mniej rzeczy niż my teraz. Wielu nie jadło ani tak dobrze, ani regularnie. Pracowali do upadłego. Więcej wypadków, więcej chorób niż tutaj. Bezustannie o coś toczyły się bójki.

Ale oni żyli myślą o przyszłości. Dokonywali niewyobrażalnych wysiłków dla nadziei, nikt ich do tego nie zmuszał. Byli ogarnięci obsesją. Byli – no, ty bardzo mi ich przypominasz. Nie daliby się zadowolić byle czym. W ciągu roku swoimi rydlami obrócili górę w próżnię. To było szalone. I cudowne.

To miejsce – Suegar rozejrzył się wokół – przeraża mnie. – Prawą ręką dotknął szmacianej bransolety. – Pożre twoją przyszłość, a ciebie pochłonie razem z nią – w gruncie rzeczy, śmierć to po prostu formalność. To miasto żywych trupów, miasto samobójców. Z chwilą, kiedy zaprzestanę swoich prób, połknie mnie.

Miles mruknął potakująco. Zbliżali się do miejsca, które Miles uważał za najdalszy punkt ich okręgu. Od terytorium kobiet, przy którego teraz-przenikalnych granicach umieścili swoje maty, dzielił ich cały obóz.

Dwóch nadchodzących z przeciwnej strony mężczyzn dołączyło do dwóch innych, ubranych w szare piżamy. Jakby od niechcienia, trzech następnych uniosło się z leżących po prawej stronie mat. Nie odwracając głowy, kątem oka dostrzegł ruch za swoimi plecami.

Zbliżająca się od przodu czwórka zatrzymała się kilka metrów przed nimi. Miles i Suegar przystanęli z wahaniem. Ubrani na szaro mężczyźni, wszyscy wyżsi od Milesa, nachmurzeni i pełni niemal namacalnego napięcia. Miles rozpoznał jednego z nich, byłego kompana Pitta. Nawet nie spuścił go z oka, aby rozejrzeć się za porządkowymi. Poza tym gotów był dać głowę, że jeden ze stojących przed nimi mężczyzn był porządkowym.

A najgorsze było to, że sytuacja wynikała z jego własnej winy, gdyż dopuścił, aby jego posunięcia stały się przewidywalną częścią codziennej rutyny. Głupia, niewybaczalna pomyłka amatora.

Porucznik Pitta postąpił do przodu i skubiąc wargę spoglądał na Milesa bez wyrazu. On coś knuje, uświadomił sobie Miles. Gdyby miał zamiar po prostu mnie stłuc, zrobiłby to bez większych wstępów. Obracał w palcach misternie spleciony z gałganów sznur. Chce go udusić... nie, tym razem nie szykowała się kolejna bijatyka. Tym razem w grę wchodziło zaplanowane morderstwo.

– Ty – powiedział porucznik Pitta ochryłym głosem. – Początkowo nie mogłem cię rozgryźć. Nie jesteś jednym z nas. Nigdy nie mogłeś być jednym z nas. Mutant... Sam podsunąłeś mi właściwy trop. Pitt nie był cetagandańskim szpiegiem. Ty nim jesteś! – I rzucił się do przodu.

Miles uskokzył, przytłoczony zarówno atakiem, jak i kłębiącymi mu się w głowie myślami. Czuł, że usunięcie Pitta w taki sposób pomimo swojej skuteczności było błędem. Fałszywe oskarżenie stanowiło obusieczną broń, równie niebezpieczną dla tego, kto je rzucił, jak i dla ofiary. Porucznik Pitta mógł myśleć, że jego oskarżenie miało swoje pokrycie w rzeczywistości. Miles zapoczątkował polowanie na czarownice. Sprawiedliwości stało się zadość, że to on miał paść jego pierwszą ofiarą, ale co będzie dalej? Nic dziwnego, że wróg nie dawał ostatnio znaku życia. Cetagandańscy obserwatorzy musieli w tej chwili śmiać się w kulak – popełniał błąd za błędem, a teraz miał zginać

jak robak z rąk innego robaka w tej robaczywej dziurze...

Pochwycono go; na oślepie wymierzył komuś kopniaka, ale uścisk zelżał zaledwie odrobinę. Obok niego Suegar wił się, kopał i rozpaczliwie wrzeszczał. Miał zasięg, lecz brakowało mu masy. Miles cierpiał na brak jednego i drugiego. Suegar zdołał na chwilę odciągnąć napastnika od Milesa.

Jego wymierzone właśnie do ciosu lewe ramię pochwycono od tyłu i unieruchomiono. Miles ścierpł, spodziewając się znajomego trzasku łamanych kości. Zamiast tego jednak napastnik zdarł z nadgarstka Suegara szmacianą bransoletę.

– Hej, Suegarze! – zawołał mężczyzna, odskakując do tyłu. – Popatrz, co tu mam!

Zapominając o Milesie, Suegar desperacko odwrócił głowę. Mężczyzna wyłuskał spomiędzy szmat wymięty kawałek papieru i wymachiwał nim w powietrzu. Suegar wydał pełen rozpachy okrzyk i rzucił się w jego kierunku, ale powstrzymało go dwóch innych. Mężczyzna rozdarł papier na pół, po czym jak gdyby zastanawiając się, co z nim zrobić, wepchnął go do ust i zaczął żuć. Suegar krzyknął.

– Cholera – wrzasnął ze złością Miles – to przecież mnie chcieliście! Nie musiałyście tego robić. – Z całej siły uderzył pięścią w uśmiechniętą twarz najbliższego napastnika, który zapatrzył się na widowisko.

Poczuł, jak od strony nadgarstka kruszą się w nim wszystkie kości. Miał ich już tak dosyć, dosyć wiecznego cierpienia i bólu...

Suegar krzyczał, płakał i usiłował dosięgnąć mężczyznę, który stał żując z uśmiechem przylepionym do warg. Całkowicie utracił kontrolę i na oślepie wymachiwał rękami. Miles ujrzał, jak pada na ziemię, i w tym momencie poczuł uścisk sznura na swojej szyi. Zdołał wepchnąć rękę między sznur a gardło, ale przypadkiem była to właśnie złamana ręka. Przez całe ramię przypłynął straszny ból. Ciśnienie w głowie sięgnęło szczytu, przyćmiewając mu wzrok. Przed oczami latały mu purpurowe i żółte plamy. Resztką świadomości dostrzegł mignięcie rudych włosów...

Znalazł się na ziemi. Czuł, jak zalewa go fala ciepła i bólu. Leżał przez chwilę, nie myśląc o niczym. Jak dobrze byłoby nie musieć wcale się podnosić...

Obrzydliwa kopuła, zimna, biała i monotonna urągała jego powracającej świadomości. Miles dźwignął się na kolana i rozejrzał nieprzytomnie. Beatrice, kilku porządkowych i towarzysze Olivera ścigali po obozie niedoszłych zamachowców. Miles przypuszczalnie na chwilę utracił przytomność. Suegar leżał na ziemi kilka metrów dalej.

Miles doczołgał się do niego. Pozieleniały na twarzy mężczyzna zwinął się w kłębek, jego ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze. Niedobrze. Doznał szoku. Zapewnić pacjentowi ciepło i zaaplikować środek wzmacniający. Tyle że środka wzmacniającego brak. Miles niezgrabnie ściągnął z siebie tunikę i narzucił na Suegara.

– Suegarze? Nic ci nie jest? Beatrice ich przegoniła...

Suegar popatrzył na niego i uśmiechnął się, po czym ponownie zapadł w letarg.

Wreszcie powróciła zdyszana Beatrice.

– Wy głupki – powitała ich beznamiętnie. – Wam nie trzeba ochroniarza, ale opiekunki. – Uklękła obok Milesa, by z bliska spojrzeć na Suegara. Jej usta zacisnęły się w białą kreskę. Pociemniałymi oczami popatrzyła na Milesa, a zmarszczka na jej czole pogłębiła się.

Zmieniłem zdanie, pomyślał Miles. Nie dopuść do tego, aby zaczęło ci na kimś zależeć, Beatrice, ani na mnie, ani na kimkolwiek innym. Skrzywdzą cię. I będą to robić raz po raz...

– Lepiej wróćcie do mojej grupy – powiedziała Beatrice.

– Suegar chyba nie może chodzić.

Beatrice owinęła go w matę i zaniósła do obozu. Milesowi za bardzo przypominało to ostatnią

wędrówkę Tremonta.

– Znajdź mu lekarza – polecił Miles.

Beatrice wróciła, ciągnąc za sobą starszą rozgniewaną kobietę.

– Ma pewnie jakieś uszkodzenia wewnętrzne – burknęła lekarka. – Gdybym miała odpowiedni przyrząd, wtedy mogłabym dać dokładniejszą diagnozę. Macie taki przyrząd? On potrzebuje środka wzmacniającego i plazmy. Macie to? Mogłabym go pociąć i skleić do kupy, a następnie przyspieszyć gojenie elektrostymulatorem, byleby tylko była tu sala operacyjna. Macie salę operacyjną? Wątpię.

Nie patrzcie na mnie tak. Kiedyś myślałam, że jestem uzdrowicielką. Dopiero tutaj pojęłam, iż nie byłam niczym innym, jak tylko spoiwem między technologią a pacjentem. Teraz technologii nie ma i jestem po prostu niczym.

– Ale co my możemy zrobić? – zapytał Miles.

– Okryjcie go. W ciągu kilku następnych dni albo wy dobrzeje albo umrze, w zależności od tego, jakich doznał urazów. I tyle. – Zamilkła, mierząc Suegara nienawistnym spojrzeniem, tak jakby jego dolegliwości stanowiły dla niej osobistą obrazę. Może i tak właśnie było; kolejny dowód na jej bezsilność, rujnący osiągniętą dzięki wielu wysiłkom dumę z bycia lekarzem. – Zresztą myślę, że on umrze – dorzuciła.

– Ja też tak myślę – powiedział Miles.

– No to po co mnie wzywaliście? – I poszła.

Po jakimś czasie wróciła, niosąc matę i kilka dodatkowych okryć. Pomogła owinać nimi Suegara dla lepszej izolacji i ponownie się oddaliła.

Nadeszła Tris.

– Schwytaliśmy tych, co próbowali cię zabić. Co masz zamiar z nimi zrobić?

– Niech sobie idą – odparł ze zmęczeniem Miles. – Nie są naszymi wrogami.

– Jak to nie?!

– Nie moimi, w każdym bądź razie. Zwyczajnie pomylono tożsamość. Jestem po prostu wędrowcem, który tędy przechodził.

– Obudź się, człowieczku. Jakoś nie wierzę w przekonanie Olivera o twoim „cudzie”. Nie przechodzisz tędy. To ostatni przystanek.

Miles westchnął.

– Zaczynam myśleć, że masz rację. – Popatrzył na Suegara i wsłuchał się w jego płytki i przyspieszony oddech. – Prawie na pewno masz rację. Jednak bez względu na to – wypuść ich.

– Dlaczego? – jęknęła z oburzeniem.

– Bo tak każe. Bo o to cię proszę. Chcesz, żebym zaczął błagać?

– Nie. Niech ci będzie! – Odeszła, przesuwając ręką po wystrzyżonych włosach i mamrocząc coś pod nosem.

Ponadczasowy czas mijał. Suegar w dalszym ciągu leżał bez słowa. Co rusz otwierał oczy, by spojrzeć na coś niewidzącym spojrzeniem. Miles zwilżał jego usta wodą. Dystrybucja odbyła się jak zwykle, bez żadnych zamieszek ani udziału Milesa; przyszła Beatrice i położyła obok nich dwie racje. Popatrzyła na nich z dezaprobatą i poszła. Miles unieruchomił zranioną rękę i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, usiłując dociec przyczyn obecnego stanu rzeczy. Rozważył swoją zdolność do wpędzania przyjaciół w tarapaty, które kończyły się ich śmiercią. Miał przeczucie, że śmierć Suegara będzie równie bolesna, jak śmierć sierżanta Bothariego sześć lat wcześniej, a przecież znał Suegara zaledwie od tygodni, nie lat. Powtarzający się ból, o czym zdążył się już przekonać, zwiększał lęk przed kolejną raną, a nie zmniejszał. Rosnący, szarpiący wewnętrznego lęk. Byle nie znowu, byle już nigdy...

Położył się i wpatrzył w kopułę; białe, nieruchome oko martwego boga. A może więcej spośród przyjaciół przypłaciło życiem jego megalomańskie zapędy? Właśnie w tym tkwił zamysł Cetagandan: zostawić go tutaj na pastwę nieświadomości, pozwalając, by pogłębiające się zwątpienie i strach stopniowo doprowadziły go do obłądu.

Stopniowo? Oko boga mrugnęło.

W odpowiedzi Miles zamrugał nerwowo. Otworzył szeroko oczy i wlepił w kopułę badawcze spojrzenie, jakby chciał przeszyć ją na wylot. Czy naprawdę mrugnęła? Czy po prostu mu się zdawało? A może już zupełnie oszalał?

Mrugnęła raz jeszcze. Miles skoczył na równe nogi, nie mogąc złapać tchu.

Kopuła rozwarła się. W jednej chwili do wnętrza wtargnęła mglista i wilgotna noc planetarna, siejąc podmuchy zimnego wiatru. Niefiltrowane powietrze planety śmierdziało jak zgniłe jaja. Nieoczekiwana ciemność oślepiła.

– SYGNAŁ! – wrzasnął ile sił w płucach Miles.

Oślepiający wybuch bomby za stłoczonymi budynkami sprawił, że otchłań przeistoczyła się w chaos. Spoza chmury odłamków, która uniosła się ponad zgliszcza, dobywało się czerwone światło. Podobna seria wybuchów ogarnęła obóz, rozpraszając ciemność i ogłuszając obecnych. Krzyczący Miles nie był w stanie usłyszeć własnego głosu. Salwa ognia zabarwiła chmury kolorowymi światłami.

Obok niego przemknęła na wpół oślepią Tris. Miles chwycił ją za ramię zdrową ręką i stanąwszy na palcach przyciągnął jej szyję, by mogła go usłyszeć.

– Nareszcie! Zbierz czternastu dowódców i każ, aby przyszykowali swoich dwustu ludzi. Niech czekają wzdłuż obwodu. Znajdź Olivera, trzeba aby porządkowi trzymali resztę czekającą na swoją kolej w ustalonym porządku. Jeżeli wszystko potoczy się, jak planowaliśmy, wyjdziemy stąd. Mam nadzieję. Ale jeżeli zrzucą czółna, jak zrzucali stertę, nic z tego. Rozumiesz?

– Nigdy nie dowierzałam – nie myślałam – czółna?

– Nie musisz myśleć. Ćwiczyliśmy to setki razy. Po prostu trzymaj się procedury sygnału. Pamiętaj!

– Ty mały podstępny draniu! – Pożegnalny gest bardzo przypominał salut.

Niebo nad obozem rozdarła kaskada świateł i niczym następujące raz za razem błyskawice oblała podłoże upiornym blaskiem. Obóz wyglądał jak zniszczony kopiec termitów. Wśród krzyków i ogólnego zamieszania mężczyźni i kobiety rozproszyli się bezładnie po całej okolicy. Nie był to obraz ładu i porządku, na który czekał Miles. Dlaczego, na przykład, jego ludzie zdecydowali się przeprowadzić akcję w nocy zamiast w dzień? Zgani ich za to później, kiedy już skończy w podzięce całować im stopy.

– Beatrice! – przywołał ją Miles. – Zaczynaj wydawać komendy! Odbywamy ćwiczenia sygnałowe. Z tym, że zamiast racji każdy otrzymuje miejsce w czółnie. Upewnij się, że to zrozumieli – nie pozwól nikomu uciec, bo przegapią odlot. Potem wróć tutaj i zostań przy Suegarze. Nie chcę, aby się zgubił, albo żeby go podeptano. Zrozumiano, Strażniku?

– Nie jestem cholernym psem. Jakie znowu czółna? Naraz wśród hałasu rozbrzmiał dźwięk, na który z takim upragnieniem czekał Miles; wysokie, narastające buczenie.

Spłynęły w dół z obrzeżonych purpurą chmur jak gigantyczne trzmielce, opancerzone, skrzydlate i prostujące odnóża, by osiąść na ziemi. W pełni uzbrojone czółna bojowe, dwa, trzy, sześć... siedem, osiem... Miles liczył, bezgłośnie poruszając ustami. Trzyście, czterysta, o Boże. Zdołali na czas dobyć ze składu #B-7.

Miles wskazał.

– Moje czółna.

Beatrice stała z otwartymi ustami i patrzyła w górę.

– Mój Boże. Są piękne. – Prawie widział, jak jej myśli wędrują ku górze. – Ale nie są nasze.

Ani cetagandańskie. Kto u licha...?

Miles skłonił się.

– Pomoc opłacona z dotacji rządowych.

– Najemnicy?

– Nie jesteśmy stonogą, którą mogłabyś znaleźć w swoim śpiworze. Odpowiedni ton, to Najemnicy! – z okrzykiem radości.

– Ale – ale – ale -

– Idźże wreszcie. Później będziesz się wyklócać.

Wyrzuciła w górę ręce i pobiegła.

Miles zaczął zaczepiać przechodzących, przekazując im rozkaz dnia. Spotkał jednego z wysokich towarzyszy Olivera i zażądał, by ten podniósł go do góry. Wystarczył jeden rzut oka dokoła, by stwierdzić, że wzdłuż obwodu formuje się czternaście oddziałów w niemal doskonałym porządku. Czółna wirowały wśród wycia silników, po czym jedno po drugim opadły na ziemię.

– Będzie musiało wystarczyć – mruknął do siebie Miles. Klepnął mężczyznę w ramię. – Na dół.

Zmusił się, aby spokojnie podejść bliżej. Ostatnie trzy, cztery? tygodnie poświęcił na to, by uniknąć sytuacji, że wszyscy hurmem rzucą się w kierunku czółen, nie bacząc na innych.

Na rampie pojawił się kwartet w pełni uzbrojonych żołnierzy, którzy przyjęli pozycje strażników. Dobrze. Nawet broń mieli wymierzoną w odpowiednim kierunku, czyli na więźniów, których przybyli ratować. Większy patrol, umykając przed osłaniającą salwą własnych oddziałów, zanurkował w ciemność do miejsca, gdzie znajdowały się cetagandańskie instalacje zabezpieczające kopułę. Trudno było osądzić, która strona niosła największe niebezpieczeństwo – dzięki nieustannie podtrzymywanym fajerwerkom jego czółna bojowe skutecznie kierowały uwagę Cetagandan na boczne tory.

Na końcu wyszedł oficer łączności, człowiek, którego ten najbardziej pragnął ujrzeć.

– Poruczniku, uch – chwilę potrwało, nim skojarzył twarz z nazwiskiem – Murka! Tutaj!

Murka zauważył go. Podekscytowany dopadł swojego sprzętu i krzyknął w nadajnik:

– Komandorze Tung! On tutaj jest. Mam go!

Miles bezlitośnie ściągnął słuchawki z uszu porucznika, który posłusznie pochylił głowę, aby ułatwić mu tę kradzież, i lewą ręką wcisnął je na własną głowę akurat, by usłyszeć odpowiedź Tunga.

– No więc, na miłość boską, tylko go znowu nie zgub, Murka. Jeśli będzie trzeba, to na nim usiądź.

– Chcę moją załogę – krzyknął w słuchawkę Miles. – Czy odbiliście już Elli i Elenę? Ile mamy na to czasu?

– Tak jest, sir, nie i około dwóch godzin – przy odrobinie szczęścia – zabrzmiała natychmiastowa odpowiedź Tunga. – Miło mieć pana znów na pokładzie, admirale Naismith.

– Mnie to mówisz... Znajdźcie Elenę i Elli. To teraz najważniejsze.

– Rozkaz. Bez odbioru.

Miles odwrócił się, by ujrzeć, że dowódca grupy w tym sektorze zdołał uszykować swój pierwszy, składający się z dwustu żołnierzy oddział i teraz usiłował nakłonić pozostałych dwieście osób, by w spokoju usiadły, czekając na swoją kolej. Doskonale. Więźniowie stali rzędem przed wejściem na rampę. Podchodzili pojedynczo; najemnik rozcinał nożem tył ich tuniki. Drugi najemnik



znieczulał skórę na plecach paralizatorem medycznym. Trzeci bez ogródek usuwał skalpelem umieszczone pod skórą cyfry. Nie zadawał sobie trudu, by następnie zabandażować ranę.

– Przejdźcie do przodu i siadajcie po pięciu, przejdźcie do przodu i siadajcie po pięciu, przejdźcie do przodu... – recytował monotonicznie w rytm mechanicznych ruchów skalpela.

Spośród oślepiającego światła i cieni wyłonił się były adjutant Milesa, kapitan Thorne w towarzystwie jednego z chirurgów floty i – o radości – żołnierza niosącego odzież Milesa i jego buty. Miles sięgnął po buty, jednak uprzedziła go chirurg.

Przesunęła paralizatorem między odkrytymi, nierównymi łopatkami Milesa, po czym to samo zrobiła skalpelem.

– Boli! – krzyknął Miles. – Nie mogłaby pani odczekać jednej cholernej sekundy, aby znieczulenie zaczęło działać? – Ból raptownie przemienił się w zdrętwienie, podczas gdy Miles na oślep macał ręką w poszukiwaniu skaleczenia. – Po co to wszystko?

– Przepraszam, sir – odparła nieszczercze. – Proszę przestać, ma pan brudne palce. – Założyła plastikowy opatrunek. Przywileje były naturalną konsekwencją wysokiej rangi. – Dzięki monitorom w ich cetagandańskim więzieniu kapitan BothariJesek i komendant Quinn odkryły coś, o czym nie wiedzieliśmy w chwili pańskiego uwięzienia. Te kody zawierały substancję, której membrany lipidowe posiadały rację istnienia tylko w wytwarzanym przez kopułę polu magnetycznym o niskiej mocy. Godzina poza kopułą wystarczyłaby, aby membrany uległy zniszczeniu, uwalniając truciznę. Śmierć nastąpiłaby w ciągu następnych czterech godzin – bardzo nieprzyjemna śmierć. Przypuszczam, że chodziło o małe zabezpieczenie w razie ucieczki.

Miles zadrżał.

– Rozumiem – odparł słabo. Odchrząknął, dodając głośniejsze: – Kapitanie Thorne, proszę zanotować pochwałę – z najwyższymi honorami – dla komendant Elli Quinn i kapitan Eleny BothariJesek. Nasza służba wywiadowcza nic na ten temat nie doniosła. W gruncie rzeczy brakowało danych o wielu istotnych kwestiach. Porozmawiam o tym z nimi w czasie przedstawiania rachunku za tę rozszerzoną operację. Nim pani to odłoży, pani doktor, proszę znieczulić mi ramię. – Podstawił jej prawą rękę.

– Znowu pan to zrobił, co? – mruknęła. – Sądziłam, że już się pan nauczył... – Jeden ruch paralizatora i opuchnięta ręka Milesa przestała istnieć od nadgarstka w dół. Tylko jej widok upewniał go, że nadal stanowi część jego ramienia.

– No dobrze, ale czy zapłacą za tę rozszerzoną operację? – zapytał z niepokojem Thorne. – Zaczęło się od zwykłej pogoni za jakimś osobnikiem, robota w sam raz dla takich jak my – a teraz zaangażowana jest w to cała flota Dendarii. Na każdego z nas przypada dwóch cholernych więźniów. Nie na tym polegał oryginalny kontrakt. A co będzie, jeśli nasz tajemniczy pracodawca postanowi dać nam nauczkę?

– Na pewno nie – powiedział Miles. – Słowo. Niemniej nie ulega wątpliwości, że rachunek będę musiał dostarczyć osobiście.

– Zatem niechaj Bóg ich strzeże – mruknęła chirurg i przystąpiła do usuwania kodów z pleców czekających więźniów.

U boku Milesa pojawił się komandor Ky Tung, przysadzisty Euroazjata w średnim wieku z hełmem komunikacyjnym na głowie. Właśnie zatrzaśnięto włazy pierwszych wyładowanych więźniami czółen i te z wyciem zginęły w czarnych oparach. Znając zamięłowanie Tunga do ścisłych informacji, Miles stwierdził, że to czas stanowił podstawowy ograniczający ich faktor.

– Gdzie ich wszystkich pomieścimy? – zapytał Miles.

– Ogołociliśmy kilka zużytych frachtowców. Do każdego możemy wpakować około pięć tysięcy.

Podróż będzie szybka, ale dosyć nieprzyjemna. Będą musieli leżeć na podłodze, starając się nie oddychać.

– Jak wygląda sprawa obecnych możliwości pościgu?

– W tej chwili Cetagandanie dysponują zaledwie kilkoma czółnami policyjnymi. Większość lokalnego kontyngentu wojskowego przebywa po drugiej stronie ich słońca. Dlatego wybraliśmy właśnie ten moment... musieliśmy czekać, aż ponownie rozpoczną manewry ćwiczebne, w razie gdybyś zaczął się niepokoić, co nas powstrzymuje. Innymi słowy, obowiązywał ten sam scenariusz, który opracowaliśmy z myślą o odbiciu pułkownika Tremonta.

– Z wyjątkiem tego, że plan objął teraz uwolnienie 10 000 ludzi. No i czekają nas ile? cztery podniesienia? zamiast jednego – orzekł Miles.

– W porządku, ale posłuchaj tego – uśmiechnął się Tung. – Umieściliśmy obozy więzienne na tej nędznej odległej planecie w celu zmniejszenia wydatków na ochronę i wojska. Licząc na odległość od Marilac i toczącą się tam wojnę, myśleli, że unikną w ten sposób prób odbicia więźniów. Jednak od kiedy się tu znalazłeś, połowa stałego personelu wartowniczego została przeniesiona w inne zarazone konfliktem miejsca. Połowa!

– Nadmiernie polegali na kopule. – Miles przyjrzał mu się badawczo. – A złe wieści? – mruknął.

Tung posłał mu kwaśny uśmieszek.

– Mamy ni mniej, ni więcej tylko dwie godziny.

– O rany. Połowa ich lokalnej floty to w dalszym ciągu zbyt dużo. Wrócą tu w ciągu dwóch godzin?

– Dokładnie w ciągu godziny i czterdziestu minut. – Ruch oczu Tunga zdradził położenie holowidowego zegara w jego kasku.

Miles dokonał w myślach szybkiego rozrachunku i zniżył głos.

– Będziemy w stanie unieść ostatnią turę?

– To zależy od tego, ile czasu zabierze podniesienie pierwszych trzech – odpowiedział Tung. Jego spokojna twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Co z kolei zależy od tego, jak udało mi się ich wyszkolić... Niczego już odwrócić się nie da, a to co miało nastąpić, pozostawało nadal kwestią czasu. Miles zainteresował się najbardziej aktualnymi wydarzeniami.

– Znaleźliście już Elli i Elenę?

– Wysłałem na poszukiwania trzy patrole.

Jeszcze ich nie znalazł. Miles poczuł ściskanie w żołądku.

– Nie próbowałbym w połowie rozwijać tego przedsięwzięcia, gdybym nie wiedział, że mnie obserwują, przez co miały możliwość przekształcić ukryte wskazówki na rozkazy.

– Czy pojęły wszystko jak należy? – zapytał Tung. – Oglądając taśmy dyskutowaliśmy na temat niektórych interpretacji twoich podwójnych argumentów.

Miles rozejrzał się wokół.

– W porządku... mieliście to wszystko nagrane? – Ogarnął gestem obóz.

– Ciebie, w każdym bądź razie. Obraz prosto z monitorów cetagandańskich. Nadawali to codziennie. Bardzo, hm, zajmujące – dorzucił Tung.

Niektórych rozbawiłby widok polykaczy ślimaków, stwierdził Miles.

– Raczej powiedziałbym, że bardzo niebezpieczne... kiedy ostatnio mieliście z nimi łączność?

– Wczoraj. – Dłoń Tunga zacisnęła się na ramieniu Milesa, powstrzymując go przed natychmiastowym oddaleniem się. – Nie zdziałaś więcej niż moje trzy patrole, sir, a nie posiadam

ich więcej, by mogły szukać ciebie.

– Dobrze, dobrze. – Prawą pięścią Miles uderzył w lewą dłoń, zapominając, że nie był to najszczęśliwszy pomysł. Jego dwie współ-agentki, fundamentalne spoiwo między kopułą a flotą Dendarii, zaginęły. Cetagandanie bezwzględnie rozstrzelali szpiegów. Egzekucję zazwyczaj poprzedzało przesłuchanie, wobec którego śmierć była błogosławieństwem... Usiłował rozumować logicznie. Jeżeli zostały zdekonspirowane jako fałszywa obsługa cetagandańskich monitorów więziennych i poddano je przesłuchaniu, Tung przybywając tutaj zastałby piekło. Tak się jednak nie stało, a więc z tej strony nic im nie groziło. Oczywiście mogły przez przypadek znaleźć się pod przyjacielskim ostrzałem... Przyjaciele. Zbyt wielu spośród jego przyjaciół zagrożonych było utratą zmysłów w tej szalonej sytuacji.

– Ty. – Miles odebrał swoją odzież od czekającego żołnierza. – Idź tam – wskazał mu kierunek – odszukaj rudowłosą kobietę o imieniu Beatrice i rannego mężczyznę zwanego Suegar. Sprowadź ich tutaj. Nieś go ostrożnie, doznał urazów wewnętrznych.

Żołnierz zasalutował i odszedł. Jaka to przyjemność móc znowu wydawać rozkazy bez konieczności popierania ich teologicznym argumentem. Miles westchnął. Czające się na granicy pobudzanej adrenaliną nadświadomości znużenie czekało, by go pochłonąć. Wszystkie czynniki – czółna, niedobór czasu, groźba pojawienia się wroga, dystans dzielący ich od punktu uskokowego, kumulowały się w jego umyśle, tworząc wszelkie możliwe permutacje. Szczególnie dotkliwie doskwierała mu kwestia czasu. Jednak od samego początku świadomy był konsekwencji. Cud, który zdołali doprowadzić tak daleko. Nie – popatrzył na Tunga, potem na Thorna – żaden cud, po prostu godna podziwu inicjatywa i oddanie jego ludzi. Dobra robota, naprawdę dobra robota...

Thorne pomógł mu, kiedy jedną ręką usiłował się ubrać.

– Gdzie, u licha, jest mój kask? – zapytał Miles.

– Powiedziano nam, że jesteś ranny i wyczerpany. Mieliśmy niezwłocznie cię ewakuować.

– Co za niezwykła zdolność przewidywania... – Miles powstrzymał gniew. Nie ma czasu, by wysyłać kogoś na posyłki. Poza tym, gdyby miał kask, kuśliby go, aby wydawać rozkazy, a nie wdrożono go jeszcze w wewnętrzne szczegóły operacji z punktu widzenia floty. Przełknął swój status obserwatora bez dalszych komentarzy. I tak mógł czuwać nad wszystkim z boku.

Wrócił wysłannik Milesa, prowadząc Beatrice i czterech więźniów niosących na macie Suegara. Złożyli go u stóp Milesa.

– Dajcie tu mojego chirurga – polecił Miles. Żołnierz oddalił się posłusznie i po chwili wrócił w towarzystwie lekarki. Klękła obok na wpeł przytomnego Suegara i usunęła kod z jego pleców. Miles poczuł ulgę na znajomy dźwięk dozownika ze środkiem wzmacniającym.

– Bardzo źle? – zapytał.

– Niezbyt dobrze – przyznała sprawdzając odczyt na diagnozerze. – Pęknięcie śledziony, krwotok wewnętrzny – z tym niech lepiej od razu zapakują go na salę operacyjną, kiedy tylko znajdziemy się na statku. – Następnie zwróciła się do stojącego obok technika medycznego i udzieliła mu szczegółowych instrukcji. Ten zawinął Suegara w cienką folię izolacyjną.

– Dopilnuję, aby tam trafił – obiecał Miles. Z zazdrością pomyślał o folii; mgła przenikała go chłodem do szpiku kości.

Naraz Tung skierował całą swoją uwagę na przekazywaną mu przez słuchawki wiadomość. Miles, który oddał Murce jego sprzęt, przestępował z nogi na nogę, spragniony informacji. Elena, Elli, jeśli was zabiłem...

Tung odezwał się do nadajnika.

– Dobrze. Dobra robota. Zameldujcie się przy sekcji A7. – Ruchem podbródka zmienił kanał. –

Sim, Nout, wracajcie do bazy. Odnaleźli je.

Miles oparł ręce na kolanach, czekając aż ustanie szum w jego głowie, a bicie serca powróci do normalnego rytmu.

– Elli i Elena? Czy nic im nie jest?

– Nie wzywali lekarza... jesteś pewien, że sam go nie potrzebujesz? Jesteś zupełnie zielony.

– Nic mi nie jest. – Serce Milesa uspokoiło się i stanął prosto, napotykać pytające spojrzenie Beatrice.

– Beatrice, czy możesz przyprowadzić do mnie Tris i Olivera? Chciałbym z nimi pomówić, zanim odleci następne czółno.

Bezsilnie pokręciła głową i odeszła. Nie salutując. A zarazem nie kłócąc się, co nieoczekiwanie poprawiło mu nastrój.

Salwa wokół kopuły ustała, ustępując miejsca okazjonalnym wystrzałom z broni lekkiej, zawodzeniom ludzi i niewyraźnym komendom wydawanym przez megafon. W oddali płonęły ognie, rozpraszając pomarańczowym blaskiem otulającą okolicę mgłę. Nie była to chirurgicznie czysta operacja... wyobrażał sobie wściekłość Cetagandan w obliczu ofiar, jakie ponieśli. Pora ruszać, najwyższa pora. Próbował myśleć o zatrutych kodach cyfrowych, by wymazać z pamięci wizję cetagandańskich urzędników i obsługi technicznej uwięzionych w płonących budynkach, lecz obydwie koszmary zdawały się potęgować zamiast tłumić.

Nadeszli Tris i Oliver, oboje nieco oszołomieni. Beatrice stanęła u boku Tris.

– Moje gratulacje – zaczął Miles, nim zdążyli cokolwiek powiedzieć. Wiele pozostało jeszcze do zrobienia, a czas mijał. – Uzyskaliście armię. – Ruchem ręki objął ustawionych w szyku więźniów – byłych więźniów. Trzymając się ściśle wyznaczonych im grup czekali spokojnie na swoją kolej, większość siedziała na piasku. Chociaż może to Cetagandanie zaszczepili im tę cierpliwość? Nieważne.

– Chwilowo – odparła Tris. – Sądzę, że ta cisza nie potrwa długo. Coś pójdzie nie tak, stracisz jedno lub więcej czółen, ktoś wpadnie w panikę i ta udzieli się pozostałym..

– Powiedz tym najbardziej skłonny do paniki, że mogą jechać ze mną, o ile to ma sprawić, że poczują się lepiej. Aha, powiedz też, że ja jadę w ostatniej turze – dodał Miles.

Na jego ostatnie słowa, Tung, dzielący uwagę pomiędzy tę rozmowę a płynące z nadajnika informacje skrzywił się z irytacją.

– To ich uspokoi – powiedział Oliver.

– A w każdym razie da im do myślenia – uzupełniła Tris.

– Teraz ja dam wam coś do myślenia. Nowy opór Marilac. Wy nim jesteście – powiedział Miles. – Moje pierwotne zadanie polegało na uratowaniu pułkownika Tremonta, tak aby mógł utworzyć nową armię i podjąć walkę. Kiedy go znalazłem.. umierał. Musiałem zdecydować, czy ściśle wypełnić warunki kontraktu i dostarczyć zwłoki, czy też raczej przekazać jego domniemaną ostatnią wolę w postaci armii. Wybrałem to drugie, i wybrałem was. Wy musicie dokończyć jego dzieła.

– Byłam tylko porucznikiem polowym – odrzekła ze zgrozą Tris, na co Oliver równocześnie dodał: – Jestem prostakiem, gdzie mi do oficera kadrowego. Pułkownik Tremont był geniuszem..

– Teraz wy jesteście jego spadkobiercami. Ja to mówię. Rozejrzyjcie się. Czy popełniłem błąd w doborze swoich podwładnych?

Zapadła cisza, po czym Tris mruknęła:

– Nie wygląda na to.

– Starannie dobierzcie załogę. Znajdźcie geniuszów taktycznych, czarodziei od techniki i

nakłońcie do współpracy. Ale w kwestii energii, decyzji i obierania kierunku polegajcie wyłącznie na sobie, muszą pochodzić od was samych. To wy będziecie pamiętać to miejsce, pamiętajcie co robicie i dlaczego, zawsze.

Oliver odezwał się cicho.

– A gdzie wyszkolimy tę nową armię, Bracie? Mój czas zakończył się podczas oblężenia Fallow Core. Gdybym był gdzie indziej, wróciłbym do domu.

– Dopóki oddziały cetagandańskie nie zaczęłyby plądrować ulic w twoim mieście.

– Nawet wtedy. Spekulacje to niedobra rzecz.

– Swego czasu spekulacje dla Barrayaru były jeszcze gorsze, a jednak dzięki nim udało się wypędzić Cetagandan. Trwało to dwadzieścia lat i pochłonęło więcej ofiar niż razem wzięci widzieliście w życiu, ale udało się – powiedział z naciskiem Miles.

Oliver zdawał się być pod wrażeniem bardziej niż Tris, która powiedziała sceptycznie:

– Barrayar miał tych swoich szalonych Vorów. Obląkańców, którzy podstawiali się pod kule, którzy kochali umierać. Tradycja na Marilac jest nieco inna. Jesteśmy cywilizowani – czy raczej byliśmy, kiedyś...

– Pozwól, że powiem ci co nieco na temat barrayarskich Vorów – przerwał jej Miles. – Szaleńcy, którzy szukali chwalebnej śmierci w walce, znaleźli ją bardzo szybko. To wyeliminowało konieczność komenderowania bandą głupców. Przetrwali ci, którzy nauczyli się podejmować nieczyste metody walki, nauczyli się żyć po to, by następnego dnia móc dalej walczyć, wygrywać, wygrywać i jeszcze raz wygrywać, i dla których nic, ani wygoda, ani bezpieczeństwo, ani rodzina bądź przyjaciele czy też nieśmiertelność duszy nie były ważniejsze od wygranej. Polegli to przegrani, jak sama nazwa na to wskazuje. Przetrawanie i zwycięstwo. Nie byli nadludźmi lub takimi, których ból się nie imał. Błądząc w ciemnościach i niepewności wylewali siódme poty. I nie posiadając nawet połowy tego, co posiada obecnie Marilac, wygrali. Kiedy jest się Vorem – Miles odrobinę złagodniał – nie można ustąpić pola.

Po chwili ciszy Tris powiedziała:

– Nawet ochotnicza armia patriotyczna musi coś jeść. A pustymi rękami Cetagandan nie pobijemy.

– Pomoc finansowa i militarna będzie wam dostarczona którąś z tajnych dróg przekazowych, nie przeze mnie. O ile powstanie, zostanie utworzony punkt dowodzenia waszego ruchu oporu, do którego można by ją dostarczyć.

Tris zmierzyła wzrokiem Olivera. Płonący w niej ogień zdawał się być bliżej powierzchni niż Miles kiedykolwiek zaobserwował. We mgle rozbrzmiało wycie pierwszych powracających czółen. Powiedziała łagodnie:

– A ja myślałam, że jestem ateistką, Sierzancie, a wy wierzycie. Idziecie ze mną, czy – ustępujecie pola?

Plecy Olivera przygarbiły się. Jednak nie pod wpływem ciężaru porażki, osądził Miles, lecz historii, bo płomień w jego oczach dorównywał temu w oczach Tris.

– Idę – mruknął.

Miles podchwycił spojrzenie Tunga.

– I jak tam?

Unosząc dłoń, Tung potrząsnął głową.

– Około dwóch minut opóźnienia, przy rozładowaniu na górze.

– No dobrze. – Miles z powrotem odwrócił się do Tris i Olivera. – Chcę, abyście oboje pojechali w tej turze, w osobnych czółnach, każde z jednym oddziałem. Kiedy tam dotrzecie, macie

nadzorować rozładunek. Porucznik Murka udzielił wam dokładnych wskazówek. Przywołał Murkę i wszyscy troje oddalili się.

Beatrice została.

– Jestem bliska paniki – powiedziała dalekim głosem do Milesa. Bosą stopą rysowała coś na wilgotnym piasku.

– Już nie potrzebuję ochroniarza – odparł. Uśmiechnął się. – Za to opiekunki, może...

Widoczny w jej oczach uśmiech nie sięgnął ust. Później, przyrzekł sobie Miles. Później sprawi, że i one się uśmiechną.

Druga tura czołen zaczęła powoli odrywać się od ziemi, mimo iż część powracająca z pierwszej dopiero lądowała. Miles miał nadzieję, że wszystkie czujniki funkcjonowały jak należy, co we mgle miało szczególne znaczenie. Mgła zmieniała się w srebrne igielki zimnego, bezlitośnie siąpiącego deszczu.

Punkt ciężkości operacji zawężał się gwałtownie, obejmując urządzenia, liczby i czas, mniej zaś lojalność, dusze czy poczucie obowiązku. Emocjonalnie niezrównoważony umysł uznałby to za niezłą zabawę, pomyślał Miles. Lewą ręką zaczął wypisywać na piasku wyniki, liczba ludzi na górze, na dole, w trakcie przewozu, ilu pozostało, ale piasek zamieniając się w błoto niszczył jego skrupulatne zapisy.

– Cholera – syknął naraz Tung przez zaciśnięte zęby. Jego twarz zajaśniała odbłaskiem pospiesznie drukowanych danych. Z wprawą przebiegł po nich wzrokiem. Zaciśnął pięści, jakby chciał zerwać z głowy kask i ze złością rzucić go na ziemię. – Już po nas. Straciliśmy dwa czołna z drugiej tury.

Które dwa? krzyknęło coś w umyśle Milesa. Oliver, Tris... Zmusił się, aby pierwszym pytaniem było – Jak to? Przysięgam, że jeśli zderzyły się ze sobą, będę tłukł głową w najbliższą ścianę aż zupełnie zwariuję...

– Cetagandański myśliwiec przedarł się przez nasz kordon. Zmierzał ku frachtowcom, ale zdążyli go uziemić. Prawie zdążyli.

– Wiesz już, które to czołna? Pełne czy wracające?

Bezgłośnie poruszając ustami Tung odczytał dane.

– A4, z pełnym ładunkiem. B7, wracała pusta. Całkowita strata, nikt nie ocalał. Myśliwiec 5 z „Triumph” unieszkodliwiony ogniem nieprzyjacielskim; pilot dochodzi do siebie.

Nie stracił swoich dowódców. Wybrani przez niego następcy pułkownika Tremonta byli bezpieczni. Otworzył zaciśnięte w pierwszej chwili oczy. Ujrzał czekającą z obawą Beatrice, dla której dane odnośnie czołen nie znaczyły nic.

– Dwieście ofiar? – szepnęła.

– Dwieście sześć – poprawił. Przez myśl przemknęły mu twarze, nazwiska i głosy sześciu znajomych Dendarian. Pozostałych dwustu również miało twarze. Odsunął od siebie tę myśl.

– Zdarza się – mruknęła w odrętwieniu Beatrice.

– Nic ci nie jest?

– Oczywiście, że nic mi nie jest. Takie rzeczy się zdarzają. Są nie do uniknięcia. Nie jestem płaksą, która z tego powodu będzie chować się w mysią dziurę. – Zamrugnęła gwałtownie, unosząc brodę. – Daj mi... coś do roboty. Cokolwiek.

I to szybko, uzupełnił za nią Miles. Dobrze. Wskazał ręką na obóz.

– Idź do Pela i Lianta. Podziel ich pozostałe oddziały na trzydziestotrzysobowe grupy i przydziel je do czekających na trzecią turę. Będziemy musieli nieco ją przeładować. Potem zamelduj się u mnie. Szybciej, teraz wszystko jest kwestią minut.

– Tak jest – zaszalutowała. Dla siebie, nie dla niego; rozkaz, układ, racjonalność – oto ustalony porządek. Odsalutował poważnie.

– Już były przeładowane – zaproponował Tung, jak tylko oddaliła się na tyle, że nie mogła ich słyszeć. – Będą lecieć jak cegły, z dwieście trzydziestoma trzema na pokładzie. Dłużej potrwa załadowanie i wyładowanie na górze.

– Tak. O Boże. – Miles zaprzestał bezsensownego rysowania na piasku. – Oblicz to za mnie na komputerze, Ky. W tym momencie nie ufam sobie na tyle, żeby dodać dwa do dwóch. Jak daleko będziemy, kiedy stawi się tu główny oddział Cetagandan? Postaraj się zrobić to jak najdokładniej, żadnej fuszerki, proszę.

Tung mamrocząc odczytywał dane. Miles z uwagą śledził jego słowa. Tung zakończył bez ogródek.

– Pod koniec ostatniej tury pięć członów nadal będzie czekało na rozładunek, podczas gdy my usmażymy się w ogniu Cetagandan.

Tysiąc mężczyzn i kobiet...

– Czy mogę zasugerować, sir, iż nadszedł czas, abyśmy zakończyli tę sprawę nim poniesiemy więcej ofiar? – dodał Tung.

– Bardzo proszę, komandorze.

– Opcja numer jeden, najbardziej skuteczna; ograniczyć się do siedmiu członów w ostatniej turze. Pięć ostatnich, wypełnionych więźniami, pozostawić na ziemi. Zostaną przejęte, ale przynajmniej ocaleją. – Tung usiłował, by jego głos brzmiał przekonywająco.

– Jest jeden problem, Ky. Ja nie mam zamiaru tutaj zostać.

– Przecież możesz być w ostatnim członie idącym w górę, dokładnie tak jak mówiłeś. Poza tym, sir, czy wyraziłem już swoją opinię na temat tego, co sędzę o podobnym demonstrowaniu swojego bohaterstwa?

– I to dosadnie, ruchem brwi kilka minut temu. Chociaż jestem skłonny tutaj się z tobą zgodzić, czy zauważyłeś, z jakim napięciem obserwują mnie pozostali więźniowie? Widziałeś kiedykolwiek kota czającego się na konika polnego?

Tung z niepokojem spojrzał w ich kierunku.

– Nie uśmiecha mi się konieczność rozstrzelania ostatniego tysiąca, abym mógł bezpiecznie odlecieć.

– Mogą nie zorientować się, że odleciałeś w ostatnim członie.

– Mamy zatem zostawić ich tak, pełnych nadziei na ratunek? Wilk syty, a owca...

– No tak.

– Podoba ci się to rozwiązanie, Ky?

– Niedobrze mi się od niego robi, ale – weź pod uwagę dziewięć tysięcy pozostałych. I flotę Dendarii. Możliwość runięcia na Ziemię z powodu poronionej próby udźwignięcia tych twoich wszystkich – żalonych grzeszników, jest dużo gorsza. Ocalenie dziewięciu dziesiątych to o wiele lepsze niż nieocalenie nikogo.

– To już mamy. Przejdźmy do opcji drugiej. Czas wylotu z orbity obliczony jest na dopuszczalną prędkość najwolniejszego statku, czyli...

– Frachtowców.

– A „Triumph” pozostaje najszybszy?

– Ma się rozumieć. – Tung był niegdyś kapitanem „Triumphy”.

– I najlepiej uzbrojony.

– Tak. I co z tego? – Tung doskonale zdawał sobie sprawę, dokąd zmierza Miles. Droczył się z

nim z czystej przekory.

– Zobaczysz. Pierwszych siedem czołen z ostatniej tury melduje się według planu. Zwołujemy pięciu pilotów myśliwców z „Triumphą” i niszczymy ich samolot. Jeden i tak jest do niczego, prawda? Ostatnich pięć czołen pod osłoną „Triumphy” dociera bezpiecznie do statku. Pakujemy więźniów do korytarzy, zamykamy włązy i w górę.

– Dodatkowa masa tysiąca ludzi...

– Wyniesie mniej niż dwa czołna. Zniszcz je również, jeżeli będziesz musiał, dla ścisłego przestrzegania przepisów dotyczących masy czy prędkości.

...wpływie na przeciążenie systemu bezpieczeństwa.

– Zapas tlenu wystarczy nam do punktu uskokowego. Później, w czasie postoju będzie można część więźniów przerzucić na inne statki.

Niepokój w głosie Tunga wzrastał.

– Te czołna są zupełnie nowe. A moje myśliwce – pięć moich myśliwców – czy zdajesz sobie sprawę z tego, ile trudu będzie nas kosztować wynegocjowanie funduszy, aby je wymienić? Ceny dochodzą do...

– Prosiłem, abyś obliczył czas, Ky, a nie koszty – powiedział przez zęby Miles. – Doliczę je do naszego rachunku za wykonanie zadania – dorzucił łagodniejszym tonem.

– Czy kiedykolwiek obił ci się o uszy termin koszty przekroczone, chłopcze? Przecież... – Tung skierował uwagę na swój nadajnik, będący przedłużeniem pomieszczenia taktycznego na pokładzie „Triumphy”. Przeprowadzono obliczenia, wydano i wykonano nowe rozkazy.

– Leci – westchnął Tung. – Dzięki temu uzyskujemy cholerny kwadrans. O ile wszystko pójdzie dobrze... – zakończył niewyraźnym mruknięciem, tak jak Miles poirytowany niemożnością przebywania w kilku miejscach na raz.

– Wraca moje czołno – powiedział głośno Tung. Spojrzał na Milesa, nieskory pozostawić admirała samemu sobie, a jednocześnie rozdarty chęcią znalezienia się bliżej centrum dowodzenia, z dala od kwaśnego deszczu, mroku i błota.

– Idź sobie – odrzekł Miles. – I tak nie możesz ze mną jechać, to wbrew procedurze.

– Procedurze, akurat – powiedział ponuro Tung.

Wraz z odlotem trzeciej tury na lądzie pozostało zaledwie dwa tysiące więźniów. Powoli zmierzali do zakończenia akcji; uzbrojone patrole bojowe wracały do bazy z lotów penetracyjnych wokół instalacji cetagandańskich. Żeby tylko któryś z cetagandańskich oficerów nie zdołał zebrać na tyle wojska, by zakłócić im odwrót.

– Do zobaczenia na pokładzie „Triumphy” – pożegnał go z naciskiem Tung. Poza zasięgiem słuchu Milesa wydał jeszcze ostatnie polecenia Murce. Miles uśmiechnął się ze współczuciem dla przepracowanego porucznika. Nie miał wątpliwości co do natury tych rozkazów. Gdyby Murka miał wracać bez Milesa, mądrze zrobi, jeżeli nie powróci w ogóle.

Pozostało jedynie trochę poczekać. Spieszyć się, a zarazem czekać. Czekanie, uświadomił sobie Miles, nie miało na niego najlepszego wpływu. Poziom adrenaliny opadał, dając mu odczuć ogrom ciężącego na nim zmęczenia. Gasnące płomienie czerwieńczyły się w oddali.

Nie zdążył przebrzmieć grom ostatniego wznoszącego się czołna z trzeciej tury, kiedy nadleciało pierwsze gotowe zabrać czwartą. Marilacanie w niezmiennym porządku czekali w wyznaczonych im miejscach. Rzecz jasna, nikt nie poinformował ich o zaistniałych problemach czasowych. Podenerwowane patrole dendariańskie spędzały ich na rampy, utrzymując tempo, które Miles uznał za wystarczające. Pozycja na tyłach nigdy nie należała do najpopularniejszych, nawet dla szaleńców,



którzy znaczyli nacięciami swoją broń i w żartach dyskutowali nad nowymi i bardziej groteskowymi metodami zabijania wroga.

Miles dostrzegł, jak na wpół przytomnego Suegara pierwszego wnoszą na rampę. Uzmysłowił sobie, że lecąc bezpośrednim lotem wraz z nim Suegar szybciej trafiłby do lecznicy niż wysłany czółnem na pokład frachtowca, by tam czekać stosownego momentu na przeniesienie.

Arena, którą opuszczali, ucichła i pociemniała; mokra, smutna i przejmująca lękiem. Zburzę wrota piekła i uwolnię umarłych... coś nie zgadzało mu się w tym na wpół zapomnianym cytacie. Nieważne.

Ostatni uzbrojony patrol wyłonił się z mgły, przywołany elektronicznym sygnałem przez Murkę, który stał u podnóża rampy, służąc jako łącznik pomiędzy patrolem naziemnym a pilotem czółna. Ta ostatnia obawiała się lotu z uwagi na zwolnione obroty silnika.

Naraz strumień plazmy przeszył z sykiem ciemność. Jakiś cetagandański bohater – oficer, żołnierz, pracownik, kto wie? – wygrzebał się spod rumowiska i znalazł broń – oraz wroga, do którego mógł z niej wymierzyć. Przed oczami Milesa zatańczyły czerwone i zielone błyski. Dendariański żołnierz wychynął z ciemności z iskrzącym się i dymiącym kombinezonem. Ugasił go, nurkując w błocie. Nogi zakleszczyły mu się w kombinezonie i wyglądał jak pozbawiona wody ryba, próbując się z niego wydostać. Ponowiono atak, niecelnie; obracając kilka kilometrów mgły i deszczu w gorącą parę, plazma pomknęła ku nieskończoności.

Dokładnie tego potrzebowali, niespodziewanego ataku właśnie teraz... Dwóch żołnierzy ze straży tylnej ruszyło w kierunku mgły. Podekscytowany więzień – Boże, to znowu porucznik Pitta – chwycił broń unieruchomionego żołnierza i pobiegł za nimi.

– Nie! Wrócisz później i odwalczysz swoje, ty durniu! – Miles podbiegł do Murki. – Wracajcie, pakujemy się i ruszamy! Nie czas na walkę! Nie czas!

Kilku z ostatnich więźniów upadło na ziemię i leżeli w błocie ogarnięci paniką. Miles skoczył między nich, popychając ich i szarpiąc.

– Na pokład, dalej na rampę, szybciej, szybciej, szybciej! – Beatrice poderwała się i naśladując go pchała towarzyszy przed sobą.

Miles doskoczył do zakleszczonego Dendarianina i lewą ręką uwolnił go z kombinezonu. Żołnierz odrzucił krępujący go pancerz i pobiegł schronić się do czółna. Miles podążył tuż za nim.

Murka wraz z jednym żołnierzem czekali u podnóża rampy.

– Przygotuj się do wciągnięcia rampy i startuj na mój sygnał – zaczął Murka, zwracając się do pilota czółna. Chciał dodać coś jeszcze, ale jego słowa zginęły w huku eksplozji wymierzonej w jego szyję plazmy. Stojący obok niego Miles poczuł jak gorący podmuch mija jego głowę o zaledwie parę centymetrów. Ciało Murki runęło na ziemię.

Miles odskoczył, po czym pochylił się, by z oddzielonej od korpusu głowy zdjąć zestaw komunikacyjny. Musiał pomóc sobie zdrętwiałą ręką. Ciężar głowy, jej kształt i krągłość obezwładniły jego zmysły. Czuł, że będzie pamiętać to z pełną, bolesną wyrazistością do końca swoich dni. Pozostawił ją przy ciele Murki.

Z trudem wspiał się na rampę, wspierany przez ostatniego Dendarianina. Rampa przekrzywiła się pod ich ciężarem, spojrzawszy w dół ujrzał na wpół stopione przesło w miejscu, gdzie przeleciała plazma, która zabiła Murkę.

Przeszedł przez właz i chwyciwszy nadajnik krzyknął do niego: – Do góry, do góry! Mark, teraz! Jazda!

– Kto mówi? – dobiegł go w odpowiedzi głos pilota czółna.

– Naismith.

– Tak jest, sir.

Czołno dźwignęło się z ziemi wśród wycia silników jeszcze nim wciągnięto rampę. Mechanizm zaskrzypiał, rozległ się zgrzyt metalu. Wygiąwszy się, rampa utknęła w błocie.

– Zatrzaśnijcie ten właz! – wrzasnął przez nadajnik pilot.

– Rampa utknęła – odkrzyknął Miles. – Wyrzucicie ją!

Mechanizm rampy skrzypiał i zawodził, wyginając się na boki. Rampa zatrzęsała się, ponownie zakleszczona. Wyciągnięto ręce, by pchać ją ze wszystkich sił.

– W ten sposób nigdy wam się nie uda! – Krzycząc przeraźliwie, stojąca po drugiej stronie włazu Beatrice zaczęła bosymi stopami kopać rampę. Wiatr świstał przez otwarty właz, rzucając czołnem i napełniając je drzeniem, niczym olbrzym dmuchający do wnętrza butelki.

Wśród huków, krzyków i przekleństw czołno przechyliło się na jedną stronę. Mężczyźni, kobiety i luźna część sprzętu przetoczyli się przez rozchwiany pokład. Beatrice z furją kopała ostatni rygiel. Puścił nareszcie i rampa runęła w dół. Beatrice ześlizgnęła się.

Miles rzucił się za nią i przechylił przez właz. Nigdy nie dowiedział się, czy jej dotknął; jego prawa ręka stanowiła odrętwiałą, bezwładną masę. Kiedy ginęła w ciemnościach, zobaczył tylko białą, niewyraźną plamę jej twarzy.

W jego głowie zapadła... cisza; głucha i martwa cisza. Chociaż szum wiatru i silników, przekleństwa, wrzaski i krzyki rozbrzmiewały jak przedtem, ginęły gdzieś między jego uszami a mózgiem, nie docierając do jego świadomości. Widział jedynie białą, znikającą w mroku plamę, jakby ktoś w kółko odtwarzał mu na wideo ten sam obraz.

Uświadomił sobie, że prędkość czołna wcisnęła go w podłogę. Zamknięto właz. Teraz, kiedy umilkły gniewne głosy bogów, stłoczona wewnątrz masa ludzka wydawała się nikła i niepozorna. Popatrzył w bladą twarz siedzącego obok porucznika Pitta. Nadal ścisnął w rękach zagrabioną w innym życiu broń, której jeszcze nie zdążył użyć.

– Lepiej zabij dla Marilac wielu Cetagandan, chłopcze – powiedział wreszcie Miles. – Lepiej bądź coś dla kogoś wart, gdyż ja z pewnością za ciebie przepłaciłem.

Twarcz mężczyzny skurczyła się. Był zbyt zastraszony, aby zdobyć się na przepraszający gest. Miles zastanawiał się, jak może wyglądać jego własna twarz. Sądząc z tego lustra, musiała budzić dziwne wrażenie.

Miles podczołgał się do przodu, szukając kogoś, czegoś... Przed oczami migwały mu żółte, bezkształtne błyski. Kobieta w kombinezonie, bez hełmu, pomogła mu wstać.

– Sir? Może lepiej przejdzie pan do kabiny pilota, sir?

– Tak, dobrze...

Podparła go ramieniem, aby znowu nie upadł. Przeciskali się przez powierzchnię zatłoczoną Marilacami i Dendarianinami. Twarze zwracały się w jego kierunku, lustrowały badawczo, ale nikt nie zdobył się na jakąkolwiek uwagę. Wzrok Milesa przyciągnął leżący w pobliżu wyjścia srebrzysty kokon.

– Zaczekaj...

Opadł na kolana obok Suegara. Cień nadziei...

– Suegar. Hej, Suegar!

Suegar nieznacznie otworzył oczy. Nie wiadomo na ile poprzez pryzmat szoku, bólu i zamroczenia lekami miał orientację na temat tego, co się działo.

– Jesteś już w drodze. Udało się, zdążyliśmy na czas. I to bez trudu. Zręcznie i szybko. Wyżej niżli chmury, poprzez regiony niebieskie. Bezbłędnie odczytałeś Pismo, naprawdę.

Suegar poruszył ustami. Miles niżej pochylił ku niemu głowę.

...nie było naprawdę Pismo – wyszeptał Suegar. – Wiedziałem o tym.. i ty wiedziałeś... nie okłamuj mnie...

Miles zamarł, przejęty chłodem. Następnie znów się pochylił.

– Nie, bracie – szepnął. – Gdyż choć mieliśmy odzie wchodząc, wychodząc byliśmy nadzy.

Suegar zaśmiał się gorzko.

Miles zaczął płakać dopiero, kiedy minęli uskok.

# Cztery

Illyan siedział w milczeniu.

Wyczerpany i blady Miles położył się z powrotem na łóżku. Ukryte głęboko wewnątrz drzenie zniekształciło jego głos.

– Przepraszam. Myślałem, że zdążyłem już się z tym pogodzić. Tyle innych rzeczy wydarzyło się od tamtej pory, że nie było czasu, aby spokojnie to przeanalizować...

– Zmęczenie po walce – podsunął Illyan.

– Walka trwała zaledwie kilka godzin.

– Tak? Z tego, co mówiłeś, rozumiałem, że sześć tygodni.

– Wszystko jedno. Ale jeśli ten twój hrabia Vorvolk obstaje przy tym, że powinienem być targować życie ludzkie za ekwipunek, cóż... Miałem może pięć minut na podjęcie decyzji, i to pod ostrzałem nieprzyjacielskim. Gdybym miał na to miesiąc, uczyniłbym dokładnie tak samo. I będę obstawał przy swoim, choćby zaciągnął mnie pod sąd wojenny czy na jakąkolwiek inną arenę, bym bronił swoich racji.

– Uspokój się – powiedział Illyan. – To ja zmierzę się z Vorvolkiem i jego stronnikami. Myślę... nie, gwarantuję, że ich knowania nie zakłócą twojej dalszej rekonwalescencji, poruczniku Vorkosigan. – Jego oczy zalsniły.

Illyan służył w Cesarskiej Służbie Bezpieczeństwa od trzydziestu lat, przypomniał sobie Miles. Stary pies Arala Vorkosigana nadal potrafił kąsać.

– Wybacz, że moja... lekkomyślność zachwiała twoją wiarę we mnie – powiedział Miles. Nadal paliła go spowodowana tym zwątpieniem rana; uparty, trudny do ukojenia ból w piersi. Wiara była czymś więcej niż tylko cczą deklaracją. Czyżby Illyan miał rację, czy powinien przywiązywać większą wagę do pozorów? – Spróbuję na przyszłość być mądrzejszy.

Illyan obrzucił go nieodgadnionym spojrzeniem.

– Ja również, poruczniku.

Otwarto drzwi, rozległ się szum spódnic. Hrabina Vorkosigan była wysoką kobietą o kasztanowych włosach i zamaszystym kroku, który nigdy nie dostosował się do przyjętych na Barrayarze wzorców zachowania kobiet. Długie, sute spódnice matron z rodu Vorów nosiła jak bawiące się w przebierankę dziecko; z humorem a zarazem godnością.

– Milady. – Illyan wstał i skinął głową.

– Witaj, Simonie. Do widzenia, Simonie – rzuciła w odpowiedzi. – Lekarz, którego nastraszyłeś, prosi, abym użyła swojej władzy, by cię wyrzucić. Rozumiem, że wy panowie i oficerowie macie swoje sprawy, ale pora kończyć. A przynajmniej na to wskazują monitory medyczne. – Popatrzyła na Milesa. Zmarszczka zmąciła jej pogodne rysy.

Illyan zauważył ją i skłonił się.

– Właściwie to już skończyliśmy, milady. Nie ma problemu.

– Tak też sądziłam. – Unosząc podbródek, odprowadziła go wzrokiem.

Patrząc na jej równy profil, Miles uświadomił sobie nagle, dlaczego wciąż dręczyła go śmierć pewnej agresywnej, rudowłosej kobiety, skoro pogodził się już ze śmiercią innych osób, za którą był nie mniej odpowiedzialny. Jakże poniewczasie docieramy do własnego wnętrza. I jak bezużytecznie. Ucisk w gardle ustąpił, kiedy z powrotem odwróciła się do niego.

– Wyglądasz obrzydliwie, kochanie. – Miętko dotknęła ustami jego czoła.

– Dziękuję, mamó – odparł Miles.

– Ta miła komendant Quinn, która cię przywiozła, twierdzi, że nie dojadłeś. Jak zwykle.

– Ach. – Miles rozchmurzył się. – Gdzie jest Quinn? Czy mogę ją zobaczyć?

– Nie tutaj. Ze względu na to, że należy do zagranicznego personelu wojskowego, nie przysługuje jej prawo wstępu na wybrane tereny. Barryarczy! – Było to ulubione przekleństwo kapitan Cordelii Naismith (Betańska Inspekcja Astronomiczna, w stanie spoczynku). W zależności od sytuacji wzbogacała je odpowiednią modulacją; tym razem było to rozdrażnienie. – Zabrałam ją do domu Vorkosiganów, tam na ciebie poczeka.

– Dziękuję. Wiele... jej zawdzięczam.

– Domyślam się. – Spojrzała na niego z uśmiechem. – Jeśli tylko omamisz tego lekarza na tyle, aby wypuścił cię do domu, wystarczą trzy godziny, abyś znalazł się nad długim jeziorem. Zaprosiłam tam komendant Quinn, sądząc, że to da ci odpowiednią motywację do jak najszybszego wyzdrowienia.

– Tak, proszę pani. – Miles opadł na prześcieradło. W jego ramiona powoli wracało czucie. Niestety w postaci bólu, ale i tak to było lepsze niż nic.

– Na zmianę będziemy cię dokarmiać i psuć – obiecała. – No i... opowiesz mi wszystko o Ziemi.

– A... tak. Mam ci wiele do powiedzenia na temat Ziemi.

– Odpoczywaj więc. – Ostatni pocałunek i już jej nie było.

# Spis treści

<a href="#">Strona tytułowa.</a>	1
<a href="#">Jeden.</a>	4
<a href="#">Lamentowe Góry.</a>	7
<a href="#">Dwa.</a>	41
<a href="#">Labirynt</a>	42
<a href="#">Trzy.</a>	83
<a href="#">Granice Nieskończoności</a>	84
<a href="#">Cztery.</a>	117